



„UZALEŻNIAJĄCA”.
Tess Gerritsen

„MISTRZOWSKA”.
Harlan Coben

BLAKE CROUCH

MROCZNA MATERIA

„WYJĄTKOWA”.
Andy Weir

„BŁYSKOTLIWA”.
Lee Child

MRO CZNA
MATERIA

BLAKE CROUCH
MRO CZNA
MATERIA

Przełożył
Paweł Wieczorek

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

*Dla każdego, kto się zastanawiał, jak jego życie
mogłoby wyglądać na końcu drogi, której nie wybrał*

*Co mogło być i to, co było,
Jeden ma kres, terazniejszy wiecznie.
Echo stąpania dudni nam w pamięci
Przejsiem, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy,
Ku drzwiom zamkniętym, których nie otwieraliśmy nigdy.*

T.S. Eliot, *Burnt Norton*
(przekład Czesław Miłosz)

Uwielbiam czwartkowe

wieczory.

W ich atmosferze jest coś ponadczasowego.

Są naszą tradycją, tylko nasza trójka, rodzinny wieczór.

Mój syn, Charlie, siedzi przy stole i rysuje w szkicowniku.

Wkrótce skończy piętnaście lat, w lecie urósł pięć centymetrów i już dogonił mnie wzrostem.

Przerywam krojenie cebuli i odwracam się do niego.

— Mogę zobaczyć?

Charlie podnosi szkicownik i pokazuje mi pasmo górskie, które wygląda jak z innej planety.

— Świetne mówię. — To tak dla siebie?

— Zadanie domowe. Na jutro.

— No to z powrotem do roboty, panie Last Minute.

Stoję, szczęśliwy i lekko podpity, w naszej kuchni, całkowicie nieświadom, że dziś to wszystko się skończy. Wszystko, co wiem, wszystko, co kocham.

Nigdy nie pojawia się ostrzeżenie, że wszystko zaraz się zmieni, zostanie nam odebrane. Nie istnieje żaden alarm zbliżeniowy, alarmowa lampka, że stoi się nad przepaścią. Może właśnie to czyni tragedie tak bardzo tragicznymi. Nie samo wydarzenie, ale sposób, w jaki przebiega: cios bez ostrzeżenia, trafiający jak grom z jasnego nieba, gdy najmniej się tego spodziewamy. Bez chwili na unik czy skulenie głowy.

Światła reflektorków sufitowych odbijają się w winie, cebula zaczyna szczypać mnie w oczy. Na starym adapterze w salonie obraca się płyta Theloniousa Monka. W analogowych nagraniach jest głębia, którą nigdy nie mogę się wystarczająco nacieszyć — zwłaszcza te trzaski między nagraniami. Cały pokój jest zavalony stertami rzadkich winyli, które trzymam, wmawiając sobie, że któregoś dnia je posegreguję.

Moja żona, Daniela, siedzi przy kuchennej wyspie, jedną ręką kręci

niemal pustym kieliszkiem do wina, w drugiej trzyma telefon. Wyczuwa moje spojrzenie i uśmiecha się, nie podnosząc wzroku znad ekranu.

— Wiem — mówi. — Łamię kardynalną zasadę rodzinnego wieczoru.

— Co jest aż tak ważne? — pytam.

Kieruje ciemne hiszpańskie oczy w moją stronę.

— Nic.

Podchodzę do niej, delikatnie wyjmuję jej telefon z dłoni i kładę go na kontuarze.

— Mogłabyś zacząć przygotowywać makaron — mówię.

— Wolę patrzeć, jak ty gotujesz.

— Tak? — I dodaję ciszej: — Kręci cię to, co?

— Nie, tylko znacznie fajniej jest pić i nic nie robić.

Jej oddech jest słodki od wina, jej usta ułożyły się w jeden z tych uśmiechów, które wydają się z fizjologicznego punktu widzenia niemożliwe. Ciągłe mnie on rozwała.

Dopijam wino.

— Co ty na to, byśmy jeszcze coś otworzyli?

— Byłoby głupotą tego nie zrobić.

Gdy wyciągam korek z nowej butelki, Daniela podnosi telefon i pokazuje mi ekran.

— Czytałam recenzję wystawy Marshy Altman w „Chicago Magazine”.

— Byli łaskawi?

— To w zasadzie list miłosny.

— Dobrze dla niej.

— Zawsze sądziłam... — Daniela nie kończy zdania, ale wiem, co miała na myśli. Piętnaście lat temu, zanim się poznaliśmy, Daniela była ważną postacią na arenie artystycznej w Chicago. Miała pracownię w Bucktown, wystawiała w kilku galeriach i właśnie szykowała się do pierwszej indywidualnej wystawy w Nowym Jorku. Wtedy nadeszło życie. Ja. Charlie. Epizod obezwładniającej depresji poporodowej.

Wypadła z obiegu.

Teraz daje prywatne lekcje sztuki gimnazjalistom.

— Nie myśl, że jej zazdrozczę. Jest znakomita, zasługuje na to

wszystko.

— Jeśli poprawi ci to samopoczucie, to Ryan Holder właśnie zdobył nagrodę imienia Pavii — odpowiadam.

— Co to jest?

— Multidyscyplinarna nagroda za osiągnięcia w naukach przyrodniczych i fizycznych. Ryan dostał ją za osiągnięcia z zakresu neurobiologii.

— Coś ważnego?

— Milion dolarów. Wyrazy uznania. Otwarte bramy do grantów.

— Bardziej cyncate asystentki?

— To chyba jej prawdziwa wartość. Zaprosił mnie na małą nieformalną uroczystość dziś wieczorem, ale spasowałem.

— Dlaczego?

— Bo to nasz wieczór.

— Powinieneś iść.

— Niekoniecznie.

Daniela unosi pusty kieliszek.

— Innymi słowy, mówisz, że oboje mamy powody wypić dziś wieczorem mnóstwo wina.

Całuję ją, po czym nalewam szczydrze z nowo otwartej butelki.

— Ty mogłeś dostać tę nagrodę — mówi Daniela.

— A ty mogłaś zawładnąć sceną sztuki tego miasta.

— Ale zrobiliśmy to. — Daniela robi dłonią gest w kierunku wysokiego sufitu naszego domu z ciemnobrązowego kamienia. Kupiłem go, zanim poznałem Daniellę, z pieniędzy ze spadku. — I to — dodaje Daniela, wskazując na Charliego, który rysuje w uroczym skupieniu, kojarzącym mi się z zagłębioną w malowaniu Daniellą.

Bycie rodzicem nastolatka to coś przedziwnego. Wychowanie chłopca to jedno, ale gdy wiedzy poszukuje ktoś na progu dorosłości, to całkiem inna para kaloszy. Czuję, że mam mało do zaoferowania,

Wiem, że istnieją ojcowie, którzy widzą świat w jednoznaczny sposób, jasno i z przekonaniem, którzy wiedzą, co mówić synom i córkom. Ale ja do nich nie należę. Im jestem starszy, tym mniej rozumiem. Kocham syna i znaczy dla mnie wszystko, a jednak nie

umiem się pozbyć wrażenia, że go zawodzę. Wysyłam go między wilki z okruchami własnego niepewnego oglądu.

Podchodzę do szafki przy zlewie, otwieram ją i rozpoczynam polowanie na pudełko makaronu *fettuccine*.

— Twój ojciec mógł zdobyć Nobla — mówi Daniela do Charliego.

Wybucham śmiechem.

— To prawdopodobnie przesada.

— Charlie, nie daj się zwieść. Twój ojciec to geniusz.

— Jesteś słodka — mówię. — I leciutko podpita.

— Ale to prawda i doskonale o tym wiesz. Nauka mniej się rozwinęła, ponieważ kochasz rodzinę.

Pozostaje mi się jedynie uśmiechnąć. Gdy Daniela pije, zauważam trzy rzeczy: zaczyna mówić z wrodzonym akcentem, robi się zadziornie uprzejma i ma skłonność do wyolbrzymiania.

— Twój ojciec powiedział mi któregoś wieczoru... nigdy tego nie zapomnę... że badania podstawowe są bardzo czasochłonne. Powiedział, że... — na chwilę, ku mojemu zaskoczeniu, opanowują ją emocje. Jej oczy zachodzą mgłą, a ona kręci głową jak zawsze, gdy zbiera jej się na płacz. W ostatniej chwili jednak bierze się w garść. — Powiedział: „Danielo, na łożu śmierci wolałbym wspominać ciebie, a nie zimne, sterylne laboratorium”.

Patrzę na Charliego — nie przerywając rysować, przewraca oczami.

Prawdopodobnie pokaz rodzinnego melodramatu nieco go żenuje.

Wpatruję się w głąb szafki i czekam, aż zelżeje ucisk w gardle.

Gdy jestem gotów, biorę makaron i zamykam drzwiczki.

Daniela pije wino.

Charlie rysuje.

Chwila mija.

— Gdzie jest przyjęcie Ryana? — pyta Daniela.

— W Village Tap.

— To twój bar, Jason.

— No i?

Podchodzi do mnie i wyjmuję mi z dłoni pudełko z makaronem.

— Idź się napić z kumplem z uniwerku. Powiedz mu, że jesteś z niego dumny. Trzymaj głowę wysoko. Dodaj, że ja też mu gratuluję.

— Nie powiem mu tego.

- Bo?

— Ma na ciebie chętkę.

— Daj spokój.

— To prawda. Od dawna. Od czasu, gdy razem mieszkaliśmy.

Pamiętasz ostatnie przyjęcie bożonarodzeniowe? Jak próbował tak manipulować, byś stanęła razem z nim pod jemiolą?

Daniela reaguje śmiechem.

— Jak wrócisz, kolacja będzie na stole.

— Co oznacza, że powinienem wrócić za...

— Czterdzieści pięć minut.

— Kim byłbym bez ciebie?

Daniela całuje mnie.

— Nawet o tym nie myśl.

Biorę klucze i portfel z ceramicznej misy, która stoi obok mikrofalówki, i idę do jadalni, patrząc prosto na hipersześcian żyrandola nad stołem. Daniela podarowała mi go na dziesiątą rocznicę ślubu. Najlepszy prezent, jaki dostałem w życiu.

Gdy dochodzę do drzwi, Daniela krzyczy za mną:

— Przynieś lody!

— Miętowe z kawałkami czekolady! — dodaje Charlie.

Unoszę ramię i wyciągam w górę kciuk.

Nie oglądam się za siebie.

Nie żegnam się.

Także ta chwila mija niezauważona.

Koniec wszystkiego, co wiem, wszystkiego, co kocham.

Mieszkam przy Logan Square od dwudziestu lat i najlepszą porą jest tu pierwszy tydzień października. Zawsze przypomina mi to wers ze Scotta-Fitzgeralda: „Życie zaczyna się dopiero jesienią, kiedy robi się chłodniej”.

Popołudnie jest chłodne, a niebo na tyle klarowne, że da się dostrzec garść gwiazd. Bary są bardziej hałaśliwe niż zwykle, nabite rozczarowanymi kibicami Cubsów.

Zatrzymuję się na chodniku w blasku krzykliwego neonu, który miga literami VILLAGE TAP, i gapię się przez otwarte drzwi narożnego baru, jakich pełno w każdym szanującym się zakątku Chicago, len akurat jest moim „domowym” wodopojem. Znajduje się najbliżej domu — kilka przecznic od naszej kamienicy.

Przechodzę przez niebieską plamę padającego z frontowego okna neonowego światła i mijam próg.

Matt, barman i właściciel, kiwa mi głową, gdy idę w głąb baru, przeciskając się przez tłum otaczający Ryana Holdera.

— Właśnie opowiadałem Danieli o tobie — mówię mu do ucha.

Ryan, elegancko wypielęgnowany na użytek wsłuchanego w niego kręgu — szczupły i opalony, w czarnym golfie, z brodą, nad którą musiał pracować fachowiec — uśmiecha się.

— Cholernie dobrze cię widzieć. Jestem poruszony, że przyszedłeś. Skarbie? — Dotyka nagiego ramienia młodej kobiety, zajmującej stołek obok niego. — Nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby mój stary dobry przyjaciel ukradł ci na chwilę miejsce?

Kobieta posłusznie wstaje i wspina się na stołek po drugiej stronie Ryana.

Ryan woła barmana.

— Chcielibyśmy, żebyś zaopatrzył nas w dwie szklaneczki najdroższego, czym dysponuje ten lokal.

— Ryan, nie trzeba.

Ryan chwyta mnie za ramię.

— Dziś wieczór pijemy, co najlepsze.

— Mam dwudziestopięcioletniego Macallana — odpowiada

Matt.

— Dwie podwójne. Na mój rachunek.

Kiedy barman odchodzi, Ryan pcha mnie pięścią w ramię. Mocno.

Na pierwszy rzut oka nie wzięłoby się go za naukowca. Jako student grywał w lacrossea i w dalszym ciągu ma szerokie bary i swobodę ruchów urodzonego atlety.

— Jak Charlie i przemiła Daniela?

— Trzeba było ją przyprowadzić. Nie widziałem jej od Bożego Narodzenia.

— Kazała przekazać gratulacje.
— Dostała ci się dobra kobieta, ale to w zasadzie nie nowina.
— Jakie szanse, że ty się w najbliższej przyszłości ustatkujesz?
— Cienkie. Samotne życie i jego znaczne zalety wydają mi się pasować. W dalszym ciągu jesteś w Lakemont College?

- Tak.

- Przyzwoita szkoła. Fizyka na studiach magisterskich, zgadza się?

— Dokładnie.

— A uczysz ich...

— Mechaniki kwantowej. Głównie podstaw. Nic szczególnie seksownego.

Matt wraca z naszymi drinkami, Ryan wyjmuje mu szklaneczki z dłoni i stawia jedną przede mną.

— Więc ta uroczystość... — Przerywam w połowie zdania.

— Improwizowane spotkanie kilku moich przypadkowo zebranych doktorantów. Niczego nie lubią bardziej, niż mnie upić i brylować w towarzystwie.

— Wspaniały miałaś rok. Ciągle jeszcze pamiętam, jak mało brakowało, abyś przepadł na równaniach różniczkowych.

— A ty ratowałeś mi tyłek. Niejeden raz.

Przez krótką chwilę przez pewność siebie i błyszczącą powierzchnię przebija się durnowaty, rozrywkowy student, z którym przez półtora roku dzieliłem obrzydliwe mieszkanie.

— Dostałeś Pavię za pracę nad...

— ...identyfikacją kory przedczołowej jako generatora świadomości.

— No tak. Oczywiście. Czytałem artykuł na ten temat.

— I co sądzisz?

— Błyskotliwy.

Jego mina wskazuje na to, że komplement sprawia mu prawdziwą przyjemność.

— Jeśli mam być szczery, Jasonie, a mówię bez fałszywej skromności, zawsze sądziłem, że to ty będziesz publikował przełomowe prace.

— Naprawdę?

Ryan obserwuje mnie znad czarnych oprawek okularów.

— Oczywiście. Jesteś bystrzejszy ode mnie. Wszyscy o tym wiedzieli.

Popijam whisky. Próbuję nie myśleć o tym, jaka jest przepyszna.

— Tak a propos — odzywa się Ryan — uważasz się dziś bardziej za naukowca czy za nauczyciela?

— Sądzę...

— Bo ja uważam siebie, na pierwszym miejscu i przede wszystkim, za człowieka, który poszukuje odpowiedzi na fundamentalne pytania. Jeśli otaczający mnie ludzie... — wskazuje dłonią na studentów, którzy zaczęli zapełniać bar — ..są wystarczająco bystrzy, aby chłonąć wiedzę dzięki byciu w moim pobliżu... to świetnie, ale przekazywanie wiedzy jako takiej mnie nie interesuje. Liczy się tylko nauka. Badania.

Chyba wyczuwam w jego głosie ton irytacji, może nawet złości, narastającej, jakby był na granicy powiedzenia czegoś niezbyt przyjemnego.

Próbuję zbyć to śmiechem.

— Jesteś na mnie zły? To zabrzmiało, jakbyś uważał, że wystawiłem cię do wiatru.

— Posłuchaj: wykładałem w MIT, na Harvardzie, u Johna Hopkina, w najlepszych uczelniach tego globu. Poznałem najbystrzejszych skurwieli kręcących się po aulach i wiem, że gdybyś zdecydował się iść tą ścieżką, zmieniłbyś świat. Gdybyś został. Zamiast tego uczysz przyszłych lekarzy i rzeczników patentowych podstaw fizyki.

— Nie wszyscy mogą być gwiazdoram jak ty, Ryane.

— Nie, jeśli się poddają.

Kończę whisky.

— No cóż, cieszę się, że wpadłem. — Schodzę ze stołka.

— Nie zachowuj się tak. To miał być komplement.

— Jestem z ciebie dumny, stary. Naprawdę.

— Jasonie...

— Dzięki za drinka.

Na zewnątrz dociera do mnie, że idę sztywny, jakbym kij połknął.

Im bardziej oddalam się od Ryana, tym bardziej narasta we mnie złość.

I nie bardzo wiem właściwie na kogo.

Płonie mi twarz.

Spod pach spływają mi strużki potu.

Nie myśląc, wchodzę na jezdnię na czerwonym i natychmiast dociera do mnie tępy dźwięk blokowanych hamulców i pisk sunących po asfalcie opon.

Odwracam się i zdziwiony wbijam wzrok w pędzącą na mnie żółtą taksówkę.

Przez rosnącą w oczach przednią szybę widzę taksówkarza w najdrobniejszych szczegółach — wąsy, rozszerzone w panice oczy, napięcie całej sylwetki w oczekiwaniu uderzenia.

Po chwili moje dłonie leżą płasko na gorącym, żółtym metalu maski, a taksówkarz wisi wychylony przez okno i drze się na mnie.

— Ty pojebie zasrany, o mało cię nie przejechałem! Wyjmij łeb z dupy!

Za taksówką zaczyna się trąbienie.

Wycofuję się na chodnik i patrzę, jak ruch wraca do normy.

Pasażerowie trzech samochodów są na tyle grzeczni, aby zwołać by móc pokazać mi środkowy palec.

W Whole Foods pachnie tak, jak pachniała hipiska, z którą chodziłem przed Danielą: mieszanką świeżej żywności, mielonej kawy i olejków eterycznych.

Strach wywołany incydem z taksówką mocno mnie stonował i grzebię w szufladach zamrażarki jak otoczony mgłą, śpiący, niemal w letargu.

Po wyjściu na zewnątrz mam ważenie, jakby się ochłodziło. Od jeziora wieje rześka bryza, zwiastując czyhającą tuż za rogiem zasraną zimę.

Wracam do domu inną drogą, nie przejmując się dyndającą torbą z lodami. Nadrabiam sześć przecznic, ale pozwala mi to zyskać odrobinę samotności. Najpierw Ryan, potem taksówka — potrzebuję czasu na reset.

Mijam jakiś plac budowy, opuszczony na noc, kilka przecznic dalej dochodzę do placu przed podstawówką, do której chodził mój syn.

Wypolerowana na połysk zjeżdżalnia jarzy się pod uliczną latarnią, huśtawki podrygują na wietrze.

W tutejszych jesiennych wieczorach jest energia, która dotyka we mnie czegoś pierwotnego. Czegoś, co pochodzi sprzed wielu wielu lat. Z dzieciństwa na zachodzie stanu Iowa. Myślę o meczach futbolowych w szkole średniej i skierowanych na graczy potężnych, oślepiających reflektorach. Czuję zapach dojrzewających jabłek i kwaśny odór piwa na odbywających się na polach kukurydzy imprezach wokół beczek. Czuję na twarzy powiew wiatru, gdy jadę nocą wiejską drogą, na pace starego pikapa, za którym w tylnych światłach wiruje czerwonawy kurz, a przede mną otwiera się, niczym wielka paszcza, moje przyszłe życie.

W tym właśnie tkwi piękno młodości.

Jest w niej przenikająca wszystko lekkość, ponieważ nie zostały podjęte żadne przekłete decyzje, nie wybrano żadnej określonej ścieżki, a rozwidlająca się w przodzie droga to czysty, nieograniczony potencjał.

Kocham moje życie, ale od wieków nie czułem tej lekkości. W takie jesienne wieczory jestem najbliżej tego uczucia.

Chłód zaczyna mi przejaśniać w głowie.

Miło będzie znowu znaleźć się w domu. Ciekawe, czy nie należałoby zacząć palić w kominku. Jeszcze nigdy nie robiliśmy tego przed Halloween, ale dziś jest tak nietypowo zimno, że po przejściu półtora kilometra na wietrze marzy mi się jedynie usiąść przed ogniem z Danielą i Charliem, i kieliszkiem wina w dłoni.

Ulica biegnie pod estakadą kolei metropolitalnej.

Przechodzę pod rdzewiejącymi kratownicami.

Chicagowska kolej metropolitalna, czyli „L”, jest dla mnie uosobieniem tego miasta znacznie bardziej niż sylwetka wieżowców centrum na tle nieba.

To mój ulubiony fragment spaceru w kierunku domu, ponieważ jest najciemniejszy i najcichszy.

W tej chwili...

Nie jedzie żaden pociąg.

W żadnym kierunku nie świecą reflektory.

Nie słycać hałasu z żadnej knajpy.
Nie słycać niczego poza dalekim rykiem lecącego wysoko w
górze samolotu, nalatującego na O'Hare.
Chwileczkę,..
Coś się zbliża — kroki na chodniku.
Spoglądam za siebie.
Sunie ku mnie cień, odległość między nami zmniejsza się szybciej,
niż jestem w stanie pojąć, co się dzieje.
Najpierw widzę twarz.
Białą jak duch.
Wysokie, łukowate brwi, które wyglądają na ściągnięte.
Czerwone, wydęte usta — za cienkie, zbyt perfekcyjne.
I przerażające oczy — wielkie i czarne jak otchłań, bez źrenic i
tęczówek.
Następne, co widzę, to lufa pistoletu — dziesięć centymetrów od
czubka mojego nosa.
— Odwróć się — rozlega się zza maski gejszy cichy, chrapliwy
głos.
Waham się, zbyt zaskoczony, by się ruszyć.
Nieznajomy wciska mi pistolet w twarz.
Odwracam się.
Właśnie zamierzam powiedzieć, że portfel mam w lewej przedniej
kieszeni, ale nieznajomy mnie ubiega.
— Nie jestem tutaj z powodu twoich pieniędzy. Ruszaj.
Zaczynam iść.
— Szybciej.
— Czego chcesz? — pytam.
— Nie odzywaj się.
Nad naszymi głowami z hukiem przejeżdża pociąg, wychodzimy z
ciemności pod estakadą. Serce wali mi jak oszałałe. Chłonę otoczenie z
nagłą ogromną ciekawością. Po drugiej stronie ulicy znajduje się
strzeżone osiedle, a po tej stronie kwartału mieszczą się tylko firmy,
zamykane o piątej.
Salon paznokci.
Kancelaria prawnicza.

Punkt naprawy urządzeń elektrycznych.

Sklep z oponami.

Okolice jest miastem duchów, na ulicy nie ma żywej duszy.

— Widzisz tego SUV-a? — pyta nieznajomy. Kilka metrów przed nami stoi zaparkowany przy krawężniku lincoln navigator.

Rozlega się piśnięcie alarmu. — Siadaj za kierownicą.

— Cokolwiek sobie wyobrażasz ..

— Albo możesz się wykrwawić tu na chodniku.

Otwieram drzwi kierowcy i wsuwam się za kierownicę.

— Moje zakupy — mówię.

— Odstaw. — Nieznajomy wsiada na miejsce za mną. —

Zapalaj.

Zatrzaszukuję drzwi i odstawiam torbę z zakupami z Whole Foods przed fotelem pasażera. W samochodzie jest tak cicho, że słyszę swój puls — szybki werbel o bębenki.

— Na co czekasz? — pyta nieznajomy.

Wciskam przycisk rozrusznika.

— Włącz nawigację.

Wykonuję polecenie.

— Wciśnij „poprzednie punkty docelowe”.

Nigdy nie miałem samochodu z wbudowanymi GPS-em i znalezienie odpowiedniego przycisku na ekranie dotykowym zajmuje mi dłuższą chwilę.

Pojawiają się trzy lokalizacje.

Pierwsza to mój dom. Druga — uniwersytet, na którym pracuję.

— Śledziłeś mnie? — pytam.

— Wybierz Pulaski Drive.

Wybieram „1400 Pulaski Drive, Chicago, Illinois 60616”, nie mając zielonego pojęcia, gdzie to jest. Rozlega się kobiecy głos z instrukcją: „Gdy będzie to bezpieczne, zawróć i jedź prosto przez trzysta kilometrów”.

Wrzucam bieg i wyjeżdżam na ciemną ulicę.

— Zapnij pas — mówi mężczyzna za mną.

Zapinani się, on robi to samo.

— Jasonie, aby wszystko było jasne: jeżeli zrobisz cokolwiek, co

wykroczy poza polecenia, strzelę przez fotel. Rozumiesz, co mówię?

— Rozumiem.

Jadę, rozglądając się po okolicy, i zastanawiam, czy widzę ją po raz ostatni.

Zatrzymuję się na czerwonym świetle tuż przed „moim” barem na rogu. Przez mocno przyciemnioną szybę po stronie pasażera widzę w dalszym ciągu otwarte drzwi. Dostrzegam Matta i, między głowami tłumu, Ryana. Siedzi odwrócony plecami do kontuaru, łokcie opiera na pokancerowanym blacie i zabawia doktorantów. Prawdopodobnie czaruje ich przerażającą i zarazem ostrzegawczą opowieścią o porażce w wykonaniu jego dawnego kumpla z pokoju.

Mam ochotę krzyknąć do niego. Dać mu znać, że mam kłopoty. Ze potrzebuję...

— Zielone, Jasonie.

Przejeżdżam przez skrzyżowanie.

Nawigacja prowadzi nas na wschód, przez Logan Square do wjazdu na Kennedy Expressway, gdzie obojętny kobiecy głos wydaje kolejną instrukcję: „Za dwieście metrów skreć w prawo i jedź prosto przez trzydzieści jeden kilometrów i siedemset metrów”

Ruch jadących na południe samochodów jest na tyle niewielki, że mogę cały czas utrzymywać prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Moje leżące na skórzanej kierownicy dłonie cały czas się pocą i nie mogę przestać zadawać sobie pytania, czy dziś umrę.

Dociera do mnie, że jeżeli przeżyję, do końca życia będę nosił w sobie objawienie: odchodzimy z życia tak samo, jak się w nim pojawiajemy — całkowicie samotni, pozbawieni wszystkiego. Boję się i ani Daniela, ani Charlie, ani nikt inny nie może w tej chwili, gdy potrzebuję ich najbardziej, zrobić nic, aby mi pomóc. Nawet nie wiedzą, czego doświadczam.

Międzystanowa ociera się o zachodnią granicę centrum. Willis Tower i jej pomiot mniejszych drapaczy chmur jarzą się na tle nocnego nieba spokojnym ciepłem.

Mój umysł gna, rwąc pęta paniki i przerażenia, próbując znaleźć wyjaśnienie tego, co się dzieje.

Mój adres w nawigacji. A więc spotkanie nie było przypadkowe.

Mężczyzna mnie śledził. Zna mnie. A zatem tę sytuację spowodowało jakieś moje działanie.

Jakie?

Nie jestem bogaty.

Moje życie nie ma wartości wykraczającej poza jego wartość dla mnie i tych, których kocham.

Nigdy nie byłem aresztowany, nie popełniłem żadnego przestępstwa.

Nigdy nie spałem z cudzą żoną.

Jasne, czasami opieprzam innych kierowców, ale to przecież Chicago.

Ostatni i jedyny raz uczestniczyłem w rękoczynach, gdy byłem w szóstej klasie i walnąłem w nos kolegę z klasy za to, że wlał mi za kołnierz mleko.

Nie skrzywdziłem nikogo w dosłownym znaczeniu tego słowa. Tak, aby mogło się to skończyć prowadzeniem przeze mnie lincolna navigatora z wycelowanym w tył głowy pistoletem.

Jestem fizykiem atomowym i wykładowcą na małym college'u.

Traktuję moich studentów — nawet najgorszych ze sfory — z szacunkiem. Ci, którzy odpadli z moich kursów, odpadli, ponieważ przede wszystkim im nie zależało i na pewno nikt nie mógłby oskarżyć mnie o to, że zrujnowałem mu życie. Bardzo staram się, aby moi studenci zdawali.

Panorama centrum znika w bocznym lusterku, oddala się coraz bardziej i bardziej niczym znajomy i uspokajający fragment linii brzegowej.

— Zrobiłem ci kiedyś coś złego? — ryzykuję. — Albo komuś, dla kogo pracujesz? Nie bardzo rozumiem, czego mógłbyś chcieć od...

— Im więcej będziesz gadał, tym gorzej się to dla ciebie skończy.

Po raz pierwszy zauważam, że w jego głosie jest coś znajomego.

Za nic nie umiem określić, kiedy ani gdzie, ale już się spotkaliśmy. Jestem pewien.

Telefon w mojej kieszeni wibruje od przychodzącego esemesa.

Po chwili przychodzi następny.

I jeszcze jeden.

Zapomniał zabrać mi telefon.

Patrzę na zegarek: 21.05.

Wyszedłem z domu nieco ponad godzinę temu. To bez wątpienia Daniela, ciekawa, gdzie jestem. Jestem piętnaście minut spóźniony, a nigdy się nie spóźniam.

Spoglądam we wsteczne lusterko, ale jest zbyt ciemno, by dało się dostrzec cokolwiek poza wąskim fragmentem białej jak duch maski. Rzykuję eksperyment. Zdejmuję lewą dłoń z kierownicy, kładę ją sobie na podołku i zaczynam liczyć do dziesięciu.

Mężczyzna nic nie mówi.

Kładę dłoń z powrotem na kierownicy.

Ciszę przerywa komputerowy głos: „Za sześć kilometrów i dziewięćset metrów zjedź w prawo w zjazd na Osiemdziesiątą Siódmą Ulicę”

Ponownie powoli zdejmuję lewą dłoń z kierownicy.

Tym razem wsuwam ją w kieszeń spodni. Telefon tkwi głęboko i choć ledwie udaje mi się go dotknąć palcami wskazującym i środkowym, jakoś go między nimi zakleszczam.

Milimetr po milimetrze wyciągam telefon, walcząc z zaczepiającą się o każdą fałdkę gumową obudową. Tuż przed końcem palce zaczynają mi drgać ciągłą wibracją. Ktoś próbuje się dodzwonić.

Wyciągnięty telefon kładę ekranem do góry na podołku, lewa dłoń wraca na kierownicę.

Gdy głos z nawigacji aktualizuje informację o odległości do zjazdu, spoglądam na telefon.

Jedna nieodebrana rozmowa od „Dani” i trzy esemesy:

DANI 2 min temu

Kolacja na stole

DANI 2 min temu

Pospiesz się UMIERAMY Z GŁODU!

DANI 1 min temu

Zgubiłeś się?:)

Skupiam się ponownie na drodze i zastanawiam, czy blask ekranu telefonu jest widoczny z tylnego siedzenia.

Ekran gaśnie.

Znowu zdejmuję dłoń z kierownicy, wciskam przycisk włączania i przeciągam palcem po ekranie. Wpisuję czterocyfrowe hasło i wciskam zieloną ikonkę wiadomości. Wątek Daniela jest na samej górze i gdy otwieram okno dialogowe, porywacz przesuwają się na siedzeniu.

Chwytam oburącz kierownicę.

„Za trzy kilometry zjedź w zjazd na Osiemdziesiątą Siódmą Ulicę”.

Kończy się czas odblokowania telefonu, ekran gaśnie.

Cholera.

Zsuwam ponownie dłoń na dół, wstukuję hasło i zaczynam pisać najważniejszego esemesa w życiu. Palec wskazujący porusza się nieporadnie po ekranie, każde słowo wymaga dwóch albo trzech prób, by poprawić błędne sformułowania autokorekty.

Lufa pistoletu wbija się w moją potylicę.

Szarpię kierownicą i zjeżdżamy na pas szybkiej jazdy.

— Co robisz, Jasonie?

Prostuję kierownicę jedną ręką, by wrócić na pas do zwalniania, drugą opuszczam ku dołowi, kieruję palec w stronę „Wyślij”.

Nieznajomy wsadza rękę między siedzenia, owija mi ją wokół pasa i zabiera telefon.

„Za trzysta metrów zjedź w zjazd na Osiemdziesiątą Siódmą Ulicę”.

— Jakie masz hasło, Jasonie? — Gdy nie odpowiadam, kontynuuje:

— Zaczekaj. Założę się, że wiem. Miesiąc i rok urodzenia wspak? No to zobaczmy... trzy, siedem, dwa, jeden... no i mamy...

We wstecznym lusterku widzę, jak telefon rozjaśnia jego maskę.

Czyta tekst, przed wysłaniem którego mnie powstrzymał.

— „Tysiąc czterysta Pułaski zadzwoń na dziewięćset”... Zły chłopiec.

Wjeżdżam na zjazd z międzystanowej.

„Skręć w lewo w Osiemdziesiątą Siódmą Ulicę i jedź na wschód przez sześć kilometrów” — instruuje GPS.

Wjeżdżamy w głąb południowego Chicago. To okolica, w której

tacy jak my nie mają powodu się kręcić.

Mijamy szeregi fabrycznych budynków.

Apartamentowce.

Puste parki z rdzewiejącymi huśtawkami i obręczami do koszykówki bez siatki.

Sklepowe witryny, zabezpieczone na noc stalowymi żaluzjami.

Wszędzie pełno graffiti gangów.

— Zwracasz się do niej Dani czy Daniela?

Czuję, jak zaciska mi się gardło.

Zalewa mnie fala wściekłości i przerażenia.

— Jasonie, zadałem ci pytanie.

— Idź do diabła.

Zbliża się tuż do mego ucha i gorąco mi w nie dyszy.

— Lepiej, żebyś tak ze mną nie próbował. Zranię cię bardziej, niż byłeś kiedykolwiek w życiu zraniony. Zadam ci ból, o którego istnieniu nie zdawałeś sobie sprawy. Jak się do niej zwracasz?

Zagryzam zęby.

— Daniela.

— Nigdy Dani? Choć tak jest w twoim telefonie?

Mam ochotę dachować na dużej prędkości i zabić nas obu.

— Rzadko. Nie lubi tego.

— Co masz w torbie?

— Dlaczego chcesz wiedzieć, jak się do niej zwracam?

— Co jest w torbie?

— Lody.

— Rodzinny wieczór, co?

- Tak.

Widzę w lusterku, że coś pisze na moim telefonie.

— Co piszesz?

Nie odpowiada.

Wyjechaliśmy z getta i jesteśmy na ziemi niczyjej, która nie sprawia wrażenia przynależącej do Chicago. Panorama centrum majaczy daleko za nami, jako smuga światła na horyzoncie. Domy są w ruinie, nie ma w nich światła ani życia. Wszystko dawno porzucono.

Przejeżdżamy przez rzekę i na wprost pojawia się jezioro

Michigan, którego czarna nieskończoność świetnie pasuje do tej miejskiej dziczy.

Jakby kończył się tu świat.

Mój może właśnie się kończy.

„Skręć w prawo i jedź na południe Pułaski Drive przez osiemset metrów, aż dotrzesz do celu”.

— Rany, masz kłopoty ze swoją kobietą — mówi nieznajomy. Zaciskam dłonie na kierownicy, jakbym chciał ją udusić. — Kim był ten człowiek, z którym piłeś whisky, Jasonie? Nie rozpoznałem go z zewnątrz.

W tym granicznym terenie między Chicago a Indianą jest tak cholernie ciemno,..

Mijamy kolejne ruiny bocznic kolejowych i fabryk.

— Jasonie...

— Nazywa się Ryan Holder. Był kiedyś...

— ...twoim kumplem z pokoju.

— Skąd wiesz?

— Jesteście sobie bliscy? Nie widzę go w twoich kontaktach.

— Nie bardzo. Skąd...?

— Wiem niemal wszystko o tobie, Jasonie. Można by powiedzieć, że uczyniłem z twojego życia moją specjalność.

— Kim jesteś?

„Za sto metrów dotrzesz do celu”.

Nieznajomy nie odpowiada, ale z konieczności zaczynam tracić zainteresowanie nim, gdyż muszę się uważniej skupić na coraz bardziej odludnej okolicy.

Asfalt ucieka w świetle reflektorów do tyłu.

Za nami pustka.

Pustka w przodzie.

Z lewej strony pobłyskuje jezioro, z prawej ciągną się opuszczone magazyny.

„Dotarłeś do celu”.

Zatrzymuję navigatora pośrodku drogi.

— Wejście jest z lewej strony u góry — mówi nieznajomy.

Światło reflektorów muska ponadtrzymetrowe ogrodzenie z siatki,

zwieńczone tiarą zardzewiałego drutu kolczastego, które wygląda, jakby zaraz miało się przewrócić. Brama jest uchylona, a łańcuch, który kiedyś ją zamykał, został przecięty i leży pozwijany w zielsku na poboczu drogi.

— Pchnij lekko bramę przednim zderzakiem.

Nawet we wnętrzu wygłuszonego SUV-a zgrzyt otwieranej bramy jest głośny. Snopy światła oświetlają drogę o nawierzchni spękanej i powybrzuszanej od niezliczonych ostrych chicagowskich zim.

Włączam długie światła.

Jasność zalewa parking usiany poprzewracanymi latarniami, które wyglądają niczym garść rozrzuconych bierek.

Za parkingiem majaczy przysadzista budowla.

Po obu stronach ceglanej fasady nadgryzionego zębem czasu budynku stoją wielkie cylindryczne zbiorniki i dwa trzydziestometrowe kominy, wbijające się w niebo.

— Co to za miejsce?

— Przełącz na parkowanie i zgaś silnik.

Zatrzymuję samochód, wysprzęgłam i gaszę silnik.

Zapada śmiertelna cisza.

— Jakie masz plany na piątek?

— Słucham?

Gwałtowny cios w skroń rzuca mną o kierownicę i przez głowę przelatuje mi myśl, że tak człowiek się czuje po postrzale w głowę. Nie, tylko uderzył mnie pistoletem.

Dotykam skroni.

Palce mam lepkie od krwi.

— Jutro — mówi nieznajomy. — Co zaplanowałaś na jutro?

Jutro. Pytanie wydaje mi się mocno dziwne.

— Zamierzam... zrobić sprawdzian klasie trzy trzy jeden sześć.

— Co jeszcze?

— To wszystko.

— Rozbierz się ze wszystkiego.

Patrzę we wsteczne lusterko.

Po cholerę jestem mu potrzebny nagi?

— Jeśli zamierzałeś coś zrobić, trzeba było spróbować, gdy

miałeś panowanie nad samochodem — mówi nieznajomy. — Od tej chwili jesteś mój. Zdejmuj teraz ubranie i jeśli będę musiał powtarzać, sprawię, że zaczniesz krwawić. Bardzo.

Rozpinam pas bezpieczeństwa.

Gdy rozsuwam suwak bluzy i ściągam rękawy, chwytam się ostatniej resztki nadziei: nieznajomy cały czas jest w masce, czyli nie chce, abym go rozpoznał. Gdyby zamierzał mnie zabić, nie przejmowałby się tym, że mogę go zidentyfikować.

Prawda?

Rozpinam koszulę.

— Buty też? — pytam.

Wszystko.

Ściągam adidas i skarpetki.

Zsuwam w dół spodnie i bokserki.

Moje ubranie leży na kupce na fotelu pasażera.

Czuję się całkowicie odsłonięty.

Łatwy do zranienia.

Przedziwnie zawstydzony.

A jeśli spróbuje mnie zgwałcić? Jeśli to wszystko temu służy?

Nieznajomy kładzie na podłokietniku między przednimi fotelami latarkę.

— Wysiadaj, Jasonie.

Wnętrze navigatora jawi mi się niczym łódź ratunkowa. Póki będę w środku, mężczyzna nie zrobi mi prawdziwej krzywdy.

Nie chciałby tu nabrudzić.

— Jasonie...

Zaczynam tracić oddech, przed oczami eksplodują mi czarne plamy.

— Wiem, o czym myślisz, ale w samochodzie też mogę ci sprawić ból.

Brakuje mi tlenu. Zaczynam świrować, udaje mi się jednak wydusić na bezdechu kilka słów.

— Gówno prawda... nie chcesz zabryzgać wszystkiego krwią.

*

Gdy odzyskuję przytomność, nieznajomy wyciąga mnie za rękę z samochodu. Puszczam mnie i zwalam się oszołomiony na żwir. Czekam, aż rozjaśni mi się w głowie.

Przy jeziorze zawsze jest zimniej, dzisiejszy wieczór nie stanowi wyjątku. Wiatr wgryza mi się w nagą, pokrytą ciarkami skórę niczym ząbkowany nóż.

Jest tak ciemno, że widać pięć razy więcej gwiazd niż w mieście.

W głowie mi pulsuje, po twarzy spływa nowa strużka krwi, ale szalejąca w ciele ogromna porcja adrenaliny przytłumia ból.

Nieznajomy rzuca na zapyloną ziemię obok mnie latarkę, drugą, trzymaną w dłoni, oświetla rozpadający się przybytek, który widać było z wjazdu.

— Po tobie.

Zaciskam dłoń na latarce i powoli wstaję. Po kilku chwiejnych krokach w stronę budynku nagie stopy zaplądają mi się w przesiąkniętą wodą gazetę. Staram się unikać pogniecionych puszek po napojach i migoczących w świetle latarki zygzaków szkła.

Zbliżając się do głównego wejścia, wyobrażam sobie ten porzucony parking innej nocy. Nocy, która nadejdzie. Jest początek zimy i przez zaslonę padającego śniegu przebijają się migające czerwone i niebieskie światła. Ruiny są pełne policjantów i psów, i gdy oglądają moje leżące gdzieś w środku ciało, posiekane i rozkładające się, przed naszym domem przy Logan Square zatrzymuje się radiowóz. Jest druga nad ranem i Daniela podchodzi do drzwi w szlafroku. Zaginałem przed kilkoma tygodniami i w głębi serca wie, że nie wrócę, chyba już się pogodziła z tym brutalnym faktem, ale na widok młodych policjantów' o twardych, trzeźwych oczach, z warstewką śniegu na ramionach i daszkach czapek, które z szacunkiem wsunęli pod pachy... wreszcie wszystko w niej pęka, nawet w najgłębszym zakamarku, który — choć tego nie wiedziała — był jeszcze w przyzwoitym stanie. Kolana jej miękną, siła odpływa, osuwa się na wycieraczkę. Charlie schodzi po skrzypiących schodach, rozczochrany i z zapuchniętymi oczami.

„Chodzi o tatę?” - pyta.

Gdy zbliżamy się do budynku, na spłowiałych ceglach nad wejściem zaczyna być widoczny napis. Jedyne, co mogę odcyfrować, to CAGO POWER.

Nieznajomy przepycha mnie przez dziurę w murze.

Światła naszych latarek omiatają biuro.

Meble przegniłe do metalowych ram.

Stara chłodziarka wody.

Resztki ogniska.

Postrzępiony śpiwór.

Zużyte prezerwatywy na pleśniejącej wykładzinie.

Wchodzimy do długiego koniarza.

Bez latarek byłoby tutaj tak ciemno, że nie widać dłoni przed nosem.

Staję, by zobaczyć, co jest przed nami, ale czerń pochłania światło. Na pomarszczonym linoleum jest mniej śmieci i pomijając cichy, daleki jęk wiatru na zewnątrz, jest cicho jak w grobie.

Lodowacuję coraz bardziej.

Nieznajomy wbija mi lufę pistoletu w łędźwie, bym szedł dalej.

Czyżbym dostał się w łapy psychopaty, który uznał, że przed zamordowaniem musi się wszystkiego o mnie dowiedzieć? Często rozmawiam z obcymi — może rozmawialiśmy chwilę w kawiarence obok kampusu? Albo w kolejce metropolitalnej? Przy piwie w moim barze na rogu?

Ma plany wobec Charliego i Danieli?

— Chcesz usłyszeć, jak błagam? — pytam głosem, który zaczyna się łamać. — Mogę. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

To straszne, ale taka jest prawda. Skalałbym się bez wahania. Zrobił komuś krzywdę, uczynił niemal wszystko, gdybym dzięki temu wrócił do swojej dzielnicy, a noc przebiegłaby dalej tak, jak było zaplanowane — wróciłbym do rodziny i przyniósł obiecane lody.

— Jeśli co? — pyta nieznajomy. — Jeśli cię puszczę?

— Właśnie tak.

Echo jego śmiechu odbija się po ścianach w głąb korytarza.

— Bałbym się oglądać wszystko, co byłbyś gotów zrobić, aby się z tego wydostać.

— Właściwie z czego?

Nieznajomy nie odpowiada.

Osuwam się na kolana.

Latarka wypada mi z ręki na podłogę.

— Proszę... nie musisz tego robić — jęczę błagalnie, ledwie rozpoznając własny głos. — Możesz po prostu odejść. Nie mam pojęcia, dlaczego chcesz mi zrobić krzywdę, ale pomyśl chwilę. Bardzo...

— Jasonie...

— ...kocham rodzinę. Kocham moją żonę. Kocham...

— Jasonie...

— ...mojego syna.

— Jasonie!

— Zrobię wszystko...

Dygoczę w niekontrolowany sposób. Zarówno z zimna, jak i ze strachu.

Nieznajomy kopie mnie w brzuch i gdy powietrze wylatuje mi z płuc, przekręcam się na plecy. Mój oprawca zwała się na mnie całym ciężarem i wbija mi lufę między zęby, głęboko w usta, do samego gardła, aż smak starego oleju i resztek sadzy wżera mi się po żołądek.

Wyciąga pistolet dwie sekundy przed tym, jak wyrzucam z siebie wieczorne wino i szkocką.

— Wstawaj! — wrzeszczy.

Łapie mnie za ramię i podrywa na nogi.

Kierując lufę między moje oczy, wkłada mi do ręki latarkę.

Wpatruję się tępo w maskę, świecę latarką na pistolet w jego dłoni.

Po raz pierwszy dokładnie widzę broń. W zasadzie nie mam o pistoletach zielonego pojęcia, wiem tylko tyle, że mają kurek, komorę i wielką dziurę na końcu lufy, która wygląda na wystarczającą, aby wypluć śmierć. Teraz odnoszę wrażenie, że światło latarki wpada tak głęboko w głąb lufy, aż widać blask miedzi na czubku wycelowanego we mnie naboju. Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie, jak stojący przede mną nieznajomy siedzi w obskurnej kawalerce i wkłada do magazynka kulę po kuli, szykując się do tego, co dziś zrobił.

Zginę tutaj. Może już za chwilę.

Każda sekunda wydaje się, jakby mogła być ostatnią.

— Ruszaj się — rzuca nieznajomy.

Idę dalej.

Na rozwidleniu skręcamy w bok, w szerszy, wyższy, zwieńczony łukami korytarz. Powietrze jest obrzydliwie wilgotne. Słyszę dalekie kap... kap... kap spadającej skądś wody. Ściany są betonowe, a miejsce linoleum zajął wilgotny mech, którego warstwa z każdym krokiem jest grubsza i bardziej mokra.

Smak broni lepi mi się do wnętrza ust, przeplatany kwaśnym odorem żółci.

Już prawie na połowie twarzy nic nie czuję z zimna.

Cichy głosik w mojej głowie krzyczy, żebym coś zrobił, czegoś spróbował, czegokolwiek. Nie daj się prowadzić jak owca na rzeź, posłusznie stawiając stopę za stopą. Dlaczego tak mu ułatwiasz sprawę?

Spokojnie.

Bo się boję.

Tak bardzo się boję, że z trudem trzymam się prosto.

Myśli mam poszarpane i kotłują się chaotycznie.

Rozumiem teraz, dlaczego ofiary się nie bronią. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zapanować nad tym mężczyzną. Albo spróbować uciec.

No i dochodzi do tego najbardziej wstydliva prawda: coś we mnie wolałoby mieć to wszystko za sobą, gdyż po śmierci nie będzie ani strachu, ani bólu. Czy to oznacza, że jestem tchórzem? Taka jest ostatnia prawda, z jaką muszę się skonfrontować przed śmiercią?

Nie.

Muszę coś zrobić.

Wychodzimy z tunelu na metalową powierzchnie, do której podeszwy moich stóp natychmiast przymarzają. Chwytam za zardzewiałą balustradę otaczającą podest. Jest tu zimniej, czuć, że wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

Jak zaprogramowany zegarowo, nad jeziorem Michigan pojawia się żółty księżyc i powoli wznosi ku górze.

Jego światło wpada przez górne okna wielkiego pomieszczenia i jest wystarczająco mocne, aby niezależnie od latarki dało się dostrzec otoczenie.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Stoimy u szczytu nieosłoniętych schodów, schodzących piętnaście metrów w dół.

Światło rodem ze starego obrazu pada tak na szereg uśpionych generatorów w dole i koronkę stalowych legarów nad głowami, że ma się wrażenie oglądania olejnego malowidła.

Jest cicho jak w katedrze.

— Schodzimy — mówi nieznajomy. — Uważaj pod nogi.

Ruszamy.

Dwa kroki przed drugim od góry podestem odwracam się na pięcie z zaciśniętą w dłoni latarką, celując prosto w głowę nieznajomego.

...i trafiam w pustkę. Siła rozpędu cofa mnie do pozycji wyjściowej... i przesuwa kawałek dalej.

Tracę równowagę i lecę.

Całym ciężarem uderzam o podest, latarka wypada mi z dłoni i znika za krawędzią.

Sekundę później rozbija się z łoskotem dwanaście metrów w dole.

Porywacz patrzy na mnie zza pozbawionej wyrazu maski, z przekrzywioną głową, nie odwracając ode mnie lufy.

Odciąga kurek i podchodzi do mnie.

Jego kolano wbija mi się w mostek, plecami uderzam o balustradę i wycharkuję głuche stęknięcie.

Koniec lufy dotyka mojego czoła.

— Muszę przyznać, że jestem dumny, iż spróbowałeś. Choć to było żalotne. Widziałem na kilometr, ale przynajmniej się zamachnąłeś.

Gdy z boku szyi czuję ostre dźgnięcie, próbuję szarpnąć ciałem w bok.

— Nie walcz z tym — mówi nieznajomy.

— Co mi dałeś?

Nim zdążył odpowiedzieć, coś przebija się przez moją barierę krew -mózg z impetem osiemnastokolowej ciężarówki. Czuję równocześnie niesamowity ciężar i nieważkość, świat zaczyna wirować i przewracać się na nice.

Nagle — tak samo jak się pojawiło — wrażenie znika.

Wbija się we mnie kolejna igła — tym razem w udo.

Gdy wrzeszczę, nieznajomy wyrzuca obie strzykawki za balustradę.

— Idziemy.

Aby wstać, muszę się podciągnąć na balustradzie. Od upadku krwawi mi kolano. Jest mi zimno, jestem brudny i mokry, zęby tak mi dzwonią, że zaraz popękają.

Schodzimy, z każdym krokiem wprowadzając mizerną konstrukcję w drgania. Na dole kontynuujemy marsz wzdłuż szeregu starych generatorów.

Z poziomu podłogi pomieszczenie wydaje się jeszcze rozleglejsze. Mniej więcej pośrodku nieznajomy staje i kieruje światło latarki na opartą o jeden z generatorów sportową torbę.

— Nowe ubranie. Pospiesz się.

— Nowe ubranie? Nie ro...

— Nie musisz rozumieć. Masz się tylko ubrać.

Przez ogrom strachu czuję przebijający się promyk nadziei. Zamierza mnie oszczędzić? Z jakiego innego powodu miałbym się ubierać?

Mam jednak szansę przeżyć?

— Kim jesteś? — pytam.

Pospiesz się. Nie zostało ci wiele czasu.

Kucam przy torbie.

— Najpierw się oczyść.

Na wierzchu leży ręcznik, którym ścieram błoto ze stóp i krew z kolana oraz twarzy. Wkładam bokserki i pasujące idealnie dżinsy. Cokolwiek mi wstrzyknął, czuję to w opuszkach palców — z trudem zapinam guziki koszuli. Stopy wsuwają się bez trudu w drogie mokasyny. Pasują tak samo dobrze jak dżinsy.

Nie jest mi już zimno. Jakby pośrodku klatki piersiowej tkwiło gorące jądro, wysyłające promieniowanie do rąk i nóg.

— Jeszcze kurtka.

Wyjmuję ze spodu torby czarną skórzaną kurtkę i wsuwam dłonie w rękawy.

— Doskonale — mówi nieznajomy. — Teraz usiądź.

Opieram się o żelazną podstawę generatora, potężnej maszynierii rozmiaru lokomotywy.

Nieznajomy siedzi naprzeciwko, broń kieruje w moją stronę, ale trzyma ją dość swobodnie.

Przeźren wypełnia światło księżycy, odbija się od porozbijanych okien wysoko nad nami i posyła na dół pokawałkowane pasma światła, które oświetlają...

Kłębowiska kabli.

Koła zębate.

Rury.

Dźwignie i wielokrążki.

Tablice rozdzielcze pełne spękanych zegarów i wskaźników.

Technologia z innej epoki.

— I co teraz? — pytam.

— Czekamy.

— Na co?

Zbywa moje pytanie machnięciem ręki.

Ogarnia mnie dziwny spokój. Poczucie wyciszenia, całkowicie nie na miejscu.

— Sprowadziłeś mnie tu, aby mnie zabić?

- Nie.

Jest mi tak wygodnie z opartymi o starą maszynę plecami, jakbym się w nią zapadał.

Ale chciałeś, żebym tak uważał.

— Nie było innego sposobu.

— Na co?

— Żeby cię tu sprowadzić.

— A w jakim celu tu jesteśmy?

W odpowiedzi nieznajomy kręci jedynie głową, równocześnie wsuwając lewą dłoń pod maskę, aby się podrapać.

Dziwne.

Jakbym równocześnie oglądał film i w nim grał.

Zaczyna mnie ogarniać senność.

Głowa opada mi do przodu.

— Poddaj się temu — mówi nieznajomy.

Nie zamierzam na to pozwolić. Walczę z sennością, równocześnie zastanawiając się, jak bardzo zmienił się styl nieznajomego. Sprawia wrażenie innej osoby i niespójność między tym, jak zachowuje się w tej chwili, a przemocą, jaką okazał względem mnie ledwie kilka minut temu, powinna przerażać. Nie powinienem pozwalać sobie na zbytne rozluźnienie, ale ciało wypełnia mi spokojny szum...

Jest mi dogłębnie błogo, jakbym był w czymś zanurzony i oddalony o wieczność.

— To była długa droga — odzywa się nieznajomy tonem, jakby coś wyznawał. — Trudno mi w zasadzie uwierzyć, że siedzę tu i ci się przyglądam. Rozmawiam z tobą. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale o tyle rzeczy chciałbym zapytać...

— Na przykład?

— Jak to jest być tobą?

— Co masz na myśli?

Nieznajomy chwilę milczy.

- Jak postrzegasz swoje miejsce na ziemi, Jasonie?

To... bardzo ciekawe pytanie, biorąc pod uwagę, przez co mnie przeczłogałeś — odpowiadam powoli, z wahaniem.

— Jesteś w życiu szczęśliwy?

W porównaniu do mroku tego, co się właśnie dzieje, moje życie jest boleśnie piękne.

Mam wspaniałą rodzinę odpowiadam. - Pracę, w której się spełniam. Żyjemy wygodnie. Nikt z nas nie choruje.

Język rośnie mi w ustach. Mówienie staje się coraz trudniejsze.

— Ale?

— Moje życie jest super... Nie jest oczywiście... wyjątkowe... a był taki czas, gdy mogło się takim stać...

— Ale zamordowałeś swoje ambicje, tak?

— Zmarły z przyczyn naturalnych. Z... zaniedbania.

— Pamiętasz, jak do tego doszło? Był taki moment, w którym...?

— Mój syn. Miałem dwadzieścia... siedem lat i... byłem z Danielą od kilku miesięcy. Była w ciąży. Dobrze się bawiliśmy, ale... to nie była miłość. A może... i była. Nie wiem. W każdym razie... nie

zamierzaliśmy zakładać rodziny.

— Ale ją założyłeś.

— Jeśli jesteś naukowcem, lata przed trzydziestką... decydują. Nie opublikujesz do trzydziestki nic dużego, idziesz na... zieloną... trawkę.

Może to efekt narkotyku, ale mimo trudności mówienie sprawia wielką przyjemność. Oaza normalności po dwóch najbardziej szalonych godzinach, jakie przeżyłem w całym życiu. Wiem, że to nieprawda, ale panująca atmosfera jest niczym obietnica, że dopóki konwersujemy, dopóty nie może się wydarzyć nic złego. Jakby słowa chroniły.

— Pracowałeś nad czymś dużym? — pyta nieznajomy.

Muszę się mocno skupiać, aby nie zamknąć oczu.

— Pracowałem.

— Co to było?

Jego głos oddala się.

— Próbowałem stworzyć... superpozycję... stanów kwantowych obiektu... widocznego dla ludzkiego oka.

— Dlaczego porzuciłeś badania?

— Przez pierwszy rok życia Charlie... miał bardzo poważne problemy zdrowotne. Powinienem był spędzić tysiąc godzin w pomieszczeniu czystym, ale nie byłem... w stanie... docierać tam na czas. Daniela mnie potrzebowała... syn mnie... potrzebował. Straciłem finansowanie... zapał. Przez minutę byłem młodym, nowym geniuszem, ale gdy... dałem płamę, moje miejsce zajął... ktoś inny.

— Żałujesz, że zostałeś z Danielą i jesteście razem?

— Nie.

— Nigdy nie żałowałeś?

Myślę o Danieli i emocje przebijają się znowu na powierzchnię, mieszają z trwającym horrorem. Powraca strach, a wraz z nim tęsknota za domem, która tnie do kości. Potrzebuję jej w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

— Nigdy.

Po sekundzie leżę na podłodze, z twarzą na zimnym betonie, narkotyk zabiera mnie w dal.

Nieznajomy klęka obok, przewraca mnie na plecy, ai widzę cały

majestat księżycowego światła wpadającego przez wysokie okna tego zapomnianego miejsca, ciemność pomarszczoną światłem i kolorami w miejscach, gdzie wokół generatorów otwierają się i zamykają wirujące, puste otchłanie.

— Czy jeszcze kiedyś ją zobaczę? — pytam.

— Nie wiem.

Po raz milionowy chcę zapytać, co zamierza ze mną zrobić, ale straciłem zdolność wypowiedzenia słów.

Oczy coraz bardziej mi się zamykają, próbuję je otwierać, ale to przegrana bitwa.

Nieznajomy ściąga rękawiczkę i dotyka mojej twarzy gołą dłonią. Dziwnie.

Delikatnie.

— Posłuchaj mnie — mówi. — Będziesz miał do czynienia z przerażającymi rzeczami, ale możesz wszystko przekuć na własną korzyść. Możesz mieć wszystko, czego nigdy nie miałeś. Przepraszam, że cię nastraszyłem, ale musiałeś tu dotrzeć. Bardzo mi przykro, Jasonie. Robię to dla nas obu.

Bezgłośnie układam usta w pytanie: „Kim... jesteś?”

Zamiast odpowiedzieć, nieznajomy sięga do kieszeni i wyjmuje kolejną strzykawkę oraz małą ampułkę wypełnioną przezroczystym płynem, który w świetle księżyca jarzy się jak rtęć.

Ściąga osłonę igły i wciąga do strzykawki zawartość ampułki.

Tuż przedtem, nim zamykają mi się oczy, widzę, jak nieznajomy podciąga rękaw koszuli i robi sobie zastrzyk.

Wypuszcza strzykawkę i ampułkę z rąk na beton między nami i ostatnią rzeczą, jaką widzę, jest tocząca się w moim kierunku ampułka.

— Co... teraz? — szepczę.

— Gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzył.

Ktoś chwyta mnie za kostki.

Pod pachy wsuwają mi się dłonie, odzywa się kobiecy głos.

— Jak wy dostał się z kabiny?

— Nie mam pojęcia — odpowiada męski głos. — Patrz, wraca do siebie.

Otwieram oczy, ale widzę jedynie rozmazane ruchy i światło.

— Zabierajmy go stąd w cholere! — rzuca mężczyzna.

Próbuję coś powiedzieć, ale słowa są jedynie bełkotem, poszarpanym i pozbawionym składu.

— Doktorze Dessen? — mówi kobieta. — Przeniesiemy pana teraz na nosze.

Patrzę w kierunku moich stóp i z mgły materializuje się męska twarz. Za szybą maski aluminiowego kombinezonu do ochrony przed substancjami niebezpiecznymi, z izolacyjnym aparatem oddechowym.

Spogląda na kobietę za mną.

— Raz... dwa... trzy!

Kładą mnie na noszach samojezdnych i zapinają mi na nadgarstkach i kostkach wyściełane pasy.

— To tylko dla pańskiej ochrony, doktorze Dessen.

Patrzę na przesuwający się do tyłu sufit, jakieś dwanaście, może piętnaście metrów w górze.

Gdzie ja, do cholery, jestem? W jakimś hangarze?

Przypomina mi się odprysk z przeszłości — ukłucie w szyję. Coś mi wstrzyknięto. To musi być szalona halucynacja.

Rozlega się skrzek radia.

— Zespół ewakuacyjny, raportuj. Odbiór.

— Mamy Dessena — mówi kobieta z wyraźnym podnieceniem w głosie. — Jesteśmy w drodze. Odbiór.

Piszczą obracające się kółka.

— Zrozumiałem. Wstępna ocena stanu? Odbiór.

Kobieta wyciąga rękę w dół i osłoniętą grubą rękawicą dłonią włącza jakieś urządzenie monitorujące, które mam przyłączone do lewej ręki.

— Puls sto piętnaście. Ciśnienie sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt dwa. Temperatura trzydzieści siedem dwa. Gamma zero osiem siedem. Przewidywany czas przybycia trzydzieści sekund. Bez odbioru.

Z zadumy wyrywa mnie brzęczenie.

Przejeżdżamy przez powoli otwierające się wrota, przypominające wejście do skarbcza.

Boże drogi...

Spokojnie. To nie dzieje się naprawdę.

Kółka puszczą bardziej natarczywie, obracają się szybciej.

Jesteśmy na korytarzu wyłożonym plastikiem, światło jarzeniówek na suficie jest tak jaskrawe, że muszę zmrużyć oczy.

Wrota za nami zatraskują się ze złowrogim metalicznym trzaśnięciem, jakby nas od czegoś odcinały.

Wwożą mnie do sali operacyjnej i pchają w stronę potężnej postaci w kombinezonie nadciśnieniowym, stojącej pod grupą lamp, jakich używa się na salach chirurgicznych.

Uśmiecha się do mnie zza szyby maski, jakby mnie znał.

— Witaj z powrotem, Jasonie. Gratulacje. Udało ci się.

Z powrotem?

Widzę jedynie jego oczy, ale nie kojarzą mi się z nikim, kogo kiedykolwiek spotkałem.

— Odczuwasz jakiś ból? — pyta mężczyzna.

Kręcę głową.

— Wiesz, skąd masz rany cięte i siniaki na twarzy?

Kręcę głową.

— Wiesz, kim jesteś?

Potwierdzam skinieniem głowy.

— Wiesz, gdzie jesteś?

Kręcę głową.

— Poznajesz mnie?

Jeszcze raz kręcę głową.

— Jestem Leighton Vance, dyrektor generalny i naczelny lekarz. Jesteśmy kolegami i przyjaciółmi. — Unosi w górę chirurgiczne nożyczki. — Muszę zdjąć z ciebie ubranie.

Zdejmuje urządzenie monitorujące i zabiera się za moje dzinsy i bokserki. Jedno po drugim łąduje na metalowej tacy. Gdy rozcina mi koszulę, spoglądam w kierunku jasnych jak cholera lamp, które mnie oświetlają, i tłumię narastającą panikę.

Jestem nagi i przywiązany do noszy.

Nie, powtarzam w myśli: to halucynacje, że jestem nagi i przywiązany do noszy. Ponieważ nic z tego nie jest rzeczywiste.

Leighton bierze do ręki tacę z moimi butami i ubraniami i podaje ją komuś, kto stoi za moją głową, poza polem widzenia.

— Sprawdźcie wszystko.

Rozlegają się odgłosy kroków wychodzącej szybko osoby.

Rejestruję ostry zapach alkoholu izopropylowego na sekundę, zanim Leighton przeciera mi wacikiem skórę na przedramieniu.

Zawiązuje mi nad łokciem opaskę uciskową.

— Pobiorę tylko trochę krwi — mówi i bierze z tacy z instrumentami dużą igłę.

Jest dobry. Nawet nie czuję wkłucia.

Zrobiwszy swoje, przetacza nosze w głąb sali operacyjnej, gdzie znajdują się szklane drzwi z panelem dotykowym w ścianie.

— Chciałbym ci powiedzieć, że to przyjemna część — mówi. — Chyba dobrze, że jesteś zbyt zdezorientowany, aby pamiętać, co teraz nastąpi.

Próbuję zapytać, ale słowa jeszcze mi się wymykają. Palce Leightona poruszają się po klawiaturze dotykowej, drzwi się rozsuwają i wpycha mnie do komory, w której poza noszami nic by się nie zmieściło.

— Półtorej minuty — mówi. — Nic ci nie będzie. Jeszcze nigdy nie zabiłem badanego obiektu.

Rozlega się pneumatyczny syk i drzwi się zasuwiają.

Wbudowane w sufit lampy emanują chłodnym błękitem.

Wykręcam szyję.

Ściany po obu stronach są pokryte skomplikowanym wzorem otworów.

Z sufitu spływa drobna, przechłodzona mgiełka, pokrywając mnie od stóp do głów.

Moje ciało sztywnieje — lodowate kropelki zamarzają na skórze w twarde perełki.

Wzdrygam się i niemal równocześnie ściany zaczynają buczeć.

Z otworów w ścianach zaczyna kapać biała para, czemu towarzyszy coraz głośniejszy syk.

Para leci strumieniami.

Wystrzeliwuje z otworków pod ciśnieniem.

Strumienie zderzają się nad noszami i wypełniają komorę gęstą mgłą, która pochłania światło z sufitu. W miejscach, gdzie dotyka ona mojej skóry, zamrożone perełki eksplodują i wyparowują.

Wentylatory przełączają się na ssanie.

W ciągu pięciu sekund gaz zostaje odessany, pozostawiając charakterystyczny zapach, jaki unosi się w powietrzu letniego popołudnia tuż przed burzą: błyskawic i ozonu.

Mieszanka gazu i przechłodzonych perełek na mojej skórze zamieniła się w syczącą pianę, która piecze jak kwas.

Jęczę i szarpie się w pasach, zastanawiając się, jak długo to jeszcze ma trwać. Mam wysoki próg odczuwania bólu, to jednak jest na granicy — skończy się albo mnie zabije.

Myśli przelatują z prędkością światła.

Istnieje narkotyk, który mógłby wywołać coś podobnego? Wytwarzać halucynacje i ból na takim poziomie przerażającej wyrazistości?

To jest zbyt intensywne, zbyt rzeczywiste.

A jeżeli dzieje się naprawdę?

Czy to mogą być wygłupy CIA? Trafiłem do tajnej kliniki, gdzie prowadzi się eksperymenty na ludziach? Zostałem porwany?

Z sufitu, z mocą jak ze strażackiego węża, tryska wspaniała, ciepła woda, usuwając niszczycielską pianę.

Gdy przestaje lecieć, z otworów w ścianie z rykiem wystrzeliwuje gorące powietrze, owiewając moje ciało niczym pustynny wiatr.

Ból znika.

Jestem w podwyższonym stanie czuwania.

Drzwi za mną otwierają się i nosze wyjeżdżają na zewnątrz.
Leighton uważnie mi się przygląda.

— Nie było aż tak tragicznie, prawda?

Jedziemy przez salę operacyjną do znajdującej się obok sali chorych, gdzie rozluźnia mi więzy na kostkach i nadgarstkach.

Dłonią w rękawiczce podciąga mnie na noszach. Kręci mi się w głowie, wszystko wokół wiruje, dopiero po chwili świat wraca do normy.

Obserwuje mnie.

— Lepiej?

Kiwam głową.

W sali stoją komoda i łóżko ze stosikiem starannie złożonej odzieży. Ściany są tapicerowane. Nie ma ostrych krawędzi. Gdy zsuwam się ku krawędzi noszy, Leighton ujmuje mnie nad łokciem i pomaga wstać.

Nogi mam jak z gumy, kompletnie do niczego.

Podprowadza mnie do łóżka.

— Zostawię cię, żebyś się ubrał, i wrócę, gdy przyjdą twoje wyniki z laboratorium. To długo nie potrwa. Mogę na minutę wyjść?

Wreszcie odnajduję głos.

— Nie rozumiem, co się dzieje. Nie mam pojęcia, gdzie...

— Dezorientacja minie. Będę cię dokładnie monitorował.

Pomożemy ci przez to przejść.

Wyjeżdża noszami w kierunku drzwi, zatrzymuje się jednak w progu i spogląda na mnie przez wizjer.

— Naprawdę bardzo dobrze znów cię widzieć, brachu. Czuję się jak w kontroli misji, gdy wracał „Apollo 13”. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Drzwi zamykają się za nim.

Trzy rygle wskakują w gniazda z dźwiękiem niczym potrójny wystrzał.

Wstaję z łóżka i podchodzę na niepewnych nogach do komody.

Jestem tak słaby, że ubranie się zajmuje mi kilka minut. Dobre spodnie, koszula z lnu, bez paska.

Znad drzwi obserwuje mnie kamera.

Wracam do łóżka, siadam w tym sterylnym, bezgłośnym pomieszczeniu i próbuję przywołać ostatnie konkretne wspomnienia. Sama próba jest jak tonięcie trzy metry od brzegu. Na suchym lądzie leżą fragmenty wspomnień i choć je widzę, i niemal mogę ich dotknąć, płuca wypełniają mi się wodą. Nie mogę utrzymać głowy nad powierzchnią. Im bardziej się staram poskładać fragmenty, tym więcej tracę energii i tym wścieklej młócę wokół, panikuję.

Wszystko, czym dysponuję w tym białym, wyściełanym pomieszczeniu, to...

Thelonious Monk.

Aromat czerwonego wina.

Stoję w kuchni i siekam cebulę.

Nastolatek rysuje.

Chwileczkę.

Nie: nastolatek.

MÓJ nastolatek.

Mój syn.

Nie: kuchnia.

MOJA kuchnia.

Mój dom.

To był rodzinny wieczór. Gotowaliśmy we dwoje. Widzę uśmiech Danieli. Słyszę jej głos i dźwięki jazzu. Czuję zapach cebuli, kwaśną słodycz wina w jej oddechu. Jej szkliste oczy. Cóż za bezpieczne i doskonale miejsce — nasza kuchnia w rodzinny wieczór.

Nie zostałem jednak. Z jakiegoś powodu wyszedłem. Dlaczego?

Zaraz to będę miał, jestem na granicy przypomnienia sobie...

Rygle cofają się, strzelając jak karabin maszynowy i drzwi do sali stają otworem. Leighton zamienił kombinezon na klasyczny laboratoryjny kitel i stoi w progu, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby ledwo mógł się powstrzymać przed ujawnieniem czegoś ekscytującego. Widać teraz, że jest mniej więcej w moim wieku, urodę ma jak chłopak ze szkoły z internatem, a na podbródku popołudniowy cień kogoś na tyle konserwatywnego, że nie goli się dwa razy dziennie.

— Dobrze wieści — zagaja. — Niczego nie ma.

— Czyli konkretnie czego?

— Śladów napromieniowania, kontaktu z zagrożeniami biologicznymi, chorób zakaźnych. Pełne wyniki badania krwi będą rano, ale jesteś zwolniony z kwarantanny. Aha — i mam to dla ciebie.

Podaje mi zapinaną na plastikowy suwak torbę, w której są klucze i spięte klipssem banknoty.

Na kawałku przyklejonej do torby taśmy samoprzylepnej napisano czarnym flamastrem JASON DESSEN.

— Możemy? — pyta Leighton. — Wszyscy czekają na ciebie.

Wsuwam do kieszeni to, co jest najwyraźniej moją osobistą własnością i idę za Leightonem przez salę operacyjną.

W korytarzu kilku robotników ściąga plastikową wykładzinę ze ścian.

Na mój widok zaczynają klaskać.

— Dajesz, Dessen! — krzyczy znajdująca się w grupie kobieta. Gdy się zbliżamy, szklane drzwi posłusznie się otwierają.

Wracają mi siły i zmysł równowagi.

Leighton prowadzi mnie na klatkę schodową i zaczynamy iść w górę. Metalowe stopnie dźwięczą pod naszymi stopami.

— Wszystko gra? — pyta Leighton.

— W porządku. Dokąd idziemy?

— Na raport.

— Ale ja nawet...

— Zachowaj lepiej swoje myśli na rozmowę. No wiesz — protokół i takie gówna.

Dwa podesty wyżej Leighton otwiera grube na trzy centymetry szklane drzwi. Wchodzimy do kolejnego korytarza, którego jedną ścianę zajmują biegnące od podłogi do sufitu okna. Otwiera się za nimi widok na hangar, który korytarze zdają się otaczać — w sumie na czterech poziomach — jak atrium.

Ruszam w kierunku okien, aby lepiej się we wszystkim zorientować, ale Leighton prowadzi mnie w kierunku kolejnych drzwi, z lewej strony, i wpycha mnie do słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym za stołem, jakby oczekując na moje przybycie, stoi kobieta w czarnym kostiumie ze spodniami.

— Cześć, Jasonie — wita się.

— Cześć.

Gdy Leighton ponownie zapina mi wokół lewego ramienia urządzenie monitorujące, kobieta przez chwilę przygląda się mojemu zdziwionemu spojrzeniu.

— Nie masz nic przeciwko? — pyta Leighton. — Będę się lepiej czuł, mając trochę dłużej oko na twoje parametry. Niedługo będziemy mieli najgorsze za sobą.

Leighton delikatnie kładzie dłoń na dole moich pleców i zmusza mnie do przejścia ostatnich kilku kroków.

Drzwi zamykają się za nami.

Kobieta ma czterdzieści kilka lat i krótkie, ciemne włosy z grzywką, która kończy się tuż nad frapującymi oczami, które są jakimś sposobem równocześnie łagodne i przenikliwe.

Światło jest miękkie i niezagrażające, jak w kinie tuż przed rozpoczęciem filmu.

Obok niedużego stolika stoją dwa nietapicerowane krzesła z prostymi oparciami, na blacie laptop, dzbanek z wodą, dwie szklanki, stalowa karafka i parujący kubek, wypełniający pomieszczenie aromatem dobrej kawy.

Ściany i sufit są zrobione z dymionego szkła.

— Jasonie, jeśli zechcesz usiąść, będziemy mogli zacząć.

Waham się pięć długich sekund, rozważając odwrócenie się na pięcie i wyjście bez słowa, coś mówi mi jednak, że byłby to zły, wręcz katastrofalny pomysł.

Siadam na krześle, sięgam po dzbanek i nalewam sobie szklankę wody.

— Jeśli jesteś głodny, możemy kazać przynieść jedzenie — mówi kobieta.

— Nie, dziękuję.

W końcu siada naprzeciwko mnie, podnosi okulary na nosie i pisze coś na komputerze.

— Jest... — patrzy na zegarek — ..godzina dwunasta zero siedem, drugiego października. Nazywam się Amanda Lucas, numer identyfikacyjny pracownika dziewięć-pięć-sześć-siedem i jest dziś ze mną... — wskazuje gestem w moją stronę.

— Hm... Jason Dessen.

— Dziękuję, Jasonie. W celu wyjaśnienia okoliczności towarzyszących oraz w celach dokumentacyjnych: pierwszego października, około godziny dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dziewięć, technik Chad Hodge w trakcie rutynowej kontroli terenu wewnętrznego zauważył doktora Dessena, leżącego bez świadomości na podłodze hangaru. Uruchomiono zespół wydobywczy i doktor Dessen o godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia cztery został zabrany do kwarantanny. Po dekontaminacji i wyrażeniu na podstawie wstępnych badań laboratoryjnych zgody przez doktora Leightona Vance'a doktor Dessen został przyprowadzony do sali konferencyjnej na subpoziomie drugim, gdzie rozpoczyna się nasza pierwsza sesja debriefingu.

Spogląda na mnie uśmiechnięta.

— Jasonie, jesteśmy zachwyceni, że mamy cię z powrotem. Godzina jest późna, ale większość członków zespołu przybyła z miasta z tej okazji. Jak pewnie się domyśliłeś, wszyscy przyglądają się zza szyb.

Dookoła wybucha aplauz, któremu towarzyszą radosne okrzyki, kilka osób woła moje imię.

Światło rozjaśnia się na tyle, abym mógł widzieć przez ściany. Oszklony sześcian otaczają amfiteatralnie ustawione fotele. Wokół stoi piętnaście, może dwadzieścia osób, większość się uśmiecha, niektórzy nawet ocierają oczy, jakbym wrócił z bohaterskiej misji.

Dwóch ludzi jest uzbrojonych, rękojeści ich pistoletów migoczą w świetle lamp.

Nie uśmiechają się ani nie klaszczą.

Amanda odsuwa krzesło, wstaje i dołącza do aplauzu.

Też wygląda na głęboko wzruszoną.

Po głowie krąży mi jedna myśl: „Co, do cholery, mi się przydarzyło?”.

Gdy aplauz cichnie, Amanda siada na krześle.

— Wybacz nam entuzjazm, ale jak na razie jesteś jedyną osobą, która wróciła — wyjaśnia.

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Mam ochotę powiedzieć to głośno, ale podejrzewam, że nie powinienem tego robić.

Światła ponownie się przyciemniają.

Ściskam w dłoniach szklanę z wodą niczym linę ratunkową.

— Wiesz, na jak długo zniknąłeś? — pyta Amanda.

Gdzie zniknąłem?

- Nie.

— Na czternaście miesięcy.

Jezu...

— To dla ciebie szok?

— Można tak powiedzieć.

— No cóż, siedzenie jak na szpilkach, wstrzymany oddech i tyłki na skraju foteli. Czekaliśmy ponad rok, aby zadać te pytania: Co widziałeś? Gdzie trafiłeś? Jak wróciłeś? Opowiedz nam o wszystkim i zacznij, proszę, od początku.

Biorę łyk wody i wpijam się w ostatnie wyraźne wspomnienie jak w kruszącą się krawędź przepaści, z której zwisam: wyjście z domu w rodzinny wieczór.

I wtedy...

Szedłem chodnikiem w chłodną jesienną noc. Słyszałem dolatujące ze wszystkich barów odgłosy meczu Cubsów.

Dokąd?

Dokąd szedłem?

— Nie spiesz się, Jasonie. Nie ma presji.

Ryan Holder.

Szedłem się z nim spotkać.

Poszedłem do Village Tap i wypilem drinka — dla dokładności dwa drinki ze światowej klasy whisky — z moim dawnym kumplem z pokoju, Ryanem Holderem.

Czy jest on jakoś odpowiedzialny za to, co się dzieje?

Znowu zadaję sobie pytanie, czy to się dzieje naprawdę?

Unoszę szklanę z wodą. Wygląda w najdrobniejszym szczególe realistycznie, łącznie ze skraplającą się na ściankach rosą i zimną wilgocią na moich palcach.

Patrzę Amandzie w oczy.

Sprawdzam ściany.

Nie roztapiają się.

Jeżeli to wywołana narkotykami jazda, nie przypomina niczego, o

czym kiedykolwiek słyshałem. Żadnych wzrokowych ani słuchowych zniekształceń. Żadnej euforii. Nie chodzi o to, że to miejsce sprawia wrażenie nierealnego, lecz o to, że nie powinno istnieć. Jest tak, jakby moja obecność w tym miejscu była kłamstwem. Nie wiem, co to oznacza, czuję tak jednak w głębi duszy.

Nie, to nie jest halucynacja. To całkowicie inne zjawisko.

— Spróbujmy może inaczej — mówi Amanda. — Co ostatniego pamiętasz, zanim obudziłeś się w hangarze?

— Byłem w barze.

— Co tam robiłeś?

— Spotkałem się ze starym przyjacielem.

— A gdzie był ten bar?

— Przy Logan Square.

— Więc byłeś w Chicago.

— Uhm.

— W porządku, mógłbyś opisać...

Głos Amandy cichnie.

Widzę kolejkę metropolitalną.

Jest ciemno.

Cicho.

Zbyt cicho jak na Chicago.

Ktoś nadchodzi.

Ktoś, kto chce mi zrobić krzywdę.

Serce zaczyna mi walić.

Pocą mi się dłonie.

Odstawiam szklankę na stół.

— Jasonie, Leighton mówi mi, że twoje parametry zaczynają przekraczać normę.

Jej głos wraca, jest jednak w dalszym ciągu oddalony o ocean.

To jakaś sztuczka?

Jestem obiektem manipulacji?

Nie, nie pytaj jej o to. Nie wypowiadaj tych słów. Bądź tym, za kogo cię biorą. Ci ludzie są chłodni, spokojni, dwóch ma broń.

Cokolwiek chcą od ciebie usłyszeć — powiedz to. Ponieważ jeżeli zauważą, że nie jesteś osobą, za którą cię biorą... to co wtedy?

Może wtedy nigdy stąd nie wyjdiesz.

Zaczyna mi pulsować w głowie. Unoszę dłoń i gdy dotykam potylicy, czuję zgrubienie tak wrażliwe na dotyk, aż wyrywa mi się jęk.

— Jasonie?

Ktoś mnie zranił?

Ktoś mnie napadł? A jeśli zostałem tu sprowadzony? Jeżeli ci Judzie — niezależnie od tego, jak miło wyglądają — są w zмовie z tym, kto mi to zrobił?

Dotykam skroni i czuję ślad po drugim uderzeniu.

— Jasonie...

Widzę maskę gejszy.

Jestem nagi i bezradny.

— Jasonie...

Jeszcze kilka godzin temu byłem w domu i szykowałem kolację.

Nie jestem człowiekiem, za którego mnie biorą. Co się stanie, gdy się tego domyślą?

— Leightonie, mógłbyś do nas zejść?

Niedobrze.

Nie powinno mnie być w tym pokoju.

Muszę uciec od tych ludzi.

Muszę się zastanowić.

— Amando... — Zmuszam się do powrotu do tu i teraz, do wyrzucenia z głowy pytań i strachu, ale równie bezskutecznie mógłbym próbować dobić do rozmywającego się brzegu. Nie da się o niego zahaczyć. Nie da oparcia. — To dość żenujące, ale jestem kompletnie wykończony i, szczerze mówiąc, dekontaminacja też nie była miła.

— Chcesz minutę przerwy?

— Nie miałabyś nic przeciwko temu? Potrzebuję kilku chwil, żeby przejaśniło mi się w głowie. — Wskazuję na laptop. — No i chciałbym dla niego brzmieć jako tako inteligentnie.

— Oczywiście. — Amanda wpisuje coś do komputera. — Nagranie przerwane.

Wstaję.

— Mogę cię zaprowadzić do prywatnego pokoju...

— Nie ma konieczności.

Otwieram drzwi i wychodzę na korytarz.

Na zewnątrz czeka Leighton Vance.

— Jasonie, chciałbym, abyś się położył. Twoje parametry idą w złym kierunku.

Zrywam urządzenie z ramienia i podaję mu je.

— Dzięki za troskę, ale tak naprawdę potrzeba mi jedynie kabiny w toalecie.

— Och. Oczywiście. Zaprowadzę cię.

Idziemy korytarzem.

Pcha ramieniem ciężkie szklane drzwi i wchodzimy znowu na klatkę schodową, w tej chwili pustą. Słysząc jedynie wentylację, przepompowującą gorące powietrze przez pobliski wylot. Chwytam za balustradę i wychylam się nad otwartą przestrzenią.

Dwa piętra w dół, dwa w górę.

Jak wyraziła się Amanda na początku sesji? Że jesteśmy na subpoziomie drugim? Czy to oznacza, że wszystko znajduje się pod ziemią?

— Jasonie? Idziesz?

Ruszam za Leightonem i wspinam się, walcząc ze słabością nóg, z bólem głowy.

Tablica na szczycie schodów, umieszczona obok opancerzonych stalowych drzwi, informuje: ZIEMIA. Leighton przebiega palcami po klawiaturze i otwiera przede mną drzwi.

W poprzek ściany naprzeciwko znajduje się wykonany drukowanymi literami napis: VELOCITY LABORATORIES.

Z lewej: szereg wind.

Z prawej: punkt kontrolny z wyglądającym na twardziela strażnikiem, stojącym między wykrywaczem metalu a kołowrotkiem, za którym znajduje się wyjście.

Strażnik wydaje się kierować wzrok na zewnątrz, jakby jego zadaniem nie było powstrzymywanie ludzi przed wyjściem, lecz niedopuszczenie, aby ktoś wszedł.

Leighton prowadzi mnie obok wind i dalej korytarzem do podwójnych drzwi na końcu, które otwiera kartą.

Gdy wchodzimy, zapala światło i ukazuje się elegancki gabinet,

którego ściany ozdobiono lotniczymi zdjęciami komercyjnych samolotów, wojskowych odrzutowców naddźwiękowych oraz napędzających je silników.

Moją uwagę przyciąga stojące na biurku zdjęcie w ramce: starszy mężczyzna obejmuje ramionami chłopca, bardzo podobnego do Leightona. Stoją w hangarze przed wielkim silnikiem turbowentylatorowym, znajdującym się w fazie montażu.

— Pomyślałem sobie, że poczujesz się bardziej komfortowo w mojej prywatnej toalecie. — Leighton wskazuje na drzwi w głębi. — Zaraz przyjdę — dodaje, siada na skraju biurka i wyciąga z kieszeni telefon.

— Wołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Łazienka jest zimna i nieskazitelna.

Sedes, pisuar, kabina prysznicowa, na tylnej ścianie małe okienko. Siadam na sedesie.

Klatkę piersiową mam tak ciężką, że ledwie oddycham.

Czekali na mój powrót czternaście miesięcy. Nie ma mowy, aby pozwolili mi opuścić budynek. Nie dzisiejszej nocy. Biorąc pod uwagę to, że nie jestem człowiekiem, za którego mnie uważają, może znacznie dłużej.

Chyba że to jakiś wymyślny test albo gra.

— U ciebie wszystko w porządku? — przebija się przez drzwi głos Leightona.

— Wszystko gra.

— Nie mam pojęcia, co w środku widziałeś, ale chcę, abyś wiedział, brachu, że jestem tu dla ciebie. Jeśli zaczniesz świrować, musisz mi powiedzieć, abym mógł ci pomóc.

Wstaję.

— Obserwowałem cię i muszę przyznać, że nie wyglądałeś, jakbyś był sobą.

Czy gdybym musiał wracać z nim do holu, byłbym w stanie się wyrwać, przecisnąć obok ochrony? Przywołuję w myśli obraz stojącego przy wykrywaczu metalu potężnego strażnika. Prawdopodobnie nie udałoby mi się.

— Wydaje mi się, że fizycznie wracasz do formy, ale niepokoję

się o twój stan psychiczny.

Aby sięgnąć do okienka, muszę stanąć na krawędzi pisuaru.
Wydaje się, że jest zamknięte za pomocą dźwigni po obu stronach.

Ma nie więcej niż sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów i nie jestem pewien, czy się w nie zmieszczę.

Głos Leightona odbija się echem w łazience, gdy wracam w kierunku umywalki, słowa robią się znowu wyraźne.

— ...najgorsze to próbować poradzić sobie z tym samemu.

Bądźmy

szczerzy, należysz do tych, którzy uważają, że są wystarczająco silni, aby przebić się przez wszystko.

Podchodzę do drzwi.

Jest w nich zasuwa.

Drżącymi palcami powoli obracam blokadę.

— Ale bez względu na to, co czujesz — jego głos jest oddalony jedynie o kilka centymetrów — chcę, abyś się tym ze mną dzielił i jeżeli będziemy musieli przesunąć debriefing na jutro albo nawet na następny...

Milknie, gdy zasuwa blokuje się z cichym trzaskiem.

Przez chwilę nic się nie dzieje.

Ostrożnie cofam się o krok.

Drzwi leciutko drgają, po sekundzie zaczynają gwałtownie drgać we framudze.

— Jasonie... Jason! — woła Leighton, po czym dodaje: — Potrzebuję natychmiast grupę ochrony w moim gabinecie. Dessen zamknął się w łazience.

Drzwi dygoczą, gdy Leighton uderza w nie całym ciałem, ale rygiel trzyma.

Podbiegam do okna, wspinam się na pisuar i przestawiam dźwignie po obu stronach okienka.

Leighton krzyczy do kogoś, i choć nie jestem w stanie dosłyszeć szczegółów, wydaje mi się, że zza drzwi dolatuje odgłos kroków.

Okienko się otwiera.

Do środka wpływa nocne powietrze.

Nawet stojąc na pisuarze, nie mam pewności, czy uda mi się dostać na górę.

Odbijam się od krawędzi, wyciągam ciało w kierunku otworu, udaje mi się jednak włożyć tylko jedno ramię.

Coś wali z potężną siłą o drzwi łazienki, moje buty drapią o gładką ścianę. Zero oparcia.

Spadam na podłogę, wspinam się ponownie na pisuar.

— Pospiesz się! — wrzeszczy Leighton.

Skaczę ponownie i tym razem udaje mi się zahaczyć oba ramiona o krawędź. Chwył to żaden, ale wystarczy, aby nie spaść.

Przeciskam się, równocześnie drzwi za moimi plecami wypadają z hukiem z zawiasów.

Leighton wrzeszczy moje imię.

Przez pół sekundy kotłuję się w ciemności.

Ląduję na pysk na asfalcie.

Wstaję, zdezorientowany, oszołomiony, dzwoni mi w uszach, po policzku spływa krew.

Jestem na zewnątrz, w ciemnej uliczce między dwoma budynkami.

W okienku pojawia się głowa Leightona.

— Jasonie, nie rób tego. Pozwól sobie pomóc.

Odwracam się i ruszam biegiem. Nie zastanawiam się dokąd, najważniejsze to dotrzeć do końca zaułka.

Udaje mi się tego dokonać.

Zbiegam po ceglanych schodach.

Jestem w parku biurowego kompleksu.

Nijakie, niskie budynki gromadzą się wokół smutnego małego stawu z oświetloną fontanną.

Biorąc pod uwagę porę, nic dziwnego, że nikogo nie ma.

Pędem mijam ławki, poprzycinane krzewy, altanę, znak ze strzałką i napisem: DO ŚCIEŻKI SPACEROWEJ.

Szybki rzut okiem przez ramię: budynek, z którego właśnie uciekłem, to byle jaki, nie wart zapamiętania, czteropiętrowy przykład architektonicznej miernoty, z którego niczym z kopniętego gniazda szerszeni wypadają ludzie.

Na wysokości krańca stawu opuszczam chodnik i idę dalej żwirową ścieżką.

Pot kłuje mnie w oczy, płuca płoną, ale nie przestaję machać

ramionami i stawiać nogę przed nogą.

Z każdym krokiem światła parku zostają coraz dalej z tyłu.

Przede mną nie ma nic poza zapraszającą ciemnością i prę w jej kierunku, wkraczam w nią, jakby od tego zależało moje życie.

W twarz chlasta mnie dziwny, ożywczy wiatr i zaczynam się zastanawiać, dokąd idę, bo chyba w oddali powinno być jakieś światło? Choćby drobna kropka. Dalej jednak biegnę w czarną otchłań.

Słyszę szum fal.

Docieram do plaży.

Nie ma księżycy, ale gwiazdy są wystarczająco jasne, aby dać wyobrażenie, jak skotłowana jest powierzchnia jeziora Michigan.

Odwracam się i patrzę w kierunku parku, skąd przybyłem. Wychwytyuję niesione wiatrem i zarazem rwące się na nim głosy. Ciemność przecina kilka promieni latarek.

Skręcam na północ i zaczynam biec. Czuję pod stopami wypolerowane przez fale skały. Daleko, wiele kilometrów stąd, majaczy niewyraźny, nocny poblask centrum, gdzie drapacze chmur dochodzą do samej wody.

Odwracam się znowu. Niektóre światła latarek kierują się na południe, niektóre na północ.

Skracają dystans.

Oddalam się od linii brzegu, przecinam ścieżkę rowerową i kieruję ku ciągowi krzewów.

Głosy są bliżej.

Ciekawe, czy jest wystarczająco ciemno, abym pozostał niewidoczny.

Zatrzymuje mnie metrowej wysokości mur ochronny. Zaczynam się wspinać na czworaka po betonie, raniąc sobie boleśnie piszczele. Na górze nie prostuję się, dalej na czworaka przepelzam przez żywopłot, walcząc z gałęziami chwytającymi mnie za koszulę i twarz, próbującymi wbić mi się w oczy.

Po wyjściu z krzaków okazuje się, że jestem na drodze, biegnącej równoległe do brzegu.

Od strony parku dolatuje warkot silnika.

Trafiają mnie snopy światła reflektorów, przez chwilę jestem

oślepiiony.

Przecinam drogę, przeskakuję rozpięty między słupkami łańcuch i jestem na czyimś podwórzu. Biegnę, mijając przewrócone rowerki i zapomniane deskorolki, sunę przy ścianie, podczas gdy znajdujący się w środku pies dostaje apopleksji, w chwili, gdy skręcam za dom, zapalają się światła, mijam kolejne podwórze i przeskakuję kolejny plotek, wpadam na puste boisko baseballowe, zastanawiając się cały czas, jak długo jeszcze pociągnę.

Odpowiedź nadchodzi zaskakująco szybko.

Na skraju boiska padam. Pot mnie zalewa, każdy mięsień protestuje w bólu.

W oddali cały czas wariuje pies, ale od strony jeziora nie ma świateł latarek ani głosów.

Nie wiem, jak długo leżę i zanim jestem w stanie chwycić powietrze bez dyszenia, zdają się mijać godziny.

W końcu udaje mi się usiąść.

Noc jest chłodna, a płynąca od jeziora bryza przeciska się przez okoliczne drzewa, zdmuchując na boisko burzę jesiennych liści.

Z trudem, ale wstaję, spragniony i zmęczony. Próbuję przetworzyć w głowie ostatnie cztery godziny mojego życia, nie mam jednak w tej chwili mentalnego potencjału, by mogło mi się udać.

Wybiegam truchtem z boiska i znajduję się w robotniczej okolicy South Side.

Ulice są puste.

Mijam kolejne kwartały spokojnych, cichych domów.

Idę półtora kilometra, może nieco więcej i zatrzymuję się pośrodku pustego skrzyżowania dzielnicy biznesowej, gdzie gapię się tępo w światła migające nad głową przyspieszonym, nocnym rytmem.

Główna ulica ciągnie się jeszcze dwa kwartały, pomijając jednak wyglądający jak kibel bar po drugiej stronie ulicy z palącymi się w oknach brzydkimi neonami reklamującymi piwo, nie ma śladu życia. Gdy w chmurze dymu i przesadnie głośnej rozmowy wytaczają się na zewnątrz późni klienci, w oddali pojawiają się światła pierwszego od dwudziestu minut samochodu.

Taksówka z zapalonym znakiem, że kierowca już zjeżdża.

Wychodzę na środek skrzyżowania i staję pod ulicznym światłem, machając ramionami. Taksówka zwalnia i próbuje mnie objechać, ruszam jednak w bok, biorę kurs kolizyjny na zderzak, zmuszając kierowcę do zatrzymania się.

Opuszcza szybę, wściekły jak osa.

— Co pan, co cholery, wyprawia?

— Musi mnie pan gdzieś podwieźć.

Kierowca jest Somalijszym, wąską jak brzytwa twarz ma obrzuconą kępkami brody i wpatruje się we mnie zza olbrzymich okularów z grubymi szklami.

— Jest druga w nocy — mówi. — Skończyłem na dziś. Żadnej więcej pracy.

— Proszę.

— Nie umiesz pan czytać? Popatrz pan na znak. — Klepie dłonią w dach.

— Muszę się dostać do domu.

Szyba zaczyna się podnosić.

Sięgam do kieszeni i wyciągam torebkę z moimi rzeczami, rozrywam ją i pokazuję kierowcy plik pieniędzy.

— Zapłacę więcej niż...

— Złaż mi z drogi.

— Zapłacę podwójnie.

Krawędź szyby zatrzymuje się piętnaście centymetrów od góry otworu.

— Gotówką.

— Gotówką.

Przerzucam szybko banknoty. Kurs do North Side to pewnie jakieś 75 dolarów, a obiecałem podwójną stawkę.

— Jak mamy jechać, to wsiadaj pan! — krzyczy kierowca.

Kilku klientów baru zauważyło, że na skrzyżowaniu stoi taksówka, i ruszają w naszym kierunku, krzycząc przy tym, żebym trzymał taryfę.

Mam wynik: 332 dolary i trzy przeterminowane karty kredytowe.

Wsiadam i każę się wieźć na Logan Square.

— Ale to czterdzieści kilometrów!

— Płacę podwójnie.

Kierowca wpatruje się we mnie we wstecznym lusterku.

— Gdzie pieniądze?

Wyciągam sto dolarów i podaję mu je na przód.

— Reszta na miejscu.

Łapie chciwie kasę i przyspiesza, by uciec przed pijusami.

Sprawdzam spięte klipsem banknoty. Pod gotówką i kartami kredytowymi jest prawo jazdy wydane w Illinois z moim zdjęciem, którego nigdy nie widziałem, karta na siłownię, w której nigdy nie byłem, i karta ubezpieczeniowa towarzystwa, z którego usług nigdy nie korzystałem.

Taksjarsz raz za razem przygląda mi się w lusterku.

— Miałeś pan kiepską noc — mówi w końcu.

— Na to wygląda.

— Myślałem, że jest pan pijany, ale nie. Masz pan podarte ubranie. Zakrwawioną twarz.

Prawdopodobnie na jego miejscu też bym nie chciał zabrać faceta o wyglądzie bezdomnego i obłąkanego, o drugiej w nocy, ze środka pustego skrzyżowania.

— Masz pan kłopoty.

- No.

— Co się stało?

— Nie jestem do końca pewien.

— Zawiozę pana do szpitala.

— Nie. Chcę jechać do domu.

Jedziemy pustą międzystanową na północ, kontur wieżowców podpełza coraz bliżej i bliżej. Z każdym kilometrem coraz bardziej wracam do stanu, który przynajmniej zewnętrznie przypomina normalność, nawet jeśli jest to jedynie powodowane bliską perspektywą powrotu do domu.

Daniela pomoże mi pojąć, co właściwie się dzieje.

Taksiarz parkuje naprzeciwko mojego domu i płacę mu resztę.

Przebiegam przez ulicę i wbiegam po schodkach, równocześnie wyjmując z kieszeni klucze, które do mnie nie należą. Po dwóch pierwszych próbach znalezienia tego, który pasuje do zamka, uświadamiam sobie, że to nie moje drzwi. Znaczą się, są moje. To moja ulica. Na skrzynce pocztowej jest mój numer domu. Gałka jednak nie jest taka, jak powinna, drewno jest zbyt eleganckie, a zawiasy wykuto z żelaza na imitację gotyckich tworów, które pasowałyby najlepiej do średniowiecznej tawerny.

Przekręcam zasuwę.

Drzwi otwierają się do wewnątrz.

Coś jest nie tak.

Bardzo nie tak.

Przekraczam próg i jestem w jadalni.

Nie pachnie jak w moim domu. W zasadzie w ogóle nie pachnie, nawet kurzem. Jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Światła są pogaszone. Nie kilka — wszystkie.

Zamykam drzwi za sobą i zaczynam macać za plecami, aż muskam włącznik. Kandelabr zrobiony z jelenich rogów rozjaśnia pokój małą kulką ciepłego światła, wydobywając z cienia minimalistyczny szklany stolik, który nie należy do mnie oraz nienależące do mnie krzesła.

— Halo?! — wołam.

Dom jest tak cichy...

Milczy odrażająco.

W moim domu na gzymsie kominka, obok którego stoi stół,

ustawiliśmy dużą, niepozowaną fotografię Daniela, Charliego i mnie, stojących w Inspiration Point w Parku Narodowym Yellowstone.

W tym domu w tym miejscu stoi mocno kontrastowa, czarno--biała fotografia tego samego kanionu. Znacznie bardziej artystyczna, ale bez ludzi.

Idę do kuchni. Gdy przekraczam próg, czujnik zapala wbudowane w ściany i sufit światła.

Coś wspaniałego.

Drogiego.

Pozbawionego życia.

W moim domu na białej lodówce wisi przyczepione magnesami dzieło Charliego, które stworzył w pierwszej klasie. Za każdym razem, gdy widzę ten twór w stylu kreskowym, uśmiech sam wypływa mi na usta. W tej kuchni na stalowej fasadzie lodówki firmy Gaggenau nie ma nawet jednej plamki.

— Danielo!

Nawet echo mojego głosu brzmi tu inaczej.

— Charlie!

W kuchni jest mało sprzętów, więc echo jest donośniejsze.

W drodze do salonu dostrzegam mój stary gramofon, przykucnięty obok najnowszej generacji systemu dźwiękowego i moją bibliotekę jazzowych winyli, pieczołowicie poustawianą w alfabetycznej kolejności na eleganckich, robionych na zamówienie, półkach.

Wchodzę na piętro.

Korytarz jest ciemny, nie ma włącznika tam, gdzie powinien być, ale to nieważne. Sporo światel reaguje na ruch, więc nad głową zapalają mi się kolejne, wbudowane w ściany i sufit żarówki.

Nic jest to podłoga z mojego twardego drewna. Jest ładniejsza, deski są szersze i nieco bardziej chropowate.

Między łazienką na korytarzu i pokojem gościnnym tryptyk rodzinny z Wisconsin Dells został zastąpiony szkicem Navy Pier. Węgiel na papierze pakowym. Moją uwagę zwraca umieszczony w prawym dolnym rogu podpis autora. Daniela Vargas.

Wchodzę do drugiego pokoju z lewej.

Pokoju mojego syna.

Tyle tylko, że to nie jego pokój. Nie ma ani jednego jego surrealistycznego rysunku. Nie ma łóżka, plakatów mangi, biurka z porzrzuconymi zeszytami, lamp z lawy, rozwalonych po podłodze ubrań.

Zamiast tego jest monitor, stojący na wielkim biurku, zawalonym książkami i stosami luźnych kartek.

Idę w szoku do końca korytarza. Wsuwam w ścianę przesuwane drzwi z mrożonego szkła i wchodzę do głównej sypialni — luksusowej, zimnej i — jak wszystko w tym budynku — nie mojej.

Ściany są ozdobione kolejnymi rysunkami węgłem na papierze pakowym, w takim samym stylu jak ten w korytarzu, centralnym punktem pomieszczenia jest jednak szklana witryna, wbudowana w cokół z akacjowego drewna. Płynące z dołu światło dramatycznie oświetla dokument w tapicerowanej skórzanej teczce, opartej o obciążoną pluszowym welwetem kolumnę. Na kolumnie wisi na cienkim łańcuszku złota moneta z wybitą podobizną Juliana Pavii.

Tekst na dokumencie brzmi:

*Nagroda imienia Pavii zostaje przyznana JASONOWI
ASHLEYOWI DESSENOWI*

za wybitne osiągnięcia z zakresu rozwoju wiedzy

o pochodzeniu, ewolucji oraz właściwościach Wszechświata

oraz wkład w lepsze zrozumienie tegoż,

poprzez umieszczenie makroskopowego obiektu

w stanie superpozycji kwantowej.

Siadam na skraju łóżka.

Nie czuję się dobrze.

Najchętniej bym się wyrzygał.

Dom powinien być moim rajem, miejscem zapewniającym

bezpieczeństwo i spokój w otoczeniu rodziny. A nawet nie jest mój.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Pędzę do łazienki, zdążam jeszcze podnieść sedes i opróżniam żołądek do nieskazitelnej miski.

Pragnienie szarpie mi żołądek.

Odkręcam kran i podkładam usta pod strumień wody.

Ochlapuję twarz.

Wracam do sypialni.

Nie mam pojęcia, gdzie podziałem komórkę, ale na stoliku przy łóżku stoi aparat stacjonarny.

Dzwoniąc do Daniela, nigdy nie wybieram numeru, chwilę zajmuje mi więc przypomnienie go sobie, w końcu jednak wstukuję cyfry.

Cztery dzwonki.

Odzywa się męski głos, basowy i zaspany.

— Halo?

— Gdzie jest Daniela?

— To chyba pomyłka.

Recytuję mu numer komórki Daniela.

— Tak, to numer, pod który pan zadzwonił — odpowiada mężczyzna — ale to mój numer.

— Jak to możliwe?

Rozłącza się.

Dzwonię ponownie i tym razem podnosi po pierwszym dzwonku.

— Jest trzecia w nocy. Nie dzwoń do mnie ponownie, dupku.

Trzecia próba kończy się połączeniem z automatyczną sekretarką.

Nie zostawiam wiadomości.

Wracam do łazienki, aby dobrze się sobie przyjrzeć w lustrze nad umywalką.

Twarz mam posiniaczoną, podrapaną i zakrwawioną, umazaną w błocie. Powinienem się ogolić, oczy mam podbiegłe krwią, ale to bez wątplenia ja.

Fala wycieńczenia trafia mnie jak nokautujący cios w szczękę.

Kolana uginają się pode mną, w ostatniej chwili łapię się blatu przy umywalce.

W tym momencie z parteru dolatuje jakiś odgłos.

Ciche trzaśnięcie drzwi?

Cały się spinam.

Uwaga!

Z powrotem w sypialni, skradam się do wejścia i spoglądam w głąb korytarza.

Ktoś szepce.

Trzeszczy radiotelefon.

Czyjeś kroki wydobywają z desek podłogi głucho trzaski.

Głosy stają się wyraźniejsze, dźwięk odbija się echem od ścian klatki schodowej, wpada w korytarz i rozprzestrzenia się w głąb.

Na ścianach pojawiają się cienie i suną w górę schodów niczym duchy.

Gdy robię ostrożny krok w kierunku korytarza, z klatki dolatuje do mnie męski głos — spokojnego, zrównoważonego Leightona.

— Jasonie?

Pięć kroków i jestem w łazience.

— Nie przyszliśmy, aby zrobić ci krzywdę.

Stąpienia są teraz w korytarzu.

Kroki są powolne, metodyczne.

— Wiem, że jesteś zdezorientowany i trudno ci to wszystko uporządkować. Szkoda, że nic nie powiedziałeś w laboratorium. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ci jest ciężko. Przepraszam, że tego nie dostrzegłem.

Ostrożnie zamykam drzwi i blokuję je.

— Chcemy cię sprowadzić po to, żebyś sobie ani nikomu innemu nie zrobił krzywdy.

Łazienka jest dwa razy większa od mojej, ma kabinę prysznicową ze ścianami z granitu i podwójny stół toaletowy, pokryty marmurem.

Naprzeciwko sedesu znajduję jednak to, czego szukałem: wbudowaną w ścianę dużą półkę, nad którą jest kłapa zsypu do pralni.

— Jasonie...

Zza drzwi łazienki dolatują trzaski z radiotelefonu.

— Jasonie, proszę, porozmawiaj ze mną. — Nieoczekiwanie w jego głosie pojawia się rozpacz wykrwawiającego się człowieka. — Każdy z nas poświęcił życie, pracując na to, co dziś się wydarzyło.

Wyjdź stamtąd! To chore!

Pewnej deszczowej niedzieli, gdy Charlie miał dziewięć albo dziesięć lat, spędziłem popołudnie, udając, że jesteśmy grotolazami i nie pamiętam, ile razy spuszczałem go zsypem do pralni, niczym wejściem do jaskini. Charlie miał nawet plecaczek i własnej roboty czołówkę — przywiązaną do czubka głowy latarkę.

Otwieram klapę i wspinam się na półkę.

— Sprawdźcie łazienkę — mówi Leighton.

Korytarz wypełnia się stukotem kroków.

Otwór zsypu jest mały. Oby nie za mały.

Drzwi łazienki zaczynają dygotać, szarpana gałka drzwi stuka.

— Zamknięta — rozlega się kobiecy głos.

Zaglądam w głąb zsypu.

Kompletna ciemność.

Drzwi łazienki są na tyle mocne, że pierwsza próba wyważenia kończy się jedynie oderwaniem kilku drzazg.

Może się nie zmieszczę, ale gdy druga próba kończy się wyrwaniem zawiasów i drzwi lądują z hukiem na kafelkach, staje się jasne, że nie mam wyboru.

Kilka osób wpada do środka i w lustrze miga mi twarz Leightona Vance'a oraz jednego z „konsultantów do spraw bezpieczeństwa” z laboratorium, który trzyma w ręku coś, co wygląda na taser.

Na pół sekundy spojrzenia moje i Leightona spotykają się w lustrze, człowiek z paralizatorem odwraca się i unosi broń.

Składam ramiona na piersi i skaczę.

Głosy w łazience oddalają się i po chwili wpadam z łoskotem do pustego kontenera, plastik pęka i wypadam poskręcany w supeł między pralkę a suszarkę.

Natychmiast rozlega się tupot na schodach.

W prawej nodze czuję ból, jakby kluto mnie igłą, zbieram się jednak i ruszam w kierunku podwójnych oszklonych drzwi, wychodzących na tyły budynku.

Mosiężne klamki są zaryglowane.

Kroki się zbliżają, głosy robią się coraz wyraźniejsze, radia skrzeczą, wyrzucając z siebie komendy, wykrzykiwane, by przebiły się

przez elektroniczny trzask.

Przekręcam klucz w zamku, otwieram drzwi i wypadam na sekwojowy taras, na którym stoi grill znacznie ładniejszy od mojego i jacuzzi, którego nigdy nie miałem.

Zbiegam schodami na podwórko, mijam ogród różany.

Sprawdzam bramę garażu, ale jest zamknięta.

Mnóstwo ruchu w budynku sprawiło, że pozapalały się wszystkie światła. W środku musi biegać z pięć osób, szukających mnie i wrzeszczących do siebie.

Podwórze jest otoczone dwuipółmetrowym płotem. Gdy otwieram haczyk w furtce, ktoś wypada na taras, krzycząc moje imię.

Zaułek jest pusty i ruszam, nie zastanawiając się ani chwili, w którym kierunku się udać.

Biegnę przed siebie.

Mijając następną ulicę, spoglądam do tyłu. Goni mnie dwóch ludzi.

W oddali ożywa silnik samochodu i rozlega się pisk opon wirujących na asfalcie.

Prawie wszystkie podwórza są chronione wysokimi płotami, ale piąty po prawej, kuty w żelazie, sięga mi jedynie do pasa.

Zza rogu wypada SUV i wjeżdża w alejkę.

Jestem prawie przy niskim płocie.

Nie mając siły, aby go przeskoczyć, wspinam się nieporadnie przez spiczaste końce prętów i zwałam się na ziemię po drugiej stronie. Pełzną przez trawę w kierunku budki obok garażu, której drzwi nie są zabezpieczone kłódką.

Otwierają się, skrzypiąc i wślizguję się do wnętrza praktycznie w tym samym momencie, gdy ktoś wbiega na podwórze.

Zamykam drzwi w nadziei, że wytlumią moje dyszenie.

Nie mogę złapać oddechu.

W środku jest kompletnie ciemno, śmierdzi benzyną i gnijącą trawą. Każdy łyk powietrza przyciska mi klatkę piersiową do drzwi.

Z brody kapie mi pot.

Ściągam z twarzy pajęczynę.

Macam w ciemności dłońią po ścianach ze sklejki, muskając palcami narzędzia: nożyce, piłę, grabie, ostrze siekiery.

Zdejmuję siekierę ze ściany i chwytam trzonek, przeciągając przedtem palcem po ostrzu. Nic nie widzę, ale sprawia wrażenie, że niebyła ostrzona od wieków — ostrza praktycznie nie ma, są jedynie duże zagłębienia.

Mrugam, aby pozbyć się potu z oczu, i ostrożnie uchylam drzwi na dwa centymetry.

Cisza.

Popycham drzwi dalej, aż mogę wyrzeć na zewnątrz.

Podwórze jest puste.

Zza paska ciszy i spokoju, jaki mam przed sobą, szepcze do mnie brzytwa Ockhama: bytów nie należy mnożyć bez konieczności, prawidłowe jest zazwyczaj najprostsze rozwiązanie. Czy pomyśł, że zostałem nafaszerowany narkotykami i porwany przez tajną grupę, prowadzącą eksperymenty z dziedziny kontroli umysłów albo Bóg wie jakiej, pasuje do tej zasady? Nie bardzo. Musieliby albo wyprać mi mózg, aby mnie przekonać, że mój dom to nie mój dom, albo w ciągu kilku godzin pozbyć się mojej rodziny i przerobić wnętrze, abym niczego nie rozpoznał.

Albo... może logiczniejsze jest to, że rak w moim mózgu wywrócił świat do góry nogami?

Rósł przez miesiące lub lata cichcem w mojej czaszce i teraz niszczy mi procesy kognitywne i wykrzywia percepcję.

Koncepcja natychmiast nabiera mocy przekonania.

Cóż innego mogłoby mnie zaatakować z tak niszczycielską prędkością?

Cóż innego mogłoby mnie w ciągu kilku godzin pozbawić kontaktu z własną tożsamością i rzeczywistością, zakwestionować wszystko, co wydawało mi się znajome?

Czekam.

I czekam.

I czekam.

W końcu wychodzę na trawnik.

Nie ma głosów.

Nie ma odgłosu kroków.

Nie ma cieni.

Nie ma samochodowych silników.
Noc znów jest solidna i rzeczywista.
Znam kolejny cel.

*

Chicago Mercy to marsz przez dziesięć przecznic. Kuśtykając, wchodzę w jaskrawe światło oddziału ratunkowego o godzinie 4.05.

Nienawidzę szpitali.

W jednym z nich patrzyłem, jak umiera moja matka.

Charlie spędził pierwsze tygodnie życia na oddziale intensywnej terapii noworodków.

Poczekalnia jest praktycznie pusta. Poza mną jest budowlaniec, ściskający owinięte zakrwawionym bandażem ramię, i zestresowana trzyosobowa rodzina, z ojcem trzymającym na rękach purpurowego na twarzy, wyjącego niemowlaka.

Pielęgniarka za ladą podnosi wzrok znad papierów. Jak na tę godzinę ma zaskakująco promienne oczy.

— W czym mogę pomóc? — słyszę zza pleksiglasu.

Nie przemyślałem, co powiedzieć, nawet nie wiem, jak zacząć wyjaśniać, czego oczekuję.

— Miał pan wypadek?

— Nie.

— Ma pan twarz całą w ranach.

— Nie czuję się najlepiej.

— Co ma pan na myśli?

— Chyba muszę z kimś porozmawiać.

— Jest pan bezdomny?

— Nie.

— Gdzie pańska rodzina?

— Nie wiem.

Lustruje mnie od góry do dołu, dokonując szybkiej, profesjonalnej oceny.

— Jak się pan nazywa?

— Jason.

— Chwileczkę.

Pielęgniarka wstaje i znika za rogiem.

Pół minuty później rozlega się brzęczyk, drzwi obok boksu odblokowują się i otwierają.

Stojąca w nich pielęgniarka uśmiecha się do mnie.

— Proszę za mną.

Prowadzi mnie do sali chorych.

— Ktoś zaraz do pana przyjdzie.

Gdy drzwi się za nią zamykają, siadam na stole do badań i zamykam oczy. Nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony.

Głowa mi opada.

Prostuję się.

Niemal zasnąłem na siedząco.

Drzwi się otwierają.

Wchodzi krępy młody lekarz z podkładką na dokumenty w dłoni. Krok za nim idzie inna pielęgniarka — tleniona blondyna w niebieskim stroju, przygnieciona porannym zmęczeniem jak kamieniem młyńskim.

— Pan Jason? — pyta lekarz, nie podając ręki ani nawet nie udając, że nie poddał się obojętności trzeciej zmiany.

Kiwam głową.

— A nazwisko?

Wolałbym nie podawać nazwiska, ale może to kolejny efekt raka mózgu, czy co tam rozrabia w mojej głowie.

— Dessen.

Literuję, lekarz zapisuje na kartce, prawdopodobnie formularzu interwencji.

— Nazywam się Randolph i jestem asystentem. Co sprowadza pana do nas?

— Wydaje mi się, że coś jest nie tak z moją głową. Rak albo coś w tym stylu.

— Co skłania pana do tego podejrzenia?

— Różne rzeczy nie są takie, jakie powinny być.

— Rozumiem. Mógłby pan wyjaśnić bliżej?

— Eee... oczywiście, zabrzmiało to nienormalnie. Chciałbym, aby pan wiedział, że zdaję sobie z tego sprawę.

Lekarz unosi wzrok znad podkładki.

— Mój dom nie jest moim domem.

— Nie nadążam.

— Jest dokładnie tak, jak mówię. Mój dom nie jest moim domem. Nie ma w nim mojej rodziny. Wszystko jest znacznie... ładniejsze. Wszystko zostało odnowione i...

— Ale adres się zgadza?

— Dokładnie.

— Chce pan powiedzieć, że wewnątrz jest inne, ale z zewnątrz jest tak samo? — Wypowiada to, jakby rozmawiał z dzieckiem.

- Tak.

— Panie Jasonie, skąd te rany na pana twarzy? Błoto na ubraniu?

— Ktoś mnie ścigał.

Nie powinienem był tego mówić, ale jestem zbyt zmęczony, aby filtrować informacje. Musiało to zabrzmieć jak wyznanie wariata.

— Ścigał pana.

- Tak.

— Kto pana ścigał?

— Nie wiem.

— A wie pan, dlaczego pana ścigano?

— Ponieważ... to skomplikowane.

Jego oceniające, sceptyczne spojrzenie, jest znacznie subtelniejsze i lepiej wytrenowane niż u pielęgniarki z recepcji. Mało brakowało, a bym nie zauważył.

— Czy pił pan dziś wieczór alkohol albo brał jakieś narkotyki?

— Wypiłem wczesnym wieczorem nieco wina, potem whisky, ale to było wiele godzin temu.

— Zapytam ponownie, przepraszam, ale to była bardzo długa zmiana: dlaczego uważa pan, że coś jest nie w porządku z pańską głową?

— Ponieważ ostatnich ośmiu godzin mojego życia nie da się logicznie wyjaśnić. Wszystko wydaje się realne, ale nie może takie być.

— Doznał pan niedawno urazu głowy?

— Nie. To znaczy wydaje mi się, że ktoś uderzył mnie w głowę. Boli przy dotyku.

— Kto pana uderzył?

— Nie jestem pewien. W tej chwili nie jestem pewien niczego.

— Rozumiem. Bierze pan narkotyki? Albo brał w przeszłości?

— Kilka razy w roku palę trawkę. Ale ostatnio nie.

Doktor odwraca się do pielęgniarki.

— Poproszę Barbarę, aby pobrała panu krew.

Kładzie podkładkę na stoliku i wyjmuje z kieszonki na piersi kitla ołówkową latarkę.

— Mogę pana zbadać?

— Tak, proszę.

Randolph przesuwa się, aż nasze twarze są oddalone od siebie o centymetry, wystarczająco blisko, aby dało się wyczuć w jego oddechu odstałą kawę i dostrzec niedawne zacięcie żyłką na podbródku. Świeci mi latarką prosto w prawe oko. Przez chwilę widzę jedynie jaskrawy punkt, który na chwilę powoduje zniknięcie reszty świata.

— Jasonie, myśli pan o zrobieniu sobie krzywdy?

— Nie mam skłonności samobójczych.

Światło trafia mnie w lewe oko.

— Był pan kiedyś na leczeniu psychiatrycznym?

— Nie.

Delikatnie ujmuję mój nadgarstek miękkimi, chłodnymi dłońmi i mierzy mi puls.

— Gdzie pan pracuje?

— Uczę w Lakemont College.

— Żonaty?

— Tak. — Odruchowo sięgam dłoni, aby dotknąć obrączki.

Zniknęła.

Boże.

Pielęgniarka zaczyna mi podwijać lewy rękaw.

— Jak żona ma na imię?

— Daniela.

— Jesteście w dobrych stosunkach?

— Oczywiście.

— Nie sądzi pan, że się zastanawia, gdzie pan jest? Chyba powinniśmy do niej zadzwonić.

— Próbowałem.

— Kiedy?

— Godzinę temu, ale odebrał ktoś inny. Numer był zły.
— Może źle pan wybrał?
— Znam numer żony.
— Nie ma pan problemów z igłami, panie Dessen? — pyta pielęgniarka.

— Nie.

Gdy przemywa mi przedramię, na chwilę się zatrzymuje.

— Doktorze Randolph, proszę spojrzeć. — Dotyka śladu po ukłuciu sprzed kilku godzin, gdy Leighton pobierał mi krew.

— Kiedy to się stało? — pyta lekarz.

— Nie wiem. — Prawdopodobnie najlepiej nie wspominać o laboratorium, z którego uciekłem.

— Nie pamięta pan, że ktoś wbił panu igłę w ramię?

— Nie.

Randolph kiwa głową pielęgniarce i ta ostrzega mnie.

— Będzie małe szczyknięcie.

— Ma pan przy sobie telefon? — pyta lekarz.

— Nie wiem, gdzie się podział.

Sięga po podkładkę.

— Proszę powtórzyć nazwisko żony. I numer telefonu.

Spróbujemy w pańskim imieniu się do niej dodzwonić.

Literuję imię i nazwisko Danieli, mówię numer jej komórki i stacjonarny numer do nas do domu, podczas gdy krew spływa do plastikowej fiolki.

— Zrobicie mi skan głowy? — pytam. — Sprawdzicie, co się dzieje?

— Jak najbardziej.

*

Dają mi jednoosobową salę na ósmym piętrze.

W łazience doprowadzam twarz do porządku, zrzucam buty i wchodzę pod kołdrę.

Sen mnie ogarnia, ale naukowiec w mojej głowie nie chce się poddać.

Nie mogę przestać myśleć.

Formułuję hipotezy i po kolei je obalam.

Próbuję logicznie wyjaśniać każde wydarzenie dzisiejszej nocy.

Nie ma w tej chwili nawet sposobu na oddzielenie tego, co realne, od fikcji. Nie mam nawet pewności, że byłem kiedykolwiek żonaty.

Nie! Moment!

Unoszę lewą dłoń i przyglądam się palcowi serdecznemu.

Obrączka zniknęła, ale dowód jej istnienia jest widoczny w postaci lekkiego zagłębienia wokół nasady palca. Była tam i zostawiła ślad.

Czyli ktoś ją zabrał.

Dotykam zagłębienia, uświadamiając sobie, jaki oznacza to równocześnie horror i jaką pociechę — ostatnią ostoję mojej rzeczywistości.

Zastanawiam się...

Co się stanie, gdy ten ostatni namacalny ślad mojego małżeństwa zniknie?

Gdy nie będzie już kotwicy?

Gdy na niebo nad Chicago skrada się świt — pozbawiona nadziei, zachmurzona purpura — zatracam się we śnie.

Gdy rozlega się trzask frontowych drzwi, Daniela ma ręce zanurzone w ciepłych mydlinach. Przerywa szorowanie brytfanki, którą atakowała od kilku chwil, podnosi głowę znad zlewozmywaka i spogląda przez ramię w kierunku odgłosu zbliżających się kroków.

W łuku między kuchnią a jadalnią pojawia się Jason, szczerząc się w uśmiechu — jak powiedziałaaby jej matka — jak głupek.

— W lodówce masz talerz — mówi Daniela i wraca do naczyń.

W zaparowanym oknie nad zlewem widzi, jak jej mąż odstawia na wyspie płócienną torbę z zakupami i rusza w jej kierunku.

Obejmuje ją w pasie.

— Jeśli sądzisz, że parę pudełek lodów cię usprawiedliwi, to się mylisz — mówi Daniela półzartem.

Jason przyciska się do niej i przysuwa usta do jej ucha.

— Życie jest krótkie — szepce rozgrzany resztkami whisky, którą wypił w barze. — Nie bądź wściekła. Szkoda czasu.

— Jak trzy kwadransy mogły się zamienić w prawie trzy godziny?

— Tak samo jak jeden drink zamienia się w dwa, z czego robią się trzy i tak dalej. Czuję się okropnie.

Jego usta na jej karku sprawiają, że po kręgosłupie Daniela przechodzi delikatny dreszcz.

— Nie ujdzie ci to na sucho — mówi.

Jason całuje bok jej szyi. Minęło już sporo czasu, odkąd w taki sposób ją dotykał.

Jego dłonie wślizgują się do wody.

Splata palce z jej palcami.

— Powinieneś coś zjeść — mówi Daniela. — Odgrzeję ci.

Rusza w kierunku lodówki, ale Jason zastawia drogę.

Daniela patrzy mu prosto w oczy i może wynika to stąd, że oboje

pili alkohol, ale w powietrzu między nimi wisi napięcie, jakby każda molekuła została naładowana.

— Boże, ale za tobą tęskniłem... — mówi Jason.

— Ile dokładnie musiałeś wypić, żeby... ?

Jason niespodziewanie całuje Danielę i przyciskają do szafek, krawędź wbija jej się w plecy, podczas gdy on przeciąga dłońmi po jej biodrach, wyciąga jej koszulę ze spodni i kładzie dłonie na nagiej skórze, gorące jak wyjęte z pieca.

Daniela odpycha Jasona w kierunku wyspy.

— Boże, Jasonie...

Przygląda mu się w słabym świetle kuchni, próbuje się domyślić, cóż to za energia, z którą wtoczył się do domu.

— Coś się stało, gdy cię nie było? — mówi pytająco Daniela.

— Nic poza tym, że straciłem poczucie czasu.

— Czyli nie zagadałeś na przyjęciu Ryana żadnej młodej laski, która sprawiła, że poczułeś się ponownie jak dwudziestopięciolatek? A teraz wróciłeś i stoi ci, i udajesz, że...

Jason wybucha śmiechem. Śmieje się pięknie.

— Co? — pyta Daniela.

— Sądzisz, że o to chodzi? — Podchodzi krok bliżej. — Gdy wyszedłem z baru, byłem myślami całkiem w innym świecie. Nie myślałem normalnie. Wyszedłem między samochody i ta taksówka o mało nie rozmazała mnie na asfalcie. Przestraszyłem się jak cholera. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale od tego momentu — w sklepie, w drodze do domu, wchodząc do kuchni — czuję się niesamowicie żywy. Jakbym nagle ujrzął własne życie z ogromną mocą i klarownością. Dostrzegł wszystko, za co powinienem być wdzięczny. Za ciebie. Za Charliego.

Daniela czuje, że jej złość zaczyna topnieć.

— Idziemy własnymi, sztywno wyznaczonymi drogami, tak bardzo jesteśmy zagłębieni w koleinach, że przestajemy widzieć, kim naprawdę są ci, których kochamy. Dziś wieczór, właśnie teraz, zobaczyłem cię jednak na nowo, jak pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy, gdy dźwięk twojego głosu i twój zapach był całkiem nową krainą. Gadam bzdury.

Daniela podchodzi, obejmuje dłońmi twarz Jasona i całuje go.

Bierze go za rękę i prowadzi na górę. Korytarz jest ciemny.

Daniela nie jest w stanie sobie przypomnieć, kiedy jej mąż ostatni raz zrobił coś, od czego serce waliło jej jak teraz.

Na wysokości pokoju Charliego zatrzymuje się na chwilę, przysuwa ucho do zamkniętych drzwi i słucha stłumionego dźwięku łomoczącej w słuchawkach muzyki.

— Czysto — szepcze.

Idą po skrzypiącej podłodze najciszej, jak umieją.

Po wejściu do sypialni Daniela zamyka drzwi na klucz i otwiera górną szufladę komody, aby poszukać świecy, Jason nie ma jednak na to czasu.

Pociąga ją w kierunku łóżka i w dół, i już jest na niej, całuje ją, jego dłonie poruszają się pod jej ubraniem, wędrują po jej ciele.

Daniela czuje coś mokrego na policzku, na ustach.

Łzy.

Łzy Jasona.

Ujmuje jego twarz w dłonie i pyta:

— Dlaczego płaczesz?

— Miałem wrażenie, że cię straciłem.

— Masz mnie, Jasonie. Jestem tutaj. Masz mnie.

Gdy rozbiera ją w ciemnościach, Daniela tak bardzo go chce, tak rozpaczliwie, jak jeszcze nigdy nie chciała nikogo. Złość zniknęła. Senność po winie odeszła. Przeniósł ją do czasów, kiedy kochali się po raz pierwszy, w jej mieszkaniu w Bucktown, za którego ogromnymi oknami, które uchyliła, aby do środka mogło się wsączać rześkie październikowe powietrze, jarzyło się centrum miasta. Słysząc było późne odgłosy ludzi, zataczających się do domu z barów, a w oddali syreny i rytm napędzającego to wielkie miasto silnika, który właśnie odpoczywa — niezgaszonego, nigdy niewyłączonego, pracującego spokojnie, na luzie, w oczekiwaniu.

Gdy Daniela dochodzi, próbuje nie krzyczeć, ale nie może się powstrzymać, podobnie jak Jason.

Nie dziś.

Ponieważ coś się zmieniło, coś między nimi się poprawiło.

Przez ostatnie lata nie byli nieszczęśliwi, wręcz przeciwnie,

upłynęło jednak wiele czasu, odkąd ostatni raz czuła szaloną miłość, która pieni się jak szampan w dole brzucha i wywraca świat do góry nogami.

Panie Dessen?

Wybudzam się gwałtownie, jak potrząśnięty.

— Dzień dobry. Przepraszam, że pana wystraszyłam.

Przy łóżku stoi i patrzy na mnie z góry lekarka — niski, zielonooki rudzielec w szpitalnym kitlu. W jednym ręku trzyma kubek z kawą, w drugim tablet.

Siadam.

Za oknem obok mojego łóżka jest widno i przez pięć sekund nie mam zielonego pojęcia, gdzie jestem.

Za szybą widać otulające miasto niskie chmury, odcinające panoramę wieżowców na wysokości trzystu metrów. Widzę jezioro i trzy kilometry Chicago, wypełniającego przestrzeń między moim punktem obserwacyjnym a wodą, wszystko zaś jest wytłumione przez ponurą szarość Środkowego Zachodu.

— Panie Dessen, wie pan, gdzie pan jest?

— W szpitalu Mercy.

— Zgadza się. W nocy zjawił się pan na oddziale ratunkowym, dość mocno zdezorientowany. Badał pana jeden z moich kolegów, doktor Randolph, i wychodząc dziś rano, przekazał mi historię pańskiej choroby. Nazywam się Juliane Springer.

Patrzę na wenflon na mojej dłoni i wiodę wzrokiem wzdłuż rurki do wiszącego nade mną na stojaku worka z płynem.

— Co mi dajecie?

— Staromodną wodę. By! pan mocno odwodniony. Jak się pan teraz czuje?

Dokonuję szybkiej autodiagnozy.

Mdli mnie.

Wali mi serce.

W ustach czuję gorycz.

Wskazuję za okno.

— Jak to. Dziwnie skacowany.

Poza dyskomfortem fizycznym czuję przygniatająca pustkę, jakby bezpośrednio na duszę padał mi deszcz.

Jakbym został wydrążony.

— Mam wyniki pana rezonansu — mówi lekarka i budzi tablet do życia. — Wszystko jest w normie. Ma pan powierzchowne zasinienia, ale to nic poważnego. Znacznie ciekawsze są wyniki toksykologii. Stwierdziliśmy ślady alkoholu, odpowiadające temu, co powiedział pan doktorowi Randolphowi, ale też coś jeszcze.

- Co?

— Ketaminę.

— Nie wiem, co to jest.

— Środek znieczulający stosowany w chirurgii. Jednym z jego skutków ubocznych jest krótkotrwała utrata pamięci. Mogłoby to wyjaśniać pańską dezorientację. Badanie wykazało także coś, z czym jeszcze nigdy się nie spotkałam. Substancję psychoaktywną. Naprawdę dziwna mieszanka. — Upija łyżeczek kawy — Muszę zapytać: czy przyjął pan te środki sam?

— Oczywiście, że nie.

— W nocy podał pan doktorowi Randolphowi nazwisko żony i kilka numerów telefonów.

— Jej komórki i naszego stacjonarnego.

— Cały poranek próbuję ją złapać, ale jej numer komórkowy należy do kogoś, kto nazywa się Ralph, a pod stacjonarnym stale włącza się automatyczna sekretarka.

— Może mi pani podać ten numer?

Czyta numer komórki Danieli.

— Zgadza się.

— Jest pan pewien?

— Na sto procent. Czy te środki, które znajdowały się w moim organizmie, powodują długotrwałe zmiany świadomości?

— Ma pan na myśli urojenia? Halucynacje?

— Dokładnie.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co to za psychotrop, co oznacza, że nie mam jakiegokolwiek pewności, jaki mógł wywrzeć wpływ na pański układ nerwowy.

— Czyli jest możliwe, że działa na mnie w dalszym ciągu?

— Powtórzę: nie wiem, jaki ma czas połowicznego rozpadu ani ile czasu organizm potrzebuje, aby go wydalić. Nie sprawia pan jednak na mnie wrażenia kogoś, kto byłby pod wpływem czegokolwiek.

Powracają wspomnienia z minionej nocy.

Wchodzę nagi, pod pistoletem, do opuszczonego budynku.

Dostaję zastrzyk w szyję.

W nogę.

Strzępki dziwnej rozmowy z człowiekiem w masce gejszy.

Pomieszczenie wypełnione starymi generatorami i światłem księżyca.

Choć myśli o minionej nocy mają emocjonalny ciężar rzeczywistego wspomnienia, ich otoczka jest fantazyjna jak sen albo nocny koszmar.

Co zrobiono ze mną w tym starym budynku?

Springer przyciąga sobie krzesło i siada obok łóżka. Z bliska widać piegi, pokrywające jej twarz niczym bładym piaskiem.

— Porozmawiajmy o tym, co powiedział pan doktorowi Randolphowi. Zapisał on, że... — Wzdycha. — Przepraszam, ma okropny charakter pisma. „Pacjent stwierdza: to był mój dom, ale nie był mój”. Powiedział pan także, że rany cięte i siniaki na twarzy są skutkiem pogoni przez jakichś ludzi, na pytanie, kto pana ścigał, nie był pan jednak w stanie dać odpowiedzi. — Podnosi wzrok znad ekranu. — Jest pan nauczycielem akademickim?

— Zgadza się.

- W...

— Lakemont College.

— W tym sęk, Jasonie. Gdy pan spał i nie mogliśmy znaleźć śladu pańskiej żony...

— Co to znaczy, że nie mogliście znaleźć jej śladu?

— Nazywa się Daniela Dessen, tak?

- Tak.

— Trzydzieści dziewięć lat?

— Mhm.

— Nie byliśmy w stanie znaleźć w Chicago nikogo o tym

nazwisku i w tym wieku.

Poddaję się. Odwracam wzrok, wyglądam przez okno. Jest tak szaro, że nie wiadomo nawet, jaka jest pora dnia. Poranek, południe, wieczór — nie da się określić. Do zewnętrznej strony szyby kleją się drobne kropelki deszczu.

Znowu nie wiem, czego bardziej powinienem się obawiać — otaczającej mnie rzeczywistości, która jak najbardziej może okazać się prawdziwa, czy tego, że być może w mojej głowie wszystko się rozpada. Znacznie bardziej wolałem ideę, że powodem jest rak mózgu. Przynajmniej jakaś koncepcja.

— Panie Jasonie, pozwoliliśmy sobie pana sprawdzić. Pańskie nazwisko. Zawód. Wszystko, co dało się znaleźć. Chciałabym, aby odpowiedział mi pan z rozwagą. Czy naprawdę uważa pan, że jest profesorem fizyki w Lakemont College?

— Nie uważam. Jestem nim.

— Przejrzeliśmy strony internetowe wydziałów nauk ścisłych wszystkich uniwersytetów i college'ów w Chicago. Z Lakemont włącznie. Nie jest pan w żadnym wymieniony jako wykładowca.

— To niemożliwe. Wykładałam tam od...

— Proszę pozwolić mi skończyć, ponieważ znaleźliśmy coś na pański temat. — Wstukuje coś na tablecie. — Jason Ashley Dessen, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku w Denison w stanie Iowa. Syn Randalla i Ellie Dessenów. Jest tu podane, że pańska matka zmarła, gdy miał pan osiem lat. Z jakiego powodu? Nie ma pan nic przeciwko, że zapytam?

— Miała utajoną chorobę serca i złapała groźnego wirusa grypy, co dało zapalenie płuc.

— To przykre. — Czyta dalej. — Magisterium na Uniwersytecie Chicago, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. Doktorat na tym samym uniwersytecie, dwa tysiące dwa. Jak na razie wszystko się zgadza?

Potakuję skinieniem głową.

— W dwa tysiące czwartym wyróżniony nagrodą imienia Pavii, w tym samym roku czasopismo „Science” uhonorowało pańskie osiągnięcia artykułem tytułowym, w którym mówiono o „przełomie

roku”. Wykładowca gościnny na Harvardzie, w Princeton i Berkeley. — Podnosi wzrok i na widok mojego zdumionego spojrzenia odwraca tablet tak, abym mógł przeczytać wpis w Wikipedii o Jasonie A. Dessenie.

Pikanie monitora, podłączonego do mojego serca, wyraźnie przyspiesza.

— Nie opublikował pan żadnej pracy ani nie przyjął stanowiska wykładowcy od dwa tysiące piątego roku, kiedy to zajął pan stanowisko głównego naukowca w Velocity Laboratories, laboratorium napędu odrzutowego. Wpis kończy się tym, że osiem miesięcy temu pański brat złożył zgłoszenie o pańskim zaginięciu i od ponad roku nie widziano pana publicznie.

Trafia mnie to tak, że ledwo jestem w stanie oddychać.

Moje ciśnienie krwi wyzwała na monitorze jakiś alarm i z urządzenia zaczyna się wydobywać zgrzytliwy pisk.

W drzwiach pojawia się masywna pielęgniarka.

— Wszystko w porządku — mówi Springer. — Mogłaby pani to wyłączyć?

Pielęgniarka podchodzi do monitora i wyłącza alarm.

Gdy wychodzi, doktor Springer sięga przez balustradę i dotyka mojej dłoni.

— Chcę panu pomóc, panie Jasonie. Widzę, że jest pan przerażony. Nie wiem, co się panu przydarzyło, i odnoszę wrażenie, że pan sam też nie.

Wiatr od jeziora jest na tyle silny, że zwiewa deszcz w bok. Przyglądam się sunącym skośnie po szkle kroplom, przez co świat w głębi rozmazuje się, tworząc impresjonistyczną wizję miasta w szarości, nakrapianą czerwonymi punktami tylnych świateł i reflektorów sunących w dali samochodów.

— Zadzwoiłam na policję — mówi Springer. — Przyślą detektywa, żeby z panem porozmawiał i żeby mogli zacząć docierać do sedna tego, co wydarzyło się w nocy. To pierwsze, czym się zajmiemy. Poza tym, choć utknęłam w martwym punkcie, jeśli chodzi o kontakt z Danielą, udało mi się dowiedzieć, jak skontaktować się z pańskim bratem w Iowa City. Chciałabym, aby pozwolił mi pan zadzwonić do niego i powiadomić go, że pan u nas jest i omówić z nim pański stan.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Nie rozmawiałem z Michaeliem od dwóch lat.

— Nie wiem, czy chcę, aby pani do niego dzwoniła.

— Pańskie prawo, ale dla jasności, zgodnie z HIPAA, jeżeli uznam, że mój pacjent nie jest w stanie wyrazić zgody albo jest podmiotem urojeń wynikających z niesprawności albo okoliczności nadzwyczajnych, jestem upoważniona do podjęcia decyzji, czy ujawnienie informacji na jego temat członkowi rodziny albo przyjacielowi jest w jego dobrze pomyślanym interesie. Uważam, że pański obecny stan psychiczny kwalifikuje się jako niesprawność i skonsultowanie się z kimś, kto zna pana oraz pański życiorys, jest w pana dobrze pojętym interesie. Tak więc zamierzam zadzwonić do Michaela.

Wbija wzrok w podłogę, jakby nie chciała mi powiedzieć, co będzie następne.

— Trzecia rzecz i ostatnia — mówi w końcu. — Potrzebujemy pomocy psychiatry, aby opanować pański stan. Przeniosę pana do Chicago-Read, ośrodka zdrowia psychicznego nieco bardziej na północ w North-Side.

— Pani doktor, przyznaję, że nie bardzo rozumiem, co się właściwie dzieje, ale nie oszalałem. Z przyjemnością porozmawiam z psychiatrą, wręcz cieszę się, że będę miał ku temu okazję, ale nie zgadzam się na zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym, jeżeli o to pani pyta.

— Nie pytam. Z całym szacunkiem, ale nie ma pan w tej sprawie wyboru.

— Słucham?

— To się nazywa przetrzymanie M-1 i zgodnie z prawem, jeżeli uznam, że stanowi pan zagrożenie dla siebie samego lub innych, mogę zalecić przymusowe osadzenie na siedemdziesiąt dwie godziny. Panie Jasonie, to najlepsze wyjście dla pana. Jest pan w stanie...

— Zgłosiłem się do szpitala dobrowolnie, ponieważ chciałem się dowiedzieć, co jest ze mną nie tak.

— I była to dobra decyzja, a teraz dokładnie to zrobimy: dowiemy się, dlaczego stracił pan kontakt z rzeczywistością, i zaczniemy

leczenie, które jest konieczne, aby wrócił pan w pełni do zdrowia.

Obserwuję na monitorze, jak rośnie mi ciśnienie.

Nie chcę ponownie wywołać alarmu.

Zamykam oczy i wciągam powietrze.

Wypuszczam je.

Wciągam kolejną porcję tlenu.

Ciężnienie spada.

— A więc wsadzi mnie pani do pokoju bez klamek, zabierze mi pasek i wszystkie ostre przedmioty, i napompuje lekami aż do odrętwienia.

— To nie tak. Przyszedł pan do szpitala, ponieważ chciał pan poczuć się lepiej, prawda? To pierwszy krok w tym kierunku. Musi mi pan zaufać.

Springer wstaje z krzesła i ciągnie je za sobą pod telewizor.

— Niech pan odpoczywa, panie Jasonie. Niedługo przyjdzie policja, po południu przeniesiemy pana do Chicago-Reed.

Patrząc, jak odchodzi, groźba unicestwienia wisi mi tuż nad głową, pcha mnie na dno.

A jeżeli wszystkie te fragmenty przeświadczeń i wspomnień, tworzące to, kim jestem — mój zawód, Daniela, mój syn — nie są niczym innym jak jedną wielką elektryczną awarią substancji szarej w mojej głowie? Czy w dalszym ciągu będę walczył o to, aby pozostać tym, kim uważam, że jestem? Czy też wyprę się tego człowieka oraz wszystkiego, co kocha, i wejdę w skórę osoby, za którą świat chciałby mnie brać?

A jeśli postradałem zmysły? Co wtedy?

Jeżeli wszystko, co wiem, jest nieprawdą?

Nie! Koniec z tym!

Nie ogarnia mnie szaleństwo.

W mojej krwi były narkotyki, a na moim ciele sińce. Mój klucz otworzył drzwi domu, który nie należał do mnie. Nie mam raka mózgu.

Na moim palcu serdecznym jest ślad po obrączce. Jestem tu i teraz w szpitalnej sali i wszystko to dzieje się naprawdę.

Nie wolno ci sądzić, że oszalałeś.

Masz obowiązek rozwiązać ten problem.

*

Gdy drzwi windy otwierają się na parterze, przeciskam się obok dwóch mężczyzn w tanich garniturach i mokrych płaszczach. Wyglądają jak gliniarze, a gdy wsiadają do windy i nasze spojrzenia się spotykają, zadają sobie pytanie, czy jadą na górę do mnie.

Przechodzę przez poczekalnię, idę w kierunku automatycznych drzwi. Nie byłem na oddziale strzeżonym, więc wyjście stąd okazało się znacznie łatwiejsze, niż sądziłem. Wystarczyło się ubrać, poczekać, aż korytarz opustoszeje, i przejść obok dyżurki pielęgniarek, nie wywołując u nikogo nawet uniesienia brwi.

Z każdym krokiem, jaki zbliża mnie do wyjścia, coraz bardziej oczekuję wycia alarmu, wykrzykiwanego za mną mojego imienia, goniących mnie strażników.

Jeszcze chwila i jestem na zewnątrz, w deszczu. Na moje oko jest wczesne popołudnie, poziom ruchu na ulicach sugeruje jakąś szóstą.

Zbiegam po schodkach i idę szybko chodnikiem, zwalniając dopiero przy następnej przecznicy.

Spoglądam przez ramię.

Nikt mnie nie ściga — a przynajmniej nic na to nie wskazuje.

Widzę jedynie morze parasoli.

Moknę.

Pojęcia nie mam, dokąd właściwie idę.

Na wysokości filii jakiegoś banku chowam się pod daszkiem wejścia. Stoję oparty o wapienną kolumnę i obserwuję przechodzących w deszczu ludzi.

Wyjmuję z kieszeni klips z pieniędzmi. Nocna jazda taksówką mocno uszczupliła moje marne zasoby. Zostały mi 182 dolary, a karty kredytowe nie mają żadnej wartości.

Dom nie wchodzi w rachubę, ale kilka przecznic od niego jest tani hotel, na tyle obskurny, że chyba stać mnie będzie na pokój.

Wychodzę na deszcz.

Ściemnia się.

Powietrze się wychładza.

Ubrany tak jak jestem, bez kurtki albo płaszcza, po niecałych

dwóch przecznicach jestem przemoczony do nitki.

*

Days Inn zajmuje budynek naprzeciwko Village Tap. Tyle tylko, że tak nie jest. Markiza ma inny kolor i cała fasada wygląda przedziwnie bajerancko. W budynku mieszczą się luksusowe apartamenty. Jest tu nawet portier, który stoi przy krawężniku pod parasolem, próbując złapać taksówkę dla kobiety w czarnym trenczu.

Czyżbym pomylił ulice?

Spoglądam w kierunku „mojego” baru na rogu.

Na frontowej szybie powinien migać neon VILLAGE TAP, zamiast tego na wystającym nad wejściem drągu wisi gruba drewniana tablica z mosiężnymi literami, poruszająca się ze skrzypieniem na wetrze.

Idę dalej, szybszym krokiem, mrużąc oczy przed deszczem.

Mijam...

...hałaśliwe tawerny.

Wystylizowane w charakterystyczny sposób restauracje, wyspecjalizowane na kolacyjny szczyt — wszędzie widać migoczące kieliszki do wina i platerowane sztuce, porozkładane w pośpiechu na białych obrusach, i kelnerów zapamiętujących zamówienia.

Kawiarnia, której nie pamiętam, z huczącą w środku maszyną do kawy, mielącą świeże ziarna.

Nasza ulubiona włoska knajpka wygląda dokładnie tak jak powinna, przypominając mi boleśnie, że od niemal doby nic nie jadłem.

Idę jednak dalej,

Przemakają mi nawet skarpetki.

Dygoczę w niemożliwy do opanowania sposób.

Gdy noc ogarnia świat, stoję przed dwupiętrowym hotelem z kratami w oknach i ohydnie wielkim szyldem nad wejściem:

HOTEL ROYALE

Wchodzę do środka, w wejściu zostawiam na splekanej szachownicy podłogi wielką kałużę.

Nie tego się spodziewałem. Nie jest tu obskurnie ani brudno w drastycznym znaczeniu, jedynie... zapomniano o tym miejscu. Krzywa opadająca. Coś w stylu salonu moich dziadków w chwiejącym się domu na farmie w Iowa. Jakby wysłużone meble stały tu od tysiąca lat, zamarłe w czasie, podczas gdy reszta świata szła do przodu. W powietrzu unosi się zapach pleśni, z ukrytych głośników dolatuje bigbandowa muzyka. Coś z lat czterdziestych.

Siedzący w recepcji starzec w smokingu nawet nie mruga na widok stanu, w jakim jestem. Bierze 95 dolarów w mokrych banknotach i podaje mi klucz do pokoju na drugim piętrze.

Kabina jest ciasna i gdy winda, z hałasem i wdziękiem wspinającego się po schodach grubasa, pokonuje drogę na drugie piętro, obserwuję w drzwiach z brązu swoje zniekształcone odbicie.

Znajduję swój pokój w połowie mrocznego korytarza, tak wąskiego, że dwie osoby miałyby problem się wyminąć, i po kilku próbach udaje mi się otworzyć staromodny zamek.

Nic specjalnego.

Pojedyncze łóżko z lichą żelazną ramą i wyświechtanym materacem.

Małe łazienka.

Szafa.

Telewizor lampowy.

Krzesełko przy oknie, za którym coś się żarzy.

Obchodzę łóżko, odsuwam zasłonę i wyglądam na zewnątrz.

Jestem na wysokości górnej krawędzi hotelowego neonu, wystarczająco blisko, aby widzieć przelatujące przez zielone światło krople deszczu.

W dole, na chodniku, stoi oparty o latarnię mężczyzna. Dym z jego papierosa wznosi się spiralami w deszcz, żar papierosa to się rozjaśnia, to zanika w mroku pod rondem kapelusza.

Stoi tani ze względu na mnie?

Może dostaję paranoi, ale podchodzę do drzwi, sprawdzam rygiel i zakładam łańcuch.

Zrzucam buty, ściągam ubranie i wycieram się jedynym ręcznikiem z łazienki.

Najlepszą rzeczą w pokoju jest staromodny żeliwny kaloryfer pod

oknem. Odkręcam termostat na maksimum i wsuwam dłonie w unoszące się fale ciepła.

Wieszam ubranie na krzesło i stawiam je przy kaloryferze.

W szufladzie nocnej szafki leżą Biblia Gideona i książka telefoniczna Chicago.

Kładę się na łóżku, kartkuję do D i zaczynam szukać swojego nazwiska.

Szybko je znajduję.

Jason A. Dessen.

Prawidłowy adres.

Prawidłowy numer telefonu.

Podnoszę słuchawkę telefonu przy łóżku i dzwonię na swój stacjonarny.

Cztery dzwonki, po których rozlega się mój własny głos: „Cześć, dodzwoniłeś się do Jasona, znaczy nie do końca, bo nie ma mnie i nie mogę odebrać. To jest nagranie. Wiesz, co robić”.

Odwieszam przed piśnięciem.

To nie jest tekst z naszej automatycznej sekretarki.

Znowu czuję skradające się szaleństwo, grożące, że zwinę się jak płód i rozpadnę na milion kawałków.

Blokuję atak za pomocą swojej nowej mantry.

Nie wolno mi sądzić, że oszalałem.

Mam obowiązek rozwiązać ten problem.

Fizyka eksperymentalna, choć nie — cała nauka! — polega na rozwiązywaniu problemów. Nie da się jednak rozwiązać ich wszystkich naraz. Zawsze pozostaje poważniejsze, bardziej nadrzędne pytanie — Wielki Cel. Jeśli jednak zamotasz się z powodu jego ogromu, stracisz kierunek.

Kluczem do sukcesu jest zaczynać od drobiazgów. Skupić się na problemach rozwiązywalnych. Stworzyć sobie kawałek suchego łądu, na którym da się ustać. A gdy włożyłeś w pracę wystarczająco dużo wysiłku i do tego miałeś szczęście, tajemnica nadrzędnego problemu się rozwiązuje. To tak, jakby powoli cofać się przed fotomontażem, aby dostrzec ogólny obraz.

Muszę się mentalnie odseparować od strachu, paranoi, przerażenia

i podejść do problemu, jakbym był w laboratorium: stawiając po jednym małym pytaniu naraz.

Stworzyć sobie suchy łąd, na którym da się ustać.

Dreńczące mnie w tym momencie pytanie nadrzędne brzmi: „Co się ze mną stało?”, nie ma jednak możliwości na nie odpowiedzieć. Jeszcze nie teraz. Mam oczywiście niejasne podejrzenia, ale podejrzenia prowadzą do stroniczości, a ta nigdy nie wie o prawdzie.

Dlaczego Daniela i Charliego nie było w nocy w domu? Dlaczego dom wyglądał, jakbym mieszkał w nim sam?

Nie, to ciągle za szerokie, zbyt kompleksowe. Zawęż pole danych. Gdzie są Daniela i Charlie?

Lepiej będzie jeszcze bardziej zawęzić. Daniela będzie wiedziała, gdzie jest nasz syn.

A więc zacznę od: Gdzie jest Daniela?

Szkice, wiszące na ścianach nie mojego domu, narysowała Daniela Vargas. Podpisała je, używając panińskiego nazwiska. Dlaczego?

Unoszę dłoń do wpadającego przez okno neonowego światła.

Zagłębienie na palcu serdecznym zniknęło.

A w ogóle tam było?

Odrywam od zasłony luźną nitkę i wiążę ją wokół nasady palca serdecznego — jako łącznik ze światem i życiem, które znam.

Wracam do książki telefonicznej i kartkuję do „V”. Jest tylko jeden wpis „Daniela Vargas”. Wyrywam kartkę i wykręcam numer.

Głos na sekretarce jest mi tak dobrze znajomy, że — choć treść wiadomości jest głęboko niepokojąca — czuję wzruszenie.

„Dodzwoniłeś się do Daniela. Poszłam malować. Zostaw wiadomość. Ciao”.

*

W ciągu godziny moje ubranie jest ciepłe i prawie suche. Myję się, ubieram i schodzę na dół.

Wiatr na ulicy nie słabnie, przestało jednak padać.

Spod latarni zniknął mężczyzna z papierosem.

Z głodu kręci mi się w głowie.

Mijam kilka restauracji, nim znajduję taką, która nie doprowadzi mnie do finansowej ruiny — jasno oświetlona, brudna pizzeria, w której sprzedają ogromne kawałki pieczonej w głębokich formach pizzy. W środku nie ma gdzie usiąść, stoję więc na chodniku, napycham się pizzą i zastanawiam, czy jest tak dobra, jak mi się wydaje, czy jestem zbyt wygłodniały, aby smak miał jakiegokolwiek znaczenie.

Podany w książce adres Daniela znajduje się w Bucktown. Zostało mi 75 dolarów i nieco drobnych, mógłbym więc złapać taksówkę, ale mam ochotę na spacer.

Liczba przechodniów i ruch uliczny osiągają natężenie typowe dla piątkowych wieczorów, powietrze przepełnia adekwatna energia.

Ruszam na wschód odnaleźć żonę.

*

Budynek ma fasadę z żółtej cegły, pokrytą bluszczem, który po ostatnich spadkach temperatury zbrązowiał. Panel z dzwonkami jest staromodny, mosiężny, jej panięskie nazwisko jest drugie od dołu w pierwszej kolumnie.

Wciskam przycisk trzy razy, nie ma jednak żadnej reakcji.

Za wysokimi szybami wokół drzwi wejściowych pojawia się kobieta w wieczorowej sukni i płaszczu. Jej wysokie obcasy stukają o podłogę, gdy zbliża się do wyjścia. Cofam się i gdy drzwi się otwierają, odwracam.

Kobieta gada przez komórkę i sądząc po alkoholowej chmurze, jaka się za nią ciągnie, zaczęła wieczór w entuzjastycznych przedbiegach. Schodząc szybkim krokiem po schodach, nawet mnie nie zauważa.

Chwytam krawędź drzwi, zanim się zatrzasną, i wchodzę. Idę schodami na trzecie piętro.

Drzwi mieszkania Daniela są na końcu korytarza.

Pukam i czekam.

Żadnej reakcji.

Wracam na dół, zastanawiając się, czy powinienem na nią

zaczekać. A jeśli wyjechała z miasta? Co by sobie pomyślała, gdyby wróciła i ujrzała mnie krążącego jak próbujący ją napastować szaleniec?

Tuż przed drzwiami wejściowymi wisi tablica informacyjna z mnóstwem ulotek, zapowiadających różne wydarzenia artystyczne: wernisaże w galeriach, odczyty, wieczory poetyckie.

Rzuca mi się w oczy największa z nich, umieszczona pośrodku. W zasadzie to plakat reklamujący wernisaż występ Danieli Vargas w galerii o nazwie Oomph.

Szukam daty.

Piątek, 2 października.

Dzisiaj.

*

Na ulicy znowu pada.

Zatrzymuję taksówkę.

Galeria znajduje się kilkanaście przecznic dalej. Gdy dojeżdżamy na miejsce, na Damen Avenue parkują dziesiątki taksówek, a ja czuję się, jakby napięte nerwy chciały przebić skórę.

Wysiadam i dołączam do hipsterskiego tłumu, idącego przez marznącą mżawkę.

Oomph okazuje się dawną pakownią zamienioną w galerię sztuki, a kolejka czekających ciągnie się przez pół przecznicy.

Przygnębiałe, wypełnione dygotem trzy kwadransy później jestem wreszcie w suchym miejscu, mogę zapłacić 15 dolarów i wepchnąć się z dziesięcioma innymi osobami do holu, na którego kolistych ścianach gigantycznymi, stylizowanymi na graffiti literami napisano imię i nazwisko Danieli.

Podczas naszych piętnastu wspólnych lat byłem na wielu wystawach i wernisażach Danieli, ale nigdy nie widziałem *czegoś* podobnego.

Przez ukryte w ścianie drzwi wychodzi szczupły brodac.

Światło przygasa.

— Nazywam się Steve Konkoly — zaczyna mężczyzna — i jestem producentem tego, co zaraz zobaczycie. — Z podajnika przy drzwiach wyciąga reklamówkę. — Telefony idą do torby, dostaniecie je

przy wyjściu.

Wypełniająca się telefonami torba krąży między ludźmi.

— Słowo na temat dziesięciu następnych minut waszego życia.
Artystka prosi o odłożenie na bok analizy intelektualnej i próbę doświadczenia jej instalacji poprzez emocje. Witamy w „Splątaniu”.

Konkoly bierze torbę z telefonami i otwiera drzwi.

Przechodzę jako ostatni.

Chwilę stoimy stłoczeni w mrocznym, ciasnym pomieszczeniu, w którym po zatrzaśnięciu drzwi robi się naprawdę ciemno. Gdy oczy się przyzwyczajają, można dostrzec, że stoimy w olbrzymim pomieszczeniu dawnego magazynu.

Gdy nad naszymi głowami pojawiają się kropki światła, unoszę głowę.

Gwiazdy.

Wyglądają zaskakująco realistycznie, każda sprawia wrażenie, jakby się tliła.

Jedne są bliskie, inne dalekie, raz po razem któraś przesuwa się przez otchłań.

Dostrzegam, co jest nad naszymi głowami.

— O mój Boże... — szepce ktoś.

Jesteśmy w zbudowanym z pleksiglasu labiryncie, który za pomocą jakiegoś efektu specjalnego wydaje się ciągnąć w nieskończoność pod wszechświatem gwiazd.

Przez przezroczyste tafle przelatują fale światła.

Suniemy naprzód.

Labirynt ma pięć wejść i stoję w samym centrum, widząc, jak osoby wchodzą w poszczególne ścieżki.

Uświadamiam sobie basowy dźwięk, który był od początku — nie muzyka, raczej biały szum, pomruk włączonego bez programu telewizora, syczący na tle głębokiego, ciągłego tonu.

Wybieram ścieżkę i w chwili, gdy wchodzę do labiryntu, ściany przestają być przejrzyste.

Pleksyglas wypełnia oślepiające światło, jest ono nawet pod stopami.

Po minucie na niektórych powierzchniach zaczynają się pojawiać

obrazy.

Narodziny: płaczące dziecko, płacząca z radości matka.

Skazaniec, kopiający i wijący się na stryczku.

Burza śnieżna.

Ocean.

Przesuwający się krajobraz pustyni.

Idę dalej ścieżką.

Wpadam w ślepe zaułki.

Wychodzę zza zakrętów.

Obrazy zmieniają się coraz szybciej, ich zapętlenia są coraz
ciaśniejsze.

Poskręcane resztki samochodów po zderzeniu.

Para podczas namiętnego seksu.

*Widok z perspektywy pacjenta wiezionego szpitalnym korytarzem, z
twarzami lekarzy i pielęgniarek dookoła.*

Krzyż.

Budda.

Pentagram.

Pacyfa.

Wybuch bomby atomowej.

Światła gasną.

Gwiazdy powracają.

Znowu da się patrzeć na wylot przez pleksiglas, tyle tylko, że
musiano nałożyć cyfrowy filtr, widać bowiem biały szum, kłębowisko
owadów i padający śnieg.

Obecne w labiryncie osoby wyglądają jak wycięte z papieru
sylwetki, poruszające się po gigantycznym pustkowiu.

Mimo dezorientacji i strachu minionej doby, choć raczej z powodu
wszystkiego, czego w tym czasie doświadczyłem, to, czego jestem
świadkiem, trafia mnie jak obuchem.

Widzę ludzi w labiryncie, ale nie mam wrażenia, byśmy byli w tym
samym miejscu, nawet w tej samej przestrzeni.

Wydają się oddaleni o kilka światów i zagubieni we własnych
wektorach.

Z potężną mocą trafia mnie poczucie straty.

Nie żaloba ani ból — coś bardziej pierwotnego.

Uświadomienie sobie i będąca następstwem tej świadomości groza — groza otaczającej nas, bezgranicznej obojętności.

Nie wiem, czy takie przesłanie zamierzała zaprezentować Daniela swoją instalacją, ale taki jest mój odbiór.

Wszyscy wędrujemy przez tundrę naszej egzystencji, nadając wartość temu, co bezwartościowe, podczas gdy wszystko, co kochamy i nienawidzimy, wszystko, w co wierzymy, za co zabijamy i umieramy, jest tak nieznaczące, jak wyświetlane na pleksiglasie obrazy.

Przy wyjściu z labiryntu pojawia się ostatnia pętla obrazów — mężczyzna i kobieta trzymają za rękę dziecko i cała trójka biegnie na szczyt porośniętego trawą wzgórza, nad którym rozpościera się czyste, błękitne niebo — po czym na pleksiglasowej tafli powoli materializują się słowa:

Nic nie istnieje.

Wszystko jest snem.

Bóg — człowiek — świat — słońce, księżyc, przestwór gwiazd — są snem; wszystko jest snem; naprawdę nie istnieje.

Nic nie istnieje poza pustą przestrzenią i tobą! (...)

A ty nie jesteś sobą — nie masz ciała, krwi, kości, jesteś tylko myślą.

MARK TWAIN

Wychodzę do innego przedpokoju, gdzie członkowie mojej grupy zebrali się wokół reklamówki i wyszukują swoje telefony.

Za przedpokojem, w głębi wielkiej, jasno oświetlonej galerii z błyszczącą podłogą z ekskluzywnego drewna i zdobionymi dziełami sztuki ścianami, widać trio skrzypcowe i... kobietę w zachwycającej czarnej sukience, stojącą na podwyższeniu i wyjaśniającą coś tłumowi.

Potrzebuję kilku sekund, aby uzmysłwić sobie, że to Daniela.

W dłoni trzyma kieliszek czerwonego wina, drugą gestykuluje i cała aż promienieje.

— ...niesamowity wieczór i jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna za przybycie i wsparcie mojego nowego projektu. To dla mnie cały świat. — Unosi kieliszek w górę. — *Salud!*

Tłum odpowiada i gdy wszyscy piją, idę w jej kierunku.

Jej bliskość działa elektryzująco, Daniela tak skrzy się życiem, że muszę się powstrzymać, aby do niej nie zawołać. Oto Daniela o energii takiej, jak piętnaście lat temu, gdy się poznaliśmy, zanim lata życia — codzienność, radości, przygnębienie, kompromisy — zmieniły ją w kobietę, która dzieli teraz z mną łóżko: wspaniałą matkę, wspaniałą kobietę, ciągle jednak walczącą z podszeptem wątpliwości, jak mogłoby wyglądać jej alternatywne życie.

Moja Daniela ma w oczach ciężar i dystans, który czasami mnie przeraża.

Ta Daniela unosi się dwa centymetry nad ziemią.

Jestem od niej niecałe trzy metry, serce mi wali, pytając, czy jeżeli mnie dostrzeże, to...

Kontakt wzrokowy.

Jej oczy rozszerzają się, otwiera usta i nie umiem ocenić, czy jest przerażona, zachwycona, czy jedynie zaskoczona moim widokiem.

Zaczyna się przeciskać przez tłum, podchodzi, zarzuca mi ramiona na szyję i mocno się do mnie przytula.

— Boże drogi... nie mogę uwierzyć, że się zjawiliś. Wszystko w porządku? Słyszałam, że wyjechałeś z kraju, zaginałeś czy coś w tym stylu.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, więc wybieram wariant neutralny.

— No cóż, jestem.

Daniela od lat nie używała perfum, ale dziś nimi pachnie, pachnie jak Daniela beze mnie, jak Daniela, zanim nasze osobne zapachy połączyły się w nas dwoje.

Nie mam ochoty jej puścić — potrzebuję jej dotyku — ale odsuwa się ode mnie.

— Gdzie Charlie? — pytam.

- Kto?

— Charlie.

— O kim mówisz?

Coś we mnie pęka.

— Jasonie?

Daniela nie zna naszego syna.

Mamy w ogóle syna?

Charlie istnieje?

Oczywiście, że istnieje. Widziałem, jak się rodzi. Dziesięć sekund po tym, jak wijąc się i wrzeszcząc, przyszedł na świat, trzymałem go na rękach.

— Wszystko w porządku? — pyta Daniela.

— Tak, jeszcze się nie pozbierałem po tym labiryncie.

— Co o nim sądzisz?

— O mało się nie popłakałem.

— Ale to przecież twoje dzieło.

— O czym mówisz?

— Pamiętasz naszą rozmowę sprzed pół roku? Gdy przyszedłeś do mnie? Zainspirowałeś mnie, Jasonie. Każdego dnia, gdy to tworzyłam, myślałam o tobie. O tym, co powiedziałeś. Nie widziałeś dedykacji?

— Nie, gdzie była?

— Przy wejściu. Jest dla ciebie. Zadedykowałam labirynt tobie i próbowałam się z tobą skontaktować. Chciałam, żebyś był dziś wieczór moim gościem specjalnym, ale nikt nie umiał cię znaleźć. — Uśmiecha się. — Ale jesteś. Nic więcej się nie liczy.

Serce wali mi w szaleńczym rytmie, świat zaraz zacznie wirować i nagle obok Daniela stoi Ryan Holder i obejmuje ją ramieniem. Ma na sobie tweedową marynarkę, włosy mu siwieją, jest bledszy i mniej wysportowany niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni, co nie mogło być wczoraj wieczorem w Village Tap, podczas opijania jego nagrody imienia Pavii.

— No no — mówi Ryan, ściskając mi dłoń. — Pan Pavia. We własnej osobie.

— Chłopaki — wtrąca się Daniela — muszę trzymać się zasad i iść do ludzi, ale gdy tu skończymy, zaplanowałam tajne spotkanie u mnie w domu. Wpadniesz, Jasonie?

— Z przyjemnością.

Gdy patrzę za znikającą w tłumie Danielą, odzywa się Ryan.

— Drinka?

Boże, i to jak...

Galeria rozkręciła się na pełne obroty — kelnerzy we frakach roznoszą tace pełne przekąsek i szampana, w głębi sali, pod tryptykiem autoportretów Daniela pulsuje płatny bar.

Gdy barman nalewa nam whisky — 12-letniego Macallana — do plastikowych kubków, Ryan odwraca się do mnie.

— Wiem, że lubisz elegancję, ale zdobyłem tylko to.

Dziwne, ale nie ma w nim arogancji ani napuszenia człowieka, który wczoraj wieczór brylował w moim lokalnym barze.

Bierzemy drinki i znajdujemy sobie cichy kąt, oddalony od otaczającego Danielę tłum.

Z każdą chwilą robi się coraz więcej ludzi, kolejni bowiem wychodzą z labiryntu.

— Co porabiasz? — pytam. — Mam wrażenie, że straciłem cię trochę z oczu.

— Przeniosłem się na uniwersytet w Chicago.

— Gratulacje. Więc uczysz?

— Neurobiologii komórkowej i molekularnej. Prowadziłem też kilka dość ciekawych badań dotyczących kory przedczołowej.

— Brzmi podniecająco.

Ryan pochyla się do mnie.

— A tak na poważnie, to świadek oszalał. Wszyscy plotkują. Mówiło się... — ścisza głos — że się rozleciałeś i postradałeś zmysły. Że siedzisz gdzieś w pokoju bez klamek. Że nie żyjesz.

— Jestem. Prawdziwy, ciepły i oddychający.

— Więc ten składnik, który dla ciebie stworzyłem... zadziałał?

Wbijam w niego wzrok, nie mając zielonego pojęcia, o czym mówi.

Ponieważ przez dłuższy czas nie odpowiadam, Ryan dodaje:

— No tak, rozumiem. Zasypali cię pewnie stosem klauzul o nieujawnianiu tajemnicy...

Popijam drinka. Ciągle jeszcze jestem głodny, więc alkohol zbyt szybko trafia mi do głowy. Gdy przechodzi obok nas kolejny kelner, łapię ze srebrnej tacy trzy miniaturowe quiche.

Niezależnie od tego, co nęka Ryana, nie jest w stanie odpuścić.

— Wiesz, nie chcę się przypieprzać, ale mam wrażenie, że zrobiłem po cichu dla ciebie i Velocity kawał roboty. Znamy się od wieków i wiem, że jesteś w całkiem innym punkcie kariery, ale nie wiem... dostałeś ode mnie to, czego chciałeś, i...

- Co?

— Zapomnijmy o tym.

— Nie, mów.

— Mówię tylko, że powinieneś okazać staremu kumplowi z pokoju nieco więcej szacunku.

— O jakim składniku mówisz?

W jego spojrzeniu pojawia się pogarda, której nie stara się szczególnie ukrywać.

— Pieprz się.

Stoimy w milczeniu pod ścianą coraz bardziej zatłoczonego pomieszczenia.

— Więc jesteście razem? — pytam. — Ty i Daniela.

— Tak jakby.

— To znaczy?

— Spotykamy się od jakiegoś czasu.

— Zawsze miałaś na nią ochotę, prawda?

W odpowiedzi Ryan jedynie się uśmiecha.

Przepatruję tłum i znajduję Daniellę. Jest otoczona przez dziennikarzy z pootwieranymi notesami, którzy zapisują jej słowa. Wygląda na bardzo opanowaną.

— I jak wam idzie? — pytam, choć nie wiem do końca, czy chcę znać odpowiedź. — Tobie i mojej... i Danieli?

— Wspaniale. To kobieta moich marzeń.

Uśmiecha się enigmatycznie i przez trzy sekundy mam ochotę go zamordować.

*

Jest pierwsza w nocy, siedzę na kanapie w mieszkaniu Danieli i patrzę, jak odprowadza do drzwi ostatnich gości. Kilka minionych godzin było sporym wyzwaniem — konieczność prowadzenia pseudosensownej konwersacji z artystycznymi przyjaciółmi Danieli

trudno pogodzić z oczekiwaniem na okazję bycia z nią sam na sam. Najwyraźniej chwila ta nie jest mi jeszcze pisana: Ryan Holder, człowiek, który sypia z moją żoną, w dalszym ciągu tu jest i gdy zwala się na stojący naprzeciwko mnie skórzany fotel, mam wrażenie, że zamierza się zadomowić, prawdopodobnie na całą noc.

Z ciężkiej szklanki pijam single malt. Nie jestem pijany, choć na pewno porządnie oszołomiony alkoholem, który przyjemnie amortyzuje moją psychikę od skutków wpadnięcia w króliczą norę, w której tkwię.

Tę krainę czarów, która ponoć jest moim życiem.

Ciekawe, czy Daniela chciałaby, abym sobie poszedł. Czy jestem niepomnym zasad ostatnim gościem, nieświadomym tego, że nadużywa gościnności.

Daniela zamyka drzwi i zakłada łańcuch.

Zrzuca buty, podchodzi do kanapy i ciężko siada.

— Co za wieczór... — wzdycha.

Otwiera szufladę szafki przy kanapie i wyciąga zapalniczkę oraz pożółkłą szklaną lufkę.

Daniela przestała palić po zajściu w ciążę i nigdy do tego nie wróciła. Patrzę, jak się zaciąga, po czym podaje mi lufkę. Bardziej dziwna ta noc już być nie może, więc... czemu nie?

Wkrótce wszyscy siedzimy upaleni, wsłuchując się w buczącą ciszę wielkiego loftu, którego ściany pokrywa ogromny, eklektyczny zbiór dzieł sztuki.

Daniela odsunęła zasłony ogromnego, wychodzącego na południe okna, które tworzy tło salonu: migoczący spektakl świateł centrum za szkłem.

Ryan podaje Danieli lufkę, a gdy ona zaczyna nabijać ją na nowo, mój dawny kumpel z pokoju opada ciężko na oparcie i wbija wzrok w sufit. Na widok sposobu, w jaki oblizuje przód zębów, muszę się uśmiechnąć, bowiem to jego dawny ziołowy tik, który miał już w szkole.

Wyglądam przez okno.

— Jak dobrze mnie znacie? — pytam.

Pytanie skupia ich uwagę.

Daniela odkłada lufkę na stół i odwraca się na kanapie, aż siedzi twarzą do mnie, z kolanami przyciągniętymi do piersi.

Ryan otwiera oczy.

Prostuje się.

— Co masz na myśli? — pyta Daniela.

— Ufasz mi?

Wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni. Prąd w najczystszej postaci.

— Oczywiście, skarbie.

— Nawet gdy nie do końca się zgadzaliśmy — mówi Ryan — zawsze szanowałem twoją przyzwoitość i prawość.

— Wszystko w porządku? — Daniela sprawia wrażenie lekko zdezorientowanej.

Nie powinienem tego robić. Naprawdę powinienem się powstrzymać.

Brnę jednak dalej.

— Weźmy hipotetycznie... w Chicago mieszka pewien naukowiec, wykładowca fizyki. Nie odnosi ogromnych sukcesów, o jakich zawsze marzył, ale jest szczęśliwy, zazwyczaj zadowolony i żonaty... — patrzę na Danielę, przypominając sobie, jak Ryan określił ją w galerii — ...z kobietą swoich marzeń. Mają syna. Prowadzą dobre życie. Pewnego wieczora człowiek ten wychodzi do baru, aby spotkać się ze starym przyjacielem, kumplem z uniwerku, który zdobył prestiżową nagrodę. W drodze powrotnej coś mu się przydarza i nie wraca do domu. Zostaje porwany. Okoliczności są niejasne, a gdy odzyskuje przytomność, znajduje się w laboratorium na południu Chicago i wszystko się zmieniło. Jego dom się zmienił. Nie jest już wykładowcą. Nie jest mężem swojej żony.

— Chcesz powiedzieć, że sądzi, iż wszystko się zmieniło, czy że naprawdę się zmieniło? — pyta Daniela.

— Chcę powiedzieć, że z jego perspektywy jest w świecie, który nie jest jego światem.

— Ma raka mózgu — sugeruje Ryan.

Patrzę w jego kierunku.

— Z rezonansu wynika, że nie.

— Więc może ktoś sobie z nim pogrywa. Zorganizował szeroko zakrojone oszustwo, obejmujące każdy aspekt jego życia. Chyba widziałem kiedyś coś takiego w kinie.

— W ciągu niecałych ośmiu godzin wewnątrz jego domu kompletnie się zmieniło. Nie chodzi o inne obrazy na ścianach. Zmienione są elementy wyposażenia. Meble są nowe. Kontakty na ścianach są w innych miejscach. Żadne oszustwo nie mogłoby być aż tak szczegółowe. Poza tym, jaki w tym cel? Jest zwykłym facetem. Z jakiego powodu ktoś miałby się z nim zabawiać na takim poziomie?

— Więc oszalał — stwierdza Ryan.

— Nie oszalałem.

W lofcie robi się bardzo cicho.

Daniela ujmuje moją dłoń.

— Co próbujesz nam powiedzieć, Jasonie?

— Dziś wieczór powiedziałaś, że do zrobienia instalacji zainspirowała cię nasza rozmowa.

— Tak powiedziałam.

— Możesz mi o niej opowiedzieć?

— Nie pamiętasz jej?

— Ani jednego słowa.

— Jak to możliwe?

— Proszę cię.

Zapada długa chwila ciszy, w czasie której Daniela patrzy mi w oczy, jakby chciała znaleźć potwierdzenie, że nie żartuję.

— To było na wiosnę, jeśli dobrze pamiętam — mówi w końcu. — Nie widzieliśmy się od dłuższego czasu i w zasadzie nie rozmawialiśmy na poważnie, odkąd tyle lat temu się rozeszliśmy.

Oczywiście śledziłam twoje sukcesy. Zawsze byłam z ciebie dumna... W każdym razie któregoś wieczora zjawiłeś się w mojej pracowni, ni stąd, ni zowąd. Powiedziałeś, że ostatnio o mnie myślisz, i z początku pomyślałam, że próbujesz rozniecić dawny płomień, ale nie o to chodziło. Naprawdę nic z tego nie pamiętasz?

— Jakby mnie tam nie było.

— Zaczęliśmy rozmawiać o twoich badaniach, jak bardzo jesteś zaangażowany w jakiś tajny projekt i — to akurat pamiętam bardzo dokładnie — powiedziałaś, że prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczymy. Wtedy dotarło do mnie, że nie przyszedłeś towarzysko, lecz się pożegnać. Potem mówiłeś, że nasza egzystencja polega na

dokonywaniu wyborów i niektórych dokonałeś źle, żadnego jednak nie spaprałeś aż tak, jak bycia ze mną. Przepraszałeś za wszystko. Było to bardzo emocjonalne. Nie słyszałam o tobie ani nie wdzieliśmy się ponownie aż do dziś. Mogę teraz ja zadać pytanie?

— Oczywiście. — Chwieję się między odurzeniem alkoholem i trawą a tym, co mówi Daniela.

— Gdy zobaczyłeś mnie w galerii, pierwsze, o co zapytałeś, to czy wiem, gdzie jest Charlie. Kto to jest?

Jedną z rzeczy, którą najbardziej uwielbiam w Danieli, jest jej szczerość. Jakby miała bezpośrednie połączenie między sercem a ustami. Żadnego filtra, żadnej autocenzury. Mówi, co czuje, bez grama przebiegłości czy kalkulacji. Nie ma dla niej półcieni.

Tak więc, gdy widzę w jej oczach, że pyta, bo naprawdę chce wiedzieć, odbiera mi oddech.

— Nieważne — odpowiadam.

— Najwyraźniej ważne. Nie widzimy się półtora roku i takie właśnie zadajesz mi pierwsze pytanie?

Dopijam drinka i rozgryzam resztkę lodu.

— Charlie to nasz syn.

Krew odpływa jej z twarzy.

— Chwila — wtrąca się Ryan. — Zdawało mi się, że to zwykła rozmowa po upaleniu. O co tu właściwie chodzi? — Patrzy na Daniellę, potem na mnie. — To jakiś żart?

— Nie, to nie jest żart.

— Nie mamy syna i dobrze o tym wiesz — mówi Daniela. — Nie jesteśmy razem od piętnastu lat. Wiesz o tym, Jasonie. Wiesz.

Chyba mógłbym spróbować ją przekonać. Wiem tyle o tej kobiecie — znam tajemnice z jej dzieciństwa, które ujawniła mi dopiero w ciągu ostatnich pięciu lat. Obawiam się jednak, że mógłbym sobie w ten sposób tylko strzelić w stopę. Że nie uznałaby tego za dowody, jak dobrze ją znam, lecz za jarmarczne sztuczki. Domoroślą magię. Mógłbym się założyć, że najlepszą drogą do przekonania jej, iż mówię prawdę, jest stuprocentowa szczerość.

— Oto, co wiem, Danielo. Mieszkamy razem w moim domu przy Logan Square. Mamy czternastoletniego syna o imieniu Charlie.

Jestem przeciętnym wykładowcą w Lakemont. Jesteś wspaniałą żoną i matką, która poświęciła swoją karierę dla domu. A ty, Rynie, ty jesteś sławnym specjalistą z zakresu neuronauk. To ty zdobyłeś nagrodę imienia Pavii.

Ty wykładasz na całym świecie. Wiem, że brzmi to kompletnie wariacko, ale ani nie mam raka mózgu, ani nikt sobie ze mną nie pogrywa, ani nie postradałem zmysłów.

Ryan wybucha śmiechem, ale nie trzeba być szczególnie dobrym obserwatorem, aby wyczuć, że to tylko fasada.

— Załóżmy, całkowicie hipotetycznie, że wszystko, co właśnie powiedziałaś, to prawda — mówi. — A przynajmniej, że w to wierzysz, Zmienną niewiadomą w tej opowieści jest twoja praca z ostatnich lat. Ten tajny projekt. Co możesz nam o nim powiedzieć?

- Nic.

Ryan wstaje.

— Idziesz? — pyta Daniela.

— Jest już późno. Mam tego dość.

— Nie chodzi o to, że nie chcę nic powiedzieć — wyjaśniam. — Nie mogę, bo niczego nie pamiętam. Jestem wykładowcą fizyki. Obudziłem się w tym laboratorium i wszyscy uważali, że przynależę do tego miejsca, ale tak nie było.

Ryan bierze kapelusz i rusza do drzwi.

W progu odwraca się i patrzy na mnie z troską.

— Nie jest z tobą dobrze. Pozwól się zawieźć do szpitala.

— Już byłem. Nie wrócę tam.

Patrzy na Daniellę.

— Chcesz, żeby wyszedł?

Daniella odwraca się do mnie, zastanawiając się — jak przypuszczam — czy chce zostać sam na sam z wariatem. Co, jeżeli postanowi mi nie ufać?

Kręci po chwili głową.

— Nie ma sprawy.

— Ryan — rzucam na koniec — jaki składnik zrobiłeś dla mnie?

Wbija we mnie wzrok i przez chwilę mam wrażenie, jakby zamierzał odpowiedzieć. Jego twarz traci twardość, jakby wahał się, czy

zwariowałem, czy tylko jestem ujaranym kutasem.

Podejmuje decyzję.

Twardość powraca.

— Dobranoc, Danielo — mówi bez śladu ciepła w głosie.

Odwraca się.

Wychodzi.

Zatrzaszkuje za sobą drzwi.

*

Daniela wchodzi do pokoju gościnnego. Ma na sobie spodnie od dresu i koszulkę na cienkich ramiączkach, w dłoniach niesie filiżankę herbaty. Schnę po prysznicu.

Nie czuję się ani odrobinę lepiej, ale przynajmniej jestem czysty i pozbyłem się szpitalnego odoru choroby i chloru.

Daniela siada na skraju łóżka i podaje mi filiżankę.

— Rumianek.

Obejmuję ciepłe naczynie dłońmi.

— Nie musiałaś tego robić. Mam dokąd pójść.

— Zostajesz ze mną. Koniec i kropka.

Przechodzi nad moimi nogami i siada obok, oparta plecami o wezgłowie łóżka.

Popijam herbatę.

Jest gorąca, kojąca, leciutko słodka.

Daniela patrzy na mnie.

— W szpitalu jakie mieli podejrzenie co do ciebie?

— Nie wiedzieli, co mi jest. Chcieli mnie zamknąć.

— W psychiatryku?

— Aha.

— Zamierzałeś się zgodzić?

— Nie. Uciekłem.

— Czyli zamierzali leczyć cię przymusowo?

— Dokładnie.

— Jesteś pewien, że w tej chwili nie byłoby to najlepsze? No wiesz, co byś sobie pomyślał, gdyby ktoś ci powiedział coś takiego, co

mnie powiedziałeś?

- Uznałbym, że postradał zmysły. Ale bym się mylił.
- No to mi powiedz: co się, twoim zdaniem, z tobą dzieje?
- Nie jestem do końca pewien.
- Ale jesteś naukowcem. Na pewno masz jakąś teorię.
- Mam zbyt mało danych.
- Co mówi ci przeczucie?

Biorę łyk rumianku, rozkoszując się falą ciepła, gdy spływa mi w dół gardła.

— Żyjemy w zupełnej nieświadomości faktu, że jesteśmy elementem rzeczywistości znacznie większej i dziwniejszej, niż jesteśmy to sobie w stanie wyobrazić.

Daniela ujmuję moją dłoń i choć nie jest to Daniela, którą znam, nie da się ukryć, jak szaleńczo kocham tę kobietę, nawet tu i teraz, siedząc na łóżku w innym świecie.

Patrzę na nią, w szkliste i głębokie hiszpańskie oczy. Muszę zbierać całą siłę woli, aby trzymać łapy z daleka.

— Boisz się? — pyta.

Wracam myślami do człowieka, który trzymał mnie na muszce. Do tamtego laboratorium. Ekipy, która zjawiała się w moim domu i próbowała mnie przechwycić. Myślę o człowieku, który palił pod hotelem. Pomijając wszystkie elementy mojej tożsamości i tutejszej rzeczywistości, które nie pasują, tu, za tymi ścianami, krążą całkiem realni ludzie, którzy mnie szukają.

Którzy mnie skrzywdzili i prawdopodobnie chcą to zrobić ponownie.

Uświadamiam sobie coś strasznego: mogą mnie tu wyśledzić? Sprowadziłem na Daniellę niebezpieczeństwo?

Nie.

Nie jest moją żoną, jedynie dziewczyną sprzed piętnastu lat — dlaczego miałyby być na czyimś celowniku?

- Jasonie? — pyta ponownie Daniela. — Boisz się?
- Bardzo.

Podnosi dłoń i delikatnie dotyka mojej twarzy.

— Siniaki.

- Nie wiem, skąd je mam.
- Opowiedz mi o nim.
- O kim?
- O Charliem.
- To musi być dla ciebie bardzo dziwaczne.
- Nie będę udawać, że nie jest.
- No cóż, jak mówiłem, ma czternaście lat. Prawie piętnaście.

Urodził się dwudziestego pierwszego października, jako wcześniak, w Chicago Mercy. Ważył niecały kilogram. W pierwszym roku potrzebował mnóstwa opieki, ale walczył. Teraz jest zdrowy i dogonił mnie wzrostem.

W jej oczach zbierają się łzy.

- Ma ciemne włosy jak ty i wspaniałe poczucie humoru.

Porządny uczeń na czwórki. Z bardzo dobrą prawą półkula, jak mama. Uwielbia japońskie komiksy i jazdę na deskorolce. Namiętnie rysuje szalone krajobrazy. Myślę, że nie za wcześnie, aby powiedzieć, że ma do nich twoje oko.

- Przestań.

- Co?

Daniela zamyka oczy, ale łzy wyciekają jej spod powiek i zaczynają spływać po policzkach.

- Nie mamy syna.

— Przysięgniesz, że nie pamiętasz go? — pytam. — Że to nie jest żadna gra? Jeśli mi to powiesz, natychmiast...

— Jasonie, zerwaliśmy ze sobą piętnaście lat temu. Dokładnie mówiąc, rzuciłeś mnie.

- To nieprawda.

— Dzień przedtem powiedziałam ci, że jestem w ciąży.

Potrzebowałeś czasu na zastanowienie. Przyszedłeś potem do mojego mieszkania i stwierdziłeś, że to najtrudniejsza decyzja, jaką musiałeś podjąć w życiu, ale jesteś zaangażowany w badania, które pozwolą ci zdobyć wielką nagrodę. Powiedziałeś, że następny rok spędzisz w pomieszczeniu czystym i zasługuję na coś lepszego. Że nasze dziecko zasługuje na coś lepszego.

- To nie tak było — odpowiadam. — Powiedziałem ci, że nie

będzie łatwo, ale sobie poradzimy. Wzięliśmy ślub. Urodziłaś Charliego. Straciłem finansowanie, ty porzuciłaś malarstwo. Zostałem wykładowca, ty pełnoetatową matką.

— A mimo to jesteśmy dziś tutaj. Nie jako małżeństwo. Nie jako rodzice. Właśnie przyszliśmy z wernisażu wystawy, która mnie rozślawi, i to ty zdobyłaś nagrodę. Nie wiem, co się dzieje w twojej głowie, może masz inne wspomnienia, ale wiem, co jest rzeczywiste.

Wpatruję się w lecącą z rumianku parę.

— Uważasz, że zwariowałem?

— Nie wiem, ale na pewno nie jest z tobą dobrze.

Patrzy na mnie z charakterystycznym dla siebie współczuciem. Dotykam owiniętej wokół palca nitki, która ma mnie chronić jak talizman.

— Wiesz, może wierzysz w to, co mówię, może nie wierzysz, ale chcę, abyś wiedziała, że ja w to wierzę. Nigdy bym cię nie okłamał.

Być może jest to najbardziej surrealistyczna chwila, jakiej doświadczyłem od odzyskania świadomości w laboratorium — siedzę na łóżku w pokoju gościnnym kobiety, która jest moją żoną, ale nią nie jest, i rozmawiamy o synu, którego prawdopodobnie nigdy nie mieliśmy, i o życiu, które nie było nasze.

*

Budzę się w środku nocy z walącym sercem, ciemność wokół wiruje, usta mam chorobliwie suche.

Przez przerażającą minutę nie wiem, gdzie jestem.

To nie skutek alkoholu ani marihuany.

Dezorientacja płynie z głębszych zakamarków.

Owijam się ciasno kołdrą, nie mogę jednak przestać dygotać. Ból narasta, rozprzestrzenia się na całe ciało, nogi mi drżą, a w głowie pulsuje.

*

Gdy ponownie otwieram oczy, pokój wypełnia dzienne światło. Daniela pochyła się nade mną. Wygląda na zaniepokojoną.

— Płoniesz, Jasonie. Powinnam cię zawieźć do szpitala.

- Nic mi nie będzie.
- Nie wyglądasz dobrze. — Kładzie mi na czole zimną szmatkę. — Może tak być?
- Jest dobrze, ale nie musisz tego robić. Pojadę taksówką do mojego hotelu.
- Tylko spróbuj wyjść.

*

Wczesnym popołudniem gorączka zaczyna spadać.

Daniela gotuje mi prawdziwy rosół z kury z makaronem i jem, siedząc na łóżku, podczas gdy ona siedzi w kącie na krześle, z tak dobrze znanym mi wyrazem oczu, jakby była gdzieś daleko.

Zagłębiła się w myślach, дума nad czymś tak intensywnie, że nawet nie zauważa, jak ją obserwuję. Nie chcę się gapić, ale nie mogę oderwać od niej wzroku. Jest tak bardzo Daniellą, z wyjątkiem...

Ma nieco krótsze włosy.

Jest szczuplejsza.

Zrobiła sobie makijaż, a ubranie — dzinsy i dopasowany T-shirt — znacznie ją odmładzają. Nie wygląda na 39 lat.

- Jestem szczęśliwa? — pyta niespodziewanie.
 - Co masz na myśli?
 - W życiu, które dzielimy... jestem szczęśliwa?
 - Sądziłem, że nie chcesz o tym rozmawiać.
 - Nie mogłam w nocy zasnąć. Tylko o tym myślałam.
 - Wydaje mi się, że jesteś.
 - Nawet bez sztuki?
 - Tęsknisz za nią, to pewne. Obserwujesz sukcesy dawnych przyjaciół i cieszysz się z ich osiągnięć, ale wiem, że cię to też kłuje. Tak jak mnie. To nas łączy.
 - Chcesz powiedzieć, że oboje przegraliśmy.
 - Niczego nie przegraliśmy.
 - Jesteśmy szczęśliwi? Razem?
- Odstawiam miskę z zupą.

— Uhm. Bywały trudniejsze chwile, jak w każdym małżeństwie, ale mamy syna, dom, rodzinę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Patrzy mi prosto w oczy i pyta z uśmiechem:

— A seks?

Odpowiadam śmiechem.

— Boże, sprawiłam, że się zaczerwieniłeś?

— W samej rzeczy.

— Ale nie odpowiedziałeś na pytanie.

— Nie odpowiedziałem, tak?

— No co? Jest kiepski?

Flirtuje teraz ze mną.

— Jest wspaniały, jestem tylko zakłopotany.

Daniela wstaje i podchodzi do łóżka.

Siada na krawędzi materaca i przygląda mi się swoimi wielkimi, głębokimi oczami.

— O czym myślisz? — pytam.

Daniela kręci głową.

— Że jeśli nie zwariowałeś ani nie masz nasrane we łbie, to właśnie przeprowadziliśmy najdziwniejszą rozmowę w historii ludzkości.

*

Siedzę na łóżku i obserwuję gasnące nad Chicago światło dnia.

Burza, która przyniosła wczorajszy deszcz, odleciała w dal, pozostawiając po sobie przejrzyste niebo; drzewa jakby się przemieniły, a spolaryzowane, złote światło ma w sobie coś zdumiewającego, co umiałbym określić jedynie pojęciem „straty”.

Złoto Roberta Frosta, które nie może trwać.

W kuchni stukają garnki, otwierają i zamykają się szuflady, choć korytarz jest długi, do pokoju gościnnego dolatuje zapach duszonego mięsa, który wydaje mi się podejrzenie znajomy.

Wstaję z łóżka i gdy czuję, że uda mi się ustać na nogach, ruszam w kierunku kuchni.

Rozbrzmiewa Bach, czerwone wino czeka otwarte, Daniela, ubrana w fartuch i okulary do pływania, stoi przy wyspie i sieka cebulę na kontuarze ze steatytu.

— Pachnie wspaniale — mówię.

— Mógłbyś zamieszać?

Podchodzę do kuchenki i podnoszę pokrywkę głębokiego garnka. Zapach, jaki uderza wraz z parą w twarz, przenosi mnie do domu.

— Jak się czujesz? — pyta Daniela.

— Jak inny człowiek.

— Czyli... lepiej?

— Znacznie.

Jest to tradycyjne hiszpańskie danie — kilka rodzajów roślin strączkowych duszonych z różnymi wędlinami: chorizo, pancetta, *morcilla de Burgos*. Daniela przyrządza je raz albo dwa razy w roku, zwykle w moje urodziny albo gdy w weekend wiatr bez przerwy nawiewa śnieg i mamy ochotę jedynie na picie wina i wspólne gotowanie przez cały dzień.

Mieszam potrawkę i przykrywam garnek.

— To przepis... — zaczyna Daniela.

— ...twojej matki — mówię, zanim zdążę pomyśleć, by się powstrzymać. — A dokładnie: matki twojej matki.

Daniela zamiera w pół ruchu, z uniesionym nad stołem nożem.

Przygląda mi się przez chwilę.

— Zagoń mnie do roboty — mówię.

— Co jeszcze o mnie wiesz?

— Z mojej perspektywy jesteśmy ze sobą od piętnastu lat, więc niemal wszystko.

— A z mojej to jedynie dwa i pół miesiąca, do tego wieki temu. Mimo to wiesz, że przepis był przekazywany w mojej rodzinie przez kilka pokoleń.

Zapada niezręczna cisza.

Jakby powietrze między nami było naładowane i drgało, cicho bucząc, w częstotliwości na granicy ludzkiej percepcji.

— Jeśli chcesz pomóc, to trzeba przygotować dodatki. Mogę ci powiedzieć jakie, ale prawdopodobnie nie muszę.

— Tarty cheddar, liście kolendry i śmietana?

— Tak jak myślałam: nie muszę mówić.

Jemy kolację przy stole ustawionym obok wielkiego okna. Płomienie świec odbijają się w szybie, za którą płoną światła miasta — nasza prywatna konstelacja gwiazd.

Jedzenie jest niesamowite, świece jeszcze bardziej podkreślają urodę Daniela, a ja po raz pierwszy od ucieczki z laboratorium czuję się, jakbym był na stałym lądzie.

Gdy nasze talerze są puste, a druga butelka wina została opróżniona, Daniela wyciąga rękę przez szklany stół i dotyka mojej dłoni.

— Nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje, Jasonie, ale cieszę się, że odnalazłeś drogę do mnie.

Mam ochotę ją pocałować.

Przyjęła mnie, gdy byłem zagubiony.

Kiedy świat stracił sens.

Nie całuję jej jednak. Jedyne ściskam jej dłoń.

— Nie masz pojęcia, co dla mnie zrobiłaś.

Sprzątamy ze stołu, wkładamy naczynia do zmywarki i bierzemy się za to, co trafiło do zlewozmywaka.

Ja zmywam, Daniela wyciera i odkłada. Jak stare małżeństwo.

— Ryan Holder, tak? — pytam ni stąd, ni zowąd.

Daniela przerywa wycieranie garnka i patrzy na mnie.

— Masz na ten temat jakieś zdanie, którym chciałbyś się podzielić?

— Nie, tylko...

— Co? Był twoim współlokatorem, przyjacielem. Nie akceptujesz tego?

— Zawsze czułem do ciebie miłość.

— Jesteśmy zazdrośni?

— Oczywiście.

— Dorośnij. To piękny mężczyzna.

Daniela wraca do wycierania.

— Jak bardzo to poważne?

— Kilka razy gdzieś wychodziliśmy. Jak na razie nie zostawiamy u siebie szczoteczek.

— Hm, chyba miałyby ochotę. Wygląda na zadurzonego. Daniela uśmiecha się.

— Jakże mogłoby być inaczej? Jestem wspaniała.

*

Leżę w łóżku przy uchylonym oknie, miejski hałas otacza mnie jak kokon.

Gapię się przez wysokie okno, obserwuję śpiące miasto.

Minionego wieczora zadałem proste pytanie: Gdzie jest Daniela?

I znalazłem ją — słynną, mieszkającą samotnie artystkę.

Nigdy nie byliśmy małżeństwem, nie mamy syna.

Jeżeli nie jestem ofiarą najbardziej pokrętnego oszustwa wszech czasów, natura tego, co ma związek z Daniellą, potwierdza tezę — na poparcie której od czterdziestu ośmiu godzin pojawiała się coraz więcej przesłanek — że...

To nie jest mój świat.

Brzmi to prosto, ale nie do końca mam pewność, co oznacza tych pięć słów ani jak mam zacząć traktować ich wagę.

Powtarzam je.

Przymierzam się do nich.

Sprawdzam, czy pasują.

TO NIE JEST MÓJ ŚWIAT.

*

Ze snu wrywa mnie ciche pukanie do drzwi.

— Proszę.

Daniela wchodzi i po chwili leży obok mnie w łóżku.

— Wszystko w porządku? — pytam, siadając.

— Nie mogę spać.

— Co się dzieje?

Całuje mnie, nie ma w tym jednak nic ze znanego pocałunku żony, z którą spędziło się piętnaście lat — jest to nasz pierwszy pocałunek, sprzed piętnastu lat.

Czysta energia i kurs na zderzenie.

Po chwili jest niemal całkiem pode mną, moje dłonie suną w jej ud, unosząc z nagich bioder satynową koszulkę i... zamieram w bezruchu.

— Dlaczego przerywasz? — pyta zdyszana.

Mało brakuje, abym powiedział: „Nie mogę, nie jesteś moją żoną” ale nawet to nie jest prawdą.

To jest Daniela, jedyna ludzka istota w tym zwariowanym świecie, która mi pomogła i — tak, może próbuję się usprawiedliwić — jestem tak bardzo wywrócony na nice, postawiony na głowie, przerażony, zdesperowany, że nie tylko tego chcę, ale potrzebuję — i Daniela chyba też.

Patrzę jej w oczy, lekko zamglone, a równocześnie błyszczące od zakradającego się przez okno światła.

Oczy, w które można wpaść jak w studnię i lecieć, lecieć, lecieć...

Nie jest matką mojego syna, nie jest moją żoną, nie spędziliśmy razem pół życia, ale kocham ją tak samo mocno, jak tę wersję Daniela, która istnieje w mojej głowie i przeszłości. Kocham osobę, która leży na łóżku pode mną, tu i teraz, gdziekolwiek to jest, ponieważ jest to dokładnie ta sama organizacja cząstek: te same oczy, ten sam głos, ten sam zapach, ten sam smak...

To, co następuje potem, nie jest fizyczną miłością małżonków,

To dziki seks, pełen obmacywania, atmosfery tylnego siedzenia samochodu, bez-zabezpieczenia-bo-kogo-to-obchodzi, z eksplozją zderzających się na końcu jąder atomów.

*

Potem, spoceni i zdyszani, leżymy wtuleni w siebie i wpatrujemy się w światła naszego miasta.

Serce Daniela wali jak oszalałe, czuję na boku każde, z każdą chwilą wolniejsze, du-dum.

Wolniejsze.

Coraz wolniejsze.

— Wszystko w porządku? — pyta Daniela szeptem. — Słyszę obracające ci się pod czaszką trybiki.

— Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię nie znalazł.

— Ale znalazłeś. Cokolwiek się dzieje, jestem tu, aby ci pomóc.
Wiesz o tym, prawda?

Przeciąga palcami po moich dłoniach.
Zatrzymuje się przy nitce wokół palca.

— Co to?

— Dowód.

— Dowód?

— Że nie oszalałem.

Znowu zapada cisza.

Nie ma nigdzie zegarka, jestem jednak pewien, że musiała minąć druga w nocy.

Bary są pozamykane.

Ulice są ciche i spokojne, jak zwykle o tej porze — z wyjątkiem nocy, w których szaleje burza śnieżna.

Powietrze, które wsącza się przez szczelinę w oknie, dowodzi, że jest zdecydowanie najzimniej ze wszystkich ostatnich dni.

Owiewa nasze spocone ciała.

— Muszę wrócić do domu — przerywam milczenie.

— Tego przy Logan Square?

- Tak.

— Po co?

— Mam tam gabinet do pracy. Muszę się dostać do komputera i sprawdzić, nad czym dokładnie pracowałem. Może znajdę dokumenty, notatki, coś, co rzuci nieco światła na to, co się ze mną dzieje.

— Mogę cię zawieźć z samego rana.

— Prawdopodobnie nie powinnaś tego robić.

— Dlaczego?

— To może być niebezpieczne.

— Dlaczego nie...

Z salonu dolatuje potężne uderzenie w drzwi, jakby ktoś załomotał o nie pięściami. Tak jak wałą do drzwi gliniarze.

— Kto to, do cholery, może być o tej porze?

Daniela wstaje z łóżka i wychodzi nago z pokoju.

Potrzebuję minuty, aby znaleźć w splątanej narzucie bokserki, i w chwili, gdy je wciągam, Daniela wychodzi ze swojej sypialni w

szlafroku frotte.

Idziemy do salonu.

Walenie w drzwi nie ustaje, Daniela podchodzi do nich.

— Nie otwieraj — szepczę.

— Oczywiście, że nie.

Gdy pochyła się w kierunku judasza, dzwoni telefon.

Wzdrygamy się oboje.

Daniela wraca do leżącego na stoliku do kawy bezprzewodowego aparatu.

Wyglądam przez judasza: na korytarzu stoi odwrócony plecami do drzwi mężczyzna.

Trzyma przy uchu komórkę.

Daniela odbiera.

— Halo?

Mężczyzna jest ubrany na czarno — martensy, džinsy, skórzana kurtka.

— Kto mówi? — pyta Daniela.

Podchodzę do niej, wskazuję na drzwi i bezgłośnie poruszam ustami, formułując pytanie: *To on?*

Daniela potwierdza skinieniem głowy.

— Czego chce?

Daniela wskazuje palcem na mnie.

Słyszę głos mężczyzny, dolatujący równocześnie zza drzwi i z aparatu w dłoni Daniela.

— Nie wiem, o kim pan mówi — próbuje go przekonać Daniela.
— Jestem sama, mieszkam sama i nie wpuszczę do mieszkania obcego mężczyzny, na dodatek o drugiej w...

Zamek eksploduje, a łańcuch zrywa się i wystrzeliwuje w bok. Mężczyzna wchodzi do środka, unosząc pistolet z zamocowaną na lufie długą czarną rurą.

Celuje do nas obojga, a gdy kopniakiem zamyka drzwi, czuję wpadający do środka dym papierosowy.

— Przyszedł pan z mojego powodu — mówię. — Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Jest trzy, może cztery centymetry niższy ode mnie, ale bardziej

krępy. Głowę ma ogoloną na łyso, szare oczy są nie tyle zimne, co nieobecne, jakby uważał mnie nie za istotę ludzką, ale za źródło informacji. Jedyneki i zera. Jak maszyna.

Zaschło mi w ustach.

Między tym, co się dzieje, a moją zdolnością przetwarzania informacji jest dziwne przesunięcie. Brak połączenia. Opóźnienie. Powinienem coś zrobić, coś powiedzieć, ale paraliżuje mnie cała ta sytuacja.

— Pójdę z panem. Tylko...

Lufa odsuwa się nieco ode mnie i przesuwa wyżej.

— Sekundę... nie... — mówi Daniela.

Przerywa jej jęzor ognia z lufy i stłumiony huk, znacznie cichszy niż w przypadku zwykłej broni.

Przez chwilę oślepia mnie drobna czerwona mgiełka. Daniela opada na kanapę z dziurą między wielkimi, ciemnymi oczami.

Ruszam w jej kierunku z krzykiem na ustach, ale nagle każda część mojego ciała zacina się, mięśnie kurczą się w niemożliwy do opanowania sposób i upadam całym ciężarem na stolik do kawy, dygocząc i jęcząc pośród rozbitego szkła, próbując wmówić sobie, że to się nie dzieje naprawdę.

Mężczyzna wykręca mi bezużyteczne ramiona na plecy i krępuje nadgarstki plastikowymi kajdankami.

Rozlega się trzask rozrywanego materiału.

Zakleja mi usta taśmą i siada na skórzanym fotelu za moimi plecami.

Próbuję krzyczeć przez taśmę. Błagam, aby nie działo się to naprawdę, niestety, wszystko to jest rzeczywiste i nie mam żadnej możliwości tego zmienić.

Zza moich pleców dobiega głos intruza — spokojny, choć w nieco wyższym rejestrze, niżbym się spodziewał.

— Taa... jestem na miejscu... możesz wrócić dookoła... dokładnie. Tak, przy śmietnikach. Furtka od tyłu i tylne drzwi budynku są otwarte. .. Dwa powinny wystarczyć. Jesteśmy na górze w niezłej formie, ale wiesz, lepiej nie zwlekać... aha... aha... okej, brzmi w porządku.

Obezwładniający efekt — zakładam, że porażenia laserem — powoli mija, jestem jednak zbyt słaby, aby się poruszyć.

Z miejsca, gdzie leżę, widzę jedynie łydki Daniela. Po kostce prawej nogi spływa strużka krwi, ciągnie się dalej przez grzbiet stopy, znika między palcami, po czym wypływa, rozlewając się na podłodze w kałużę.

Telefon intruza brzęczy.

— Tak, mała... wiem, ale nie chciałem cię budzić... tak, coś mi wypadło. .. nie wiem, może to potrwać do rana. Co powiesz na śniadanie w Golden Apple, jak wszystko pozałatwiam? — Śmieje się. — Jasne. Też cię kocham. Słodkich snów.

Łzy zalewają mi oczy.

Krzyczę przez taśmę, wrzeszczę, aż piecze mnie gardło, z nadzieją, że może mnie zastrzeli albo uderzy tak mocno, bym stracił przytomność — cokolwiek, co przerwie potworny ból.

Najwyraźniej jednak jestem mu obojętny.

Siedzi w milczeniu, pozwalając mi szaleć i wyć.

Daniela siedzi na trybunie pod tablicą wyników, nad porośnięty bluszczem murem pola zewnętrznego. Jest sobotnie popołudnie, ostatni mecz podstawowych rozgrywek, przyszła z Jasonem i Charliem obejrzeć, jak Cubsi dostają w tyłek na wykupionym do ostatniego miejsca stadionie.

Jest ciepły jesienny dzień bez jednej chmurki na niebie.

Bezwietrzny.

Ponadczasowy.

W powietrzu unosi się zapach...

Prażonych orzeszków.

Popcornu.

Piwa w wypełnionych po brzegi kubkach.

Ryk tłumu wydaje się Danieli dziwnie uspokajający. Siedzą na tyle daleko od pola bazowego, że mogą dostrzec opóźnienie między ruchem a trzaskiem kija — różnicę między prędkością światła a prędkością dźwięku — gdy gracz posyła piłkę wysoko za mur.

Przychodzili na mecze, gdy Charlie był dzieckiem, więc od ich ostatniej wizyty na Wrigley Field minęły tysiąclecia. Gdy Jason poprzedniego dnia zaproponował pójście na mecz, Daniela nie sądziła, że Charlie będzie zachwycony, pomysł musiał jednak poruszyć w jego psychice jakąś nostalgiczną strunę, zgodził się bowiem, a teraz wyglądał na rozluźnionego i szczęśliwego. Wszyscy troje są szczęśliwi — trójka niemal doskonale zadowolonych ludzi w promieniach słońca, zajadająca hot-dogi z dodatkami i obserwująca biegających po jasnej trawie graczy.

Danieli, siedzącej między dwoma najważniejszymi mężczyznami jej życia i popijającej ciepławe piwo, przychodzi do głowy, że w tym popołudniu jest inna jakość. Nie umiałaby określić, czy z jej powodu, czy z powodu któregoś z jej facetów. Charlie siedzi skupiony na grze, wyjątkowo nie sprawdza co pięć sekund telefonu, a Jason sprawia wrażenie tak szczęśliwego, jak nie był od lat. Na myśl przychodzi jej

określenie „lekki”. Jego uśmiech wydaje się szerszy, radośniejszy, swobodniejszy.

I nie może oderwać od niej rąk.

Ale może to jednak w niej coś się zmieniło...

Może to efekt piwa i krystalicznie przejrzystego jesiennego światła, połączonych z energią tłumu.

Innymi słowy — oglądania na żywo meczu w jesienny dzień, w sercu jej miasta.

*

Charlie ma plany na wieczór po meczu, wysadzają go więc przed domem kolegi przy Logan Square, wpadają do domu się przebrać i wyruszają w wieczorną podróż — kierunek centrum, bez planu, bez konkretnego miejsca przeznaczenia.

Sobotnia włóczęga po mieście.

Na pełnym samochodów Lakeshore Drive Daniela zapatruje się w dal przez przednią szybę ich dziesięcioletniego SUV-a.

— Wiem, od czego chcę zacząć — mówi.

Pół godziny później siedzą w gondoli oświetlonego jak bożonarodzeniowa choinka diabelskiego młyna.

Wznosząc się powoli nad wieczornym szaleństwem, odbywającym się na Navy Pier, Daniela obserwuje panoramę centrum ich miasta. Jason mocno ją przytula.

W najwyższym punkcie obrotu — ponad pięćdziesiąt metrów nad karnawałem — Daniela czuje, jak Jason dotyka jej podbródka i obraca ku sobie jej głowę.

Mają cały wagonik dla siebie.

Nawet tak wysoko nocne powietrze jest słodkie od zapachu lanych chruścików i waty cukrowej.

Słyszą śmiech jadących na karuzeli dzieci.

Na polu minigolfa krzyczy z radości kobieta, której udało się pierwszym uderzeniem trafić do dołka.

Wszystko blednie jednak w cieniu energii, jaka emanuje z Jasona.

Gdy ją całuje, Daniela czuje przez jego wiatrówkę, jak wali mu serce.

*

Jedzą kolację w centrum, w restauracji zbyt drogiej na ich kieszeń i cały czas rozmawiają, jak nie rozmawiali od lat.

Nie o ludziach ani w stylu „a pamiętasz, jak”, lecz o ideach.

Wypijają butelkę tempranillo.

Zamawiają drugą.

Zastanawiają się, czy nie spędzić całego wieczora na mieście.

Daniela od dawna nie widziała męża tak rozemocjonowanego, tak pewnego siebie.

Płonie w nim ogień, znowu kocha swoje życie.

W połowie drugiej butelki Jason przyłapuje Daniellę na wyglądaniu przez okno.

— O czym myślisz?

— Niebezpieczne pytanie.

— Mam tego świadomość.

— Myślę o tobie.

— A co dokładnie?

— Zachowujesz się, jakbyś chciał się ze mną przespać. —

Daniela śmieje się. — Sprawiasz wrażenie, jakbyś próbował, choć... nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy starym małżeństwem, a czuję się, jakbyś, hm...

— ...cię podrywał?

— Dokładnie. Nie zrozum mnie źle. Nie skarżę się. Wcale a wcale, to wspaniałe, tyle tylko, że nie bardzo rozumiem, skąd się bierze. Dobrze się czujesz? Coś jest nie tak i nie chcesz mi o tym powiedzieć?

— Nic mi nie jest.

— Więc to wszystko dlatego, że dwa dni temu o mało nie potrąciła cię taksówka?

— Nie wiem, czy dlatego, że całe życie przemknęło mi przed oczami, czy z innego powodu, ale gdy wróciłem do domu, wszystko wydawało się inne. Bardziej rzeczywiste. Zwłaszcza ty. Nawet teraz mam wrażenie, jakbym widział cię po raz pierwszy, i z nerwów ściska mnie w żołądku. Myślę o tobie bez przerwy. Myślę o wszystkich wyborach, jakich dokonaliśmy, które stworzyły tę chwilę. O nas

siedzących razem przy tym pięknym stole. Potem myślę o wszystkich możliwych wydarzeniach, które mogły sprawić, że ten moment by nie nastąpił, i jest to... nie wiem...

- Co?

— Kruche. — Jasona ogarnia zaduma. — Świadomość tego, że każda myśl, jaka pojawia się w naszej głowie, każdy wybór, jaki podejmujemy, to odgałęzienie w nowy świat, jest przerażająca. Po dzisiejszym meczu poszliśmy na Navy Pier, po czym przyszliśmy tutaj, prawda? Ale to tylko jedna wersja wydarzeń. W innej rzeczywistości zamiast iść na moło, poszliśmy do opery. W jeszcze innej zostaliśmy w domu. A w kolejnej mieliśmy na Lakeshore Drive śmiertelny wypadek i nigdzie nie dotarliśmy.

— Ale te inne rzeczywistości tak naprawdę nie istnieją.

— Tak naprawdę są tak samo rzeczywiste jak ta, której oboje w tej chwili doświadczamy.

— Jak to możliwe?

— Nie wiadomo. Są jednak pewne tropy. Większość astrofizyków uważa, że siła trzymająca razem gwiazdy i galaktyki — to, dzięki czemu nasz cały wszechświat w ogóle funkcjonuje — pochodzi od teoretycznej substancji, której nie możemy obserwować ani bezpośrednio zmierzyć. Czegoś, co nazywa się ciemną materią. Jest głównym składnikiem wszechświata.

— Co to dokładnie jest?

— Nikt do końca nie wie. Fizycy próbowali tworzyć różne teorie, które by wyjaśniały zarówno jej pochodzenie, jak i naturę. Wiemy, że — podobnie jak w przypadku zwykłej materii — podlega sile grawitacji, ale musi być zrobiona z czegoś całkiem innego.

— Inna postać materii.

— Dokładnie. Niektórzy teoretycy strun sądzą, że może być dowodem na istnienie wieloświata.

Daniela na chwilę się zamyśla, po czym zadaje pytanie.

— Więc te wszystkie inne rzeczywistości... gdzie one są?

— Wyobraź sobie, że jesteś pływającą w stawie rybą. Możesz się poruszać do przodu i do tyłu, pływać na boki, ale nigdy nie możesz znaleźć się nad wodą. Gdyby ktoś stał obok stawu i cię obserwował, nie

miałabyś pojęcia o jego istnieniu. Dla ciebie całym wszechświatem jest staw. Wyobraź sobie teraz, że ten ktoś sięga do stawu i cię z niego wyjmuje. Dostrzegasz w ten sposób, że to, co uważałaś za cały świat, to jedynie mały staw. Nagle widzisz inne stawy. Drzewa. Niebo w górze. Dociera do ciebie, że jesteś częścią znacznie większej i dużo bardziej tajemniczej rzeczywistości, niż ci się kiedykolwiek śniło.

Daniela opada plecami na oparcie i upija łyk wina.

— Więc te wszystkie tysiące stawów są wokół nas, teraz i tutaj... tylko nie jesteśmy w stanie ich dostrzec?

— Dokładnie.

Jason kiedyś ciągle tak z nią rozmawiał. Siedział z nią do późna w nocy, tworząc dzikie teorie, czasami je sprawdzając poprzez mówienie o nich, ale głównie próbując wyrzeć na niej wrażenie.

To działało.

Działa także teraz.

Daniela na chwilę odwraca wzrok, wygląda przez okno i obserwuje przepływające wody rzeki, na powierzchni której światła nadbrzeżnych budynków tworzą nieustanne migotanie, jak na powierzchni rozbitego szkła.

W końcu wraca spojrzeniem do Jasona. Patrzy na niego znad brzegu kieliszka, ich spojrzenia się spotykają, płomienie stojących między nimi świec drżą.

— Sądzisz, że w którymś z tych stawów wokół nas istnieje inna wersja ciebie, taka, która nie przestała prowadzić badań? Która zrealizowała wszystkie plany, które miałeś jako dwudziestolatek, zanim życie stanęło na przeszkodzie?

— Przeszło mi to przez myśl — odpowiada Jason z uśmiechem.

— I może wersja mnie jako sławnej artystki? Która sprzedała jedno za drugie?

Jason pochyla się do przodu i odsuwa talerze na boki, aby móc przez stół ująć obie dłonie Daniela.

— Jeżeli jest wokół nas milion stawów, z wersjami ciebie i mnie wiodącymi podobne oraz inne życia, nie ma lepszego niż ten tutaj i teraz. Jestem tego pewien bardziej niż czegokolwiek innego.

Naga żarówka pod sufitem oświetla maleńką celę rażącym i migoczącym światłem. Jestem przywiązany do łóżka o stalowej ramie, kostki mam spętane jednym łańcuchem, nadgarstki drugim, a każdy z nich kolejnymi łańcuchami jest połączony za pomocą karabińczyków z wystającymi z betonowej ściany kółkami.

W drzwiach trzaskają trzy otwierane zamki, ale tak jestem zamulony uspokajaczami, że nawet nie drgnę.

Drzwi się otwierają.

Leighton ma na sobie smoking.

Okulary w drucianych oprawkach.

Gdy się zbliża, czuję powiew wody kolońskiej, po chwili alkohol w jego oddechu. Szampan? Ciekawe, skąd wraca. Z przyjęcia? Benefisu? Na satynowym gorsie marynarki ma przypiętą różową wstążeczkę.

Siada na skraju cienkiego jak kartka papieru materaca.

Wygląda poważnie.

I niewiarygodnie smutno.

— Jestem pewien, Jasonie, że istnieje kilka rzeczy, o których chciałbyś opowiedzieć, mam jednak nadzieję, że pozwolisz mi najpierw na kilka słów. Biorę na siebie główną winę za to, co się stało. Wróciłeś i nie byliśmy przygotowani na... aż tak kiepski stan, w jakim byłeś. Jesteś. Zawiedliśmy cię i przepraszam. Nie wiem, co innego powiedzieć. Chodzi o to, że... nienawidzę wszystkiego, co się wydarzyło. Twój powrót powinien być świętem.

Mimo stłumienia lekami dygoczę z żalości.

Z wściekłości.

— Ten człowiek, który przyszedł do mieszkania Daniela... ty go za mną wysłałeś?

— Nie pozostawiłeś mi wyboru. Nawet minimalna szansa, że powiedziałeś jej o tym miejscu...

— Kazałeś mu ją zabić?

— Jasonie...

— Kazałeś?

Nie odpowiada, co jest odpowiedzią.

Wpatruję się w jego oczy i jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to wizja, jak obdzieram jego paskudną gębę do żywej kości.

— Ty pierdolony...

Padam na łóżko bez sił.

Szlocham.

Nie umiem wyrzucić z głowy obrazu krwi spływającej po stopie Daniela.

— Strasznie mi przykro, brachu. — Leighton wyciąga rękę, kładzie mi dłoń na ramieniu. Wyrywam się tak gwałtownie, że niemal uszkodzam sobie staw.

— Nie dotykaj mnie!

— Jesteś w tej celi od niemal doby. Nie sprawia mi przyjemności trzymać cię tu w pętach i na lekach, ale dopóki będziesz stanowił zagrożenie dla siebie lub innych osób, sytuacja nie może się zmienić. Musisz coś zjeść i się czegoś napić. Jesteś gotów to zrobić?

Skupiam się na pęknięciu w ścianie.

Wyobrażam sobie, jak robię w niej kolejne pęknięcie głową Leightona.

Walę nią o beton raz za razem, raz za razem, raz za razem, aż pozostaje tylko czerwona papka.

— Jasonie, albo dasz się nakarmić, albo wsadzę ci do żołądka zgłębnik.

Najchętniej bym odpowiedział, że zamierzam go zabić. Jego i każdego w tym laboratorium. Czuję, jak słowa zaczynają docierać do ust, ale rozsądek zwycięża — jestem całkowicie na jego łasce i niełasce.

— Wiem, że to, czego byłeś świadkiem w tamtym mieszkaniu, było straszne, i przepraszam. Chciałbym, aby to się nie stało, ale czasami sprawy posuwają się tak daleko, że... Naprawdę... chcę, byś wiedział, jak bardzo mi przykro, że musiałeś to oglądać.

Leighton wstaje, podchodzi do drzwi, otwiera je.

W progu patrzy na mnie jeszcze raz. Pół twarzy ma oświecone, pół

w cieniu.

— Może nie jesteś w stanie w pełni tego pojąć, ale bez ciebie to miejsce by nie istniało — mówi. — Bez twojej pracy, twojej błyskotliwości umysłu, nikogo z nas by tu nie było. Nie zamierzam nikomu pozwolić o tym zapomnieć — zwłaszcza tobie.

*

Uspokajam się.

Udaję, że się uspokajam.

Ponieważ leżenie skutym w tej maleńkiej celi kompletnie do niczego nie doprowadzi.

Wpatruję się z łóżka w kamerę nadzoru nad drzwiami i proszę o wizytę Leightona.

Pięć minut później rozpina mi pęta.

— Cieszę się nie mniej niż ty, że się tego pozbywasz.

Podaje mi rękę, bym wstał.

Twarda skóra, która opasywała nadgarstki, otarła mi ciało do krwi.

Usta mam wysuszone na wiór.

Dostaję niemal delirium z pragnienia.

— Czujesz się nieco lepiej? — pyta Leighton.

Uświadamiam sobie, że pierwsza myśl, jaką miałem, gdy obudziłem się w tym miejscu, była prawidłowa. Udawaj tego, za kogo cię biorą. Jedynym sposobem, aby przez to przebrnąć, jest udawać utratę pamięci na tyle poważną, że nie wiem, kim jestem. Niech oni wypełniają luki. Jeżeli nie będę tym, za kogo mnie biorą, przestanę być im potrzebny.

Wtedy nie wydam się z tego laboratorium żywy.

— Bałem się — mówię. — Dlatego uciekłem.

— Doskonale cię rozumiem.

— Przepraszam, że narobiłem tyle bałaganu, ale musisz zrozumieć, że... czuję się zagubiony. Tam, gdzie powinno być ostatnie dziesięć lat, jest wielka czarna dziura.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc ci odzyskać pamięć. Abyś wrócił do formy. Porobimy rezonanse, przebadamy cię

pod kątem stresu pourazowego. Niedługo porozmawiasz z naszą psychiatrą, Amandą Lucas. Masz moje słowo: zrobimy wszystko, by to naprawić. Aż będziemy cię mieli w stu procentach z powrotem.

— Dziękuję.

— Ty zrobisz dla mnie to samo. Nie mam pojęcia, co przeszedłeś przez minione czternaście miesięcy, ale człowiek, którego znam od jedenastu lat, mój kolega i przyjaciel, z którym stworzyłem to miejsce... tkwi zamknięty gdzieś w twojej głowie i nie powstrzymam się przed niczym. by go odnaleźć.

Przerażająca myśl: a jeśli ma rację?

Wydaje mi się, że wiem, kim jestem.

Jakaś moja część zastanawia się jednak... a jeśli to, co pamiętam jako moje prawdziwe życie — bycie mężem, ojcem, wykładowcą — nie ma nic wspólnego z rzeczywistością?

Jeśli jest to jedynie uboczny efekt uszkodzenia mózgu, jakiego doznałem, pracując w tym laboratorium?

Jeśli w rzeczywistości jestem tym, za kogo wszyscy w tym laboratorium mnie biorą?

Nie.

Wiem, kim jestem.

Leighton siedział na skraju materaca.

Teraz kładzie stopy na krześle i opiera się o szczyt łóżka w nogach.

— Muszę spytać... — zaczyna. — Co robiłeś w mieszkaniu tej kobiety?

Kłamstwo.

— Nie jestem do końca pewien.

— Skąd ją znałeś?

Walczę, aby ukryć łzy i wściekłość.

— Dawno temu się spotykaliśmy.

— Wróćmy do punktu wyjścia. Po tym, jak trzy dni temu uciekłeś przez okno w łazience — jak dostałeś się do swojego domu przy Logan Square?

— Taksówką.

— Mówiłeś coś taksówkarzowi o tym, skąd przyszedłeś?

— Oczywiście, że nie.

— Rozumiem. Dokąd poszedłeś, gdy udało ci się wymknąć nam ze swojego domu?

Kłamstwo.

— Chodziłem przez całą noc po mieście. Byłem zdezorientowany, przestraszony. Następnego dnia zobaczyłem plakat wystawy Daniela. Tak ją znalazłem.

— Rozmawiałeś z kimkolwiek poza nią?

Ryan.

- Nie.

— Na pewno?

— Oczywiście. Poszliśmy do jej mieszkania i byliśmy tam sami do chwili, aż...

— Nie zrozum mnie źle, ale musisz pamiętać o tym, że dla tego miejsca poświęciliśmy wszystko. Dla dobra twojej pracy. Wszyscy w tym tkwimy. Każdy z nas oddałby życie, aby chronić ten projekt. Z tobą włącznie.

Strzał z pistoletu.

Czarna dziura na czole Daniela.

— Pęka mi serce, gdy widzę cię w takim stanie, Jasonie.

Mówi to z prawdziwą goryczą i żalem.

Widzę to w jego oczach.

— Byliście przyjaciółmi? — pytam.

Leighton kiwa głową. Ma zaciśnięte szczęki, jakby hamował falę emocji.

— Trudno mi zrozumieć, w jaki sposób ty i ktokolwiek z pracujących w tym laboratorium ludzi może się godzić na morderstwo w imię chronienia tego miejsca.

— Jason Dessen, którego znam, nie zastanawiałby się nad tym, co się stało Danieli Vargas. Nie mówię, że byłby z tego powodu szczęśliwy, bo nikt z nas nie jest. Robi nam się wręcz niedobrze na tę myśl, ale on starałby się żyć dalej.

Kręcę głową.

— Zapomniałeś, co razem stworzyliśmy — mówi Leighton.

— Więc mi pokaż.

*

Myją mnie, dają nowe ubranie, karmią.

Po lunchu zjeżdżam z Leightonem windą towarową na dół, na poziom minus cztery.

Kiedy poprzednio szedłem tym korytarzem, był wyłożony plastikowymi płachtami i nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Nikt mnie nie zastraszał.

Nie powiedziano mi wprost, że nie wolno mi stąd *wyjsć*.

Rzadko jesteśmy z Leightonem sami. W zasięgu wzroku jest zawsze dwóch ludzi, zachowujących się jak gliniarze. Pamiętam ich z pierwszej nocy w laboratorium.

— Zasadniczo są cztery poziomy — wyjaśnia Leighton. — Na pierwszym siłownia, pokój rekreacyjny, mesa i kilka kwater. Na drugim laboratoria, pomieszczenia sterylne, sale konferencyjne. Na poziomie minus trzy znajduje się produkcja, a na czwartym lazaret i centrala dowodzenia misją.

Idziemy w kierunku pary drzwi w stylu, jaki widuje się w bankowych sejfach, z tym, że są na tyle większe i fikuśniejsze, że byłyby godne skrywać tajemnice państwowe.

Leighton zatrzymuje się przy zamontowanym w ścianie ekranie dotykowym.

Wyjmuje z kieszeni kartę i przystawia ją do czytnika.

— Poproszę imię i nazwisko — odzywa się komputerowy kobiecy głos.

Leighton przysuwa usta do mikrofonu.

— Leighton Vance.

— Hasło.

— Jeden-jeden-osiem-siedem.

— Głos potwierdzony przez system. Witamy, doktorze Vance.

Odgłos brzęczyka wytrąca mnie z zadumy. Jego echo odbija się od ścian i niknie w głębi korytarza.

Wrota powoli się otwierają.

Wchodzimy do hangaru.

Z umieszczonych gdzieś wysoko krokwi świecą jaskrawe reflektory, wszystkie skierowane na sześcian o boku mniej więcej trzech

i pół metra, w kolorze metalu używanego do wyrobu broni.

Puls gwałtownie mi przyspiesza.

Nie wierzę w to, co widzę.

Leighton musiał wyczuć moje zdumienie.

— Piękna, prawda? — pyta.

Z początku sądziłem, że słyszalny w hangarze pomruk powodują reflektory, jest to jednak niemożliwe. Odgłos ma częstotliwość tak niską, że aż czuję drżenie u nasady kręgosłupa. Coś takiego może wytworzyć tylko gigantyczna maszyna.

Ruszam jak zahipnotyzowany w kierunku sześcianu.

W najśmielszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że zobaczę go w takiej wielkości.

Z bliska widać, że boki wcale nie są gładkie, lecz bardzo nieregularne, odbijające światło w taki sposób, że powierzchnia sprawia wrażenie wielofasetowej, niemal przezroczystej.

Leighton wskazuje na fragment jaśniejszej w blasku reflektorów, nieskazitelnej betonowej podłogi.

— Znaleźliśmy cię nieprzytomnego dokładnie tutaj.

Idziemy powoli wzdłuż ściany sześcianu.

Wyciągam dłoń, sunę palcami po powierzchni.

Jest zimna w dotyku.

— Jedenaście lat temu, po tym, jak zdobyłeś nagrodę imienia Pavii, przyszliśmy do ciebie i powiedzieliśmy, że mamy pięć miliardów dolarów. Mogliśmy zbudować statek kosmiczny, ale daliśmy wszystko tobie. Aby sprawdzić, co możesz osiągnąć bez ograniczeń finansowych.

— Moje wyniki badań tu są? — pytam. — Moje notatki?

— Oczywiście.

Dochodzimy do rogu sześcianu.

Skręcamy za róg.

W tym boku w sześcianie wycięto drzwi.

— Co jest w środku? — pytam.

— Zobacz.

Dolna krawędź drzwi znajduje się mnie więcej trzydzieści centymetrów nad podłogą hangaru.

Naciskam klamkę, pcham drzwi, robię krok, aby wejść do środka.

— Dalej nie — mówi Leighton. — Dla bezpieczeństwa.
— To niebezpieczne?
— Byłeś trzecią osobą, która weszła do środka. Po tobie weszły jeszcze dwie. Jak na razie tylko ty wróciłeś.
— Co się stało z pozostałymi?
— Nie wiemy. W środku nie można użyć żadnych urządzeń rejestrujących obraz. Jedyne informacje, na jakie możemy w obecnej sytuacji liczyć, muszą pochodzić od kogoś, komu udało się wrócić. Tak jak tobie.

Wnętrze sześcianu jest puste, surowe i ciemne.

Ściany, podłoga i sufit z tego samego materiału co powierzchnia zewnętrzna.

— Kabina jest dźwiękoszczelna, nie przepuszcza promieniowania, jest hermetyczna i — jak pewnie się domyśliłeś — emituje silne pole magnetyczne.

Gdy zamykam drzwi, rozlega się trzask wskakującej w otwór zasuw.

Widok tej kabiny jest jak zmartwychwstanie niezrealizowanego marzenia.

Gdy zbliżałem się do trzydziestki, pracowałem nad bardzo podobnym sześcianem. Tyle tylko, że była to kostka o boku dwóch centymetrów, zaprojektowana w celu stworzenia superpozycji stanów kwantowych obiektu widocznego dla ludzkiego oka.

Czegoś, co fizycy w ramach — ich zdaniem — żartu, nazywają „stanem kota”.

Chodzi tu o słynny eksperyment myślowy znany pod nazwą „kota Schrödingera”.

Wyobraźmy sobie kota umieszczonego w zamkniętej skrzynce z fiolką trującego gazu i źródłem promieniowania radioaktywnego w postaci jednego atomu. Gdy znajdujący się w skrzyni detektor zarejestruje promieniowanie radioaktywne, co nastąpiłoby w chwili promieniotwórczego rozpadu znajdującego się w środku atomu, fiołka zostanie rozbita i kot zginie. Szansa, że atom się rozpadnie, jest dokładnie taka sama jak szansa, że się nie rozpadnie.

Eksperyment ten stanowi genialne połączenie myślenia w

kategoriach procesów przyczynowo-skutkowych w naszym „klasycznym” świecie z wydarzeniami na poziomie kwantowym.

Zgodnie z tak zwaną interpretacją kopenhaską mechaniki kwantowej mamy do czynienia z czymś pozornie niemożliwym: zanim skrzynia zostanie otwarta, czyli przed dokonaniem obserwacji, atom w środku znajduje się w superpozycji — stanie nieokreślonym, równoczesnym rozpadzie i trwaniu. Oznacza to w efekcie, że stan kota też jest fundamentalnie nieokreślony — kot jest jednocześnie żywy i martwy.

Dopiero po otwarciu skrzyni i dokonaniu obserwacji, czyli przeprowadzeniu pomiaru, funkcja falowa kota załamuje się i przyjmuje jeden konkretny stan: kot jest martwy albo żywy.

Innymi słowami: widzimy jeden z możliwych rezultatów.

Czy istnieje inny świat, tak samo realny jak ten, który znamy, świat, w którym otworzyliśmy skrzynię i zamiast martwego znaleźliśmy mruczącego i kipiącego życiem kota?

Interpretacja wieloświatowa mechaniki kwantowej odpowiada na to pytanie: tak.

Mówi ona, że w chwili otwarcia skrzyni dochodzi do rozgałęzienia.

W jednym wszechświecie znajdujemy martwego kota.

W drugim żywego.

O tym, czy kot zginie, czy pozostanie żywy, decyduje nasza obserwacja.

Teraz sprawa staje się niezłe pokręcona.

Ponieważ akty obserwacji mają miejsce nieustannie.

Tak więc jeżeli świat rozwidła się za każdym razem, gdy dokonywana jest obserwacja, oznacza to, że istnieje niewyobrażalnie wielka, nieskończona ilość wszechświatów — wieloświat — w którym wydarzy się wszystko, co możliwe.

Moja koncepcja dotycząca małej kostki polegała na stworzeniu środowiska, w którym nie ma obserwacji i bodźców zewnętrznych, dzięki czemu mój obiekt makroskopowy — dysk z azotku glinu o średnicy 40 μm , składający się z mniej więcej biliona atomów — miał swobodę istnienia w nieokreślonym „stanie kota” i nie rozpadał się z powodu interakcji z otoczeniem.

Do chwili wyparowania grantów nie rozwiązałem problemu, najwyraźniej jednak dokonała tego jakaś inna wersja mnie. I wzniosła koncepcję na niepojęty poziom, bo jeżeli to, co mówił Leighton, było prawdą, ta „kabina” robiła coś, co zgodnie z całą moją wiedzą fizyczną jest niemożliwe.

Czuję lekki wstyd, jakbym przegrał wyścig z lepszym przeciwnikiem. Tę kabinę skonstruował ktoś z naprawdę epicką wizją.

Inteligentniejszy, lepszy ja.

Patrzę na Leightona.

— Działa?

— Fakt, że stoisz teraz obok mnie, może sugerować, że tak.

— Nie pojmuję tego. Aby wprowadzić w laboratorium cząsteczkę w stan kwantowy, trzeba stworzyć komorę deprywacyjną. Usunąć nawet najmniejszy ślad światła, odessać powietrze, obniżyć temperaturę do ułamka stopnia powyżej zera absolutnego. Takie warunki zabijają każdego człowieka. A im bardziej zwiększa się skala, tym bardziej wszystko staje się delikatne. Nawet pod ziemią przenikają przez tę kabinę rozmaite cząsteczki — neutrino, promienie kosmiczne — i mogą zaburzyć stan kwantowy. Wyzwanie nie do pokonania.

— Nie wiem, co ci powiedzieć... jakoś je pokonałeś.

— Jak?

Leighton uśmiecha się.

— Gdy mi to wyjaśniałeś, wszystko brzmiało zrozumiale i logicznie, ale nie umiem tego powtórzyć. Powinieneś przeczytać swoje notatki. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że ta kabina wytwarza i utrzymuje środowisko, w którym przedmioty codziennego użytku mogą istnieć w stanie superpozycji kwantowej.

— Z nami włącznie?

— Z nami włącznie.

No to nieźle.

Choć cała moja wiedza głośno krzyczy, że to niemożliwe, najwyraźniej wymyśliłem sposób, jak stworzyć płodne środowisko kwantowe w skali makro — może wykorzystując pole magnetyczne do połączenia znajdujących się wewnątrz obiektów z systemem kwantowym o skali atomowej?

Co jednak z człowiekiem w środku?

Też jest obserwatorem.

Żyjemy w stanie dekoherencji, w jednej rzeczywistości, ponieważ nieustannie obserwujemy otoczenie, redukując naszą własną funkcję falową.

Musi tu grać rolę coś innego.

— Chodź — mówi Leighton. — Chcę ci coś pokazać.

Prowadzi mnie do szeregu okien w ścianie hangaru od tej samej strony, gdzie znajdują się drzwi prowadzące do wnętrza kabiny.

Przeciąga kartą przy kolejnych zabezpieczonych drzwiach i wprowadza mnie do pomieszczenia wyglądającego jak centrum komunikacyjne albo centrala dowodzenia misją.

Zajęte jest tylko jedno stanowisko — przez kobietę, która położyła stopy na biurku, nieświadoma naszego wejścia, zasłuchana w coś, co dudni jej ze słuchawek.

— To stanowisko jest obsadzone na okrągło, dwadzieścia cztery na siedem. Wszyscy się po kolei zmieniamy, czekając, aż ktoś wróci.

Leighton wsuwa się za biurko z monitorem komputera, wpisuje kilka haseł i otwiera szereg folderów, aż znajduje ten, który chce pokazać.

Otwiera plik wideo.

Film w jakości HD pochodzi z kamery umieszczonej naprzeciwko drzwi kabiny, prawdopodobnie dokładnie nad oknami centrali dowodzenia.

Na dole ekranu jest data — sprzed czternastu miesięcy — a zegar odlicza czas z dokładnością do setnej sekundy.

Na ekranie pojawia się mężczyzna. Zbliży się do kabiny.

Na opływowym skafandrze kosmicznym ma plecak, pod lewą pachą trzyma hełm.

Po dojściu do drzwi naciska klamkę i pcha drzwi. Przed wejściem do środka spogląda przez ramię, prosto w obiektyw kamery.

To ja.

Macham ręką, wchodzę do kabiny i zamykam się w środku.

Leighton przyspiesza odtwarzanie.

Oglądam nagranie jak skamieniały. Na ekranie mija pięćdziesiąt minut.

Leighton zwalnia obraz, gdy pojawia się kolejna osoba.

Kobieta z długimi ciemnymi włosami podchodzi do kabiny i otwiera drzwi.

Obraz na ekranie przeskakuje na widok z jej kamery czołowej.

Widać wnętrze kabiny, sprawdzany jest każdy kąt, wiązka światła omiata gołe ściany i podłogę, odbija się od nierównej powierzchni metalu.

— I pufff — mówi Leighton. — Zniknąłeś. Aż do... — uruchamia nowy plik — ...tej chwili trzy dni temu.

Patrę na siebie, wytaczającego się z kabiny i upadającego na podłogę, co wygląda, jakby ktoś wypchnął mnie ze środka.

Mija kilka sekund i pojawia się zespół w kombinezonach. Kładą mnie na noszach.

Jest coś skrajnie surrealistycznego w oglądaniu nagrania momentu, gdy rozpoczął się koszmar, w jaki zamieniło się moje życie.

Moich pierwszych chwil w tym wspaniałym, nowym, pojebanym świecie.

*

Jedna z kwater na poziomie minus jeden została przygotowana dla mnie — jest miłą poprawą sytuacji w stosunku do celi, w której siedziałem uwiązany do ściany.

Luksusowe łóżko.

Wanna.

Biurko z wazonem pełnym świeżo ściętych kwiatów, które wypełniły przestrzeń zapachem.

— Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodniej — mówi Leighton. — Powiem tylko tyle: nie próbuj, proszę, popełniać samobójstwa, ponieważ wszyscy będziemy wypatrywać wszelkich niepokojących oznak. Pod drzwiami będą ludzie, których zadaniem będzie powstrzymanie cię w razie czego. W takim przypadku musiałbyś wrócić do tej obrzydliwej celi na dole i spędzać czas w kaftanie. Gdy poczujesz, że ogarnia cię rozpacz, wystarczy podnieść słuchawkę i temu, kto akurat

odbierze, powiedzieć, żeby kazał mnie sprowadzić. Nie cierp w milczeniu.

Dotyka stojącego na stole laptopa.

— Jest nabitý wynikami twoich prac z ostatnich piętnastu lat. Nawet tych z okresu sprzed Velocity Laboratories. Nie ma hasła. Eksploruj to, jak chcesz. Może poruszy się jakaś struna. — W drzwiach odwraca się i dodaje z uśmiechem: — Będą zamknięte. Dla twojego bezpieczeństwa.

*

Siedzę w łóżku z laptopem na kolanach i próbuję ogarnąć ogrom informacji, zawartych w dziesiątkach tysięcy folderów.

Są posegregowane latami, najstarsze pochodzą z okresu sprzed zdobycia przez mnie nagrody imienia Pavii, czasów studiów doktoranckich, gdy zaczynały się pojawiać pierwsze oznaki moich życiowych ambicji.

Najstarsze foldery pamiętam doskonale: próbne wersje artykułu, który stał się moją pierwszą publikacją, streszczenia powiązanych artykułów naukowych, wszystko stanowiące drogę do okresu, jaki spędziłem w laboratorium Uniwersytetu w Chicago i konstrukcji pierwszego maleńkiego sześcianu.

Dane z pomieszczeń czystych są starannie posortowane.

Po jakimś czasie tekst zaczyna mi się dwoić przed oczami, nie przestaję jednak i prę dalej, obserwując postępy mojej pracy poza punkt, w którym w mojej wersji życia została przerwana.

Czuję się jak człowiek, który doznał kompletnej amnezji i czyta własną biografię.

Pracowałem dzień w dzień.

Moje notatki stawały się coraz lepsze, dogłębnierze, bardziej szczegółowe.

W dalszym ciągu walczyłem jednak o znalezienie sposobu na umieszczenie makroskopowego dysku w superpozycji, a z zapisków na każdym kroku emanowała rozpacz i frustracja, że mi się to nie udaje.

Nie jestem w stanie utrzymać otwartych oczu.

Gaszę światło na stoliku przy łóżku i naciągam na siebie kołdrę.

Jest ciemno jak w grobie.
Jedynym światłem jest zielony punkt wysoko na ścianie,
naprzeciwko której stoi moje łóżko.
Kamera filmująca w trybie nocnym.
Ktoś obserwuje każdy mój ruch, każdy oddech.
Zamykam oczy i próbuję usunąć ten fakt ze świadomości.
Jednak i tym razem pod zamkniętymi powiekami pojawia się ten
sam obraz co zawsze: krew spływająca w dół jej kostki, rozlewająca się
po podłodze.
Czarna dziura między jej oczami.
Jakże łatwo byłoby pęknąć.
Rozlecieć się na kawałki.
Dotykam w ciemności nitkę owiniętą wokół mojego palca
serdecznego i przypominam sobie, że tamto moje życie jest rzeczywiste,
że trwa gdzieś dalej.
Tak jak stojący na plaży na skraju wody człowiek czuje, jak
cofająca się fala ściąga mu piasek spod nóg, ja czuję, jak oddala się ode
mnie mój właściwy świat oraz tworząca go rzeczywistość.
Zastanawiam się, czy jeśli nie będę wystarczająco mocno z tym
walczył, obecna rzeczywistość wszędzie się wedrze i porwie mnie ze
sobą?

*

Budzę się gwałtownie.
Ktoś łomocze do drzwi.
Zapałam światło i wytaczam się z łóżka, zdezorientowany, bez
świadomości, jak długo spałem.
Pukanie staje się bardziej natarczywe.
— Idę! — wołam.
Próbuję otworzyć drzwi, ale są zamknięte od zewnątrz.
Zasuwa wyskakuje z trzaskiem.
Drzwi się otwierają.
Potrzebuję chwili, aby uświadomić sobie, gdzie i kiedy widziałem
tę kobietę w czarnej sukience, która stoi na korytarzu z dwoma
papierowymi kubkami kawy w dłoniach i notesem pod pachą. Nagle

dociera to do mnie: tutaj. Prowadziła, choć raczej należy powiedzieć, że próbowała prowadzić, dziwaczny debriefing w nocy, gdy odzyskałem przytomność obok kabiny.

— Cześć, Jasonie. Amanda Lucas.

— No tak, oczywiście.

— Przepraszam, ale nie chciałam wpadać bez uprzedzenia.

— Nie ma sprawy.

— Masz chwilę, aby ze mną porozmawiać?

— Hm... jasne.

Wpuszczam ją do środka i zamykam drzwi.

Wyciągam dla niej stojące pod biurkiem krzesło.

Amanda unosi jeden z kubków.

— Przyniosłam kawę. Jeśli masz ochotę.

— Oczywiście — odpowiadam i biorę kubek. — Dziękuję.

Siadam w nogach łóżka.

Kawa przyjemnie grzeje mi ręce.

— Mieli taką ze smakiem orzechów laskowych, ale lubisz zwykłą bez mleka, prawda?

Biorę łyk.

— Tak, ta jest w sam raz.

Amanda też pije łyk kawy.

— To musi być dla ciebie dziwne — mówi.

— Można to tak nazwać.

— Leighton przekazał mi, że mnie zapowiedział.

— Tak zrobił.

— To świetnie. Jestem psychiatrą tego laboratorium i pracuję tu prawie dziewięć lat. Mam specjalizację, odpowiednie licencje i tak dalej. Zanim zaczęłam pracować w Velocity Laboratories, prowadziłam prywatny gabinet. Mogę zadać kilka pytań?

— Proszę.

— Powiedziałeś Leightonowi... — otwiera notes — cytuję: „Tam, gdzie powinno być ostatnie dziesięć lat, jest wielka czarna dziura”. To prawda?

- Tak.

Amanda zapisuje coś w notesie.

— Czy w ostatnim czasie doświadczyłeś albo byłeś świadkiem zagrażającego życiu wydarzenia, które spowodowało nasilony strach, bezradność albo przerażenie?

— Obserwowałem, jak Daniela Vargas została na moich oczach zabita strzałem między oczy.

— Słucham?

— Zamordowaliście moją... kobietę, z którą byłem. Tuż przed sprowadzeniem mnie tutaj. — Amanda wygląda na kompletnie zaskoczoną.

— Chwileczkę... nie wiedziała pani o tym?

Przelyka, aby odzyskać panowanie nad sobą.

— To musiało być przerażające, Jasonie. — Mówi to tak, jakby mi nie wierzyła.

— Uważa pani, że zmyślam?

— Jestem ciekawa, czy pamiętasz coś z kabiny albo swojej czternastomiesięcznej podróży.

— Jak już mówiłem: nic z tego nie pamiętam.

Robi kolejną notatkę i pyta dalej.

— Może nie pamiętasz tego, ale... podczas krótkiego debriefingu powiedziałeś, że ostatnie twoje wspomnienie dotyczy pobytu w barze przy Logan Square.

— Nie pamiętam, bym coś takiego mówił. W tamtej chwili byłem dość rozbity.

— Oczywiście. Więc nie masz wspomnień z kabiny. W porządku... teraz kilka łatwych pytań, takich na „tak” lub „nie”. Masz problemy ze spaniem?

— Nie.

— Odczuwasz większą niż zwykle drażliwość albo złość?

— W zasadzie nie.

— Problemy z koncentracją?

— Nie sędzę.

— Masz wrażenie, że jesteś czujniejszy niż zazwyczaj?

— Tak.

— W porządku. Zauważyłeś, że masz nasiloną reakcję lękową?

— Hm... nie wiem.

— Czasami skrajna sytuacja stresowa może wyzwolić coś, co nazywamy psychogenną amnezją, czyli nienormalne działanie pamięci bez strukturalnego uszkodzenia mózgu. Mam wrażenie, że dziś wykluczemy za pomocą rezonansu magnetycznego strukturalne uszkodzenie mózgu, co oznaczać będzie, że twoje wspomnienia z ostatnich czternastu miesięcy nie uległy zniszczeniu. Są jedynie gdzieś głęboko schowane. Moim zadaniem będzie pomóc ci je wydobyć.

Biorę kolejny łyk kawy.

- Jak?

— Możemy sprawdzić działanie wielu metod terapeutycznych. Psychoterapię, terapię kognitywną, terapię kreatywną, nawet kliniczną hipnozę. Chcę jedynie, abyś wiedział, że nie ma dla mnie nic ważniejszego, niż pomóc ci przez to przebrnąć.

Amanda z nagłą, denerwującą intensywnością wbija wzrok w moje oczy, jakby tajemnica naszego istnienia była wypisana na moich rogówkach.

— Naprawdę mnie nie znasz?

- Nie.

Wstaje z krzesła i zbiera swoje rzeczy.

— Niedługo zjawi się Leighton, aby wziąć cię na rezonans. Chcę tylko pomóc, w każdy sposób, jaki znam. Jeżeli mnie nie pamiętasz, nieważne. Nie zmienia to faktu, że jestem twoim przyjacielem. Każdy w tym miejscu jest twoim przyjacielem. Jesteśmy tutaj ze względu na ciebie. Wszyscy uważamy za oczywiste, że o tym wiesz, więc uwierz: mamy najwyższy szacunek dla ciebie, twojego umysłu i tego, co skonstruowałeś.

Także ona zatrzymuje się w drzwiach i odwraca do mnie.

— Jak nazywa się ta kobieta? Ta, której zabójstwo wydaje ci się, że widziałeś?

— Nie wydaje mi się, lecz widziałem. Widziałem. Daniela Vargas.

*

Resztę poranka spędzam przy biurku, jedząc śniadanie i przeglądając pliki dokumentujące osiągnięcia naukowe, których nie pamiętam.

Mimo okoliczności czytanie własnych notatek i obserwowanie, jak idą w kierunku przełomu w sprawie miniaturowej kostki, jest porywające.

Rozwiązanie pozwalające na umieszczenie mojego dysku w superpozycji?

Nadprzewodzące kubity, czyli najmniejsze i niepodzielne jednostki informacji kwantowej, zintegrowane z szeregiem rezonatorów, będących w stanie rejestrować symultaniczne stany jako drgania. Brzmi bezgranicznie nudno, ale to przełomowe odkrycie.

Dzięki niemu zdobyłem Pavię.

Najwyraźniej dzięki temu trafiłem tutaj.

Dziesięć lat temu, pierwszego dnia pracy w Velocity Laboratories, napisałem do wszystkich członków zespołu intrygujące oświadczenie, które miało uświadomić im najważniejsze koncepcje dotyczące mechaniki kwantowej i wieloświata.

Jeden akapit zwraca moją szczególną uwagę — dotyczący wymiarowości.

Napisałem:

Postrzegamy otoczenie w trzech wymiarach, jednak nie żyjemy w świecie trójwymiarowym. 3D jest statyczna. To jeden kadr. Do opisu natury naszej egzystencji dodaliśmy czwarty wymiar;

Hipersześcian 4D nie dodaje wymiaru przestrzennego. Dodaje wymiar tymczasowy

Dodaje czas — strumień sześciątów 3D, reprezentujących przestrzeń przesuającą się wzdłuż osi czasu.

Najlepiej zilustrować to, prosząc o spojrzenie w nocne niebo, na gwiazdy których światło potrzebowało pięćdziesięciu lat świetlnych, aby dotrzeć do naszych oczu. Albo pięciuset. Albo pięciu miliardów. Patrzymy nie tylko w przestrzeń — patrzymy wstecz w czas.

Nasza ścieżka przez czterowymiarową czasoprzestrzeń to nasza linia świata (rzeczywistość), rozpoczynająca się w chwili naszych

narodzin i kończąca wraz ze śmiercią. W obrębie hipersześcianu lokalizują nas cztery współrzędne (x , y , z i t [czas]).

Uważamy, że ścieżka ta się tam zatrzymuje, jest to jednak prawdziwe tylko w przypadku, gdyby każdy wynik był nieunikniony, wolna wola była iluzją, a nasza linia świata była pojedyncza.

A jeżeli nasza linia świata jest tylko jedną z nieskończonej liczby linii światów, z których część nieznacznie różni się od życia, które znamy, a część jest bardzo odmienna?

Interpretacja wieloświatowa mechaniki kwantowej postuluje istnienie tych wszystkich możliwych rzeczywistości. Twierdzi, że wszystko, co jest prawdopodobne, się wydarzy. Tak więc wszystko, co mogło się wydarzyć w naszej przeszłości, wydarzyło się, tylko w innym wszechświecie.

Co, jeśli jest to prawdą?

Co, jeśli żyjemy w pięciowymiarowej przestrzeni prawdopodobieństwa?

Jeżeli w rzeczywistości zamieszkujemy wieloświat, ale nasze mózgi ewoluowały tak, że wyposażyły nas w zaporę ograniczającą to, co postrzegamy, do pojedynczego wszechświata? Jednej linii świata. Tej, którą wybieraliśmy chwilę po chwili. Zastanowiwszy się nad tym, wydaje się to rozsądne, gdyż prawdopodobnie nie poradzilibyśmy sobie z równoczesną obserwacją wszystkich możliwych rzeczywistości.

W jaki więc sposób znaleźć dostęp do tej przestrzeni 5D?

I — gdybyśmy byli w stanie się do niej dostać — dokąd by nas zawiadła?

*

Leighton zjawia się wczesnym popołudniem.

Tym razem idziemy schodami, ale nie na sam dół, do lazaretu, lecz skręcamy na poziom minus dwa.

— Mała zmiana planów — oznajmia Leighton.

— Nie będzie rezonansu?

— Jeszcze nie teraz.

Prowadzi mnie do miejsca, gdzie już byłem: sali konferencyjnej, gdzie w nocy, gdy obudziłem się pod kabiną, Amanda Lucas próbowała

robić ze mną debriefing.

Przyciemniono światła.

— Co się dzieje? — pytam.

— Usiądź.

— Nie rozu...

— Usiądź.

Biorę krzesło.

Leighton siada naprzeciwko.

— Słyszałem, że przeglądasz swoje stare materiały.

Kiwam głową.

— Zapaliło się jakieś światełko?

— W zasadzie nie.

— To niedobrze. Sądziłem, że podróż wzdłuż linii pamięci może pomóc coś wydobyć.

Leighton się prostuje.

Jego krzesło skrzypi.

W sali jest tak cicho, że słyszać buczenie świetlówek na suficie.

Leighton obserwuje mnie przez stół.

Coś jest nie tak.

Niedobrze.

— Mój ojciec założył Velocity Laboratories czterdzieści pięć lat temu. W jego czasach wszystko było inaczej. Budowaliśmy silniki odrzutowe i turbowentylatorowe, i wszystko kręciło się wokół zdobywania dużych kontraktów od rządu i korporacji; nie miało nic wspólnego z badaniami naukowymi, które mogą zmienić świat. Jest nas teraz dwadzieścia trzy osoby, ale jedno się nie zmieniło: ta firma zawsze była jak rodzina i naszą ideą jest całkowite i pełne zaufanie.

Odwraca się i daje znak skinieniem głowy.

Zapalają się światła.

Przestrzeń za przyciemnianymi szybami staje się widoczna.

Amfiteatr za nimi jest — dokładnie tak samo jak pierwszej nocy — wypełniony przez piętnaście, może dwadzieścia osób.

Tyle tylko, że nikt nie stoi i nie klaszcze.

Nikt się nie uśmiecha.

Wszyscy uważnie się we mnie wpatrują.

Ponuro.

Z napięciem.

Czuję budzącą się we mnie panikę.

— W jakim celu wszyscy tu przyszli? — pytam.

— Tak jak powiedziałem: jesteśmy rodziną. Sprzątamy po sobie we własnym gronie.

— Nie rozumiem...

— Kłamiesz, Jasonie. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Nie jesteś jednym z nas.

— Mówiłem przecież, że...

— Pamiętam, co mówiłeś. Że straciłeś wszystkie wspomnienia o kabinie, że ostatnie dziesięć lat to czarna dziura.

— Dokładnie.

— Na pewno chcesz się trzymać tej wersji?

Leighton otwiera stojący na stole laptop i pisze coś na klawiaturze.

— O co chodzi? Co się dzieje?

— Dokończymy to, co zaczęliśmy tej nocy, gdy wróciłeś. Będę zadawał pytania i tym razem będziesz na nie odpowiadał.

Wstaję i ruszam do drzwi, by wyjść.

Zamknięte.

— Siadaj!

Głos Leightona ma moc wystrzału.

— Chcę stąd wyjść.

— A ja chcę, abyś zaczął mówić prawdę.

— Przecież to robię.

— Nie. Powiedziałeś prawdę Danieli Vargas.

W amfiteatrze otwierają się drzwi i wtacza się do niego mężczyzna, prowadzony silnym chwytem za kark przez jednego ze strażników. Jego twarz zostaje przyciśnięta do szyby.

Boże drogi...

Nos Ryana jest złamany, jedno oko ma całkowicie zapuchnięte. Posiniaczona i poraniona twarz zostawia na szkle krwawe ślady.

— Powiedziałeś prawdę Ryanowi Holderowi — oznajmia Leighton. Podbiegam do Ryana i krzyczę jego imię.

Próbuje mi coś przekazać, ale szkło nie przepuszcza jego głosu.

Wbijam wzrok w Leightona.

— Siadaj, albo każę komuś przyjść i przywiązać cię do krzesła!

Ogarnia mnie fala wściekłości, znana sprzed kilku dni. Ten człowiek odpowiada za śmierć Danieli, a teraz jeszcze to. Ciekawe, jak bardzo zdążyłbym się na nim wyżyć, nim by mnie powstrzymano.

Zamiast działać, siadam.

— Wyśledziłeś go? — pytam.

— Nie, przyszedł do mnie zaniepokojony tym, co mówiłeś w mieszkaniu Danieli. Dokładnie to samo chcę usłyszeć teraz.

Patrzę, jak strażnik sadza Ryana w pierwszym rzędzie foteli, i w tym momencie to do mnie dociera: Ryan stworzył to, dzięki czemu kabina działa. „Składnik”, o którym wspomniał podczas wernisażu instalacji Danieli. Jeżeli nasz mózg działa tak, aby nie dopuścić do postrzegania przez nas własnego stanu kwantowego, to może istnieje jakiś środek farmakologiczny, który wyłącza ten mechanizm — „zaporę”, o której wspomniałem w oświadczeniu dla pracowników?

Ryan z mojego świata badał korę przedczołową mózgu i jej rolę w tworzeniu świadomości. Założenie, że stworzył środek, który zmienia sposób postrzegania rzeczywistości, nie jest w tym kontekście aż tak absurdalne. Środek, który powstrzymuje nas przed dokonywaniem dekoherencji otoczenia i sprawia, że nasza funkcja falowa się nie załamuje.

Wracam gwałtownie do rzeczywistości.

— Dlaczego zrobiliście mu krzywdę?

— Powiedziałeś Ryanowi, że jesteś wykładowcą fizyki w Lakemont College, masz syna, a Daniela Vargas była twoją żoną. Powiedziałeś mu, że zostałeś porwany w drodze do domu, po czym obudziłeś się tutaj. Powiedziałeś mu, że to nie jest twój świat. Przyznajesz to?

Znowu zadaję sobie pytanie, jaką krzywdę udałoby mi się mu zrobić, zanim ktoś by mnie odciągnął. Zdążyłbym złamać mu nos? Wybić zęby? Zabić go?

Gdy się odzywam, głos mi charczy.

— Zamordowałeś kobietę, którą kocham, ponieważ zechciała ze mną rozmawiać. Pobijeś mojego przyjaciela i więzisz mnie wbrew mojej woli. I chcesz, abym odpowiadał na twoje pytania? Pieprz się.

— Wbijam wzrok w szybę. — Wszyscy się pieprzcie!

— Może nie jesteś Jasonem, którego znam i lubię — odpowiada Leighton. — Może jesteś jedynie cieniem tego człowieka, masz ułamek jego ambicji i intelektu, z pewnością jednak jesteś w stanie zrozumieć następujące pytanie: A jeśli kabina działa? Oznacza to, że mamy w ręku największe odkrycie wszech czasów. Odkrycie, którego praktycznych zastosowań w tej chwili jeszcze nie potrafimy sobie wyobrazić, a ty mi się wyplakujesz w rękaw, że podejmujemy wszelkie możliwe działania, aby to cudo chronić?

— Chcę stąd wyjść.

— Chcesz wyjść. No, no... w takim razie przemyśl to, co właśnie powiedziałem, i zrozum, że jesteś jedyną osobą, która skutecznie wykorzystwała działanie tego urządzenia. Jesteś w posiadaniu wiedzy, na zdobycie której poświęciliśmy miliardy dolarów i dziesięć lat życia. Nie mówię tego, aby cię przestraszyć, a jedynie przemówić ci do rozsądku: uważasz, że istnieje cokolwiek, co nas powstrzyma przed wydobyciem tej wiedzy z twojej głowy?

Zawiesza głos, aby pytanie dobrze zabrzmiało.

W śmiertelnej ciszy rozglądam się po amfiteatrze.

Patrzę na Ryana.

Na Amandę.

Amanda nie chce nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego. W oczach ma łzy, ale zaciska szczęki, jakby zbierała wszelkie rezerwy, by się nie załamać.

— Chcę, byś posłuchał mnie bardzo uważnie — odzywa się ponownie Leighton. — Tu i teraz, w tym pokoju, to tak samo łatwe, jak było dla ciebie zawsze. Chcę, abyś postarał się maksymalnie wykorzystać tę chwilę. Popatrz na mnie.

Patrzę.

— Czy to ty zbudowałeś kabinę?

Nic nie mówię.

— Czy to ty zbudowałeś kabinę?

W dalszym ciągu milczę.

— Skąd przybyłeś?

Moje myśli pędzą, sprawdzając różne scenariusze: powiedzieć wszystko, co wiem, nic nie mówić, ujawnić trochę. A jeśli „trochę”, to co?

— Czy to jest twój świat, Jasonie?

Dynamika mojej sytuacji w zasadzie się nie zmieniła. Moje bezpieczeństwo zależy od mojej użyteczności. Dopóki będą ode mnie czegoś chcieć, mogę żądać. Gdy ujawnię to, co wiem, moja władza się rozprysnie.

Podnoszę głowę i spotykam się wzrokiem z Leightonem.

— Nie będę teraz z tobą rozmawiał.

Wzdycha.

Porusza głową, jakby chciał rozluźnić mięśnie karku.

— Chyba skończyliśmy — mówi, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego.

Za moimi plecami otwierają się drzwi.

Zaczynam się odwracać, zanim jednak zdążę cokolwiek dostrzec, zostaję zrzucony z krzesła i obalony na podłogę.

Ktoś siada mi na plecach i wbija kolano w kręgosłup.

Trzymają mi głowę nieruchomo, w mój kark wbija się igła.

*

Odzyskuję przytomność na twardym, cienkim materacu, który wydaje mi się znajomy.

Narkotyk, jakim mnie nafaszerowali, powoduje paskudnego kaca — wrażenie jest takie, jakby czaszka pękła mi w pół.

Jakiś głos szepcze mi do ucha.

Próbuję usiąść, ale nawet najdrobniejszy ruch zamienia dudnienie w ból nie do wytrzymania.

— Jason?

Znam ten głos.

— Ryan?

— Cześć.

— Co się stało?

— Przynieśli cię jakiś czas temu.

Zmuszam powieki, aby zechciały się otworzyć.

Jestem w tej samej celi co poprzednio, leżę na stalowej pryczy,

Ryan klęczy na podłodze obok.

Z bliska wygląda znacznie gorzej niż przez szybę.

— Jasonie, tak mi przykro...

— Nic z tego, co się dzieje, nie jest twoją winą.

— To, co powiedział Leighton, to prawda. Po wyjściu od Daniela zadzwoniłem do niego. Powiedziałem, że cię widziałem. Opowiedziałem gdzie. — Ryan zamyka nieuszkodzone oko, przy następnych słowach glos mu się załamuje. — Nie miałem pojęcia, że mogą zrobić jej coś złego.

— W jaki sposób znalazłeś się w laboratorium?

— Nie przekazałeś im najwyraźniej informacji, które chcieli uzyskać, przyszli więc po mnie w środku nocy. Byłeś z nią, gdy zginęła?

— Byliśmy w jednym pokoju. Jakiś mężczyzna wyważył drzwi, wpadł do mieszkania i strzelił jej między oczy.

— Boże!

Ryan wspina się na pryczę i siada obok. Opieramy się o betonową ścianę.

— Sądziłem, że jeśli przekażę im, co powiedziałaś mnie i Danieli, to może włączą mnie do badań. Jakoś mnie nagrodzą. Zamiast tego mnie pobili. Oskarżyli, że nie ujawniam całej prawdy.

— Przykro mi.

— Trzymałeś wszystko przede mną w tajemnicy. Nawet nie wiedziałem, co tu się robi. Zrobiłem tyle dla ciebie i Leightona, ty jednak...

— Nie trzymałem niczego przed tobą w tajemnicy, Rynie. To nie byłem ja.

Patrzy na mnie, jakby próbował przyswoić sobie znaczenie tego stwierdzenia.

— To znaczy, że wszystko, co mówiłeś u Danieli... to prawda?

Przysuwam się do niego i szepczę mu do ucha:

— Każde słowo. Mów szeptem. Prawdopodobnie nas podsłuchują.

— Jak tu się dostałeś? — szepce Ryan. — Do tego świata.
— Na zewnątrz jest hangar, w którym znajduje się kabina, którą zbudowała inna wersja mnie.

— I co ta kabina robi?

— O ile się orientuję, jest bramą do wieloświata.

Patrzy na mnie, jakbym zwariował.

— Jak to możliwe?

— Posłuchaj mnie przez chwilę uważnie. Tej nocy, gdy stąd uciekłem, poszedłem do szpitala. Przeprowadzili testy toksykologiczne i stwierdzili w mojej krwi obecność tajemniczego środka psychoaktywnego. Gdy widzieliśmy się na wernisażu Daniela, zapytałeś mnie, czy „składnik” zadziałał. Nad czym dokładnie dla mnie pracowałeś?

— Poprosiłeś, abym stworzył związek, który tymczasowo zmieni działanie chemii mózgu w trzech polach Brodmanna kory przedczołowej. Zajęło mi to cztery lata. Przynajmniej dobrze zapłaciłeś.

— W jaki sposób zmieni działanie chemii?

— Na jakiś czas je uśpi. Nie miałem pojęcia, do czego to ma służyć.

— Rozumiesz koncepcję, którą reprezentuje kot Schrödingera?

— Oczywiście.

— I to, w jaki sposób obserwacja determinuje rzeczywistość?

— Też.

— Ta inna wersja mnie próbowała umieścić istotę ludzką w stanie superpozycji. Teoretycznie to niemożliwe, biorąc pod uwagę, że nasza świadomość i siła obserwacji nigdy by do tego nie dopuściły. Gdyby jednak istniał w mózgu mechanizm odpowiedzialny za efekt obserwatora...

— Chciałeś go wyłączyć.

— Dokładnie.

— Czy to znaczy, że mój środek zapobiega dekoherencji?

— Tak uważam.

— Ale nie powstrzyma innych od dokonywania dekoherencji nas. Nie powstrzyma ich efektu obserwatora przed zdeterminowaniem naszej rzeczywistości.

— W tym momencie pojawia się kabina.

— Ja pierniczę! Wymyśliłeś sposób na zamienienie człowieka w żywego i martwego kota! To... niesamowite.

Trzaska rygiel zamka i drzwi się otwierają.

Obaj podnosimy głowy — w progu stoi Leighton w asyście strażników — dwóch ludzi w średnim wieku w przyciasnych koszulkach polo wetkniętych w dżinsy, w wieku nieco więcej niż średnim.

Na moje oko przemoc to dla nich normalna praca.

— Ryane, mógłbym cię prosić z nami? — pyta Leighton.

Ryan się waha.

— Wyciągnijcie go stąd.

— Już idę.

Ryan wstaje i kuśtyka do drzwi.

Strażnicy biorą go pod ramiona i zabierają. Leighton zostaje.

Patrzy na mnie.

— Nie jestem taki, Jasonie. Robię to wbrew sobie. Nienawidzę tego, że każesz mi być potworem. Co się teraz wydarzy? Nie ja dokonałem wyboru. Ty to zrobiłeś.

Zeskakuję z łóżka i szarżuję na Leightona, zatrzaskuje mi jednak drzwi przed nosem.

*

Gaszą światła w mojej celi.

Widzę jedynie wysoko na ścianie zielony punkcik pilnującej mnie kamery obserwacyjnej.

Siedzę w ciemności w kącie, rozmyślając o kursie kolizyjnym z obecną sytuacją od chwili, gdy usłyszałem szelest zbliżających się do mnie kroków — niedaleko domu, w moim świecie, pięć dni temu.

Od chwili, gdy ujrzałem maskę gejszy i pistolet, a jedynymi aktorami mojego świata zaczęły być strach i dezorientacja.

Obecna chwila jest pozbawiona jakiejkolwiek logiki.

Nie kryje w sobie żadnego rozwiązania.

Nie dotyczy jej żadna naukowa metoda.

Jestem rozbity, złamany, przerażony i z całego serca pragnę, aby wszystko się skończyło.

Byłem świadkiem, jak mordowano miłość mojego życia.
Mój przyjaciel jest prawdopodobnie w tej chwili torturowany.
A ci ludzie — zanim ze mną skończą — też każą mi niejedno
wycierpieć.

Tak bardzo się boję.

Tęsknię za Charliem.

Tęsknię za Danielą.

Tęsknię za naszym podupadającym domem, na którego porządny
remont nigdy nie było mnie stać.

Tęsknię za naszym zardzewiałym SUV-em.

Za moim gabinetem na kampusie.

Moimi studentami.

Tęsknię za swoim życiem.

W otaczającej mnie ciemności — niczym włókienka rozpalającej
się żarówki — w głowie rozjaśnia mi się prawda.

Słyszę jakby znajomy głos człowieka, który mnie porwał i zadawał
pytania dotyczące mojego życia.

Mojej pracy.

Mojej żony.

Czy mawiam na nią „Dani”.

Wiedział, kim jest Ryan Holder.

Jezu...

Zawiózł mnie do opuszczonej elektrowni.

Napakował narkotykami.

Pytał o moje życie.

Zabrał mi telefon i ubranie.

Niech to jasna cholera!

Widzę to teraz jak na talerzu.

Aż mną wstrząsa z wściekłości.

Zrobił to wszystko, aby zająć moje miejsce.

Żeby przejąć moje życie.

Kobietę, którą kocham.

Mojego syna.

Moją pracę.

Mój dom.

Ponieważ tym mężczyzną byłem ja.

Drugi Jason, ten, który skonstruował kabinę — on to wszystko mi zrobił.

Gdy zielone światelko kamery nadzoru gaśnie, uświadamiam sobie, że w głębi głowy wiedziałem o tym od chwili, gdy pierwszy raz ujrzałem kabinę.

Nie chciałem jedynie spojrzeć prawdzie w oczy.

Dlaczego miałbym to robić?

Zagubić się w świecie, który jest nie twój, to jedna sprawa.

Ale świadomość, że zostało się zastąpionym we własnym świecie, to całkiem co innego.

Świadomość, że zastąpiła nas nasza lepsza wersja.

Bez wątpienia jest ode mnie inteligentniejszy.

Będzie dzięki leniu lepszym ojcem dla Charliego?

Lepszym mężem dla Danieli?

Lepszym kochankiem?

Jak mógł mi coś takiego zrobić?

Nie...

To znacznie bardziej popieprzone.

Sam sobie to zrobiłem.

Gdy zasuwana zamka się wysuwa, odruchowo wciskam się w ścianę. Nadszedł czas.

Przyszli po mnie.

Drzwi powoli się otwierają, ukazując sylwetkę pojedynczej osoby na tle światła korytarza.

Wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Nic nie widzę.

Czuję ją jednak — ślad perfum, płyn do kąpieli.

— Amanda?

— Mów cicho... — szepce.

— Gdzie Ryan?

— Nie ma go.

— Jak to „nie ma”?

— Zabili go. Tak mi przykro, Jasonie. Sądziłam, że chcą go tylko nastraszyć, ale...

— Nie żyje?
— Lada chwila przyjdą po ciebie.
— Dlaczego mi chcesz...?
— Ponieważ na coś takiego się nie pisałam. Na to, co zrobili Danieli i Holderowi. Co zamierzają zrobić tobie. Przekroczyli granice, których nie należy przekraczać. Nie w imię nauki. W imię niczego.

— Możesz mnie wyciągnąć z tego laboratorium?
— Nie, poza tym nic by ci to nie dało, bo twoja twarz jest we wszystkich wiadomościach.

— O czym ty mówisz? Z jakiego powodu?
— Policja cię szuka. Uważają, że zabiłeś Danielę.
— Wrobiliście mnie w morderstwo?
— Przykro mi. Nie mogę cię wyciągnąć z laboratorium, ale mogę cię zaprowadzić do hangaru.

— Wiesz, jak działa kabina?
Choć nic nie widzę, czuję na sobie jej spojrzenie.

— Nie mam pojęcia, ale to jedyna droga ucieczki.
— Z tego, co wiem, wejście do środka to jak skok z samolotu bez wiedzy, czy spadochron się otworzy.

— Czy ma to znaczenie, jeżeli samolot tak czy siak się rozbije?
— A co z kamerą?
— Tą tutaj? Wyłączyłam ją.

Słyszę, jak Amanda podchodzi do drzwi.
Pojawia się pionowa kreska światła, która coraz bardziej się poszerza.

Gdy drzwi celi są otwarte, zarzuca sobie na ramiona plecak.
Wychodzi na korytarz, poprawia sukienkę i odwraca się do mnie.

— Idziesz?
Podpieram się na oparciu łóżka i schodzę na podłogę.
Musiałem spędzić w ciemności wiele godzin, z trudem bowiem znoszę światło na korytarzu. Od nagłego blasku bołą mnie oczy.
Przez chwilę mamy wszystko tylko dla siebie.
Amanda odeszła już kilkanaście kroków i idzie w kierunku wielkich drzwi na końcu korytarza.
Odwraca się i ponagla mnie.

— Szybciej!

Ruszam najciszej, jak umiem. Jarzące się światłem panele nad moją głową uciekają jeden za drugim do tyłu.

Poza odgłosami naszych kroków panuje całkowita cisza.

Gdy docieram do panelu dotykowego, Amanda przykłada swoją kartę do skanera.

— Nie będzie nikogo w centrum dowodzenia? — pytam. — Zdawało mi się, że cały czas ktoś monitoruje...

— Dziś ja mam dyżur. Zadbałam o to, aby cię kryć.

— Będą wiedzieli, że mi pomogłaś.

— Zanim się domyślą, już mnie tu nie będzie.

— Poproszę imię i nazwisko — mówi komputerowy kobiecy głos.

— Amanda Lucas.

— Hasło.

— Dwa-dwa-trzy-siedem.

— Odmowa dostępu.

— A niech to cholera.

— Co się dzieje? — pytam.

— Ktoś musiał nas zobaczyć za pośrednictwem kamer z korytarza i zablokować mi dostęp. Leighton dowie się o wszystkim za kilka sekund.

— Spróbuj jeszcze raz.

Amanda ponownie skanuje kartę.

— Poproszę imię i nazwisko.

— Amanda Lucas.

— Hasło.

— Dwa... dwa... trzy... siedem — mówi, tym razem powoli, przesadnie akcentując słowa.

— Odmowa dostępu.

— Niech to jasna cholera!

Otwierają się drzwi w drugim końcu korytarza.

Gdy wychodzą przez nie ludzie Leightona, Amanda blednie ze strachu, a ja czuję na podniebieniu ostry, metaliczny smak.

— Czy pracownicy tworzą sobie kody sami, czy dostają je

odgórnie?

— Tworzymy je sami.

— Daj mi kartę.

— Po co?

— Może nikomu nie przyszło do głowy zablokować mi dostęp.

Gdy Amanda podaje mi kartę, w tych samych drzwiach pojawia się Leighton.

Krzyczy moje imię.

Patrzę, jak cała grupa rusza w naszym kierunku.

Skanuję kartę.

— Poproszę imię i nazwisko.

— Jason Dessen.

— Hasło.

Oczywiście. Ten facet to ja.

Miesiąc i rok urodzin wspan.

— Trzy-siedem-dwa-jeden.

— Głos potwierdzony przez system. Witamy, doktorze Dessen.

Brzęczyk trwa i trwa, szarpiąc mi nerwy.

Gdy drzwi zaczynają się uchylać, patrzę bezradnie na biegnących ku nam mężczyzn. Machają rękami jak sprinterzy, twarze mają zaczerwienione z wysiłku.

Zostało cztery, może pięć sekund.

Amanda wciska się w otwór drzwi.

Robię to samo i pędzę za nią w kierunku kabiny.

Centrala jest pusta, reflektory rozświetlają hangar. Nie mamy najmniejszej szansy stąd uciec.

— Musimy wejść do środka! — woła Amanda.

Spoglądam za siebie — pierwszy z mężczyzn jest już w hangarze, z karabinem albo taserem w rękach i twarzą pomazaną krwią, prawdopodobnie Ryana.

Zbliża się na kilka kroków, unosi broń, nim jednak zdąży wystrzelić, skręcam za róg kabiny.

Amanda otwiera drzwi kabiny. Rozlega się ryk alarmu i wskakuje do środka.

Jestem pół metra za nią, też przeskakuję próg i jestem w środku.

Amanda odsuwa mnie ciałem na bok i atakuje barkiem drzwi.
Słysząc głosy i zbliżający się tupot stóp.

Dołączam do Amandy i razem próbujemy zaniknąć drzwi.

Ważą z tonę.

Wreszcie zaczynają się zamykać.

Na framudze pojawiają się palce, ale siła bezwładności jest tyra
razem po naszej stronie.

Drzwi zatrząskują się z hukiem i potężny rygiel zaskakuje.

Zapada cisza.

Jest kompletnie ciemno — mrok jest tak czysty i niczym nie
złamany, że ma się wrażenie, jakby wszystko wirowało.

Podchodzę na miękkich nogach do najbliższej ściany i kładę dłonie
na metalu, aby zdobyć wrażenie oparcia i móc ogarnąć myślą, że jestem
w środku tego urządzenia.

— Mogą się przebić przez drzwi?

— Nie wiem. Według specyfikacji mają wytrzymać dziesięć
minut, jako ochrona.

— Przed czym?

— Pojęcia nie mam. Goniącymi człowieka ludźmi?

Wydostaniem się z niebezpieczeństwa? Ty to zaprojektowałeś. W
każdym razie najwyraźniej działa.

Słyszę w ciemności szelest.

Zapala się zasilana na baterie latarnia turystyczna, rozświetlając
wnętrze kabiny niebieskawym światłem.

Bycie w środku jest dziwne, przerażające, ale bycie otoczonym
grubymi, niemal niezniszczalnymi ścianami daje bezgraniczną ulgę.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegam w świetle, to cztery palce na dole
framugi drzwi, odcięte do drugich kostek.

Amanda klęczy nad plecakiem, z ręką zagłębioną w nim po bark i,
biorąc pod uwagę, że całe jej dotychczasowe życie rozpadło się w proch,
jest skupiona i chłodno, niczym dokonujący segregacji medycznej
ratownik, realizuje standardowe kroki postępowania.

Wyjmuje skórzaną saszetkę.

Jest ona wypełniona strzykawkami, igłami i ampułkami
przezroczystego płynu, które — jak zakładam — zawierają „składnik”

Ryana Holdera.

— Zamierzasz mi to wstrzyknąć?

— A co proponujesz? Wyjść i wyjaśnić Leightonowi, że zdradziłam jego i wszystko, nad czym pracowaliśmy?

— Nie mam pojęcia, jak działa ta kabina.

— No to jest nas dwoje, co oznacza, że czeka nas mnóstwo dobrej zabawy. — Amanda sprawdza zegarek. — Gdy drzwi się zaryglowały, włączyłam stoper. Będą mogli wejść za osiem minut i pięćdziesiąt sześć sekund. Gdyby nie było presji czasu, moglibyśmy wypić jedną z tych ampulek albo wstrzyknąć zawartość domięśniowo, ale w tej sytuacji będziemy musieli zrobić to dożylnie. Robiłeś sobie kiedyś zastrzyk?

— Nie.

— Podciągnij rękaw.

Amanda zawiązuje mi nad łokciem opaskę uciskową, chwytając mnie za przedramię i umieszcza je w świetle latarni.

— Widzisz żyłę we wnętrzu dołu łokciowego? To żyła odpromieniowa. Właśnie w nią powinieneś trafić.

— Nie ty powinnaś to zrobić?

— Nic ci nie będzie.

Podaje mi opakowanie z wacikiem nasączonym alkoholem. Rozrywam wzmocnioną folię papier i przecieram skórę dookoła, Amanda podaje mi strzykawkę o pojemności trzech mililitrów, dwie igły i jedną ampulkę.

— Ta jest filtracyjna — mówi, wskazując na jedną z igieł. — Wciągnij nią płyn, aby nie złapać żadnego okruchu szkła. Potem zamień igły i wstrzyknij sobie płyn. Rozumiesz?

— Tak sędzę. — Nakładam igłę filtracyjną na strzykawkę, zdejmuję osłonkę, po czym odłamuję końcówkę ampulki. — Wszystko?

Amanda wiąże sobie opaskę uciskową nad łokciem i dezynfekuje miejsce wstrzyknięcia.

- Uhm.

Ostrożnie wciągam zawartość ampulki do strzykawki i zamieniam

igły.

— Pamiętaj zawsze o tym, aby trzymając strzykawkę igłą do góry, postukać w nią palcem i lekko nacisnąć tłoczek, aby wyleciała kropla płynu. Dzięki temu usuniesz z płynu powietrze i nie wstrzykniesz go sobie w układ krwionośny.

Pokazuje mi zegarek: 7:39...

7:38.

7:37.

Stukam w strzykawkę i naciskam tłoczek, aż na czubku igły pokazuje się kropla płynu.

— Więc teraz...

— Wbij igłę w żyłę pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni, najlepiej tak, aby skośne ścięcie igły wskazywało ku górze.

Wiem, że trzeba pamiętać wiele szczegółów, ale świetnie sobie radzisz.

Mam we krwi tyle adrenaliny, że ledwie czuję ukłucie.

— Co teraz?

— Upewnij się, że jesteś w żyłę.

— Jak mam to,..?

— Pociągnij lekko za tłoczek.

Ciągnę.

— Widzisz krew?

— Aha.

— I o to chodzi. Trafiłeś. Teraz poluzuj opaskę uciskową i wstrzyknij powoli płyn.

Robię, co każe Amanda.

— Ile potrwa, aż zacznie działać?

— Niemal od razu. Gdybym miała...

Nie słyszę nawet końca zdania.

Narkotyk wali z siłą młota.

Opadam plecami na ścianę i tracę poczucie czasu, aż przed oczami ponownie pojawia mi się Amanda. Coś mówi, ale nie mogę zrozumieć ani słowa.

Patrzę w dół i widzę, że wyciąga mi igłę z żyły i przyciska do miejsca wkłucia nasączony alkoholem wacik.

Wreszcie dociera do mnie, co mówi.

— Przyciskaj wacik do skóry.

Patrzę, jak Amanda prostuje rękę, wbija sobie igłę w żyłę, luzuje opaskę uciskową. Moje spojrzenie odwraca się ku tarczy jej zegarka i zmieniającym się cyferkom, odliczającym czas do zera.

Po chwili Amanda leży na betonowej podłodze, rozciągnięta jak ćpun, który właśnie dał sobie w żyłę, i choć czas ciągle ucieka, nie ma to już żadnego znaczenia.

Nie jestem w stanie uwierzyć w to, co widzę.

Siadam.

Nie jestem wcale oszołomiony ani senny.

Amanda nie leży już na podłodze. Stoi dwa kroki ode mnie, odwrócona plecami.

Pytam głośno, czy wszystko w porządku, jednak nie odpowiada. Podpierając się rękami, z pewnym trudem wstaję.

Amanda trzyma w ręku latarnię i po chwili zauważam, że światło nie pada na ścianę kabiny, która powinna być tuż przed nami.

Przechodzę obok Amandy.

Rusza za mną z latarnią.

Światło ukazuje drzwi — takie same, przez jakie weszliśmy do kabiny z hangaru.

Idę dalej.

Po czterech metrach dochodzimy do kolejnych drzwi.

Potem do kolejnych.

I kolejnych.

Latarnia świeci z mocą sześćdziesięciowatowej żarówki i światło kończy się gdzieś po dwudziestu, może dwudziestu pięciu metrach przedziwnego korytarza. Dalej widoczne są tylko pojedyncze refleksy, odbijające się z jednej strony od zimnego, gładkiego metalu, a z drugiej od rozmieszczonych w identycznych odstępach drzwi.

Za kręgiem światła panuje kompletna ciemność.

Zatrzymuję się, zachwycony, zdumiony i przerażony.

Myślę o tysiiącach artykułów i książek, jakie przeczytałem w życiu. Zdawanych testach. Wygłoszonych wykładach. Zapamiętanych teoriach. Zapisanych na tablicach równaniach. Myślę o miesiącach spędzonych w pomieszczeniu czystym, które było marną imitacją tego miejsca.

Dla studentów fizyki i kosmologii największym zbliżeniem się do namacalnych implikacji badań naukowych są obserwowane przez

wielkie teleskopy prastare galaktyki. Wydruki z danymi opisującymi zderzenia cząstek, które — co wiemy na podstawie wniosków — miały miejsce, ale których świadkami nie byliśmy.

Zawsze istnieje granica między równaniem a rzeczywistością, którą reprezentują.

Teraz to się skończyło. Przynajmniej dla mnie.

Nie mogę otrząsnąć się z myśli, że tu jestem. W tym szczególnym miejscu. To miejsce istnieje.

Przynajmniej na chwilę opuścił mnie strach.

Zastąpiła go ciekawość.

— Najpiękniejszą rzeczą, jakiej możemy doświadczyć, jest oczarowanie tajemnicą — mówię.

Amanda spogląda na mnie powątpiewająco.

— Nie moje słowa, lecz Einsteina.

— Czy to miejsce jest w ogóle rzeczywiste?

— Co masz na myśli, mówiąc: „rzeczywiste”?

— Czy jest to lokalizacja fizyczna?

— Uważam, że to manifestacja umysłu, próbującego wzrokowo wyjaśnić coś, do pojmowania czego nasze mózgi nie są ewolucyjnie przygotowane.

— Czyli czego?

— Superpozycji.

— Czyli doświadczamy w tej chwili stanu kwantowego?

Spoglądam za siebie, w tę stronę korytarza, z której przyszliśmy.

Potem w ciemność przed nami. Nawet w słabym świetle naszej latarni przestrzeń ma w sobie coś rekursywnego — jakby ustawiono przed sobą dwa lustra.

— Tak. To wygląda jak korytarz, ale moim zdaniem jest to kabina, powtarzająca się przez wszystkie możliwe rzeczywistości, znajdujące się w tym samym punkcie w czasie i przestrzeni.

— Coś jak skrzyżowanie?

— Bardzo dobre porównanie. Niektóre sposoby przedstawiania mechaniki kwantowej nazywają owo coś, co zawiera pełną informację o systemie — zanim się on załamie w wyniku obserwacji — funkcją falową. Moim zdaniem ten korytarz to sposób, w jaki nasze umysły

wizualizują treść funkcji falowej, wszystkich możliwych skutków, superpozycjonowanego stanu kwantowego.

— Dokąd prowadzi ten korytarz?

— On nie ma końca.

Gdy wypowiadam te słowa, zachwyty znikają i powraca przerażenie.

*

Idziemy dalej, aby sprawdzić, co się stanie — czy cokolwiek się stanie, czy my sami się zmienimy.

Mijamy jednak tylko drzwi za drzwiami, kolejne i następne drzwi.

— Liczyłem je od chwili, gdy wyruszyliśmy — oznajmiam po jakimś czasie. — Te są czterysta czternaste. Powtarzają się co cztery metry, co oznacza, że przeszliśmy ponad półtora kilometra.

Amanda zatrzymuje się i ściąga plecak z ramion.

Siada pod ścianą i stawia latarnię na podłodze. Siadam po drugiej stronie światła.

— A jeśli Leighton postanowi też wziąć narkotyki i wyruszy za nami?

— Nigdy tego nie zrobi.

— Dlaczego?

— Ponieważ kabina go przeraża. Wszystkich nas przeraża. Z wyjątkiem ciebie nikt, kto do niej wszedł, nie wrócił. Dlatego Leighton był gotów zrobić wszystko, abyś mu powiedział, jak się tym lata.

— Co stało się z pozostałymi pilotami testowymi?

— Pierwszy wszedł do kabiny niejaki Matthew Snell. Nie mieliśmy pojęcia, z czym mamy do czynienia, więc dostał wyraźne i proste

instrukcje: wejść do kabiny, zamknąć drzwi, usiąść, zrobić sobie zastrzyk. Nieważne, co się wydarzy, nieważne, co zobaczy, miał siedzieć bez ruchu, czekać, aż narkotyk przestanie działać, i wyjść z powrotem do hangaru. Nawet jeśli zobaczył korytarz, nie wyszedłby z kabiny. Nie poruszyłby się.

— Więc co się stało?

— Minęła godzina. Powinien był już wyjść. Chcieliśmy otworzyć drzwi, ale baliśmy się doprowadzić do interferencji z tym,

czego doświadcza w środku. Dobę później otworzyliśmy drzwi.

— I kabina była pusta.

— Tak jest. — W niebieskawym świetle Amanda sprawia wrażenie wycieńczonej. — Wejście do środka i przyjęcie narkotyku to jak przejście przez służę bez powrotu. Nie można się cofnąć i nikt nie zaryzykuje pójścia za nami. Jesteśmy tu sami. Co proponujesz?

— Jak każdy dobry naukowiec: eksperyment. Spróbujemy skorzystać z którychś drzwi i zobaczymy, co się stanie.

— Tylko tak dla jasności: nie wiesz, co znajduje się za drzwiami?

— Nie mam pojęcia.

Pomagam Amandzie wstać. Gdy zarzucam plecak na ramiona, czuję pierwsze ukłucie pragnienia i zadaję sobie pytanie, czy Amanda wzięła coś do picia.

Idziemy dalej korytarzem. Prawda jest taka, że trudno mi się zdecydować. Jeżeli istnieje nieskończona ilość możliwych drzwi, to ze statystycznego punktu widzenia decyzja zadecyduje zarówno o wszystkim, jak i nie będzie miała jakiegokolwiek znaczenia. Każdy wybór będzie dobry i zły jednocześnie.

W końcu staję i mówię:

- Te?

Amanda wzrusza ramionami.

— Jasne.

Chwytam zimną metalową klamkę.

— Mamy ampułki, tak? Ponieważ to będzie...

— Sprawdzalam saszetkę minutę temu, gdy stawaliśmy.

Naciskam klamkę, słyszę wysunięcie się rygla i ciągnę.

Drzwi wychylają się do środka, odsłaniając framugę.

— Co widzisz na zewnątrz? — pyta szeptem Amanda.

— Jeszcze nic. Jest zbyt ciemno. Daj mi latarnię. — Gdy biorę od Amandy latarnię, zauważam, że znowu jesteśmy w pojedynczej kabinie.

— Spójrz... korytarz się załamał.

— Zaskakuje cię to?

— Właściwie jest jak najbardziej logiczne. Środowisko za

drzwiami weszło w interakcję z wnętrzem kabiny i zdestabilizowało stan kwantowy.

Odwracam się ponownie ku otwartym drzwiom i wyciągam latarnię przed siebie. Widzę jedynie teren na wprost.

Spękany asfalt.

Plamy oleju.

Gdy przekraczam próg i stawiam stopę, chrzęści szkło.

Pomagam Amandzie wyjść. Po kilku ostrożnych krokach światło pada na betonową kolumnę.

Na vana.

Na kabriolet.

Na sedana.

Jesteśmy na parkingu.

Podłoga lekko się wznosi, idziemy między dwoma szeregami samochodów, rozdzielonych resztkami namalowanego białego pasa.

Kabina zniknęła gdzieś w tyle, skryła się daleko za nami w ciemnościach.

Mijamy strzałkę wskazującą w lewo, z napisem: WYJŚCIE NA ULICĘ.

Skrećamy za róg i zaczynamy wchodzić na wjazd na kolejny poziom.

Z prawej strony z sufitu poodrywały się wszędzie kawały betonu, masakrując dachy, maski i przednie szyby samochodów. Im dalej idziemy, tym jest gorzej — aż pojawiają się betonowe głązy, na które musimy się wspinać, unikając wystających wszędzie, ostrych jak noże prętów zbrojeniowych.

W połowie drogi na wyższy poziom zatrzymuje nas niemożliwa do pokonania ściana gruzu.

— Może powinniśmy wrócić? — pytam.

— Patrz... — Amanda chwyta latarnię i rusza ku wejściu na klatkę schodową.

Drzwi są uchylone, pchamy je, aby dało się przejść.

Wchodzimy w kompletne ciemności.

Idziemy w górę, do kolejnych drzwi.

Musimy oboje użyć siły, aby je otworzyć.

Za drzwiami jest hala, w której gwizdże wiatr.

Przez puste stalowe ramy, w których kiedyś były ogromne, dwupiętrowe szyby, wpada przedziwne światło.

Mam wrażenie, że na podłodze leży śnieg, ale gdy klękam i biorę garść, okazuje się, że nie jest zimny. Proszek jest suchy i pokrywa marmurową podłogę trzydziestocentymetrową warstwą. Przesypuje mi się przez palce.

Idziemy wzdłuż długiej ludy recepcji, nad którą znajduje się wypisana eleganckimi drukowanymi literami nazwa hotelu.

Przed wejściem stoją dwie ogromne doniczki z roślinami, które zeschnęły się do postaci poskręcanych gałęzi i kruchych liści szeleszczących na wietrze.

Amanda gasi latarnię.

Wychodzimy przez — kiedyś — obrotowe drzwi bez szkła.

Choć nie jest szczególnie zimno, wydaje się, jakby szalała burza śnieżna.

Wychodzę na ulicę i patrzę w górę między ciemne budynki. Niebo w górze ma lekko czerwony odcień. Jarzy się dokładnie w taki sposób, jak to miejsce, gdy chmury wiszą nisko, a światła budynków odbijają się od zawartej w nich wilgoci.

Z tym że nie ma nigdzie światła.

Jak okiem sięgnąć — ani jednego.

Choć cząsteczki spadają jak śnieg, gęstymi płatami, te, które dotykają mojej twarzy, nie kłują.

— To popiół — mówi Amanda.

Burza popiołowa...

Na ulicy warstwa popiołu sięga po kolana, a powietrze pachnie jak zimne ognisko następnego dnia, zanim zdąży się zebrać zetlałe resztki.

Martwy, spalony smród.

Popiół spada w takich ilościach, że zaczyna wypełniać górne piętra wieżowców. Słysząc tylko wiatr, dmący między budynkami i w budynkach, i poszum popiołu gromadzącego się w szare wydmy pod dawno porzuconymi samochodami i autobusami.

Nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

W to, że jestem w kolejnym świecie, do którego nie należę.

Idziemy ulicą, plecami do wiatru.

Nie umiem pozbyć się wrażenia, że czarne drapacze chmur to jedno wielkie oszustwo. Są szkieletami, jedynie ponurymi konturami w chmurach spadającego popiołu. Jakby były nieznanego pochodzenia górami, a nie wytworem ludzkiej dłoni. Niektóre stoją pochylone, niektóre już się przewróciły, a przy szczególnie ostrych porywach wiatru słysząc jęk stalowych konstrukcji, rozszarpywanych poza granicę wytrzymałości.

Nagle czuję coś dziwnego, jakby skurcz w czaszce, dokładnie za oczami.

Pojawia się i znika w niecałą sekundę, jakby ktoś włączył i zaraz wyłączył napięcie.

— Też to poczułeś? — pyta Amanda.

— Napięcie za oczami?

- Tak.

— Poczulem. Założę się, że to objaw końca działania narkotyku.

Po kilku przecznicach budynki się kończą. Docieramy do muru ochronnego. Jezioro za nim ciągnie się kilometrami pod radioaktywnym niebem i nie przypomina w niczym Lake Michigan, lecz wielką, szarą pustynię. Popiół zebrał się grubą warstwą na powierzchni i faluje niczym łóżko wodne. O mur wałą czarne spienione fale.

Wracamy pod wiatr.

Do ust i oczu wpadają nam garście popiołu.

Nasze ślady zostały zasypane.

Gdy jesteśmy przecznicę od hotelu, gdzieś w pobliżu zaczyna dudnić odgłos przypominający grzmot.

Ziemia pod naszymi stopami drży

Kolejny budynek rozpada się w proch.

*

Kabina stoi tam, gdzie ją zostawiliśmy, w najdalszym kącie najniższego poziomu parkingu.

Jesteśmy cali pokryci pyłem i potrzebujemy dłuższej chwili, aby pozbyć się go z ubrań i włosów.

Wchodzimy do środka i rygiel blokuje drzwi.

Jesteśmy ponownie w gołej, skończonej kabynie.

Cztery ściany.

Drzwi.

Latarnia.

Plecak.

I dwoje zagubionych ludzi.

*

Amanda siedzi na podłodze, obejmując ramionami kolana.

— Co, twoim zdaniem, tam się stało? — pyta.

— Superwulkan. Uderzenie asteroidy. Wojna nuklearna. Nie wiem.

— Jesteśmy w przyszłości?

— Nie, kabina może nas łączyć jedynie z alternatywnymi rzeczy-wistościami, znajdującymi się w tym samym punkcie w czasie i przestrzeni. Podejrzewam jednak, że niektóre z nich mogą wyglądać jak przyszłość, jeżeli dokonał się w nich postęp technologiczny, który nie miał miejsca w naszej.

— A jeśli wszystkie są tak zniszczone jak ta?

— Powinniśmy ponownie wziąć narkotyki. Siedzenie pod tym kruszącym się wieżowcem nie jest moim zdaniem najbezpieczniejsze.

Amanda ściąga czólenka i wysypuje z nich piasek.

— To, co zrobiłaś dla mnie w laboratorium... — mówię. — Uratowałaś mi życie.

Patrzy na mnie, dolna warga zaraz zacznie jej drżeć.

— Ci pierwsi piloci, którzy weszli do kabiny, śnili mi się po nocach. To były koszmary. Nie jestem w stanie uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Rozpinam plecak i wyciągam po kolei jego zawartość, aby ją skatalogować.

Saszetka z ampułkami i strzykawkami.

Trzy notesy zapakowane w plastikowe woreczki.

Pudełko długopisów.
Nóż w nylonowej pochwie.
Zestaw pierwszej pomocy.
Folia termiczna.
Poncho od deszczu.
Zestaw toaletowy.
Dwa zvitki gotówki.
Licznik Geigera.
Kompas.
Dwie litrowe butelki wody, obie pełne.

Sześć racji żywnościowych MRE.

— Wszystko to zdążyłaś zapakować?

— Nie, złapałam pierwszy lepszy plecak z magazynu.

Standardowy zestaw, który zabiera ze sobą każdy, kto wchodzi do kabiny. Powinniśmy mieć na sobie skafandry kosmiczne, ale nie zdążyłam żadnego zabrać.

— Szkoda. W takim świecie jak ten promieniowanie może być szalone, a skład atmosfery zmieniony. Gdyby na dodatek zmieniło się ciśnienie, płyny w naszych ciałach mogłyby zacząć się gotować.

Butelki z wodą zaczynają do mnie wołać. Nie piłem nic od wielu godzin i pragnienie aż mnie ściska.

Otwieram saszetkę. Wygląda na zrobioną specjalnie na ampułki — każda ma swoją małą pochewkę.

Zaczynam je liczyć.

— Pięćdziesiąt — mówi Amanda. — Znaczą się, teraz czterdzieści osiem. Wziąłabym dwa plecaki, ale...

— Nie zamierzałaś ze mną uciekać.

— Jak bardzo mamy przesrane? Szczerze.

— Nie wiem. Mamy jednak statek kosmiczny i najlepiej będzie, gdy nauczymy się nim latać.

Zaczynam pakować wszystko z powrotem, Amanda sięga po saszetkę.

Tym razem odłamujemy końce ampułek i wypijamy zawartość. Słodki płyn spływa po języku, nieprzyjemnie kłując.

Zostało czterdzieści sześć ampułek.

Uruchamiam stoper na zegarku Amandy.

— Ile razy możemy to wziąć, żeby nie zagotować sobie mózgów? — pytam.

— Jakiś czas temu zrobiliśmy kilka testów.

— Zabraliście z ulicy jakiegoś bezdomnego?

Amanda niemal się uśmiecha.

— Nikt nie umarł. Dowiedzieliśmy się, że wielokrotne użycie zdecydowanie obciąża funkcje neurologiczne i powoduje wytworzenie się tolerancji. Dobra wiadomość jest taka, że okres połowicznego rozpadu jest naprawdę krótki, więc jeżeli nie będziemy pakować w siebie ampułki za ampułką, nie powinno nam nic grozić. — Wsuwa stopy w czółenka i patrzy na mnie. — Jesteś z siebie dumny?

— Nie rozumiem.

— Zbudowałeś to.

— Tak, choć w dalszym ciągu nie mam pojęcia jak. Rozumiem teorię, ale wytworzenie stabilnego stanu kwantowego dla człowieka to...

— Nieprawdopodobne, przełomowe osiągnięcie.

Oczywiście. Włoski na karku stają mi dęba na myśl, z jakimi nieprawdopodobieństwami mamy do czynienia.

— Szansa jest jedna na miliard, ale mamy do czynienia z wieloświatem. Z nieskończonością. Może istnieć milion światów podobnych do twojego, w których tego nie wymyśliłem. Liczy się jednak tylko ten, w którym tego dokonałem.

W trzydziestej trzeciej minucie zaczynam odczuwać działanie narkotyku: lśniąca migotania, wzniosłą euforię.

Przepiękny odlot.

Choć nie tak intensywny jak w kabinie w Velocity Laboratories.

Patrzę na Amandę.

— Chyba zaczynam to czuć — mówię.

— Ja też.

Jesteśmy z powrotem w korytarzu.

— Twój stoper ciągle pracuje?

Amanda podciąga rękaw i oświetla tarczę zegarka.

31:15.

31:16.

31:17.

— Więc nieco ponad pół godziny od wypicia środka — mówię.
— Wiesz, na jak długo zmieni naszą chemię mózgu?

— Słyszałam, że na około godziny.

— Dla pewności zmierzmy.

Podchodzę do drzwi, za którymi był garaż, i je otwieram.

Tym razem widzę las.

Z tym, że bez śladu zieleni.

Bez życia.

Jak okiem sięgnąć, ciągną się zwęglone pnie.

Na tle czarnego jak węgiel nieba drzewa wyglądają jak nawiedzone przez złe duchy, ich cienkie gałęzie jak czarne pajęczyny.

Zamykam drzwi.

Zamek blokuje się z trzaskiem.

Kabina rozciąga się w korytarz tak gwałtownie ku nieskończoności, aż dostaję zawrotów głowy.

Otwieram drzwi ponownie.

Korytarz znowu się załamuje.

Za drzwiami jest ten sam martwy las.

— No dobrze, wiemy więc teraz, że połączenie między drzwiami a konkretnym światem utrzymuje się tylko przy tym samym przyjęciu środka.

— To znaczy, że gdy narkotyk zaczyna działać, korytarz się resetuje?

— Tak sędzę.

— Więc jak odnajdziemy drogę do domu?

Amanda rusza w głąb korytarza.

Idzie coraz szybciej.

Zaczyna truchtać.

Biegnie.

W ciemność, która nie zmienia się nawet na jotę.

Nie kończy się.

Kulisy wieloświata.

Pocę się z wysiłku, a pragnienie wznosi się na poziom, który trudno znieść, nie odzywam się jednak, uznając, że być może właśnie to

jest jej potrzebne. Musi spalić nieco energii. Uświadomić sobie, że niezależnie od tego, ile przebiegnie, ten korytarz się nie skończy.

Chyba oboje próbujemy poradzić sobie z faktem, jak przerażająca jest nieskończoność.

*

W końcu Amanda się wypala.

Zwalnia.

Nie ma nic poza odgłosem naszych kroków, których echo mknie w ciemność przed nami.

Kręci mi się w głowie z głodu i pragnienia. Myślę jedynie o dwóch litrach wody w naszym plecaku, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że będziemy musieli ją oszczędzać.

Poruszamy się teraz w sposób, który jest naszym zdaniem metodyczny.

Trzymam latarnię wysoko, aby móc obejrzeć wszystkie ściany każdej mijanej kabiny.

Nie wiem, czego dokładnie szukam.

Przerwy w jednolitości. Może.

Czegoś, co mogłoby dać nam choć odrobinę panowania nad tym, dokąd trafimy.

Co rusz moje myśli gnają w ciemność...

Co będzie, gdy skończy się woda?

Gdy skończy się żywność?

Co zrobimy, gdy wyczerpią się baterie do naszej latarni?

W jaki sposób odnajdę wtedy dom?

Ciekawe, ile czasu minęło od chwili, gdy weszliśmy do kabiny w Velocity Laboratories?

Straciłem poczucie czasu.

Zaczynam tracić pewność siebie.

Wycieńczenie tak mnie przygniata, że sen wydaje się ważniejszy od wody.

Patrzę na Amandę. W niebieskawym świetle ma zimne, ale piękne rysy.

Wygląda na przerażoną.

— Głodny? — pyta.

— Da się wytrzymać.

— Mnie dość mocno chce się pić, ale powinniśmy oszczędzać wodę, prawda?

— Chyba tak będzie najmądrzej.

— Jestem tak bardzo zdezorientowana, a z każdą chwilą robi się gorzej — mówi Amanda. — Wychowałam się w Dakocie Północnej, gdzie często zdarzały się potworne śnieżne zamiecie. Cały świat robi się wtedy biały. Wyjeżdża się na równinę i śnieg zaczyna wiać tak mocno, że traci się wszelkie poczucie kierunku. Wieje z taką siłą, że od samego patrzenia przez przednią szybę kręci się w głowie. Trzeba zjechać na pobocze i odczekać. A siedzenie w zimnym samochodzie to... jakby świat zniknął. Dokładnie tak samo czuję się teraz.

— Ja też się boję, ale pracuję nad problemem.

- Jak?

— Po pierwsze musimy się dowiedzieć, ile czasu pobytu w korytarzu da nam narkotyk. Co do minuty.

— Jak daleko chcesz się posunąć?

— Mówisz, że mamy około godziny, więc nasz ostateczny termin to dziewięćdziesiąt minut na twoim zegarku. Pół godziny na zadziałanie środka plus godzina pod wpływem.

— Ważę mniej od ciebie. Co, jeżeli u mnie będzie działać dłużej?

— To bez znaczenia. W chwili, gdy środek przestanie działać u jednego z nas, ta osoba dokona dekoherencji stanu kwantowego i załamie korytarz. Dla bezpieczeństwa proponuję zacząć otwierać drzwi po rozpoczęciu osiemdziesiątej dziewiątej minuty.

— W nadziei na co dokładnie?

— Na kontakt ze światem, który nie zje nas żywcem.

Amanda staje i spogląda na mnie.

— Wiem, że to nie ty zbudowałaś tę kabinę, ale musisz mieć jakiś pomysł, jak działa.

— Posłuchaj, ta kabina wykracza o lata świetlne poza wszystko,

co mógłbym...

- Czy to oznacza: nie, nie mam zielonego pojęcia?
- O co mnie właściwie pytasz, Amando?
- Jesteśmy zagubieni?
- Zbieramy informacje. Pracujemy nad problemem.
- Który polega na tym, że jesteśmy zagubieni. Tak?
- Eksplorujemy.
- Boże drogi...
- Co?

— Nie chcę spędzić reszty życia, maszerując tym niekończącym się tunelem.

- Nie dopuszczę do tego.
- W jaki sposób?
- Jeszcze nie wiem.
- Ale pracujesz nad tym?
- Tak. Pracuję nad tym.
- I nie jesteśmy zagubieni?

Jesteśmy zagubieni jak cholera. Dosłownie dryfujemy w pustej przestrzeni między wszechświatami.

- Nie jesteśmy zagubieni.
- To świetnie. — Amanda uśmiecha się. — W takim razie

odkładam świrowanie na później.

*

Idziemy przez jakiś czas w milczeniu.

Metalowe ściany są gładkie i pozbawione jakichkolwiek cech, nic nie odróżnia jednej od drugiej, od trzeciej, od czwartej.

— Do jakich światów mamy, twoim zdaniem, dostęp? — pyta Amanda.

— Próbowałem się nad tym zastanawiać. Załóżmy, że wieloświat zaczął się od pojedynczego wydarzenia — Wielkiego Wybuchu. To punkt początkowy, podstawa pnia najpotężniejszego, najbardziej rozrośniętego drzewa, jakie można sobie wyobrazić. Wraz z biegiem czasu, gdy materia zaczęła się organizować w gwiazdy i planety we wszelkich możliwych permutacjach, drzewo zaczęło wypuszczać

gałęzie, które z kolei wypuszczały swoje gałęzie, i tak dalej, i tak dalej, aż w którymś momencie, czternaście miliardów lat później, moje przyjscie na świat spowodowało wyrosnięcie kolejnej gałęzi. Od tego momentu każdy dokonany — lub niedokonany — przeze mnie wybór oraz dotyczące mojej osoby działania innych ludzi powodowały powstawanie kolejnych gałęzi, nieskończonej liczby Jasonów Dessenów żyjących w równoległych światach niektórych bardzo podobnych do tego, który nazywam swoim domenem, niektórych kompletnie innych. Wszystko, co może się wydarzyć, wydarzy się. Wszystko. Na przykład gdzieś w tym korytarzu istnieją wersje ciebie i mnie, którym nigdy nie udało się dotrzeć do kabiny, gdy postanowiłaś pomóc mi uciec. Są w tej chwili torturowane albo martwe.

— Dziękuję za wsparcie moralne.

— Mogłoby być gorzej. Nie sędzę, abyśmy mieli dostęp do całego spektrum multiświata. Na przykład jeżeli istnieje świat, w którym Słońce wypaliło pojawiające się na Ziemi prokarionty — pierwsze formy życia — nie sędzę, aby któreś z tych drzwi się do niego otwierały.

— Czyli możemy się dostać jedynie do światów, które...

— Gdybym miał zgadywać, to bym powiedział, że tych, które jakoś graniczą z naszym. Światów, które się odgałęziły w niedalekiej przeszłości, sąsiadują z naszym. Światów, w których istniejemy albo w jakimś momencie istnieliśmy. Nie mam pojęcia, jaka jest bariera dystansu odgałęzienia, ale podejrzewam, że działa tu jakiś dobór warunkowy. Ale to tylko hipoteza robocza.

— Ciągłe jednak mówimy o nieskończonej liczbie światów?

— No cóż... tak.

Ujmuję Amandę za nadgarstek i naciskam przycisk oświetlający tarczę jej zegarka.

Plamka zieleni ukazuje...

84:50.

84:51.

— Narkotyk powinien przestać działać w ciągu pięciu minut — mówię. — Uważam, że powinniśmy...

Podchodzę do następnych drzwi, podaję Amandzie latarnię i chwytem za klamkę.

Naciskam ją i uchylam drzwi na dwa centymetry.

Betonowa podłoga.

Pięć centymetrów.

Na wprost widać znajome okno.

Osiem centymetrów.

— To hangar... — mówi Amanda.

— Co robimy?

Przeciska się obok mnie i wychodzi na zewnątrz.

Idę za nią w jaskrawym świetle reflektorów.

Centrala dowodzenia jest pusta.

Panuje cisza.

Zatrzymujemy się przy rogu kabiny i wyglądamy zza niego w kierunku wielkich drzwi.

— To nie jest bezpieczne — stwierdzam. Moje słowa wybrzmiewają pogłosem jak w katedrze.

— A kabina jest bezpieczna?

Rozlega się głośny szcęk i drzwi przed nami zaczynają się otwierać. Z otworu dolatują spanikowane głosy.

— Chodźmy stąd — mówię. — Natychmiast!

Przez wąski otwór w drzwiach próbuje się przecisnąć kobieta.

— O mój Boże... — wzdycha Amanda.

Drzwi są oddalone od nas nie więcej niż piętnaście metrów, wiem, że powinniśmy wracać do kabiny, ale nie mogę przestać patrzeć.

Kobiecie udaje się przecisnąć przez drzwi, wsadza rękę w szczelinę, by pomóc przejść znajdującemu się z drugiej strony mężczyźnie.

Tą kobietą jest Amanda.

Twarz mężczyzny jest tak zmasakrowana i zasiniała, że gdyby nie ubranie, nie domyśliłbym się od razu, że to ja.

Gdy ruszają biegiem w naszą stronę, odruchowo zaczynam się cofać w kierunku drzwi kabiny.

Udaje im się przebiec trzy metry, gdy pojawiają się ludzie Leightona.

Wystrzał zatrzymuje uciekających.

„Moja” Amanda robi krok w ich stronę, ale odciągam ją do tyłu.

— Musimy im pomóc — szepce.

— Nie możemy.

Wyglądając ostrożnie zza węgła, patrzymy, jak nasze sobowtóry odwracają się powoli do ludzi Leightona.

Powinniśmy zniknąć.

To oczywiste.

Połowa mnie nawołuje do ucieczki.

Nie potrafię jednak się do tego zmusić.

Pierwsza moja myśl jest taka, że cofnęliśmy się w czasie, jest to jednak oczywiście niemożliwe. Kabina nie podróżuje w czasie. Jesteśmy w świecie, w którym Amanda i ja uciekliśmy nieco później.

Albo w którym nasza ucieczka się nie udała.

Ludzie Leightona powyciągali broń i idą w kierunku Amandy i Jasona.

Gdy pojawia się sam Leighton, słyszę, jak ja w innej wersji mówię: „To nie jej wina. Groziłem jej. Zmusiłem ją do tego”.

Leighton patrzy w stronę Amandy.

— To prawda? — mówi. — Zmusił cię? Znam cię od ponad dziesięciu lat i nie widziałem, aby ktokolwiek do czegośkolwiek cię zmusił.

Amanda wygląda na przestraszoną, ale równocześnie zbuntowaną.

— Nie zamierzam stać bezczynnie i przyglądać się, jak ranisz ludzi — odpowiada drżącym głosem. — Wypisuję się.

— No cóż... w takim razie...

Leighton kładzie dłoń na potężnym barku mężczyzny, stojącego po jego prawnej.

Wystrzał jest ogłuszający.

Płomień z lufy oślepia.

Amanda pada, jakby ktoś wcisnął wyłącznik. „Moja” Amanda wydaje z siebie zduszony krzyk.

Gdy mój sobowtór rzuca się na Leightona, drugi strażnik strzela do niego z tasera i Jason zwała się w drgawkach na podłogę hangaru.

Krzyk „mojej” Amandy nas zdradził.

Leighton wpatruje się w nas kompletnie zdezorientowany.

— Hej! — woła.

Ruszają ku nam.

Łapię Amandę za ramię, wciągamy do kabiny i zatraskuję drzwi.

Zamek się blokuje, korytarz się odtwarza, niestety narkotyk zaraz przestanie działać.

Amanda popiskuje, chcę jej powiedzieć, że wszystko będzie okej, ale to nieprawda. Właśnie była świadkiem własnego morderstwa.

— To nie byłeś ty — próbuję ją uspokoić. — Ty jesteś tutaj, ze mną, Żywa i cała. To nie byłeś ty.

Mimo słabego światła doskonale widzę, że płacze.

Łzy żłobią ścieżki w brudzie na jej twarzy.

— Ale jakaś część mnie...

Delikatnie chwytam ją za rękę i unoszę tak, aby zobaczyć tarczę zegarka. Brakuje 45 sekund do 90 minut.

— Musimy stąd iść.

Ruszam korytarzem.

— Amando, chodź!

Gdy mnie dogania, otwieram drzwi.

Kompletna ciemność.

Żadnego dźwięku, żadnego zapachu. Sama otchłań.

Zatraskuję drzwi.

Opanowuję panikę, muszę bowiem otworzyć jeszcze więcej drzwi — spróbować znaleźć miejsce na odpoczynek i reset.

Wybieram następne.

Trzy metry za drzwiami, w chwastach rosnących przed rozpadającym się płotem z siatki, stoi wilk i wpatruje się we mnie wielkimi bursztynowymi ślepiami. Spuszcza łeb i warczy.

Gdy rusza w naszą stronę, zatraskuję drzwi.

Amanda chwyta mnie za rękę.

Idziemy.

Powinienem otwierać kolejne drzwi, prawda jest jednak taka, że jestem przerażony. Straciłem wiarę w to, że uda nam się znaleźć bezpieczny świat.

Jakiś impuls każe mi mrugnąć i znowu jesteśmy w pojedynczej kabinie.

Narkotyk u któregoś z nas przestał działać.

Tym razem Amanda otwiera drzwi.
Do kabiny wpada śnieg.
Dostaję w twarz lodowate smagnięcie.
Za zasłoną padającego śniegu dostrzegam sylwetki niedalekich
drzew i domów.

— Co sądzisz? — pytam.

— Wiem, że nie chcę siedzieć w tej kabinie przez ani jedną
jebaną sekundę dłużej.

Amanda schodzi w śnieg i zapada się w puch po kolana.

Natychmiast zaczyna drżeć.

Czuję, jak narkotyk ucieka ze mnie — tym razem wrażenie
przypomina wbicie lodowego sopła w lewe oko.

Odczucie jest ostre, ale krótkotrwałe.

Wychodzę za Amandą z kabiny i ruszamy w kierunku domów.

Pod wierzchnią warstwą puchu jest warstwa starszego, bardziej
zbitego śniegu, który jednak też zapada się przy każdym kroku.

Doganiam Amandę.

Przebijamy się przez polanę ku domom, które wydają się powoli
znikać mi sprzed oczu.

O ile mnie przynajmniej częściowo chronią džinsy i bluza z
kapturem, o tyle Amanda cierpi w sukience, sweterku i czółenkach.

Większość życia przeżyłem na Środkowym Zachodzie, nie znam
więc takich temperatur. Uszy i kości policzkowe zaraz mi chyba
odmarzną, powoli tracę zdolność wykonywania dłońmi drobnych
ruchów.

Wicher dmie nam prosto w oczy, śnieg robi się jeszcze gęstszy i
świat zamienia się w wirującą, białą karuzelę.

Przemy przez zasy, robią się jednak coraz głębsze i dobór
kierunku staje się niemal niemożliwy.

Policzki Amandy są fioletowe.

Dygocze gwałtownie.

Jej włosy zniknęły pod śniegiem.

— Powinniśmy wracać — dukam niewyraźnie.

Wicher dmie ogłuszająco.

Amanda patrzy na mnie, przez chwilę nic nie rozumiejąc, po czym

kiwa głową.

Spoglądam za siebie, ale nie widzę kabiny.

Niemal panikuję.

Śnieg leci poziomo, domy w oddali zniknęły.

Gdziekolwiek spojrzeć, świat wygląda tak samo.

Amanda kiwa głową, ja zaciskam i rozluźniam pięści, by dostarczyć krew do końców palców, ale to przegrana bitwa. Nitka wokół mojego palca jest pokryta lodem.

Zaczynam tracić jasność myślenia.

Dygoczę na całym ciele.

Mamy przesrane.

Jest chyba z dziesięć stopni poniżej zera.

Śmiertelnie zimno.

Nie mam pojęcia, jak daleko udało nam się odejść od kabiny.

Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli jesteśmy praktycznie ślepi?

Zimno zabije nas w ciągu kilku minut.

Nie przestawaj się ruszać.

Oczy Amandy miały taki wyraz, jakby już znajdowała się w innym świecie. Oby nie był to początek szoku termicznego.

Jej gołe nogi są oblepione śniegiem.

— Boli — mówi.

Pochylam się, biorę ją na ręce i prę dalej w burzę, z całych sił przyciskając do siebie dygoczącą na całym ciele Amandę.

Jesteśmy w środku wiru, tworzonoego przez wichry, śnieg i lodowate zimno. Wszędzie jest tak samo białe i gdybym nie patrzył w dół na swoje nogi, wirujący ruch doprowadziłby do zawrotów głowy.

Umrzemy.

Idę jednak dalej.

Stawiam nogę za nogą, twarz płonie mi od zimna, ramiona bolą od ciężaru Amandy, stopy protestują zamrażane wpychającym się w buty śniegiem.

Minuty mijają i zmienia się tylko to, że śnieg robi się jeszcze gęstszy, a zimno wgryza się coraz mocniej.

Amanda mamrocze w delirium.

Dłużej nie wytrzymam.

Nie zrobię ani kroku więcej.

Nie utrzymam jej.

Za chwilę będę musiał się zatrzymać. Usiądę w śniegu, obejmując tę kobietę, którą tak mało znam, i zamarzniemy na śmierć w tym okropnym świecie, z którym nie mamy nic wspólnego.

Myślę o mojej rodzinie.

O tym, że już nigdy jej nie zobaczę, i próbuję pojąć, co to właściwie znaczy, i w tym momencie przestaję panować nad strachem...

Tuż przed nami jest dom.

Tak naprawdę to piętro, ponieważ cały parter jest schowany pod śniegiem, który nawiało aż na wysokość trzech mansardowych okien.

— Amando.

Ma zamknięte oczy.

— Amando!

Uchyła powieki.

— Zostań ze mną.

Sadzam ją na śniegu tak, aby oparła się plecami o dach, podchodzę do środkowego okna i kopię w szybę.

Oczyszczam framugę z największych kawałków szkła i wciągam Amandę za ramiona do pokoju — sądząc po wystroju, sypialni małej dziewczynki.

Pluszowe zwierzaki.

Drewniany domek dla lalek.

Elementy stroju księżniczki.

Latarka Barbie na stoliku przy łóżku.

Wciągam Amandę na tyle w głąb pokoju, aby nie padał na nią śnieg. Biorę ze stolika latarkę i wychodzę na korytarz.

Halo!

Dom połyka mój głos, nie ma nawet śladu echa.

Wszystkie sypialnie na piętrze są puste. Usunięto z nich większość mebli.

Zapalam latarkę i schodzę na dół.

Baterie są słabe i latarka ledwo świeci.

Na dole schodów skręcam do pokoju, który musiał być salonem. Okna zabito deskami, aby wytrzymały napór śniegu. O resztki stołu, który porąbano na opał, stoi oparta siekiera.

Przechodzę do kolejnego, mniejszego pokoju.

Mętne światło latarki wydobywa z ciemności kanapę.

Dwa krzesła, odarte z tapicerki niemal do gołej ramy.

Telewizor, zamontowany nad kominkiem, z którego wysypuje się nadmiar popiołu.

Pudełko świec.

Sterta książek.

Przy kominku rozłożono na podłodze śpiwory, koce i poduszki. W śpiworach są ludzie.

Mężczyzna.

Kobieta.

Dwóch nastoletnich chłopców.

Dziewczynka.

Wszyscy mają zamknięte oczy.

Leżą w kompletnym bezruchu.

Twarze mają sine i wychudzone.

Na piersiach kobiety leży oprawiona w ramkę fotografia, ukazująca rodzinę w lepszych czasach — w Lincoln Park Conservatory. Czarne palce cały czas ją obejmują.

Przy kominku leżą pudełka zapalek, sterta ga/et, kupka drewnianych szczap, na które porąbano blok do przechowywania sztucców.

Drugie wychodzące z salonu drzwi prowadzą do kuchni. Lodówka jest otwarta i pusta, tak samo szalki. Miały są zastawione pustymi puszkami.

Po piure kukurydzianym.

Fasoli.

Całych pomidorach bez skórki.

Po zupach.

Brzoskwiniach.

Typowe produkty, które stoją w głębinach szatek, nie wywołując

zainteresowania, aż minie ich termin ważności.

Wydrapano do czysta nawet słoiki z przyprawami: musztardą, majonezem, galaretkami.

Za przepelnionym koszem na śmieci, w zamrożonej kałuży krwi, leży szkielet małego kota — odarty z mięsa do kości.

Ci ludzie nie zamarli.

Umarli z głodu.

*

Po ścianach salonu tańczą blaski ogniska. Leżę nagi w śpiworze włożonym w drugi śpiwór, przykryty dodatkowo kilkoma kocami.

Amanda topnieje obok mnie, też w dwóch śpiworach.

Nasze mokre ubrania schną przy palenisku z, cegieł znajdującym się tak blisko, że czuję na twarzy emanujące z niego fale ciepła.

Na zewnątrz burza ciągle jeszcze szaleje, tak potężna, że szkielet domu bez przerwy trzeszczy.

Amanda ma otwarte oczy.

Obudziła się jakiś czas temu. Wypiliśmy obie butelki wody, napełniliśmy je śniegiem i postawiliśmy niedaleko paleniska, by zdobyć nową wodę.

— Co mogło się stać z ludźmi, którzy tu mieszkali? — pyta. Prawda wygląda tak, że przeciągnąłem ciała do gabinetu, aby

Amanda nie mogła ich zobaczyć.

— Nie mam pojęcia — odpowiadam. — Może udali się w jakieś cieplejsze miejsce?

— Kłamczuch. Nie za bardzo radzimy sobie z naszym statkiem kosmicznym.

— Uważam, że to się nazywa „ostro wznosząca się krzywa uczenia”. Amanda wciąga głęboko powietrze, po czym powoli je wypuszcza.

— Mam czterdzieści jeden lat — mówi. — Nie było to jakieś szczególnie zachwycające życie, ale moje własne. Miałam pracę. Mieszkanie. Psa. Przyjaciół. Lubiłam oglądać niektóre programy w telewizji. Trzy razy spotkałam się ze swoim Johnem. Było wino. — Patrzy na mnie.

— Już nigdy nic z tego nie zobaczę, prawda?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

— Ty przynajmniej masz jakiś cel. Świat, do którego chcesz wrócić. Ja nie mogę wrócić do swojego, więc na czym stoję?

Wpatruje się we mnie.

Z napięciem.

Nieruchomo.

Nie mam dla niej odpowiedzi.

*

Gdy odzyskuję przytomność, z ognia pozostała kupka żarzących się węgielków, a śnieg u szczytu okien jest podświetlony i migocze od próbujących się przez niego przebić promieni słońca.

W pokoju jest przeraźliwie zimno.

Wyciągam rękę ze śpiwora i z ulgą stwierdzam, że nasze ubrania wyschły. Chowam rękę i odwracam się do Amandy. Zaciągnęła śpiwór na głowę i w miejscu, gdzie przez materiał wylatują obłoczki pary jej oddechu, na powierzchni materiału utworzyła się warstewka lodu.

Ubieram się, rozpalani ponownie ogień i zawieszam nad nim dłonie — akurat na czas, aby nie zdrętwiały.

Idę do salonu, gdzie światło, przebijające się przez śnieg u szczytu okien, jest na tyle jasne, że mogę się poruszać bez latarki.

Idę na piętro.

Do pokoju dziewczynki, gdzie wpadający przez wybite okno śnieg pokrył niemal całą podłogę.

Wychodzę na dach i próbuję wpatrzeć się w przestrzeń w oddali. Odbijające się od śniegu światło jest tak jaskrawe, że przez kilka sekund nic nie widzę.

Śnieg musi sięgać przynajmniej do pasa.

Niebo jest błękitne jak na pocztówce.

Nie słychać żadnego ptaka.

Nie ma najcichszego odgłosu jakiegokolwiek życia.

Nawet wiatr kompletnie ucichł — po tym jak dokładnie zasypał nasze ślady. Świat wokół jest wygładzony, jakby go otynkowano.

Musi być grubo poniżej zera, bo nawet w pełnym słońcu jest

lodowato.

W oddali widać panoramę wieżowców Chicago. Wszystkie są pokryte śniegiem i lodem i migoczą w słońcu.

Białe miasto.

Lodowy świat.

Po drugiej stronie ulicy rozpościera się szeroka otwarta płaszczyna, gdzie wczoraj o mało nie zamarzliśmy na śmierć.

Nie ma śladu kabiny.

*

Gdy wracam do budynku, Amanda siedzi tuż przy palenisku, owinięta śpiworami i kocami.

Idę do kuchni i zbieram kilka sztuczków.

Otwieram plecak i wydaję dwie racje żywnościowe.

Są zimne, lecz pożywne.

Jemy wygłodniaли jak wilki.

— Widziałeś kabinę? — pyta Amanda.

— Nie. Musi być zasypana śniegiem.

— Fantastycznie. — Przygląda mi się, potem przenosi wzrok na ogień. — Nie wiem, czy powinnam być ci wdzięczna czy na ciebie wściekła.

— Co masz na myśli?

— Gdy byłem na górze, musiałam iść do toalety. Pomyliłam drzwi i weszłam do gabinetu.

— Więc ich widziałeś.

— Umarli z głodu, prawda? Zanim przestali mieć czym palić.

— Na to wygląda.

Gdy wpatruję się w ogień, w głębi głowy zaczyna mi kiełkować pewna myśl.

Pewne podejrzenie.

Pojawiło się, gdy byłem przed chwilą na zewnątrz, obserwowałem pole i rozmyślałem o tym, że niemal umarliśmy w bieli.

— Pamiętasz, co mówiłaś o korytarzu? — mówię. — Że przypomina ci bycie uwięzioną w śnieżnym świecie?

Amanda przestaje jeść i patrzy na mnie.

— Drzwi w korytarzu są łącznikami z nieskończoną liczbą światów równoległych, tak? A jeżeli to my definiujemy połączenia?

— To znaczy?

— Sny też sami sobie konstruujemy, prawda? Może podobnie sami wybieramy świat za drzwiami, postanawiając otworzyć konkretne drzwi?

— Chcesz powiedzieć, że z nieskończonej liczby rzeczywistości specjalnie wybrałam to szambo?

— Nie „specjalnie”. Może ten świat jest odzwierciedleniem tego, co czułaś, otwierając drzwi?

Amanda bierze ostatni kęs i wrzuca puste opakowanie do ognia.

— Pomyśl o pierwszym świecie, w jakim się znaleźliśmy — mówię.

— Zrujnowane Chicago, z rozpadającymi się budynkami. Jak opisałybyś stan emocjonalny, w jakim byliśmy, wchodząc do tamtego garażu?

— Strach. Przerazenie. Rozpacz. Boże... Jasonie...

-Co?

— Zanim otworzyliśmy drzwi do hangaru i ujrzeliśmy, jak inne wersje nas zostają złapane, dokładnie o tym mówiłaś.

— Jak to?

— Mówiłaś o idei wieloświata i że wszystko, co możliwe, się wydarzy, i że gdzieś istnieją wersje ciebie i mnie, którym nie udało się dotrzeć do kabiny. Chwilę potem otworzyłaś drzwi i byliśmy świadkami, jak właśnie coś takiego się spełnia.

Czuję, jak po kręgosłupie pełznie mi dreszcz objawienia.

— Przez cały czas zastanawialiśmy się, gdzie jest mechanizm sterujący...

— A to my jesteśmy sterowaniem.

— Aha. A jeżeli to prawda, to mamy zdolność udania się wszędzie, gdzie chcemy. Także do domu.

*

Następnego dnia, z samego rana, stoimy po pas w śniegu na rozległej, płaskiej polaci. Drżymy z zimna mimo grubej warstwy zimowych ubrań, zabranych z szafy nieszczęsnej rodziny.

Nie ma oczywiście żadnego śladu naszej wędrówki sprzed dwóch dni. Śladu kabiny. Jest tylko gładki, dziewiczy śnieg.

Pole jest wielkie, a kabina maleńka.

Prawdopodobieństwo natknięcia się na nią przypadkiem jest bliskie zeru.

Słońce właśnie wschodzi nad drzewa, przez co zimno wydaje się jeszcze bardziej absurdalne.

— Co robimy, Jasonie? Zgadujemy? Zaczynamy kopać?

Spoglądam za siebie, na zakopany do połowy dom, z którego przyszliliśmy, próbuję oszacować, jak długo byśmy w nim przeżyli. Na jak długo starczyłoby nam drewna na opał? Jedzenia? Kiedy musielibyśmy się poddać jak tamci?

Czuję narastający w piersi ucisk — znowu pojawia się strach.

Biorę głęboki wdech. Powietrze jest tak zimne, że kaszlę.

Narasta we mnie panika.

Odnalezienie kabiny to niewykonalne zadanie.

Jest tu zbyt zimno.

Nie będziemy mieli dość czasu, a gdy nadejdzie kolejna burza, a potem następna, kabina zostanie zakopana tak głęboko, że nigdy w życiu jej nie odnajdziemy.

Chyba że...

Ściągam plecak z ramion, stawiam go na śniegu i rozpinam.

— Co robisz? — pyta Amanda.

— Odmawiam zdrowaśkę.

Znalezienie tego, czego szukam, zajmuje kilka chwil.

Wyjmuję kompas, zostawiam Amandę, plecak i ruszam w pole. Idzie za mną, krzycząc, abym czekał.

Po piętnastu metrach zatrzymuję się i pozwalam się dogonić.

— Spójrz. — Dotykam tarczy kompasu. — Jesteśmy w południowym Chicago, tak? — Wskazuję na wieżowce w oddali. — Więc północ magnetyczna jest tam. Ale kompas mówi co innego. Widzisz, że wskazówka kieruje się na wschód, w kierunku jeziora?

Twarz Amandy jaśnieje.

— Oczywiście. To skutek działania pola magnetycznego kabiny.
Przemy przez głęboki puch.

Pośrodku pola igła zmienia kierunek ze wschodniego na zachodni.

— Jesteśmy dokładnie nad kabiną.

Zaczynam kopać, gołe dłonie bołą, ale nie przestaję ani przez sekundę.

Niecałe półtora metra niżej uderzam w krawędź kabiny.

Przyspieszam kopanie i choć naciągnąłem na dłonie rękawy, przenikliwy ból zamienia się w odrętwienie.

Gdy niemal zamarzniętymi palcami dotykam górnej framugi otwartych drzwi, wydaję z siebie okrzyk, który leci potężnym echem
Przez ten zamarznięty świat.

*

Dziesięć minut później jesteśmy w środku i pijemy ampułki czterdzieści sześć i czterdzieści pięć.

Amanda włącza stoper, gasi latarnię dla oszczędności baterii i siadamy w ciemności, czekając, aż narkotyk zacznie działać.

— Nigdy bym nie pomyślała, że ucieszy mnie widok naszej malej gównianej szalupy ratunkowej — mówi Amanda.

— Naprawdę?

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Dziękuję, Jasonie.

— Za co?

— Że nie pozwoliłeś mi zamarznąć tu na śmierć.

— Czy to znaczy, że jesteśmy kwita?

Amanda śmieje się.

— Chyba ci się przyśniło. Mam na myśli, że przecież to wszystko twoja wina.

Siedzenie w kompletnej ciemności i ciszy to przedziwne ćwiczenie z deprywacji sensorycznej. Czuję jedynie przenikający przez ubranie chłód metalu i ciężar głowy Amandy na barku.

— Jesteś od niego inny.

— Od kogo?

- Mojego Jasona.
- Jak to?
- Jesteś miękki. On miał w sobie coś naprawdę twardego.

Nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby silniejszy napęd.

- Byłaś jego terapeutką?
- Czasami.
- Był szczęśliwy?

Czuję w ciemności, jak Amanda zastanawia się nad odpowiedzią.

— Co jest? — pytam. — Wpędzam cię w konflikt zaufania lekarz--pacjent?

— Technicznie biorąc, jesteście obaj tą samą osobą. To oczywiście całkiem nowy problem, ale... nie, nie powiedziałabym, że był szczęśliwy. Jego życie było intelektualnie stymulujące, ale zdecydowanie jednowymiarowe. Tylko pracował. W ostatnich pięciu latach nie miał poza laboratorium żadnego życia. Praktycznie tam mieszkał.

— Twój Jason mi to zrobił, wiesz? Jestem tutaj dlatego, że kilka dni temu ktoś porwał mnie pod groźbą broni, gdy wracałem spacerem do domu. Zawiózł mnie do opuszczonej elektrowni, podał jakieś narkotyki i zadawał mnóstwo pytań związanych z moim życiem i wyborami, jakich dokonywałem. Czy jestem szczęśliwy. Czy zrobiłbym różne rzeczy inaczej. Teraz to sobie przypominam. Potem obudziłem się w waszym laboratorium. W waszym świecie. Moim zdaniem wrzucił mnie tam twój Jason.

— Sugerujesz, że wszedł do kabiny, jakimś sposobem znalazł twój świat, i zamienił się z tobą miejscami?

- Sądzisz, że byłoby go na coś takiego stać?
- Nie mam pojęcia. To szalone.
- Kto inny mógłby mi to zrobić?

Amanda przez chwilę milczy.

— Jason miał obsesję na punkcie niewybranych ścieżek. Cały czas o tym mówił.

Czuję, jak powraca złość.

— Ciągłe coś we mnie nie chce w to wszystko uwierzyć — mówię.

— No wiesz, gdyby chciał przejąć moje życie, mógł mnie po prostu zabić. Zadał sobie jednak trud, aby mnie nafaszerować narkotykami, do tego nie tylko zawartością ampułki, lecz także ketaminą, od której straciłem przytomność i która zaburzyła pamięć pobytu w kabinie i tego, co zrobił. Potem sprowadził mnie z powrotem do swojego świata. Dlaczego?

— To dość logiczne.

— Tak uważasz?

— Nie był potworem. Na pewno jakoś zracjonalizował sobie to, co ci zrobił. Porządni ludzie tak uzasadniają złe zachowanie. Byłeś w swoim świecie znanym fizykiem?

— Nie, wykładałem w college'u drugiej kategorii.

— Jesteś zamożny?

— Z zawodowego i finansowego punktu widzenia nie sięgam twojemu Jasonowi do pięt.

— No to sprawa jest jasna. Powiedział sobie, że daje ci życiową szansę. Chce sprawdzić, jak wygląda ścieżka, której nie wybrał. Dlaczego miałbyś nie skorzystać z możliwości? Nie twierdzę, że to, co zrobił, jest dobre, jedynie wyjaśniam sposób, w jaki dobry człowiek przekonuje się, by zrobić coś złego. To reguła ludzkiego zachowania numer sto jeden.

Amanda musi czuć, jak narasta we mnie złość, zaraz bowiem mówi dalej.

— Jasonie, teraz nie możesz sobie pozwolić na svirowanie. Za minutę będziemy w korytarzu. To my jesteśmy sterowaniem. Twoje słowa. Zgadza się?

— Aha.

— Jeżeli to prawda, jeżeli nasz stan emocjonalny w jakimś stopniu dobiera światy, to dokąd zabiorą nas twoja wściekłość i zazdrość? Nie wolno ci w chwili otwarcia kolejnych drzwi być pod wpływem tej energii. Musisz znaleźć sposób, aby się jej pozbyć.

Czuję, że narkotyk zaraz zadziała.

Rozluźniają mi się mięśnie.

Na chwilę złość znika w rzece spokoju i wyciszenia. Dałbym wszystko, aby to wrażenie trwało, przeniosło mnie na drugą stronę.

Gdy Amanda zapala latarnię, nie ma prostopadłych do drzwi ścian.
Patrzę na saszetkę z ampułkami i zastanawiam się. Jeżeli kutas,
który mnie w to wpakował, nauczył się nawigować kabiną, to ja też się
nauczę.

Amanda uważnie mnie obserwuje.

— Zostały nam czterdzieści cztery ampułki — mówię. —
Dwadzieścia dwie szanse, aby wszystko naprawić. Ile wziął ze sobą
tamten Jason?

— Sto.

Cholera.

Moje euforia gaśnie, ale mimo wszystko się uśmiecham.

— No to dobrze, że jestem od niego inteligentniejszy, co nie?

Amanda śmieje się, wstaje i podaje mi dłoń.

— Mamy godzinę — mówi. — Gotów?

— Stuprocentowo.

Wstaje wcześniej.

Mniej pije.

Szybciej jeździ samochodem.

Więcej czyta.

Zaczął ćwiczyć.

Inaczej trzyma widelec.

Chętniej się śmieje.

Wysyła mniej esemesów.

Przebywa dłużej pod prysznicem i zamiast przeciągać kostką mydła po ciele, używa rękawicy do mycia.

Goli się co dwa dni, zamiast co cztery, do tego nie w kabinie prysznicowej, lecz przy umywalce.

Nakłada buty zaraz po ubraniu się, nie zaś przy frontowych drzwiach, tuż przed wyjściem.

Regularnie czyści zęby nitką, trzy dni temu widziała nawet, jak wyrzywa sobie włoski z brwi.

Od niemal dwóch tygodni nie wkłada ulubionej koszulki do spania — spranego T-shirtu z U2, który kupił dziesięć lat temu na koncercie w United Center, na którym byli razem.

Inaczej zmywa. Zamiast piętrzyć na suszarce chybotliwą stertę, rozkłada talerze i szkło na ścierkach rozpostartych na blacie.

Do śniadania zamiast dwóch filiżanek kawy pije jedną, do tego znacznie słabszą. Tak naprawdę tak słabą, że kilka razy próbowała na poważnie wypędzić go z kuchni, aby sama mogła parzyć poranną kawę.

Ostatnio ich rodzinne rozmowy przy kolacji przestały krążyć wokół streszczania przyziemnych wydarzeń dnia i skupiają się wokół idei, książek i artykułów, które czyta Jason, oraz studiów Charliego.

Jeśli chodzi o Charliego, to Jason zachowuje się inaczej także wobec ich syna.

Jest bardziej pobłażliwy, mniej rodzicielski.

Jakby zapomniał, co to znaczy być ojcem nastolatka.

Przestał wysiadywać do drugiej w nocy z iPadem, oglądając filmy na Netflixie.

Nie mówi już do niej Dani.

Ciągle jej chce i każdy raz jest jak ich pierwszy raz.

Przygląda jej się z uwodzicielską intensywnością, która przypomina jej sposób, w jaki patrzą sobie w oczy świeżo zakochani ludzie, gdy jest do odkrycia jeszcze tak wiele tajemnic i nieznanymi terytoriów.

Wszystkie te myśli, drobne obserwacje, gromadzą się gdzieś w głowie Daniela, która stoi przed lustrem, obok Jasona.

Jest wcześniej rano i szykują się do swoich codziennych zajęć.

Oboje myją zęby i gdy Jason dostrzega jej spojrzenie, szczerzy pełne piany usta i macha do niej.

Daniela zastanawia się...

Czyżby miał raka i nie chciał jej o tym powiedzieć?

Czyżby stracił pracę i nie chciał tego ujawnić?

W dole brzucha eksploduje jej bolesne, palące jak wrzątek uczucie: ma romans ze studentką i to ona sprawia, że czuje się i zachowuje jak całkiem nowy mężczyzna?

Nie, Żadna z tych ewentualności nie wydaje się pasować.

Problem w tym, że nic nie jest oczywiście złe.

W teorii jest im nawet lepiej. Poświęca jej więcej uwagi niż kiedykolwiek, nigdy nie rozmawiali razem i nie śmiali się więcej niż ostatnio.

A jednak... jest inny.

Inny na tysiąc drobnych sposobów, które mogą absolutnie nic nie znaczyć, ale mogą też oznaczać wszystko.

Jason pochyla się i wypluwa do umywalki pianę z pasty.

Zakręca kran, zachodzi ją od tyłu, kładzie dłonie na jej biodrach i lekko się przytula.

Daniela obserwuje jego odbicie w lustrze.

Jakie ukrywasz tajemnice? — myśli.

Chciałaby zadać mu to pytanie.

Dokładnie tymi słowami.

Myje jednak dalej zęby, ponieważ ceną za odpowiedź mogłaby być utrata tak wspaniałego status quo.

— Mógłbym cały dzień tak na ciebie patrzeć — mówi Jason.

— ...ach yjhę ęby? — Przez szczoteczkę w ustach słowa Daniela są ledwie zrozumiałe.

— Mhm. — fason całuje ją w kark i po kręgosłupie Daniela spływa dreszcz, przechodzi dalej, aż do kolan i przez chwilę wszystko, co złe odpływa: strach, pytania, wątpliwości.

— Ryan Holder ma o szóstej wykład — mówi fason. —

Chciałabyś ze mną pójść?

Daniela pochyla się, wypływa pianę, płucze usta.

— Z przyjemnością, ale mam o wpół do szóstej lekcję.

— W takim razie będę mógł zabrać cię na kolację, gdy wrócę?

— Byłoby cudownie.

Daniela odwraca się i całuje Jasona.

Jason teraz nawet inaczej całuje.

Jakby było to wielkie wydarzenie. Za każdym razem.

— Jasonie? — mówi Daniela, gdy Jason zaczyna się odsuwać.

-Tak?

Powinna zapytać.

Powinna wymienić wszystkie drobiazgi, które zaobserwowała.

Rzucić karty na stół i oczyścić atmosferę.

Jedna jej część bardzo chce znać odpowiedź.

Druga nie chciałaby nigdy jej poznać.

Tak więc mówi sobie, że nie czas teraz na to, poprawia mu kołnierzyki włosy i posyła go z ostatnim pocałunkiem do codziennych zajęć.

POZOSTAŁA LICZBA

AMPULEK: 44

Amanda podnosi głowę znad notatnika.

— Uważasz, że zapisywanie tego to najlepszy sposób?

— Gdy coś zapisujesz, skupiasz się na tym całkowicie.

Zapisywanie jest niemal niemożliwe, gdy myślimy o czymś innym. Akt rejestrowania na papierze sprawia, że twoje myśli i zamiary łączą się w jedno.

— Ile powinnam napisać?

— Może na początek nie przesadzać. Jeden krótki akapit?

Amanda kończy zdanie, które właśnie pisze, zamyka notes i wstaje.

— Masz wszystko w głowie? — pytam.

— Tak sędzę.

Zakładam plecak. Amanda podchodzi do drzwi, naciska klamkę i szybkim pociągnięciem otwiera drzwi. Do środka wpada poranne słońce — tak oślepiające, że przez chwilę nie widzę, co jest na zewnątrz.

Gdy moje oczy przyzwyczajają się do blasku, otoczenie zaczyna być widoczne.

Stoimy w drzwiach kabiny, na szczycie wzgórza parkowego.

Na wschodzie opada w dół stumetrowe łagodne, porośnięte szmaragdową trawą zbocze, kończące się przy jeziorze Michigan. W oddali wznosi się panorama wieżowców, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem: smukłe budynki ze szkła i stali tak bardzo odbijają światło, że niemal znikają, tworząc efekt mirażu.

Niebo jest pełne latających obiektów, gromadzących się nad terenem — przypuszczam — Chicago, kilka startuje pionowo, prosto w soczyście błękitne niebo.

Amanda patrzy na mnie i się uśmiecha. Stuka palcem w notes. Otwieram go na pierwszej stronie.

Napisała:

Chcę być w dobrym miejscu, w czasie, gdzie warto być żywym. W świecie, w którym chciałabym żyć. Nie jest to przyszłość, ale trochę tak wygląda...

— Nieżle — stwierdzam.

— To miejsce jest prawdziwe? — pyta Amanda.

— Oczywiście. I ty nas tutaj sprowadziłaś.

— Poeksplorujmy. I tak powinniśmy odpocząć od narkotyku.

Rusza w dół trawiastym zboczem. Mijamy plac zabaw i docieramy do biegnącej przez park ścieżki.

Dzień jest zimny i pozbawiony najmniejszej skazy.

Tam, gdzie nie dotarło słońce, na trawie jest jeszcze szron, otaczające park drzewa gubią liście.

Jezioro jest tak nieruchome, że przypomina tafłę szkła.

Kilkaset metrów przed nami widać ciąg eleganckich konstrukcji w kształcie litery Y. Stoją co pięćdziesiąt metrów.

Gdy podchodzimy bliżej, rozpoznajemy, że to napowietrzna kolej. Wjeżdżamy windą na coś, co przypomina peron i czekamy pod ogrzewanym zadaszeniem. Jesteśmy kilkanaście metrów nad ziemią. Interaktywna mapa z logo Chicago Transit Authority informuje, że jesteśmy na Czerwonej Linii Ekspresowej, łączącej południowe Chicago z centrum.

Z głośnika dolatuje rozkazujący kobiecy głos.

Odsunąć się od krawędzi. Zbliżyć się pociąg. Odsunąć się od krawędzi.

Pociąg wjedzie za pięć... cztery... trzy...

Rozglądam się na boki, ale nie widzę, by cokolwiek nadjeżdżało.

...dwie...

Spomiędzy drzew wystrzeliwuje rozmazana smuga.

...jeden.

Na peronie zatrzymuje się smukły, trzywagonowy skład, a gdy otwierają się drzwi, skomputeryzowany głos informuje: *Proszę czekać z wejściem do zapalenia się zielonego światła.*

Garstka wysiadających pasażerów ma na sobie robocze ubrania. Czerwone lampki nad każdymi drzwiami zmieniają się na zielone.

Można wsiadać do stacji Centrum.

Wymieniamy się z Amandą spojrzeniami, wzruszamy ramionami i wchodzimy do pierwszego wagonika. Niemal wszystkie miejsca są zajęte.

Nie jest to kolejka municypalna, jaką znam. Jest darmowa i nikt nie stoi. Wszyscy są przypięci pasami do foteli, które wyglądają jak wyjęte z samochodów wyścigowych.

Nad każdym wolnym miejscem unosi się napis WOLNE.

Gdy idziemy między fotelami, głos informuje:

Proszę znaleźć sobie miejsce. Pociąg nie może ruszyć, zanim wszyscy nie będą bezpiecznie przypięci.

Siadamy na dwóch wolnych fotelach z przodu wagonu. Gdy opadam na oparcie, wysuwają się wyściełane pałaki i delikatnie obejmują mnie w pasie i wokół klatki piersiowej.

Proszę oprzeć głowę o zagłówek. Pociąg odjedzie za trzy... dwie... jedną...

Przyspieszenie jest gładkie, ale intensywne. Przez dwie sekundy wciska mnie głęboko w fotel, po czym wszystko się wyrównuje i płyniemy z niepojętą prędkością po pojedynczej szynie. Nie czuć nawet śladu tarcia pod wagonikiem, a domy za szybą przesuwały się z taką prędkością, że mój umysł nie potrafił przetworzyć tego, co rejestruje wzrok.

Panorama wieżowców w centrum przybliżyła się. W tych budynkach nie ma jednak żadnej logiki — w ostrym świetle poranka wyglądają, jakby ktoś rozbił lustro i poustawiał fragmenty pionowo, tuż obok siebie. Wygląda to zbyt pięknie przypadkowo i nieregularnie, by mogło być tworem ludzkich rąk. Jest perfekcyjne w swej niedoskonałości i asymetrii — niczym pasmo górskie albo koryto rzeki.

Tor pociągu opada w dół.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Pędzimy przez tunel. Ciemność rozjaśniają pojawiające się co kilka sekund plamy światła, co jednak tylko nasila poczucie dezorientacji i wrażenie pędu.

Wystrzeliwujemy z ciemności w blask i gdy pociąg gwałtownie

zwalnia, lecę do przodu, jestem wciskany w krępujące mnie pająki i odruchowo chwytam się podłokietników.

Głos informuje: *Stacja Centrum*.

W powietrzu przede mną pojawia się hologram z pytaniem: TO TWÓJ PRZYSTANEK? TAK? NIE?

— Wysiadajmy — mówi Amanda.

Przeciągam dłonią po „Tak”, Amanda robi to samo.

Przytrzymujące nas pałąki otwierają się i chowają w fotelach. Wstajemy i wysiadamy wraz z grupą pasażerów na peron stacji tak wielkiej, że nowojorska Grand Central to przy tym klitka. Strzelisty terminal jest zwieńczony dachem ze szkła, które rozбивa wpadające światło na niezliczone fazy jaskrawości, rzucając na marmurowe ściany wzór przypominający drżącą jodelkę.

Wszędzie jest pełno ludzi.

W powietrzu unoszą się przeciągnięte, skrzekliwe tony saksofonu.

Dochodzimy do przeciwległej strony hali i zaczynamy się wspinać po wysokich jak wodospad schodach.

Każdy człowiek coś mówi — prawdopodobnie przez telefon, choć nikt nie trzyma w dłoni aparatu.

U szczytu schodów przechodzimy przez jedną z kilkunastu bramek obrotowych.

Ulicą sunie tłum — nie ma samochodów ani ulicznych świateł. Stoimy u podstawy najwyższego budynku, jaki widziałem w życiu. Nawet z bliska nie wygląda on realnie. Fasadę ma tak jednolitą, że kojarzy się z bryłą lodu albo kryształu.

Z ciekawości przechodzimy przez ulicę, wchodzimy do foyer i podążając za znakami, docieramy do kolejki, czekającej na wjazd na taras widokowy.

Winda jest niesamowicie szybka.

Aby odetkać uszy, zatykające się z powodu ciągłej zmiany ciśnienia, muszę raz za razem przełykać ślinę.

Po dwóch minutach kabina się zatrzymuje.

Obsługujący windę pracownik informuje nas, że mamy dziesięć minut na nacieszenie się pobytym na szczycie.

Gdy drzwi się rozsuwają, do środka wpada zimny podmuch wiatru.

Tuż za drzwiami mijamy hologram, informujący: **JESTEŚ 2160 METRÓW NAD POZIOMEM ULICY.**

Wyjście z windy znajduje się pośrodku niedużej platformy obserwacyjnej, szczyt budynku jest jakieś piętnaście metrów wyżej — koniuszek szklanej konstrukcji, uformowanej jak czubek płomienia.

Gdy idziemy ku krawędzi, w powietrzu materializuje się kolejny hologram: **SZKLANA WIEŻA JEST NAJWYŻSZYM BUDYNKIEM NA ŚRODKOWYM ZACHODZIE I TRZECIM CO DO WYSOKOŚCI BUDYNKIEM W AMERYCE.**

Jest tu lodowato zimno, bryza wieje od jeziora bez chwili przerwy. Wpływające do płuc powietrze wydaje się rzadsze i czuję lekki zawrót głowy, choć nie umiałbym powiedzieć, czy z braku tlenu, czy z obawy przed wysokością.

Stajemy przy barierce zabezpieczającej.

Świat przed oczami lekko pływa. Żołądek protestuje.

Widok jest zbyt majestatyczny, aby dał się złożyć w jedną całość: migoczący ogrom miasta, mnóstwo sąsiednich wież i wielka połać jeziora, które widać aż do południowej granicy ze stanem Michigan.

Na zachodzie i południu, za przedmieściami, widać przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów jarzącej się w porannym świetle prerii.

Czuć, jak wieża buja się na boki.

GDY POWIETRZE JEST PRZEJRZYSZE, WIDAĆ CZTERY STANY: ILLINOIS, INDIANĘ, MICHIGAN I WISCONSIN.

Stojąc na tym dziele sztuki i wyobraźni, czuję się malutki.

Oddychanie powietrzem świata, który był w stanie zbudować coś tak pięknego, jest zachwycające.

Amanda stoi obok i patrzymy w dół wspaniale kobiecej krzywizny budynku. Tu na górze jest cicho i niemal błogo.

Jedynym dźwiękiem jest szept wiatru.

Odgłosy ruchu ulicznego nie docierają na tę wysokość.

— To wszystko było w twojej głowie? — pytam.

— Nieświadomie, ale sprawia wrażenie, że jest na swoim miejscu.

Jak w nie do końca zapamiętanym śnie.

Patrzę w kierunku północnych dzielnic, gdzie powinien leżeć Logan Square.

W niczym nie przypomina to mojego domu.

Dwa metry od nas stoi przy teleskopie para staruszków — on trzyma ją za ramiona dłońmi poskręcany jak sękate gałęzie, ona obserwuje najwspanialsze diabelskie koło, jakie w życiu widziałem: ma przynajmniej trzysta metrów wysokości. Wznosi się nad brzegiem jeziora dokładnie tam, gdzie powinien być Navy Pier.

Myślę o Danieli.

O tym, co drugi Jason — Jason 2 — może w tej chwili robić.

Z moją żoną.

Złość, strach i tęsknota za domem ogarniają mnie niczym choroba. Ten świat — mimo całej wspaniałości — nie jest moim światem. Nawet nie jest do niego podobny.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 42

Znowu idziemy ciemnym korytarzem między przestrzeniami i echo naszych kroków ucieka w nieskończoność.

Trzymam latarnię i rozpatruję, co napisać w notesie. Amanda nagle staje.

— Co jest?

— Posłuchaj.

Robi się tak cicho, że słyszę bicie własnego serca.

Po chwili jednak... ale to przecież niemożliwe.

Słyszać dźwięk.

Daleko, w głębi korytarza.

Amanda patrzy na mnie.

— Co to, do jasnej...

Wpatruję się w ciemność.

Widać jedynie odbijające się od zwielokrotnionych ścian, niknące wraz z odległością, światło latarni.

Z każdą chwilą dźwięk narasta.

Jednoznacznie jest to odgłos szurających po podłodze stóp.

— Ktoś idzie — mówię.

— Jak to możliwe?

Na skraju oświetlonej przestrzeni dostrzegani jakiś nich.

Idzie ku nam ludzka postać.

Cofam się o krok i gdy zjawia się zbliża, mam ochotę uciec, Tylko

dokąd?

Tak samo dobrze mogę stanąć twarzą w twarz z tym co ma być.

Mężczyzna.

Nagi.

Ciało ma pokryte brudem albo biotem, albo...

...krwią.

To na pewno krew.

Śmierdzi nią.

Jakby wytarzał się w kałuży krwi.

Włosy ma zmatowiałe, twarz tak wysmarowaną i oklejoną zakrzepłym w skorupę brudem, że białka oczu wydają się świecić.

Dłonie mu drżą, a palce ma ciasno zwinięte, jakby rozpaczliwie je w coś wbijał.

Gdy jest trzy metry ode mnie, dostrzegam, że to ja.

Schodzę mu z drogi i opieram się plecami o najbliższą ścianę, aby miał jak najszersze przejście.

Gdy mija mnie zataczającym się krokiem, zatrzymuje na mnie wzrok.

Nie jestem pewien, czy mnie widzi.

Sprawia wrażenie człowieka po ciężkim urazie psychicznym.

Pusta skorupa.

Jakby wracał z piekła.

Na plecach i ramionach ma powyrywane kawałki ciała,

— Co ci się stało? — pytam.

Zatrzymuje się i wbija we mnie spojrzenie, po czym otwiera usta i wydaje z siebie najbardziej przerażający dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem w życiu — wrzask tak przeraźliwy, że musi zostawiać blizny na gardle.

Gdy krzyk odbija się echem w głąb korytarza, Amanda chwytta mnie za ramię i odciąga.

Zjawa nie porusza się.

Patrzy w bezruchu, jak odchodzimy, po czym rusza dalej.

W nieskończony ciemność.

*

Pół godziny później stoimy przed drzwiami identycznymi jak wszystkie inne, próbuję zresetować głowę i emocjonalną pamięć tego, co właśnie stało się w korytarzu.

Biorę z plecaka notes, otwieram go i trzymam długopis nad kartką.

Nawet nie muszę myśleć.

Piszę tkwiące w mojej głowie słowa.

Chcę do domu.

*

Ciekawe, czy to właśnie czuł Bóg? Euforię wywołaną stworzeniem świata? Co prawda ten świat już istniał, ale połączyłem nas z nim. Ze wszystkich możliwych światów znalazłem właśnie ten i jest on dokładnie taki — przynajmniej, jeśli chodzi o widok z drzwi kabiny — jak chciałem.

Schodzę na podłogę, rozlega się chrzęst szkła na betonie. Popołudniowe słońce wpada przez wysoko umieszczone okna, oświetlając żelazne generatory z innej epoki.

Choć nigdy nie widziałem tego pomieszczenia w dziennym świetle, znam je.

Gdy byłem tu poprzednim razem, nad jeziorem Michigan wschodził księżyc w pełni, a ja opierałem się ciężko plecami o jedno z tych wiekowych urządzeń, napompowany do niepamięci narkotykami, wpatrując się w mężczyznę w masce gejszy, który pod bronią zmusił mnie do wejścia w głębiny tej opuszczonej elektrowni.

Wpatrując się — choć wtedy nie miałem o tym pojęcia — w siebie samego.

Nigdy nie byłbym w stanie wyobrazić sobie podróży, jaką potem odbyłem.

Piekła, które na mnie czekało.

Kabina stoi w najdalszym kącie agregatorowni, ukryta za schodami.

— No i? — pyta Amanda.

— Chyba się udało. To ostatnie miejsce, które widziałem, zanim obudziłem się w waszym świecie.

*

Wychodzimy ze zrujnowanej elektrowni.

Na zewnątrz świeci słońce.

Zaraz zacznie zachodzić.

Jest późne popołudnie, jedynym słyszalnym dźwiękiem jest wrzask mew latających nad jeziorem.

Wchodzimy od zachodu na przedmieścia Chicago, maszerujemy poboczem jak para włóczęgów.

Migocząca w oddali panorama wieżowców centrum jest znajoma.

Jest tą, którą znam i kocham.

Słońce cały czas opada i dopiero po dwudziestu minutach marszu dociera do mnie, że na drodze nie ma ani jednego samochodu.

— Trochę cicho, co? — pytam.

Amanda spogląda na mnie.

Na przemysłowym ugorze w pobliżu jeziora cisza nie była zbyt zauważalna.

Tutaj jest alarmująca.

Nie ma samochodów.

Nie ma ludzi.

Jest tak cicho, że słycać płynący w napowietrznych przewodach prąd.

Stacja CPA przy Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy jest zamknięta — nie widać autobusów ani pociągów.

Jedynym znakiem życia jest bezpieczny czarny kot ze skręconym jak korkociąg ogonem, skradający się przez jezdnię ze szczurem w pysku.

— Może powinniśmy wrócić? — pyta Amanda.

— Chcę zobaczyć mój dom.

— Tutejsza aura jest niedobra, Jasonie. Nie czujesz tego?

— Nie nauczymy się pilotować kabiny, jeżeli nie będziemy eksplorować miejsc, do których nas zabiera.

— Gdzie jest twój dom?

— Logan Square.

— Dość daleko na przejście piechotą.

— Więc pożyczmy sobie samochód.

Przecinamy Osiemdziesiątą Siódmą i idziemy wzdłuż szeregu kiepsko wyglądających segmentów. Widać, że od tygodni nikt nie sprzątał ulic. Wszędzie walają się śmieci. Paskudne, pękające worki odpadów piętrzą się ogromnymi stertami wzdłuż chodnika.

Wiele okien zostało zabitych deskami.

Niektóre są pozasłaniane płachtami plastiku.

Z większości zwisają ubrania.

Czerwone albo czarne.

W kilku domach słychać dudnienie radioodbiorników i telewizorów.

Płacz dziecka.

Poza tym okolica pozostaje złowieszczo cicha.

— Znalazłam! — woła Amanda w połowie szóstego kwartału. Przechodzę przez ulicę w kierunku auta Oldsmobile Cutlass Ciera z połowy lat dziewięćdziesiątych.

Biały. Rdzewiejący na krawędziach. Bez kołpaków na kołach.

Przez brudną szybę dostrzegam zwisające ze stacyjki kluczyki.

Otwieram drzwi kierowcy i wślizguję się za kierownicę.

— Naprawdę to robimy? — pyta Amanda.

Zapalam silnik i czekam, aż Amanda wsiądzie.

Jest jakieś ćwierć zbiornika paliwa.

Powinno wystarczyć.

Przednia szyba jest tak brudna, że potrzeba ponad dziesięć sekund machania wycieraczkami, aby jako tako zdrapać brud i przyklejone liście.

*

Międzystanowa jest wyludniona.

W życiu czegoś podobnego nie widziałem.

W obu kierunkach, jak okiem sięgnąć, ciągną się puste pasy asfaltu.

Jedziemy na północ i z każdym pokonywanym kilometrem gruda w moim żołądku rośnie.

— Wracajmy — mówi Amanda. — Poważnie. Coś tu naprawdę nie gra.

- Jeżeli moja rodzina tu jest, moje miejsce jest przy niej.
- Skąd wiesz, czy to w ogóle twoje Chicago?

Włącza radio i przeszukuje pasmo UKF, aż z szumiących głośników rozlegają się znajome piski systemu ostrzegania o stanie wyjątkowym.

Następująca wiadomość jest przekazywana na żądanie Wydziału Policji Stanu Illinois.

Obowiązkowa całodobowa godzina policyjna dla hrabstwa Cook zostaje utrzymana. Wszystkim mieszkańcom poleca się pozostawanie w domu do wydania dalszych instrukcji. Gwardia Narodowa w dalszym ciągu nadzoruje bezpieczeństwo wszystkich regionów, dostarcza racje żywnościowe i zapewnia transport do stref kwarantanny Ośrodka Nadzoru Chorób.

Jezdnią prowadzącą na południe przejeżdża na dużej prędkości konwój, złożony z czterech humvee w barwach maskujących.

Ryzyko zarażenia w dalszym ciągu utrzymuje się na wysokim poziomie. Początkowe objawy obejmują gorączkę, silne bóle głowy i bóle mięśniowe. Jeżeli uważasz, że sam albo ktokolwiek z mieszkańców twojego domu jest zarażony, wywieś w oknie od strony ulicy czerwony materiał. Jeżeli ktoś w twoim domu zmarł, wywieś w oknie od strony ulicy czarny materiał.

Personel Ośrodka Nadzoru Chorób udzieli pomocy najszybciej, jak będzie w stanie.

Prosimy nie wyłączać radioodbiorników w celu otrzymywania bieżących informacji.

Amanda patrzy na mnie.

— Dlaczego nie zawracasz?

*

Na mojej ulicy nie ma ani jednego wolnego miejsca do zaparkowania, zostawiam więc samochód na środku, z pracującym silnikiem.

— Kompletnie cię popieprzyło — stwierdza Amanda, gdy otwieram drzwi.

Wskazuję na mój dom, z wywieszonymi z okna głównej sypialni

czerwoną spódnicą i czarnym swetrem.

— To mój dom, Amando.

— Pospiesz się. I nie ryzykuj.

Wysiadam.

Jest absolutnie cicho, w półmroku wszystko wydaje się niebieskawe.

Przecznicę dalej blade postacie wloką się środkiem ulicy.

Dochodzę do krawężnika.

Kable energetyczne, biegnące między słupami, milczą, światło w domach jest łagodniejsze, niż powinno być.

Świece.

W mojej dzielnicy nie ma prądu.

Wchodzę po schodach do frontowych drzwi i zaglądam przez wielkie okno do jadalni.

W środku jest ciemno i ponuro.

Pukam.

Po długim czasie z kuchni wychodzi cień i drepcząc z trudem, mija stół i idzie w kierunku drzwi.

Robi mi się sucho w ustach.

Nie powinno mnie tu być.

To nie jest mój dom.

Żyrandol jest inny.

U nas nie było reprodukcji obrazu van Gogha nad kominkiem.

Trzaskają trzy zamki.

Drzwi uchylają się na dwa centymetry i ze środka wypełza fala powietrza, absolutnie nieprzypominająca atmosfery mojego domu.

Są w nim jedynie choroba i śmierć.

Daniela trzyma świecę, która drży w jej dłoni.

Nawet w słabym świetle widać, że każdy centymetr jej skóry pokrywają guzy.

Gałki oczne ma czarne.

Krwawią.

Pozostały jedynie cienkie półksiężycy bieli.

— Jason? — pyta słabym głosem. Z oczu płyną jej łzy. —
Boże... to naprawdę ty?

Otwiera szerzej drzwi i kuśtyka w moją stronę, ledwie trzymając się na nogach.

Obrzydzenie wobec kogoś, kogo się kocha, może złamać serce.
Cofam się o krok.

Czując moje przerażenie, zatrzymuje się.

— Jak to możliwe? — charczy. — Umarłeś.

— O czym ty mówisz?

— Tydzień temu wynieśli cię w worku pełnym krwi.

— Gdzie Charlie?

Daniela kręci głową, rozmazując po twarzy krwawe łyzy i wykasłuje w zgięciu łokcia krwawą pianę.

— Nie żyje? — pytam.

— Nikt po niego nie przyszedł. Cały czas jest w swoim pokoju.

Gnije na górze, Jasonie.

Na chwilę Daniela traci równowagę, zdąża się jednak chwycić framugi.

— Jesteś prawdziwy? — pyta.

Czy jestem prawdziwy?

Cóż za pytanie.

Nie mogę wydusić słowa.

Gardło boli mnie z rozpacz.

Oczy zaczynają mi wypełniać łyzy.

Bez względu na to, jak mi jej żal, boję się jej. Mój instynkt samozachowawczy skręca się z przerażenia.

— Ktoś jedzie! — woła Amanda z samochodu.

Patrzę w głąb ulicy — przez ciemność toczy się para reflektorów.

— Jason, zaraz cię tu, kurwa, zostawię!

— Kto to? — pyta Daniela.

Pomruk świadczy o tym, że zbliżający się samochód to diesel.
Amanda miała rację. Powinienem był zawrócić w chwili, gdy stało się jasne, jak niebezpiecznie może tu być.

To nie jest mój świat.

A jednak moje serce jest uwiązane do pokoju na piętrze, w którym leży martwa wersja mojego syna.

Najchętniej wbiegłbym tam i go wyniósł, oznaczałoby to jednak

moją śmierć.

Zbiegam po frontowych schodach, gdy na ulicy zatrzymuje się humvee — trzy metry od zderzaka samochodu, który ukradliśmy w South Side.

Jest pokryty różnymi znakami: Czerwonego Krzyża, Gwardii Narodowej, Ośrodka Nadzoru Chorób.

Amanda wychyla się z okna.

— Co się, do cholery, dzieje, Jasonie? — krzyczy.

Ocieram oczy.

— Mój syn leży w środku martwy. Daniela umiera.

Przednie prawe drzwi humvee otwierają się i na zewnątrz wychodzi postać w czarnym kombinezonie do ochrony przed zagrożeniem biologicznym i w masce przeciwigazowej. Celuje do mnie z karabinka szturmowego.

Dolatujący zza maski głos jest kobiecy.

— Nie ruszaj się — mówi.

Odruchowo podnoszę rękę.

Kobieta obraca broń w kierunku oldsmobila i podchodzi do samochodu.

— Wyłącz silnik — mówi do Amandy.

Amanda sięga za środkową konsolę do kluczyka i gasi silnik.

Z humvee wysiada kierowca.

Wskazuję w kierunku Daniela, która stoi na werandzie, ledwo utrzymując się na nogach.

— Moja żona jest bardzo chora. Mój syn leży martwy na górze.

Kierowca spogląda w górę fasady domu.

— Wywiesiliście kolory prawidłowo. Ktoś wkrótce przybędzie, aby...

— Ona potrzebuje pomocy natychmiast.

— To pański samochód?

- Tak.

— Dokąd planował się pan udać?

— Chciałem zawieźć żonę do kogoś, kto mógłby jej pomóc. Nie ma żadnych szpitali ani...

— Proszę poczekać na miejscu.

— Proszę...

— Czekaj!

Kierowca wchodzi na chodnik i wspina się na schody, gdzie Daniela siedzi na najwyższym stopniu, oparta o balustradę.

Kłęka przed nią i choć słyszę jego głos, nie jestem w stanie rozróżnić słów.

Kobieta z karabinkiem trzyma w szachu mnie i Amandę.

Po drugiej stronie ulicy w jednym z okien pojawia się migotanie świecy — któryś z sąsiadów postanowił przyjrzeć się temu, co rozgrywa się pod moim domem.

Kierowca humvee schodzi na dół.

— Obozy Ośrodka Nadzoru Chorób są przepelnione. Już od ponad dwóch tygodni. Poza tym nie miałyby znaczenia, gdyby udało się ją panu w którymś umieścić. Gdy oczy zaczynają krwawić, koniec jest bliski. Nie wiem, jak pan, ale ja wolałbym umrzeć we własnym łóżku niż na leżance w namiocie FEMA, wypełnionym martwymi i umierającymi ludźmi. — Spogląda przez ramię. — Nadio, mogłabyś dać temu dżentelmenowi kilka zestawów? I maskę, jeśli już idziesz do samochodu?

— Mike... — odpowiada kobieta.

— Weź to, kurwa, po prostu zrób.

Nadia idzie na tył humvee i otwiera klapę bagażnika.

— Ona umrze? — pytam.

— Przykro mi.

— Ile jej zostało?

— Byłbym zaskoczony, gdyby dotrwała do rana.

Daniela jęczy w ciemności za moimi plecami.

Nadia wraca, wkłada mi w dłoń pięć automatycznych strzykawek i maskę na twarz.

Kryzysowego.

— Proszę nosić maskę bez przerwy — instruuje mnie kierowca.

— Wiem, że to trudne, ale proszę jej nie dotykać.

— Co w tym jest?

— Morfina. Jeśli da jej pan wszystkie pięć naraz, odpłynie. Nie

czekałbym, ostatnie godziny są paskudne.

— Nie ma szansy?

— Nie ma.

— Co z lekiem?

— Nie będzie go na czas, aby uratować miasto.

— Więc pozwala się po prostu umierać ludziom w swoich domach? Mężczyzna przygląda mi się przez maskę.

Wizjer jest przyciemniony, więc nie widzę jego oczu.

— Jeżeli spróbuje pan stąd odjechać i trafi na nieodpowiednią blokadę ulicy, zabiją pana. Zwłaszcza po zmroku.

Odwraca się i odchodzi.

Patrzę, jak wsiada do humvee, uruchamia silnik i odjeżdża.

Słońce zeszło już za horyzont.

Zapada zmrok.

— Powinniśmy jechać — mówi Amanda.

— Daj mi sekundę.

— Ona jest zakażona.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Jasonie...

— To moja żona.

— Nie, to wersja twojej żony i jeżeli złapiesz to, na co choruje, nigdy nie ujrzysz swojej żony.

Zakładam maskę i wchodzę schodkami na werandę.

Gdy się zbliżam, Daniela podnosi głowę.

Jej zniszczona twarz łamie mi serce.

Cała się zarzygała krwią i czarną żółcią.

— Nie zabiorą mnie ze sobą? — pyta.

Kręcę głową.

Mam ochotę objąć ją i pocieszyć.

Mam ochotę uciec od niej.

— Nie ma sprawy — mówi. — Nie musisz udawać, że wszystko będzie dobrze. Jestem gotowa.

— Dali mi to. — Kładę strzykawki na ziemi.

— Co to?

— Sposób na zakończenie wszystkiego.

— Patrzyłam, jak umierasz w swoim łóżku. Patrzyłam, jak mój syn umiera w swoim. Nigdy nie wrócę do tego domu. Choć wyobrażałam sobie na wszelkie możliwe sposoby, jak potoczy się moje życie, na ten nie wpadłam.

— To nie jest sposób, w jaki toczyło się twoje życie, a jedynie jak się skończyło. Twoje życie było piękne.

Świeca wypada jej z rąk i gaśnie na betonie. Znad knota unosi się smużka dymu.

— Jeżeli podam ci wszystkie naraz, to się może skończyć. Tego chcesz?

Kiwa głową. Po policzkach spływają jej łzy i krew.

Ściągam ze strzykawki jaskrawoczerwoną osłonę, przykładam końcówkę do uda Daniela i wciskam przycisk na przeciwległym końcu.

Daniela ledwie drga, gdy automatyczna strzykawka posyła pod jej skórę dawkę morfiny.

W szybkim rytmie przygotowuję pozostałe strzykawki i wstrzykuję je.

Efekt jest niemal natychmiastowy.

Daniela opada ciężko na balustradę z kutego żelaza, a jej czarne oczy stają się szkliste, gdy narkotyk zaczyna działać.

— Lepiej? — pytam.

Niemal się uśmiecha.

— Wiem, że to tylko halucynacja, ale jesteś moim aniołem — mówi, z każdym słowem mniej wyraźnie. — Wróciłeś do mnie. Tak się bałam samotnie umrzeć w tym domu...

Mrok coraz bardziej gęstnieje.

Na upiornie czarnym niebie nad Chicago pojawiają się pierwsze gwiazdy.

— Tak mi... lekko... — wzdycha Daniela.

Myślę o wszystkich wieczorach, które spędziliśmy na tej werandzie. Pijąc. Śmiejąc się. Gadając głupoty z przechodzącymi sąsiadami, podczas gdy wzdłuż ulicy zapalały się latarnie.

„Mój” świat wydaje się w porównaniu z tym tutaj bezpieczny i idealny, ale to jasne, że nie miałem prawa traktować jego wygody jako oczywistości. Było tyle możliwości, aby ów tak dobry świat rozleciał się

na kawałki.

— Szkoda, że nie możesz mnie dotknąć — mówi Daniela.
Jej głos jest gardłowy i cichy, niewiele głośniejszy od szeptu.
Zamyka oczy.

Każdy oddech staje się dłuższy o sekundę lub dwie.

Aż przestaje oddychać.

Nie chcę jej zostawić na zewnątrz, ale zdaję sobie sprawę, że nie wolno mi jej dotknąć.

Wstaję, podchodzę do drzwi i wchodzę do środka. Dom jest cichy i ciemny, od razu przylepia się do mnie obecność śmierci.

Przechodzę przez oświetloną światłem świec jadalnię, kuchnię i wchodzę do gabinetu. Pod moimi stopami skrzypią deski — jedyny słyszalny odgłos.

Zatrzymuję się u stóp schodów i wbijam wzrok w ciemność piętra, gdzie w swoim łóżku gnije mój syn.

Czuję siłę ciągnącą mnie na górę niczym czarna dziura, której grawitacji nie można się przeciwstawić.

Opieram się jednak.

Biorę rzucony na oparcie kanapy koc, wychodzę z nim na zewnątrz i przykrywam ciało Daniela.

Zamykam drzwi mojego domu, schodzę po schodkach i oddalam się od horroru.

Wsiadam do samochodu i uruchamiam silnik.

Patrzę na Amandę.

— Dzięki, że mnie nie zostawiłaś.

— Powinnam była to zrobić.

Odjeżdżamy.

Niektóre dzielnice mają prąd.

Niektóre spowija kompletna ciemność.

Z oczu ciągle lecą mi łzy.

Ledwie widzę drogę.

— Jasonie, to nie jest twój świat — mówi Amanda. — To nie była twoja żona. Ciągle jeszcze możesz wrócić do domu i ich odnaleźć.

Zdroworozsądkowe wiem, że ma rację, ale emocjonalnie rozwaliło mnie to na kawałki.

Jestem zaprogramowany na kochanie tej kobiety i opiekowanie się nią.

Przejeżdżamy przez Bucktown.

W oddali cały kwartał budynków płonie, wyrzucając w niebo trzydziestometrowe płomienie.

*

Międzystanowa jest ciemna i pusta.

Amanda ściąga mi z twarzy maskę.

W nosie ciągle mam smród śmierci z mojego domu.

Nie można się go pozbyć.

Cały czas myślę o Danieli, która leży martwa pod kocem na naszej werandzie.

Gdy mijamy centrum od zachodu, wyglądam przez okno.

Profil wieżowców oświetlają jedynie gwiazdy.

Budynki są ciemne, pozbawione życia.

— Jasonie? — mówi nagle Amanda.

- Tak?

— Jedzie za nami jakiś samochód.

Spoglądam w lusterko wsteczne.

Auto bez świateł wygląda jak trzymający się naszego zderzaka fantom.

Nagle na jego dachu zapalają się oślepiające reflektory i zaczynają obracać czerwono-niebieskie koguty, co we wnętrzu naszego samochodu daje efekt, jakby wybuchały dwukolorowe igły światła.

Zjedź do krawężnika — dudni głos z potężnego głośnika.

Zaraz spanikuję.

Nie mamy niczego do obrony.

Tym starym rzęchem nikomu nie uciekniemy.

Zdejmuję nogę z gazu i patrzę na cofającą się wskazówkę prędkościomierza.

— Zatrzymujesz się? — pyta Amanda.

— Tak.

— Dlaczego?

Lekko dociskam pedał hamulca i gdy niemal się zatrzymujemy,

zjeżdżam na pobocze i staję.

— Jasonie... — Amanda chwyta mnie za ramię. — Co robisz?

W bocznym lusterku obserwuję zatrzymującego się za nami czarnego SUV-a.

— *Wyłącz silnik i wyrzuć kluczyki przez okno!*

— Jasonie!

— Zaufaj mi.

To jest ostatnie ostrzeżenie! Wyłącz silnik i wyrzuć kluczyki przez okno. Próba ucieczki będzie karana ze śmiertelnością!

Kilometr, półtora za nami pojawiają się kolejne światła reflektorów.

Przesuwam dźwignię biegów na PARKOWANIE i gaszę światła. Opuszczam boczną szybę, wystawiam przez nią rękę i udaję, że wypuszczam z dłoni kluczyki.

Drzwi kierowcy SUV-a otwierają się i wysiada mężczyzna w masce przeciwwgazowej z bronią w ręku.

Wrzucam bieg, zapalam światła i wciskam gaz do dechy.

Przez ryk silnika przebija się huk wystrzału.

Na przedniej szybie pojawia się przypominający gwiazdę ślad po uderzeniu pocisku.

Po chwili jeszcze jeden.

Kolejny pocisk wali w radio.

Patrzę w lusterko — SUV jest kilkaset metrów za nami.

Prędkościomierz wskazuje dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę i strzałka ciągle przesuwa się w prawo.

— Ile mamy do zjazdu? — pyta Amanda.

— Dwa, trzy kilometry.

— Jedzie ich cała banda.

— Widzę.

— Jeśli nas dogonią...

— Wiem.

Jedziemy nieco ponad sto czterdzieści, silnik robi wszystko, aby utrzymać prędkość, ale strzałka obrotomierza zbliża się do czerwonej strefy.

Śmigamy obok znaku informującego, że do naszego zjazdu zostało

czterysta metrów.

Przy tej prędkości powinniśmy dotrzeć tam w ciągu kilku sekund.
Wpadam w zjazd, mając sto dwadzieścia na liczniku i ostro hamuję.

Nie jesteśmy przypięci pasami.
Siła bezwładu rzuca Amandą na schowek, a mnie wciska w kierownicę.

Na końcu zjazdu robię gwałtowny skręt i przejeżdżam po znaku STOP — opony piszczą, dymi guma. Amanda wali z hukiem o drzwi, mnie prawie wyrywa kierownicę z rąk i mało brakuje, abym przeleciał na prawy fotel.

Gdy jedziemy estakadą, kątem oka dostrzegam na międzystanowej pięć par reflektorów — najbliższy SUV wjeżdża na zjazd, tuż za nim dwa humvee.

Pędzimy pustymi ulicami południowego Chicago.
Amanda pochyla się do przodu i patrzy przez przednią szybę w górę.

- Co jest?
- Widzę światła.
- Helikoptera?
- Na to wygląda.

Pędzimy przez puste skrzyżowania, mijamy zniszczoną stację kolei municypalnej i zostawiamy getto za sobą. Teraz śmigają po bokach opuszczone magazyny i bocznicę kolejowe.

Zadupie miasta.

- Zbliżają się — mówi Amanda.

W bagażnik naszego samochodu wbija się pocisk.

Zaraz potem, w bardzo krótkich odstępach, trzy następne. Brzmi to jak walenie młotkiem w metal.

- To broń maszynowa — mówi Amanda.
- Połóż się na podłodze.

Słyszę zbliżający się hymn policyjnych syren.

Antyk, którym jedziemy, nie ma szans.

Kolejne dwa pociski przebijają tylną i przednią szybę.

Jeden z nich przelatuje przez oparcie fotela, na którym przed

chwilą siedziała Amanda.

Za poszarpanym przez kule szkłem przedniej szyby majaczy jezioro.

— Trzymaj się, jesteśmy prawie na miejscu — mówię.

Skręcam ostro w prawo w Pułaski Drive, a gdy trzy pociski łomoczą w lewe tylne drzwi, gaszę światła.

Pierwsze kilka sekund jazdy bez świateł wywołuje uczucie lotu w kompletnym mroku.

Potem oczy zaczynają się adaptować.

Dostrzegam asfalt w przodzie, czarne sylwetki otaczających nas budynków.

Jest ciemno jak na wsi.

Zdejmuję nogę z gazu, ale nie dotykam hamulca.

Rzut oka za siebie pozwala mi dostrzec dwa SUV-y skręcające agresywnie w Pułaski.

Przed nami widać już parę znajomych kominów, wznoszących się w usiane gwiazdami niebo.

Jedziemy nie więcej jak czterdziestką i choć SUV-y szybko nas doganiają, nie sądzę, że ich reflektory dachowe nas złapały.

Widzę płot.

Jeszcze bardziej zwalniam.

Przejeżdżam przez ulicę, zderzak wali w zamkniętą bramę i rozchyła jej połowy na boki.

Wtaczamy się powoli na parking i gdy okrążam przewrócone latarnie, spoglądam w kierunku drogi.

Syreny są coraz głośniejsze.

Bramę mijają trzy SUV-y, za nimi dwa humvee z zamontowanymi na dachach obrotowymi karabinami maszynowymi.

Gaszę silnik.

W ciszy, która wokół nas zapadła, słychać tylko słabnący dźwięk syren.

Amanda wstaje z podłogi, ja biorę nasz plecak.

Odgłosy trzaśnieć naszych drzwi odbijają się od ceglanej ściany budynku.

Idziemy w kierunku kruszącej się konstrukcji z resztką napisu:

CAGO POWER.

Przelatuje nad nami helikopter, jaskrawe światło szperacza prze suwa się po parkingu.

Rozlega się wycie uruchamianego na wysokich obrotach silnika. Pulaski Drive przecina w kontrolowanym poślizgu kolejny czarny SUV.

Oślepiają nas reflektory.

Gdy biegniemy w kierunku budynku, wzmacniany przez megafon męski głos każe nam się zatrzymać.

Wchodzę przez dziurę w ceglanej fasadzie i podaję Amandzie dłoń. by pomóc jej wejść.

Jest ciemno jak w grobie.

Szybko otwieram plecak i wydaję latarnię.

Światło ukazuje zniszczoną recepcję, i widok tego miejsca po ciemku przenosi mnie do nocy z Jasonem 2, gdy prowadził mnie pod bronią, nagiego, do innej wersji tego starego budynku.

Wychodzimy z pierwszego pomieszczenia, wspomagając się latarnią.

Na korytarz.

Przyspieszamy kroku.

Nasze kroki dudnią o zbutwiałą podłogę.

Pot spływa mi po twarzy, kłuje w oczy.

Serce wali mi tak mocno, aż drga cała klatka piersiowa.

Z trudem łapię oddech.

Za naszymi plecami słyszeć krzyki.

Patrząc za siebie — ciemność przecinają czerwone kreski laserowych celowników, tu i ówdzie widać zielone plamki — prawdopodobnie z noktowizorów.

Ciemność wypełniają trzaski radia i szepty, zza ścian dolatuje szelest wirników helikoptera.

Rozlega się długa seria z broni maszynowej, padamy płasko na podłogę, aż strzelanina cichnie.

Wstajemy i pędzimy dalej.

Na skrzyżowaniu z innym korytarzem prowadzę w bok — dałbym głowę, że to dobra droga, choć w ciemności nigdy nic nie wiadomo.

W końcu docieramy do metalowego podestu u szczytu schodów

bez poręczy, prowadzących do agregatorowni.

Schodzimy.

Nasi prześladowcy są tak blisko, że jestem w stanie rozróżnić trzy różne głosy, odbijające się echem w ostatnim korytarzu.

Dwóch mężczyzn i kobieta.

Schodzę z ostatniego stopnia, Amanda jest tuż za mną, gdy na szczycie schodów łupią ciężkie kroki.

Drogę przede mną przecinają dwie czerwone kreski.

Odskakuję na bok i biegnę dalej, prosto w ciemność, gdzie musi czekać kabina.

Nad naszymi głowami rozlegają się strzały i zaczynają ku nam zbiegać dwie postacie w pełnych kombinezonach do ochrony przed zagrożeniami biologicznymi.

Mamy do kabiny piętnaście metrów — jej drzwi są otwarte, a metalowa powierzchnia delikatnie rozprasza światło naszej latarni.

Kolejny wystrzał.

Czuję, jak koło ucha przelatuje mi z wizgiem coś, co brzmi jak wściekły szerszeń.

Pocisk trafia w drzwi i odbija się, wzbijając snop iskier.

Moje ucho piecze.

— Nie macie dokąd uciec! — krzyczy mężczyzna za nami.

Amanda jest pierwsza w kabinie.

Przeskakuję próg, odwracam się i wbijam bark w drzwi.

Żołnierze są oddaleni o pięć, może sześć metrów, wyraźnie słychać, jak dyszą przez maski.

Otwierają ogień i oślepiające płomienie na końcach luf oraz grzechoczące o metal kabiny pociski są ostatnimi rzeczami tego koszmarnego świata, jakie widzę i słyszę.

*

Natychmiast się szprycujemy i ruszamy korytarzem.

Po jakimś czasie Amanda chce się zatrzymać, ja jednak nie jestem w stanie.

Muszę być w ruchu.

Idziemy pełną godzinę.

Przez cały cykl działania narkotyku.
Krew ciekąca z ucha zalewa mi ubranie.
Aż korytarz zapada się i tworzy pojedynczą kabinę.
Zrzucam z ramion plecak.
Jest mi zimno.

Cały jestem pokryty zaschniętym potem.
Amanda stoi pośrodku kabiny, spódnicę ma brudną i porwaną,
sweter niemal kompletnie w strzępach po naszej szaleńczej ucieczce w
fabryce.

Gdy stawia latarnię na podłodze, wszystko ze mnie uchodzi.
Siła, napięcie, złość, strach.
Wszystko wylewa się naraz w powodzi łez i niepohamowanego
szlochu.

Amanda gasi latarnię.
Osuwam się po zimnej ścianie, Amanda przyciąga mnie do siebie i
kładzie sobie moją głowę na kolanach.

Przesuwa palcami przez moje włosy.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 40

Odzyskuję świadomość w kompletnym mroku. Leżę na boku na
podłodze kabiny, plecami oparty o ścianę. Amanda mocno się do mnie
przytula, jej głowa leży w zgięciu mojego ramienia.

Jestem głodny i chce mi się pić.
Ciekawe, jak długo spałem.
Przynajmniej ucho przestało krwawić.
Nie da się zaprzeczyć temu, jak bardzo jesteśmy bezradni.
Oprócz siebie nawzajem, jedyną stałą, jaka nam pozostała, jest
kabina.

Maleńka łupina na ogromnym oceanie.
Nasze schronienie.
Więzienie.
Dom.
Ostrożnie rozplątuję nasze ciała.
Zdejmuję bluzę, zwijam ją w coś na kształt poduszki i wkładam
Amandzie pod głowę.

Lekko się porusza, ale nie budzi.

Macając w ciemności, podchodzę do drzwi. Wiem, że nie powinienem naruszać zabezpieczenia, ale muszę wiedzieć, co jest na zewnątrz, na dodatek zżera mnie klaustrofobia.

Naciskam klamkę i delikatnie ciągnę drzwi.

Pierwsze zaskoczenie: zapach roślin zimozielonych.

Skośne pasy słonecznego światła przecinają gęsty sosnowy las.

Nieopodal zamarł w bezruchu jeleni i wpatruje się ciemnymi, wilgotnymi ślepiami w kabinę.

Gdy wychodzę, zwierzę bezgłośnie odbiega w las.

Jest zaskakująco cicho.

Nad zasianą igłami ziemią unosi się mgła.

Odchodzę od kabiny i siadam na kawałku ziemi oświetlanym bezpośrednio przez słońce, które jest na twarzy ciepłe i przyjemne.

Po szczytach drzew przepływa bryza.

Wiatr niesie ze sobą zapach dymu palonego drewna.

Z ogniska?

Komina?

Kto tu mieszka?

Co to za świat?

Słyszę odgłos kroków.

Spoglądam za siebie — Amanda idzie między drzewami — i czuję ukłucie poczucia winy, mało bowiem brakowało, bym w poprzednim świecie spowodował jej śmierć. Nie jest tu ze względu na mnie, lecz przeze mnie — bo mnie uratowała. Zrobiła coś odważnego i bardzo ryzykownego.

Siada obok mnie i odwraca twarz do słońca.

— Jak spałeś? — pyta.

— Twardo było. Coś mi wlało w kark. A ty?

— Wszystko mnie boli.

Pochyliła się blisko i przygląda się mojemu uchu.

— Źle? — pytam.

— Nie, kula oberwała tylko kawałek płatka. Oczyszczę ci to.

Podaje mi litrową butelkę z wodą, którą napełniliśmy w futurystycznym Chicago, i biorę długi łyk, marząc o tym, aby nigdy się nie skończył.

— Poza tym wszystko gra? — pyta Amanda.
— Nie mogę przestać o niej myśleć. Jak leży martwa na werandzie. Do tego Charlie w swoim pokoju. Jesteśmy tak bardzo zagubieni...

— Wiem, że to niełatwe pytanie, ale powinienes — powinniśmy oboje — zastanowić się nad tym, dlaczego sprowadziłeś nas do tego świata.

— Napisałem tylko: „Chcę do domu”.

— No właśnie. Tak napisałeś, ale przeniosłeś przez drzwi bagaż.

— Czyli?

— To nie oczywiste?

— Najwyraźniej nie.

— Twój największy strach.

— Czy nie każdy obawia się podobnego scenariusza?

— Może, ale ten tak idealnie do ciebie pasuje, aż jestem zaskoczona, że tego nie widzisz.

— Jak to „idealnie do mnie pasuje”?

— Nie tylko utrata rodziny, ale jej utrata z powodu choroby.

Tak, jak straciłeś matkę, gdy miałaś osiem lat.

Rzucam Amandzie ostre spojrzenie.

— Skąd wiesz?

— A jak sądzisz?

Oczywiście. Była przecież terapeutką Jasona 2.

— Przyglądanie się umieraniu matki było zdarzeniem, które określiło go na całe życie. Z tego właśnie powodu nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci. Dlatego poświęcił się tylko pracy.

Ma rację. Były chwile, na samym początku, gdy chodziło mi po głowie, aby uciec od Daniela. Nie dlatego, że była mi obojętna — wręcz przeciwnie, szalałem za nią — ale ponieważ w głębi duszy bałem się ją utracić. Strach powrócił, gdy się dowiedziałem, że jest w ciąży z Charliem.

— Dlaczego miałbym wybrać taki właśnie świat?

— Dlaczego mężczyźni żenią się z kopiami kontrolujących ich matek? A kobiety wychodzą za nowe wersje swoich nieobecnych ojców? Żeby mieć okazję naprawić zło. Skorygować jako osoba dorosła to, co

bolało w dzieciństwie. Może zdroworozsądkowo nie wydaje się to sensowne, ale podświadomość maszeruje do własnej melodii. Sądzę, że tamten świat to dla nas dobra nauka, jak funkcjonuje kabina.

— Czterdzieści — mówię i oddaję Amandzie butelkę.

— Co czterdzieści?

— Ampulek. Połowa jest twoja. To daje każdemu z nas dwadzieścia okazji, by naprawić to, co należy naprawić. Jakiś plan? — pytam.

— Jeszcze nie wiem do końca, ale pewne jest, że nie zamierzam wracać do mojego świata.

— Chcesz, byśmy zostali razem, czy to pożegnanie?

— Nie wiem, jak ty, ale uważam, że jeszcze się nawzajem potrzebujemy. Chyba będę mogła ci pomóc wrócić do domu.

*

Opieram się plecami o pień sosny. Na kolanach mam notes, w głowie wirują mi najrozmaitsze myśli.

Jakież to przedziwne: uważać, że można wyobraźnią wykreować świat, jedynie za pomocą słów, zamiarów i pragnienia.

Niepokojącym paradoksem jest to, że choć nad wszystkim panujemy, to tylko w takim zakresie, w jakim panujemy nad sobą.

Nad naszymi emocjami.

Wewnętrzными burzami.

Napędzającymi nas tajemnymi silnikami.

Jeżeli istnieje nieskończona liczba światów, to jak znaleźć ten wyjątkowy, dokładnie mój?

Wpatruję się w kartkę i po chwili zaczynam opisywać moje Chicago — z każdym najdrobniejszym szczegółem, jaki przychodzi mi do głowy. Maluję moje życie słowami.

Pokrzykiwania idących do szkoły dzieciaków, ich głosy przypominające płynący po skałach strumień — wysokie i bulgoczące.

Graffiti na budynku trzy przecznice od mojego domu, namalowane na ścianie ze spłowiałych niemal do białości cegieł — tak kunsztowne, że nikt go nigdy nie zamalował.

Medytuję nad charakterystycznymi szczegółami mojego domu.

Piszę o czwartym stopniu schodów na piętro, który zawsze skrzypi.

O łazience na parterze, gdzie zawsze kapie z kranu.

O zapachu w kuchni, gdy pierwszą czynnością dnia jest parzenie kawy.

O wszystkich drobnych, pozornie nieistotnych szczegółach, od których zależy mój świat.

POZOSTAŁA LICZBA

AMPULEK: 32

W estetyce istnieje pojęcie „doliny niesamowitości”. Dotyczy ono faktu, że obiekty wyglądające niemal jak człowiek — na przykład manekin albo robot — sprawiają nieprzyjemne uczucia, a nawet odrazę, ponieważ z jednej strony ich ogromne podobieństwo do człowieka wywołuje wrażenie niesamowitości, ale z drugiej niewielkie szczegóły odróżniające je od człowieka dają poczucie kontaktu z czymś, co jest zarówno znajome, jak i obce, co wywołuje uczucie dyskomfortu, a nawet strachu.

Coś podobnego przeżywam, idąc ulicami Chicago, które jest niemal moje. Z apokaliptycznym koszmarem mógłbym się mierzyć dzień w dzień, ale rozpadające się budynki i szara pustynia to nic w porównaniu ze staniem na rogu, który mijałem tysiąc razy, i stwierdzeniem, że nazwy ulic się nie zgadzają. Z faktem, że kawiarnia, w której zawsze się zatrzymuję na poranne potrójne americano z mlekiem sojowym, jest sklepem z winem. Albo z tym, że mój dom przy Eleanor Street 44 zamieszkują obcy mi ludzie.

*

To czwarte Chicago, z którym nawiązaliśmy kontakt od ucieczki ze świata choroby i śmierci. A każde miało jedną wspólną cechę niemal jak dom.

Nadciąga noc, a ponieważ w dość krótkich odstępach wzięliśmy cztery dawki narkotyku, bez okresu odpoczynku, po raz pierwszy postanawiamy nie wracać do kabiny

Jesteśmy w tym samym hotelu przy Logan Square, w którym zatrzymałem się w świecie Amandy.

Neon nie jest zielony, lecz czerwony, nazwa jest jednak taka

HOTEL ROYALE, a całość jest też ekscentryczna, jakby zastygła w czasie — choć na tysiąc innych sposobów.

Nasz pokój ma dwa podwójne łóżka i tak samo tak w tym, w którym mieszkałem w świecie Amandy — jego okno wchodzi na ulicę.

Odstawiam plastikowe torby z kosmetykami i ubraniami z lumpeksu na szafce z telewizorem.

W każdych innych okolicznościach wzdragałbym się przed zamieszkaniem w tym przechodzonym pomieszczeniu, którego zapach świadczy, że nie wszystkie środki czyszczące są w stanie zamaskować pleśń i coś jeszcze gorszego.

Dziś jest on jednak luksusem.

— Jestem tak brudny, że nie odważę się mieć opinii o tym miejscu — stwierdzam, ściągając bluzę i podkoszulek.

Wrzucam brudne ubranie do śmietnika.

Amanda odpowiada śmiechem.

— Nie zaczynaj ze mną konkursu o to, kto jest bardziej niechlujny.

— Zaskakujące, że wynajęli nam pokój, nie biorąc pieniędzy z góry.

— To tylko świadczy o tym, z jakim miejscem mamy do czynienia.

Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony.

Jest wczesne popołudnie.

Pada.

Wiszący na fasadzie hotelu neon wypełnia pokój czerwonym światłem.

Nawet nie próbuję zgadywać daty ani dnia tygodnia.

— Łazienka należy do ciebie — mówię.

Amanda wyjmuję z torby swoje rzeczy.

Po chwili rozlega się wesoły odgłos pluskającej o kafelki wody.

— Boże, Jasonie! — woła Amanda. — Musisz się wykąpać! Nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe!

Jestem zbyt brudny, aby położyć się na łóżku, siedzę więc na dywanie tuż przy kaloryferze, chłonę ciepłe powietrze, owiewające moje

ciało i obserwuję przez okno ciemniejące niebo.

*

Korzystam z rady Amandy i biorę kąpiel.

Skraplająca się woda spływa po ścianach.

Gorąco czyni cuda z moimi plecami, które doskwierały mi od spania w kabinie.

Gdy się gołę, po raz nie wiadomo już który wraca mi sprawa tożsamości.

W Lakemont College ani żadnej szkole w okolicy nie pracuje na stanowisku profesora fizyki Jason Dessen, ciekawe jednak, czy w ogóle tutaj istnieję.

W innym mieście.

Innym kraju.

Może żyję pod innym nazwiskiem, z inną kobietą, pracuję w innym zawodzie?

Czy jeżeli zamiast nauczać fizyki w college'u, spędzam dni pod zepsutymi samochodami w jakimś warsztacie, albo boruję dziury w zębach, jestem na najbardziej podstawowym poziomie w dalszym ciągu tą samą osobą?

Co właściwie znaczy „podstawowy poziom”?

Odrzucając wszystkie ozdobniki osobowości i stylu bycia — jakie zasadnicze elementy czynią ze mnie mnie?

Po godzinie wychodzę, po raz pierwszy od wielu dni czysty — w dżinsach, koszuli w kratę i używanych timberlandach. Są pół numeru za duże, ale dla wypełnienia nałożyłem dwie pary skarpet.

Amanda lustruje mnie uważnie.

— Od razu lepiej.

— Z tobą też nie najgorzej.

Jej strój składa się z czarnych dżinsów, butów z podwyższoną cholewką, białego T-shirtu i czarnej skórzanej kurtki, ciągle jeszcze śmierdzącej tytoniem po poprzedniej właścicielce.

Leży na łóżku i ogląda jakiś program w telewizji, którego nie

znam.

— Wiesz, o czym myślę? — pyta.

— O czym?

— Butelka wina. Absurdalna fura jedzenia. Wszystkie desery z karty. Od college'u nie byłam taka chuda.

— Dieta wieloświatowa — odpowiadam.

Amanda śmieje się i jej głos jest bardzo przyjemny.

*

Idziemy dwadzieścia minut w deszczu, chcę bowiem sprawdzić, czy w tym świecie istnieje jedna z moich ulubionych restauracji.

Istnieje, przez co czuję się, jakbym w obcym mieście wpadł na przyjaciela.

To przytulne, hipsterskie miejsce jest jak powtórka dawnych oberż Chicago.

Trzeba długo czekać na stolik, czekamy więc w okolicy baru, aż zwolnią się dwa stolki przy smaganych deszczem oknach.

Zamawiamy drinki.

Potem wino.

Tysiąc małych talerzy, które zjawiają się taśmowo.

Od alkoholu dostajemy mocnych wypieków i rozmawiamy, ciesząc się tą chwilą.

Jak smakuje jedzenie.

Jak dobrze być w ciepłym wnętrzu.

Żadne z nas nie wspomina ani razu o kabinie.

Amanda stwierdza, że wyglądam jak drwal.

Odparowuję, że ona jak laska motocyklisty.

Śmiejemy się za głośno, zbyt oczywiście, ale oboje tego potrzebujemy.

— Będziesz, gdy wrócę? — pyta, wstając, by iść do toalety.

— Nie ruszę się z miejsca.

Mimo to raz za razem się odwraca i sprawdza.

Patrzę, jak idzie wzdłuż baru i znika za rogiem.

Jeśli o mnie chodzi, to normalność chwili jest niemal nie do wytrzymania. Rozglądam się po restauracji, zapamiętuję twarze

kelnerów i gości. Dwadzieścia hałaśliwych rozmów łączy się w pozbawiony znaczenia hałas.

Ciekawe, co by było, gdybyście wiedzieli to, co ja wiem?

*

Powrót jest zimniejszy i bardziej mokry.

Niedaleko hotelu wpada mi w oko migający po drugiej stronie ulicy neon Village Tap, mojego „domowego” baru.

— Masz ochotę na kieliszeczek przed snem?

Jest na tyle późno, że nie ma problemu z miejscami.

Siadamy przy barze i patrzę, jak barman kończy uaktualniać na ekranie dotykowym czyjś rachunek.

W końcu odwraca się i podchodzi, patrzy najpierw na Amandę, potem na mnie.

To Matt. Prawdopodobnie podał mi w czasie naszej znajomości tysiąc drinków. Ostatniego wieczora w moim święcie obsługiwał mnie i Ryana Holdera.

Nic w jego zachowaniu nie świadczy o tym, że mnie rozpoznaje.

Jest tylko zawodowa, bezinteresowna grzeczność.

— Co podać?

Amanda zamawia wino.

Ja biorę piwo.

Gdy ciągnie za dźwignię nalewaka, pochylam się do Amandy.

— Znam go — szepczę. — Nie rozpoznał mnie.

— Jak to znasz go?

— To mój lokalny bar.

— Nie. To nie jest twój bar. I to oczywiste, że cię nie poznaje. Spodziewałeś się czegoś innego?

— To jest naprawdę dziwne, bo to miejsce wygląda dokładnie tak, jak powinno.

Matt przynosi nasze napoje.

— Otworzyć rachunek?

Nie mam karty kredytowej, dowodu, jedynie zwitek banknotów w

wewnętrznej kieszeni marynarki, razem z pozostałymi ampułkami.

— Zapłacę od razu — odpowiadam. Gdy sięgam po pieniądze, dodaję: — Tak poza tym to jestem Jason.

— Matt.

— Podoba mi się to miejsce. Jest twoje?

— Aha.

Sprawia wrażenie, jakby miał kompletnie w dupie moją opinię o jego barze, co sprawia, że w głębi duszy czuję graniczący z bólem smutek. Amanda od razu to wyczuwa. Gdy Matt odchodzi, unosi kieliszek i stuka nim o moją szklanę.

— Za dobre jedzenie, ciepłe łóżko i to, że jeszcze żyjemy.

*

Z powrotem w pokoju gasimy światło i rozbieramy się po ciemku. Musiałem stracić wszelki obiektywizm co do naszego noclegu, łóżko bowiem wydaje mi się wspaniałe.

— Zamknąłeś drzwi? — pyta Amanda.

— Zamknąłem.

Zamykam oczy. Słyszę uderzający o szyby deszcz. Po mokrej ulicy w dole od czasu do czasu przejeżdża samochód.

— To był miły wieczór — mówi Amanda.

— To prawda. Nie tęsknię za kabiną, ale to dziwne być z dala od niej.

— Nie wiem, jak jest z tobą, ale mój stary świat coraz bardziej się rozplywa. Jak sen, który coraz bardziej niknie w czasie. Traci kolory, intensywność i logikę. Emocjonalny związek z nim blaknie.

— Sądzisz, że kiedyś całkowicie go zapomnisz? Twój świat?

— Nie wiem, ale to, że nastąpi moment, w którym przestanie się wydawać realny, jak najbardziej. Ponieważ nie jest realny. Jedyne, co jest w tej chwili realne, to to miasto. Ten pokój. To łóżko. Ty i ja.

W połowie nocy uświadamiam sobie, że Amanda leży obok mnie.

Nie jest to całkiem nowe wrażenie — w kabinie nieraz tak spaliśmy. Trzymając się w ciemności, zagubieni bardziej, niż była zagubiona jakakolwiek para ludzi.

Tyle tylko, że teraz mamy na sobie tylko bieliznę, a skóra Amandy

na mojej skórze jest bardzo miękka.

Przez zasłony przedzierają się drgania neonowego światła. Amanda wyciąga w ciemności dłoń, chwytając mnie za rękę i owija ją sobie wokół ramion.

Odwraca się do mnie.

— Jesteś lepszym człowiekiem niż on.

- Kto?

— Jason, którego znałam.

— Mam nadzieję. Jezu... — Uśmiecham się, aby zaznaczyć, że to dowcip. Amanda wpatruje się we mnie ciemnymi jak noc oczami. Ostatnio często patrzyliśmy sobie w oczy, ale teraz w jej spojrzeniu jest coś innego.

Niś związku, który narasta z każdym dniem.

Gdybym przysunął się do niej jeszcze o centymetr, zrobilibyśmy to. Bez najmniejszej wątpliwości.

Gdybym ją pocałował, gdybyśmy się kochali, poczułbym się winny i żałował tego albo uznał, że mogę odnaleźć z nią szczęście.

Któraś wersja mnie z pewnością ją w tej chwili pocałowała.

Któraś wersja zna odpowiedź.

Nie będę to jednak ja.

— Jeśli chcesz, żebym wróciła do siebie, powiedz.

— Nie chcę, ale potrzebuję, byś to zrobiła.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 24

Wczoraj widziałem siebie na kampusie Lakemont College, w świecie, w którym Daniela umarła — zgodnie z nekrologiem, który znalazłem w Internecie w publicznej bibliotece — w wieku trzydziestu trzech lat, z powodu raka mózgu.

Dziś jest wspaniale popołudnie w Chicago, w którym Jason Dessen zginął dwa lata temu w wypadku samochodowym.

Wchodzę do galerii sztuki w Bucktown, próbując nie gapić się na kobietę za ladą z nosem w książce. Zamiast tego skupiam się na ścianach, pokrytych obrazami olejnymi, przedstawiającymi — jak się wy. daje na pierwszy rzut oka — wyłącznie jezioro Michigan.

O każdej porze roku.

We wszelkich możliwych wybawieniach.

O każdej porze dnia.

— Proszę mi powiedzieć, gdybym mogła w czymkolwiek pomóc — odzywa się kobieta.

— Pani to malowała?

Odkłada książkę i wychodzi zza lady.

Podchodzi.

To najmniejsza odległość, na jaką byłem oddalony od Danieli od wieczora, w którym pomogłem jej umrzeć. Jest zachwycająca — w dopasowanych džinsach i czarnym T-shircie, pochłapanym farbą akrylową.

— Ja. Daniela Vargas.

Zdecydowanie mnie nie zna, nie rozpoznaje. W tym świecie chyba nigdy się nie spotkaliśmy.

— Jason Dessen.

Wyciąga do mnie dłoń i ujmuję ją. Jest w dotyku dokładnie taka sama jak mojej Danieli — szorstka, mocna i wprawna. Dłoń artystki. Do paznokci ma przyklejone drobiny farby. Doskonale pamiętam, jakie to uczucie, gdy te paznokcie przesuwają się w dół moich pleców.

— Wspaniale — mówię.

— Dziękuję.

— Podoba mi się koncentracja na jednym motywie.

— Zaczęłam malować jezioro trzy lata temu. Zmienia się z każdą porą roku. — Wskazuje na obraz, przed którym stoimy. — To była jedna z pierwszych prób. Sierpień, widok z plaży Juneway. W przejrzyste dni pod koniec lata woda nabiera takiego świetlistego, zielonkawego błękitu. Niemal jak w tropikach. — Idzie wzdłuż ściany. — Potem, w październiku, nadchodzi taki dzień jak ten. Wszystko jest pokryte chmurami, które malują wodę na szaro. Uwielbiam to, ponieważ granica między wodą a niebem staje się niewidoczna.

— Ma pani ulubioną porę roku?

— Zimę.

— Naprawdę?

— Jest najbardziej różnorodna, a wschody słońca są

niesamowite. Gdy w zeszłym roku jezioro zamarzło, powstały jedne z moich najlepszych prac.

— Jak pani pracuje? *En plein air* czy...

— Głównie ze zdjęć. Czasami, w lecie, rozstawiam sztalugi na brzegu, ale tak uwielbiam moją pracownię, że rzadko maluję gdzie indziej.

Rozmowa zamiera.

Daniela spogląda w kierunku kasy.

Prawdopodobnie najchętniej wróciłaby do książki.

Jedno spojrzenie na moje sprane džinsy z lumpeksu i odziedziczoną po kimś koszulę musiało jej wystarczyć do stwierdzenia, że raczej niczego nie kupię.

— To pani galeria? — pytam, choć znam odpowiedź.

Chcę po prostu słyszeć, jak mówi.

Przedłużyć tę chwilę, na ile się da.

— W zasadzie to kooperatywa, ale ponieważ w tym miesiącu wiszą moje prace, jestem na pokładzie i bronię pozycji.

Uśmiecha się.

Grzecznie, nic więcej.

Zaczyna się odsuwać.

— Czy mogłabym jeszcze w czymś...?

— Po prostu uważam, że ma pani wielki talent.

— Miło, że pan to mówi. Dziękuję.

— Moja żona też jest malarką.

— Tutejszą?

— Aha.

— Jak się nazywa?

— Hm... prawdopodobnie jej pani nie zna, a ponieważ już ze sobą nie jesteśmy, to...

— Przykra sprawa.

Sięgam do swojej dłoni i dotykam postrzępionej nitki, która wbrew wszystkiemu jeszcze się trzyma na moim palcu.

— To znaczy, nie rozeszliśmy się, jedynie...

Nie kończę zdania, chcę bowiem, aby mnie o to poprosiła. Okaż

choć odrobinę zainteresowania, przestań mnie traktować jak obcego, bo nie jesteśmy sobie obcy.

Przeżyliśmy wspólnie kawał życia.

Mamy syna.

Całowałem każdy centymetr twojego ciała.

Płakałem z tobą i śmiałem się z tobą.

Jak to możliwe, aby coś tak potężnego w jednym świecie nie przesączyło się choć trochę do innego?

Wpatruję się w oczy Daniela, ale nie pojawiają się w nich ani miłość, ani pamięć, ani zażyłość.

Wygląda jedynie na kogoś, komu jest nieco nieswojo.

Jakby miała nadzieję, że sobie pójdę.

— Ma pani ochotę na kawę? — pytam.

Daniela uśmiecha się.

Teraz czuje się już bardzo nieswojo.

— Oczywiście po zamknięciu, kiedykolwiek to będzie.

Jeżeli Daniela się zgodzi, Amanda mnie zabije. Już jestem spóźniony na spotkanie z nią w hotelu. Mamy dziś po południu wracać do kabiny.

Jednak Daniela nie zamierza się zgodzić.

Zagryza wargę jak zawsze, gdy jest zdenerwowana, bez wątpienia próbując znaleźć jakąś odmowną odpowiedź wykraczającą poza proste, niszczące ego „nie”, widać jednak, że jej to nie wychodzi, że zbiera odwagę, aby kopnąć mnie w mój nieszczęsny tyłek.

— Wie pani co? — oznajmiam. — Nieważne. Przepraszam. Zakłopotalem panią.

Kurwa mać.

Umieram.

Zostać zastrzelonym przez kogoś całkiem obcego to jedno, ale zginąć w katastrofie spowodowanej przez matkę wspólnego dziecka to całkiem co innego.

— Już wychodzę.

Ruszam do drzwi.

Daniela nie próbuje mnie zatrzymać,

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 16

W każdym kolejnym Chicago, do którego wchodziliśmy w zeszłym tygodniu, drzewa wyglądały coraz bardziej jak szkielety, pozbawione liści, które deszcz poprzyklejał do chodników. Siedzę na ławce naprzeciwko mojego domu, opatulony dla ochrony przed ostrym porannym zimnem w płaszcz z lumpeksu, który kupiłem wczoraj za 12 dolarów, pochodzących z innego świata. Śmierdzi jak szafa starca — naftaliną i maścią przeciwbólową.

Zostawiłem Amandę w hotelu, by mogła w spokoju pisać w notesie.

Okłamałem ją, że muszę się przejść, aby oczyścić głowę i napić się kawy.

Patrząc, jak wychodzę przez frontowe drzwi, schodzę szybko po schodkach i ruszam w kierunku stacji kolei municypalnej, gdzie wsiądę do pociągu linii fioletowej, by dojechać do kampusu college'u Lakemont w Evanston. Mam na głowie wytłumiające zewnętrzny hałas słuchawki i prawdopodobnie słucham podkastu — wykładu naukowego albo odcinka „This American Life”.

Zgodnie z tytułem na pierwszej stronie „Tribune” jest 30 października, niecały miesiąc od dnia, w którym wycelowano we mnie broń i wyszarpano z mojego świata.

Mam jednak wrażenie, jakbym podróżował w kabinie od lat.

Nie pamiętam, z iloma wersjami Chicago mieliśmy dotychczas kontakt.

Zaczynają się zlewać.

To, w którym jestem teraz, jest najbardziej zbliżone ze wszystkich dotychczasowych do „mojego”, ale jeszcze ciągle nie jest to mój świat. Charlie chodzi do szkoły społecznej, Daniela pracuje w domu jako grafik komputerowy.

Po dłuższym siedzeniu na tej ławce uświadamiam sobie, że zawsze traktowałem przyjście Charliego na świat i moją decyzję, by spędzić z Danielą życie, jako progowe wydarzenia, które spowodowały, że nasze życie popłynęło trajektorią oddalającą je od zawodowego sukcesu.

Jest to jednak zbyt uproszczenie.

Jason 2 porzucił Danielę i Charliego i dokonał przełomowego odkrycia, istnieje jednak milion Jasonów, którzy też ich porzucili, ale nie

wynaleźli kabiny.

W światach, w których porzuciłem Danielę, a nasze kariery nie wypaliły.

W światach, w których oszedłem i oboje osiągnęliśmy jako taki sukces, ale nie podpaliliśmy świata.

I odwrotnie: są światy, w których zostaliśmy razem i mieliśmy Charliego, ale linie czasu odgałęziły się w coś nie do końca idealnego.

Gdzie nasz związek się rozsypał.

Gdzie postanowiłem zakończyć małżeństwo.

Gdzie zrobiła to Daniela.

Gdzie walczyliśmy i cierpieliśmy razem w pozbawionym miłości i złamanym związku, rezygnując z przecięcia wrzodu tylko dla dobra naszego syna.

Jeżeli ja reprezentuję dla wszystkich Jasonów Dessenów szczyt sukcesu rodzinnego, to Jason 2 reprezentuje szczyt zawodowy i kreatywny. Jesteśmy przeciwstawnymi biegunami tego samego człowieka i podejrzewam, że to nie przypadek, iż Jason 2 ze wszystkich nieskończonych możliwości wybrał właśnie mnie.

Choć odniósł ogromny sukces zawodowy, całkowite spełnienie się w zakresie rodzinnym było dla niego tak samo obce, jak obce było jego życie dla mnie.

We wszystkich zakresach — poza tym, że moja tożsamość nie jest dwójkowa.

Jest wielofasetowa.

Może uda mi się pozbyć żalu i tęsknoty za ścieżką, której nie wybrałem, ponieważ niewybrana ścieżka nie oznacza bycia odwrotnością tego, kim jestem. Jest rozgałęziającym się w nieskończoność układem, reprezentującym wszystkie permutacje mojego życia pomiędzy dwoma krańcami: mną oraz Jasonem 2.

Sięgam do kieszeni po przedpłaconą komórkę, która kosztowała 50 dolarów — sumę, za którą moglibyśmy się kolejny dzień wyżywić albo przespać kolejną noc w tanim motelu.

Drżącymi palcami rozwijam zwiniętą w kulkę, wyrwaną żółtą kartkę z książki telefonicznej Chicago Metro i wybieram zakreślony numer.

W miejscu, które jest niemal domem, jest coś straszliwie samotnego.

Z ławki, na której siedzę, widzę pokój na piętrze, który chyba służy Danieli jako gabinet. Żaluzje są podciągnięte i widzę ją, siedzącą plecami do mnie, z oczami skierowanymi ku wielkiemu monitorowi.

Widzę, jak podnosi bezprzewodowy aparat i przygląda się numerowi.

Nie zna go.

Odbierz, proszę.

Odkłada aparat na półkę.

W telefonie rozlega się mój głos: „Dodzwoniłeś się do Dessenów. Nie możemy teraz odebrać, jeśli jednak..

Rozłączam się przed sygnałem.

Dzwonię ponownie.

Tym razem Daniela odbiera przed drugim dzwonkiem.

— Halo?

Przez chwilę nic nie mówię.

Nie mogę wydusić z siebie głosu.

— Halo?

— Cześć.

— Jason?

- Tak.

— Z jakiego numeru dzwonisz?

Podejrzywałem, że o to zapyta.

— Rozładował mi się telefon, więc pożyczyłem aparat od kobiety w pociągu.

— Wszystko w porządku?

— Jak twój poranek? — pytam.

— Świetnie. Przecież dopiero co się widzieliśmy, głuptasie.

— Wiem.

Obraca się na fotelu.

— Więc tak bardzo chciałeś ze mną rozmawiać, że pożyczyłeś od obcej osoby telefon?

— W samej rzeczy.

— Jesteś słodki.

Siedzę w bezruchu i chłonę jej głos.

— Danielo?

- Tak?

— Bardzo za tobą tęsknię.

— Co się stało, Jasonie?

— Nic się nie stało.

— Masz dziwny głos. Powiedz mi.

— Szedłem do pociągu i nagle to sobie uświadomiłem.

- Co?

— Tak wiele chwil z tobą traktuję jako oczywistość. Wychodzę do pracy, myśląc już o moim dniu, wykładzie, jaki muszę wygłosić, czy co tam, i... Wsiadając do pociągu, uzmysłowiłem sobie z całą wyrazistością, jak bardzo cię kocham. Ile dla mnie znaczysz. Bo przecież nic nigdy nie wiadomo.

— Czego nie wiadomo?

— Kiedy może nam to zostać odebrane. W każdym razie próbowałem do ciebie zadzwonić, ale zdechł mi telefon.

Przez długą chwilę po jej stronie trwa cisza.

— Danielo?

— Jestem. Czuję to samo do ciebie. Wiesz o tym, prawda?

Zamykam oczy, by powstrzymać emocje.

Mógłbym w ciągu kilku chwil przejść przez ulicę, wejść do domu i wszystko ci wyjaśnić.

Jestem tak bardzo zagubiony, moja ukochana...

Daniela schodzi z fotela i podchodzi do okna. Ma na sobie długi, kremowy sweter i legginsy. Włosy upięła do góry i trzyma w dłoni kubek z — przypuszczam — herbatą z osiedlowego sklepiku.

Obejmuje brzuch, zaokrąglony od ciąży.

Charlie zostanie starszym bratem.

Uśmiecham się przez łzy, ciekaw, co o tym sądzi.

Mojemu Charliemu nie było to dane.

— Jasonie, na pewno wszystko jest w porządku?

— Zdecydowanie.

— Posłuchaj, kończy mi się termin pracy dla klienta, więc może...

— Musisz kończyć.

— Muszę.

Nie chcę tego. Potrzebuję dźwięku jej głosu.

— Jasonie?

- Tak?

— Bardzo cię kocham.

— Ja też. Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo.

— Widzimy się wieczorem.

Nie, zobaczysz się z bardzo szczęśliwą wersją mnie, która nie ma pojęcia, jak ma dobrze.

Daniela rozłącza się.

Wraca do biurka.

Chowam telefon do kieszeni. Dygoczę na całym ciele, myśli biegają mi w szalonych kierunkach, ku mrocznym fantazjom.

Widzę, jak pociąg, którym jadę do pracy, wykoleja się.

Moje ciało zostaje zmiażdżone tak, że nie da się go rozpoznać.

Albo nigdy nie zostaje odnalezione.

Widzę, jak wkraczam w to życie.

Nie jest dokładnie moje, ale może wystarczająco podobne.

*

Wieczorem ciągle jeszcze siedzę na ławce przy Eleanor Street, naprzeciwko domu, który nie jest mój i obserwuję sąsiadów wracających z pracy i szkoły.

Cóż to za cud, mieć kogoś, do kogo wraca się każdego dnia do domu.

Być kochanym.

Oczekiwanym.

Sądziłem, że doceniam każdą chwilę, ale siedząc tu na zimnie, pojąłem, że uważałem wszystko za oczywiste. Jak mogłem inaczej? Dopóki wszystko się nie wywróci, nie mamy pojęcia, co posiadamy, jak delikatnie i doskonale wszystko jest ze sobą powiązane.

Niebo ciemnieje.

Na lewo i prawo w domach zapalają się światła.

Jason wraca do domu.

Jestem w kiepskim stanie.

Cały dzień nic nie jadłem.

Od rana nie miałem w ustach kropli wody Amanda musi szaleć, zastanawiając się, gdzie jestem, ale nie mogę się oderwać od ławki. Moje życie — przynajmniej rozbijające psychikę jego przybliżenie — toczy się po drugiej stronie ulicy.

Jest grubo po północy, gdy otwieram drzwi naszego hotelowego pokoju. Światła się palą, telewizor ryczy.

Amanda wstaje z łóżka. Ma na sobie T-shirt i dół od piżamy.

Delikatnie zamykam za sobą drzwi.

— Przepraszam — mówię.

— Ty palancie!

— Miałem kiepski dzień.

— Ty miałeś kiepski dzień.

— Amando...

Rusza na mnie, z całej siły pcha mnie obydwojma rękami, rzuca mną o drzwi.

— Sądziłam, że mnie zostawiłeś! Potem zaczęłam się bać, że coś ci się stało. Nie miałam jak się z tobą skontaktować. Zaczęłam wydzwaniać po szpitalach i cię opisywać.

— Nigdy nie zostawiłbym cię bez słowa.

— Skąd mam to wiedzieć?! Nastraszyłeś mnie!

— Przepraszam, Amando.

— Gdzie byłeś?

Blokuje mnie przy drzwiach.

— Siedziałem cały dzień na ławce naprzeciwko mojego domu.

— Cały dzień? Dlaczego?

— Nie wiem.

— To nie jest twój dom, Jasonie. To nie jest twoja rodzina.

— Wiem.

— Na pewno?

— Śledziłem Danielę i Jasona, gdy poszli na randkę.

— Jak to — śledziłeś ich?

— Stałem przed restauracją, w której jedli.

Wystarczyło, że wypowiedziałem te słowa, by zrobiło mi się

wstyd.

Przeciskani się obok Amandy, podchodzę do mojego łóżka i siadam na nim.

Po chwili Amanda staje przede mną.

— Potem poszli do kina. Poszedłem za nimi do środka.

Siedziałem za nimi w kinie.

— Jasonie...

— Zrobiłem jeszcze inne głupstwo.

— Jakie?

— Wziąłem trochę naszych pieniędzy, żeby kupić telefon.

— Po co był ci potrzebny telefon?

— Żeby zadzwonić do Daniela i udawać, że jestem jej Jasonem.

Napinani ciało w oczekiwaniu, że Amanda znów straci panowanie nad sobą, ale ona obejmuje mnie za szyję i całuje czubek mojej głowy.

— Wstań — mówi.

— Po co?

— Po prostu rób, co ci się każe.

Wstaję.

Amanda rozpina mi płaszcz i wyciąga moje ramiona z rękawów.

Potem pcha mnie, aż siadam na łóżku i klęka.

Rozwiązuje mi buty.

Ściąga mi je z nóg i rzuca w kąt.

— Chyba po raz pierwszy zrozumiałem, jak Jason, którego znałaś, mógł zrobić to, co mi zrobił. Miałem kilka popieprzonych myśli.

— Nasze umysły nie są stworzone do radzenia sobie z podobną sytuacją. Widok tych wszystkich wersji twojej żony... nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

— Musiał mnie śledzić tygodniami. W drodze do pracy. Podczas wyjść z Danielą. Prawdopodobnie siedział na tej samej ławce i obserwował, jak wieczorem poruszamy się po domu, wyobrażając sobie, jak znikam z planu. Wiesz, co prawie dziś zrobiłem?

— Co? — pyta tak, jakby bała się poznać odpowiedź.

— Prawdopodobnie trzymają zapasowy klucz dokładnie tam,

myśmy go trzymali. Wyszedłem z kina przed końcem. Zamierzałem znaleźć klucz i wejść do środka. Schować się w szafie i obserwować ich życie. Obserwować, jak śpią. To chore, wiem. Prawdopodobnie twój Jason był wiele razy w moim domu przed wieczorem, w którym wreszcie zebrał się na odwagę i ukradł mi życie.

— Ale nie zrobiłeś tego.

— Nie.

— Bo jesteś porządnym człowiekiem.

— Nie czuję się w tej chwili zbyt porządnie.

Opadam plecami na materac i wbijam wzrok w sufit pokoju hotelu, który we wszystkich swych niespójnych permutacjach stał się naszym domem z dala od kabiny.

Amanda kładzie się obok mnie.

— To nie działa, Jasonie.

— Co masz na myśli?

— Kręcimy się w kółko.

— Nie zgadzam się. Zobacz, od czego zaczęliśmy. Pamiętasz pierwszy świat, do którego weszliśmy — ten z zapadającymi się wszędzie wokół budynkami?

— Straciłam rachubę, w ilu wersjach Chicago byliśmy.

— Zbliżamy się do mojego...

— Nie zbliżamy się. Świat, którego szukasz, to ziarnko piasku na plaży bez końca.

— Nieprawda.

— Widziałeś morderstwo swojej żony. Jej śmierć na straszliwą chorobę. Był przypadek, gdy cię nie poznała. Była żoną innych mężczyzn. Żoną wielorakich wersji ciebie. Ile jeszcze tego wytrzymasz, zanim dostaniesz psychozy? Sądząc po twoim aktualnym stanie, nie jest do tego daleko.

— Nie chodzi o to, ile mogę czy nie mogę wytrzymać. Chodzi o odnalezienie mojej Daniela.

— Naprawdę? Dlatego cały dzień siedziałeś na ławce?

Wypatrując żony? Spójrz na mnie. Zostało nam szesnaście ampułek. Kończą nam się szanse.

Dudni mi w głowie.

Świat wiruje.

— Jasonie... — Czuję dłonie Amandy na twarzy. — Wiesz, jaka jest definicja szaleństwa?

— Jaka?

— Robić raz za razem to samo z oczekiwaniem innego efektu.

— Następnym razem...

— Co? Następnym razem odnajdziesz dom? Jak? Zapełnisz dziś w nocy kolejny notes? Co to da, gdybyś tak zrobił? — Kładzie mi dłoń na piersi. — Serce ci szaleje. Musisz się uspokoić.

Przetacza się na bok i gasi lampkę, stojącą na stoliku między łózkami.

Kładzie się obok mnie, ale w jej dotyku nie ma nic seksualnego.

Ciemność sprawia, że nieco uspokaja mi się głowa.

Jedynym światłem w pokoju jest blask niebieskiego neonu, pa dający od napisu na froncie budynku. O tak późnej porze na ulicy przejeżdżają jedynie pojedyncze samochody.

Zaczynam zapadać w sen. Jest to jak łaska.

Zamykam oczy, myśląc o pięciu notesach na stoliku przy moim łóżku. Niemal każdą ich stronę wypełniają moje coraz bardziej gorączkowe zapiski. Nawet teraz uważam, że gdybym napisał wystarczająco dużo i był przy tym wystarczająco dokładny, to uchwyciłbym na tyle pełny obraz mojego świata, że trafiłbym wreszcie do domu.

Nie nastąpiło to jednak.

Amanda ma rację.

Szukam ziarnka piasku na plaży bez końca.

Rano Amandy nie ma obok mnie. Leżę na boku, obserwuję przedzierające się przez żaluzję światło i słucham szumiącego za ścianami ruchu ulicznego. Zegarek stoi na stoliku przy łóżku. Nie widzę go, ale czuć, że jest późno. Zaspaliśmy.

Siadam, odrzucam kołdrę, patrzę w stronę łóżka Amandy.

Jest puste.

— Amando?

Ruszam do łazienki, by sprawdzić, czy tam jest, ale widok na blacie szafki każe mi się zatrzymać.

Gotówka.

Kilka monet.

Osiem ampulek.

I kartka, wyrwana z notesu, pokryta pismem Amandy.

Jasonie.

Po tym, co się wydarzyło wczorajszego wieczora, stało się dla mnie jasne, że postanowiłeś podążyć drogę, którą nie mogę iść. Walczyłam całą noc. Jako twoja przyjaciółka, twoja terapeutka, chcę Ci pomóc. Chcę Cię doprowadzić do normalnego stanu, ale nie mogę. I nie mogę patrzeć, jak dalej spadasz. Zwłaszcza jeżeli jestem częścią powodu, z którego cały czas spadasz. W jakim zakresie nasza zbiorowa podświadomość wyznacza nasze związki z tymi światami? Nie chodzi o to, że nie chcę, byś wrócił do swojej żony. Niczego już nie chcę, ale spędziliśmy razem kilka tygodni i trudno się nie przywiązać — zwłaszcza w takich okolicznościach, jeżeli ta druga osoba jest wszystkim, co się ma.

Wczoraj, gdy się zastanawiałam, czy mnie zostawiłeś, przeczytałam Twoje notatki i, mój drogi, zgubiłeś sedno. Piszesz te wszystkie rzeczy o „swoim” Chicago, ale nie ma słowa o tym, co czujesz.

Zostawiłam Ci plecak, połowę ampulek i połowę pieniędzy (szalone 161 dolców i trochę drobnych). Nie wiem, gdzie skończę. Jestem ciekawa i przestraszona, ale także podniecona. Coś we mnie chce naprawdę

*zostać, ale musisz wybrać własne następne drzwi do otwarcia. Ja też.
Życzę ci przede wszystkim szczęścia. Bądź bezpieczny.*

Amanda

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 7

Samotność sprawia, że horror korytarza ciąży podwójnie, leszcze nigdy się tak nie czułem.

*

W tym świecie nie ma Daniela.
W Chicago bez niej jest coś nieodpowiedniego.
Nienawidzę tu wszystkiego.
Kolor nieba wydaje się nie na miejscu.
Znajome budynki szydzą ze mnie.
Nawet powietrze smakuje jak kłamstwo.
Ponieważ to nie jest moje miasto.
Jest nasze.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 6

Włóczę się.
Przez całą noc chodzę sam po ulicach.
Otumaniony.
Pełen obaw.
Czekam, aż organizm oczyści się z narkotyku.
Jem w otwartej całej noc knajpie i o świcie wracam pociągiem do South Side.
Niedaleko porzuconej elektrowni dostrzegam trójkę nastolatków.
Są po drugiej stronie ulicy, ale o tej porze ulice są wyludnione.
Wołają coś do mnie.
Drwią i wyklinają.
Ignoruję ich.
Przyspieszam kroku.
Kiedy ruszają przez ulicę, kierując się umyślnie w moją stronę, jest jasne, że będę miał problemy.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zacząć uciekać, ale są młodzi i bez wątplenia szybsi. Poza tym, gdy robi mi się sucho w ustach i w wyniku reakcji walcz-albo-uciekaj w mojej krwi znajduje się

dotatkowa porcja adrenaliny, uznaję, że mogę potrzebować całej siły.

Przechwytyją mnie na skraju dzielnicy, gdzie kończą się domy szeregowe i zaczynają bocznice.

Jesteśmy na ulicy tylko my.

Nie widać nigdzie potencjalnej pomocy.

Są jeszcze młodszy, niż początkowo sądziłem, a zapach słodowej wódki unosi się nad nimi niczym złowroga woda kolońska. Migocząca w ich oczach wymęczona energia sugeruje, że krążą po mieście całą noc, prawdopodobnie szukając takiej właśnie okazji.

Od razu zaczyna się poważne bicie.

Nie marnują czasu na gadanie.

Jestem zbyt zmęczony, zbyt załamany, aby się bronić.

Nim zdążam się zorientować, co się właściwie dzieje, leżę na asfalcie, kopany w brzuch, plecy, twarz.

Na chwilę tracę przytomność, a gdy ją odzyskuję, czuję obmacujące mnie dłonie — prawdopodobnie szukające portfela, którego nie mam.

Zrywają mi z ramion plecak, zostawiają krwawiącego na jezdni i uciekają ze śmiechem.

*

Leżę długo, słuchając coraz głośniejszego ruchu ulicznego.

Noc zamienia się w dzień.

Ludzie przechodzą chodnikiem obok mnie, nie zatrzymując się. Każdy oddech wbija klin bólu między żebra, lewe oko jest tak zapuchnięte, że zamknięte.

Po kilku próbach udaje mi się usiąść.

Cholera!

Ampułki.

Podciągając się o płot z siatki, przyjmuję jako tako pionową pozycję.

Proszę...

Wsuwam rękę za pazuchę, szukam taśmy samoprzylepnej, którą przykleiłem ampułki do skóry.

Zrywanie plastra boli jak cholera, ale wszystko boli jak cholera.

Dotykam pierwszej ampułki.

Trzy zmiażdżone.

Trzy całe.

*

Krokiem pijaka wtaczam się do kabiny i zamykam w środku.
Straciłem wszystkie pieniądze.

Notes.

Strzykawki i igły.

Zostały mi poobijane kości i trzy szanse, by wszystko naprawić.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 2

Spędzam pierwszą połowę dnia, zebrząc na rogu ulicy w South Side, by nazbierać na bilet do miasta.

Resztę dnia spędzam cztery przecznice od mojego domu, z kartką z napisem.

BEZDOMNY. ZROZPACZONY. KAŻDA POMOC MILE
WIDZIANA.

Stan mojej poobijanej twarzy musi wywoływać współczucie,
ponieważ w chwili, gdy zachodzi słońce, jestem w posiadaniu
dwudziestu ośmiu dolarów i piętnastu centów.

Jestem głodny, spragniony i wszystko mnie boli.

Wybrałem knajpę na tyle obskurną, że na pewno mnie z niej nie
wyrzucą, i gdy płacę za jedzenie, wycieńczenie wali jak młotem.

Nie mam gdzie iść.

Nie mam na nocleg.

Wieczór za oknami zrobił się deszczowy i zimny.

Idę pod mój dom i obchodzę kwartał, by dotrzeć do zaułka z tyłu,
zastanawiając się, gdzie mógłbym się przespać przez nikogo nienękany;
nie ryzykując odkrycia.

Między naszym garażem a garażem sąsiada jest za pojemnikami na
śmieci pusta przestrzeń. Wpełzam tam ze spłaszczonym kartonem, który
opieram o ścianę mojego garażu tak, by powstał daszek.

Schowany pod tą prowizoryczną osłoną, słucham bębniącego w
tekturę deszczu, w nadziei, że kryjówka przetrzyma noc.

Z miejsca, gdzie leżę, widzę nad otaczającym mój dom płotem okno na piętrze.

To główna sypialnia.

Jason przechodzi.

To nie Jason 2, gdyż to na pewno nie jest mój świat. Sklepy i restauracje w okolicy mojego domu są inne. Tutejsi Dessenowie mają inne samochody, niż my mamy. A on jest potężniejszy, niż ja kiedykolwiek byłem.

W oknie na chwilę pojawia się Daniela, podnosi rękę i zaciąga roletę.

Dobranoc, kochana.

Deszcz nasila się.

Karton zapada się.

Zaczynam drzeć z zimna.

*

Ósmego dnia, który spędzam na ulicach wokół Logan Square, Jason Dessen wrzuca mi do pudełka pięciodolarowy banknot.

Nie ma zagrożenia.

Jestem nierozpoznawalny.

Spalony słońcem, brodaty i śmierdzący żalosną biedą.

Ludzie w mojej okolicy są szcudrzy. Codziennie zbierani tyle, aby zjeść tani posiłek i schować kilka dolarów do kieszeni

Co noc śpię w zaułku za Eleanor Street 44.

Stało się to czymś w rodzaju gry. Gdy światła w głównej sypialni gasną, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem nim.

Z nią.

Są takie dni, gdy czuję, że tracę rozum.

Amanda powiedziała kiedyś, że jej stary świat zaczyna być jak duch, i teraz chyba rozumiem, co miała na myśli. Uważamy, że rzeczywistość to coś namacalnego — wszystko, czego doświadczamy zmysłami. Choć w dalszym ciągu mówię sobie, że w South Side Chicago stoi kabina, która może mnie zabrać do świata, w którym mam wszystko, czego chcę i czego potrzebuję, nie wierzę już, że takie miejsce istnieje. Moją rzeczywistością — każdego dnia coraz bardziej — jest ten świat.

W którym nie mam niczego. W którym jestem bezdomną, brudną istotą, której istnienie wywołuje jedynie współczucie, żal i niesmak.

Nieopodal na środku chodnika stoi inny bezdomny, prowadząc głośną rozmowę z nikim.

Czyż aż tak bardzo się od niego różnię? Czyż nie jesteśmy obaj zagubieni w światach, które z powodów, nad którymi nie panujemy, są niespójne z naszą tożsamością?

No i coraz częściej pojawiają się te najbardziej przerażające chwile — momenty, w których sama idea magicznej kabiny brzmi dla mnie jak majaki szaleńca.

Któregoś wieczora przechodzę obok sklepu monopolowego i uświadamiam sobie, że mam dość pieniędzy, aby kupić flaszkę.

Wypijam całą butelkę J&B.

Odzyskuję świadomość w głównej sypialni domu przy Eleanor Street 44 i wpatruję się w Jasona i Danielę śpiących pod splątanymi kołdrami.

Zegarek na stoliku przy łóżku pokazuje 3:38 i choć w domu panuje martwa cisza, jestem tak pijany, że słyszę werbel własnego pulsu o bębenki.

Nie pamiętam, jaki proces myślowy mnie tu sprowadził.

Wiem tylko tyle, że kiedyś to miałem.

Dawno temu.

To przecudowne marzenie o życiu.

Nie wiem już — pokój wiruje wokół mnie, łyż spływają mi po policzkach — czy tamto moje życie było prawdziwa, czy tylko je sobie wyobraziłem.

Robię krok w kierunku łóżka, od strony, gdzie leży Jason. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności.

Śpi spokojnie.

Tak bardzo chcę tego, co do niego należy.

Zrobiłbym wszystko, aby mieć jego życie. Zająć jego miejsce.

Wyobrażam sobie, jak go zabijam. Wyciskam z niego życie gołymi rękami albo strzelam mu w głowę.

Widzę siebie próbującego być nim.

Próbującego zaakceptować tę wersję Daniela jako moją żonę. Tego

Charliego jako mojego syna.

Czy mógłbym czuć się w tym domu u siebie?

Mógłbym spać w nocy?

Mógłbym patrzeć Danieli w oczy i nie myśleć o strachu na twarzy jej prawdziwego męża, dwie sekundy, zanim odebrałem mu życie?

Nie.

Nie.

Jasność umysłu pojawia się w druzgocący sposób — boleśnie, ze wstydem, ale w dokładnie tym momencie, gdy jest potrzebna.

Poczucie winy i wszystkie drobne różnice zamieniłyby moje życie tutaj w piekło. We wspomnienie nie tylko tego, co zrobiłem, ale także tego, czego w dalszym ciągu nie zrobiłem.

Nigdy nie czułbym się tutaj u siebie.

Nie byłbym w stanie tego dokonać.

Nie chcę tego.

Nie jestem tego typu człowiekiem.

Nie powinno mnie tu być.

Gdy wytaczam się z sypialni i idę korytarzem, uświadamiam sobie, że już samo rozważanie takiego scenariusza było rezygnacją ze znalezienia mojej Danieli.

Przyznaniem się, że wypuszczam ją z rąk.

Że jest nieosiągalna.

Może to prawda. Może nie mam szansy odnalezienia drogi powrotnej do niej, Charliego i mojego idealnego świata. Do tego pojedynczego ziarnka piasku na plaży bez końca.

Zostały mi jednak jeszcze dwie ampułki i nie przestanę walczyć, dopóki nie zostaną zużyte.

*

Idę do lumpeksu i kupuję nowe rzeczy: dzinsy, flanelową koszulę, czarną marynarską kurtkę.

W drogerii dokupuję kosmetyki, notes, paczkę długopisów i latarkę.

Melduję się w motelu, wyrzucam stare ubranie i biorę najdłuższy prysznic w życiu.

Spływająca ze mnie woda jest szara.

W lustrze wyglądam niemal jak ja, choć z niedożywienia wystają mi kości policzkowe.

*

Śpię do popołudnia, po czym jadę pociągiem do South Side.

W elektrowni jest cicho, słoneczne światło wpada skosem przez okna agregatorowni.

Siadam w drzwiach kabiny i otwieram notes.

Odkąd się obudziłem, myślę o tym, co Amanda napisała w swoim pożegnalnym liście — że nic nie piszę o tym, co czuję.

No to zaczynamy...

Mam dwadzieścia siedem lat. Całe przedpołudnie pracowałem w laboratorium i szło mi tak świetnie, że niemal zlekceważyłem przyjęcie. Często tak ostatnio robię — ignoruję przyjaciół i relacje społeczne, aby wygospodarować jeszcze kilka godzin w pomieszczeniu czystym.

Pierwszy raz zauważam cię w rogu, w głębi małego podwórka, gdy wychodzę na taras, popijając coronę z limonką, ale myślami jestem jeszcze cały czas w laboratorium. Moją uwagę zwraca chyba sposób, w jaki stoisz — zabarykadowana przez wysokiego, szczupłego gościa w obcisłych czarnych dżinsach, którego pamiętam ze spotkań ze znajomymi. Jest artystą czy coś w tym stylu. Nawet nie wiem, jak się nazywa, tyle tylko, że mój kumpel Kyle ostatnio stwierdził: „E tam, ten gość pieprzy wszystko, co mu stanie na drodze”.

Nie umiem tego do dziś wyjaśnić, ale obserwując, jak podrywa tę ciemnowłosą, ciemnooką kobietę w kobaltowej sukience — ciebie — czuję zazdrość. Nie wiem dlaczego, to chore, ale mam ochotę go walnąć. Coś w języku twojego ciała sugeruje dyskomfort. Nie uśmiechasz się, krzyżujesz ramiona, i wydaje mi się, że zostałeś uwięziona w nieprzyjemnej rozmowie, i z jakiegoś powodu mnie to obchodzi. Trzymasz pusty kieliszek do wina, ze śladami czerwieni. Coś we mnie mówi: „Idź, porozmawiaj z nią, uratuj ją”, ale druga połowa krzyczy: „Nic o niej nie wiesz, nawet jak się nazywa. Nie jesteś taki”.

Stwierdzam, że idę w twoim kierunku, z kieliszkiem wina w dłoni, a gdy twoje oczy odwracają się ku mnie, mam wrażenie, jakby jakaś część

maszyny w mojej klatce piersiowej się zatarła, jakby zderzyły się dwa światy. Gdy podchodzę, wyjmujesz mi kieliszek z dłoni, jakbyś mnie po niego posłała i uśmiechasz się ze swobodą, jak byśmy się znali wieki. Próbujesz przedstawić mnie Dillonowi, ale obcisłodzinsy artysta, skutecznie odcięty od seksu, przeprosza i się katapultuje.

Stoimy we dwoje w cieniu żywopłotu i serce wali mi jak szalone. „Przepraszam, że się wtrąciłem, ale sprawiała pani wrażenie, że potrzebuje ratunku”, mówię, na co odpowiadasz: „Dobre wyczucie. Jest ładny, ale nie do wytrzymania”. Przedstawiam się. Ty się przedstawiasz. Daniela. Daniela.

Pamiętam jedynie fragmenty tego, co mówiliśmy w czasie naszej pierwszej wspólnej chwili. Głównie jak się śmiejesz, nie kpiąco, gdy powiedziałem, że jestem fizykiem jądrowym. Jakby cię to naprawdę zachwyciło. Pamiętam, jak wino poplamilo ci usta. Zawsze wiedziałem, na czysto intelektualnym poziomie, że nasza odrębność i izolacja to iluzja. Wszyscy jesteśmy stworzeni z tego samego — wyrzuconych w kosmos kawałków materii, utworzonej w ogniu martwych gwiazd. Do tego momentu nigdy jednak nie czułem tej wiedzy aż do szpiku kości — tego momentu tam, z tobą. A poczułem to dzięki tobie.

Tak, może chodzi mi tylko o seks, zastanawiam się jednak także, czy poczucie, iż jesteśmy ze sobą splątani, może być dowodem czegoś głębszego. Oczywiście zachowuję to dla siebie. Pamiętam przyjemny szum w głowie od piwa i ciepła słońca, a gdy zaczyna zachodzić, uświadomienie sobie, jak bardzo chciałbym wyjść z tego przyjęcia z tobą, nie mam jednak jaj, by zapytać. Wtedy ty mówisz: „Mam przyjaciółkę, która dziś otwiera galerię. Miałbyś ochotę pójść?”.

Myślę wtedy: Z tobą pójdę wszędzie.

POZOSTAŁA LICZBA AMPULEK: 1

Idę nieskończonym korytarzem, światło mojej latarki odbija się od ścian.

Po jakimś czasie zatrzymuję się pod takimi samymi drzwiami, jak wszystkie inne.

Jednymi z biliona bilionów bilionów.

Serce mi szaleje, poca się dłonie.

Nie chcę niczego innego.

Jedynie mojej Danieli.

Nie umiem opisać, jak bardzo jej chcę.

Nawet nie chcę umieć tego wyjaśnić, albowiem związana z tym tajemnica jest czymś doskonałym.

Chcę kobiety, którą wiele lat temu ujrzałem na przyjęciu na podwórku.

Tej, z którą postanowiłem spędzić życie — nawet jeśli oznaczało to rezygnację z innych rzeczy, które kochałem.

Chcę jej.

Niczego więcej.

Wciągam powietrze.

Wypuszczam.

I otwieram drzwi.

Śnieg niedawnej zadymki oprószył beton i pokrył cienką warstwą generatory, stojące pod oknami bez szyb.

Znad jeziora ciągle nadlatują kłęby płatków i dryfują w dół niczym confetti.

Oddalam się od kabiny, powstrzymując nadzieję.

Może to być porzucona elektrownia w południowym Chicago w wielu różnych światach.

Gdy idę powoli wzdłuż generatorów, moją uwagę zwraca coś błyszczącego, na podłodze.

Idę sprawdzić.

W pęknięciu betonu, piętnaście centymetrów od podstawy jednego z generatorów, tkwi pusta ampułka z odłamanym czubkiem. W żadnej z porzuconych elektrowni, przez które szedłem w ciągu minionego miesiąca, nie natknąłem się na nic podobnego.

Może właśnie jej zawartość wstrzyknął sobie Jason 2 na kilka sekund przed tym, nim straciłem przytomność — tej nocy, gdy ukradł mi życie.

*

Opuszczam przemysłowe miasto duchów.

Głodny, spragniony, wycieńczony.

Na północy majaczy panorama centrum. Niskie zimowe chmury obcięły wieżowcom głowy, ale znam ten widok.

Gdy zaczyna zapadać zmrok, wsiamam przy Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy do jadącego na północ pociągu linii fioletowej.

W tym składzie nie ma pasów bezpieczeństwa i hologramów.

Pociąg turla się, chybocząc na boki, przez południowe Chicago.

Wjeżdża w gęstwinę centrum.

Przesiadam się.

Linia niebieska wiezie mnie na całkiem inną północ.

W ciągu minionego miesiąca byłem w niejednym Chicago, które wyglądało podobnie, w tym jest jednak coś odróżniającego od poprzednich. Nie chodzi tylko o ampułkę. To coś głębszego, czego nie umiem wyjaśnić inaczej niż słowami: sprawia wrażenie miejsca, do którego należę. Czuję się tu jak u siebie.

Gdy pociąg mija korek na drodze ekspresowej, śnieg gęstnieje.
Ciekawe, czy...

Czy Daniela, moja Daniela, żyje i dobrze się czuje w tym mieście, nad którym zawisły śniegowe chmury?

Czy mój Charlie oddycha powietrzem tego świata?

Wysiadam na peronie kolei municypalnej przy Logan Square i wbijam dłonie głęboko w kieszenie płaszcza. Śnieg obkleił znajome ulice wokół mojego domu. Zakrył chodniki. Pokrył cienką warstwą zaparkowane przy krawężnikach samochody. Światła reflektorów sunących w popołudniowym szczycie samochodów wbijają się w kłęby śniegowych płatków.

Rozjaśnione domy w moim kwartale ulic wyglądają pięknie w śnieżnej zadymce.

Na schodkach naszej werandy zebrał się centymetr puchu, w którym widać prowadzące do drzwi ślady stóp.

Przez frontowe okno widać światła w środku — z miejsca, gdzie stoję na chodniku, wewnątrz wygląda dokładnie jak mój dom.

Spodziewam się lada chwila dostrzec jakiś nieprawidłowy detal — zły kolor drzwi, nie ten numer domu, mebel, którego nie znam.

Frontowe drzwi są jednak takie jak należy.

Numer budynku się zgadza.

Nad stołem w pokoju od frontu wisi żyrandol w kształcie hipersześcianu, a stoję wystarczająco blisko, aby dostrzec na kominku dużą fotografię: ukazującą Daniellę, Charliego i mnie w Inspiration Point w Parku Narodowym Yellowstone.

W przejściu między jadalnią a kuchnią, przy wyspie, stoi Jason. W rękę trzyma butelkę wina, pochylają i nalewa komuś do kieliszka.

Ogarnia mnie ulga, nie trwa jednak długo.

Z mojego miejsca widzę jedynie piękną dłoń, trzymającą nóżkę

kieliszka, i z siłą jak cios obuchem znowu dociera do mnie, co ten człowiek mi zrobił.

Co mi zabrał.

Ukradł.

W śnieżnej zadymce niczego oczywiście nie słysząc, widzę jednak, jak się śmieje i bierze łyk wina.

O czym rozmawiają?

Kiedy ostatni raz się pieprzyli?

Czy Daniela jest szczęśliwsza niż miesiąc temu, ze mną?

Czy zniósłbym odpowiedź na to pytanie?

Zdrowy, miarowy głos w mojej głowie radzi mądrze, abym natychmiast szedł dalej.

Nie jestem jeszcze gotowy do działania. Nie mam planu.

Jestem jedynie wściekły i zazdrosny.

Poza tym nie powinienem wychodzić przed szereg. Potrzebuję więcej dowodów, że to mój świat.

Kawałek dalej dostrzegam tył naszego samochodu. Podchodzę i ścieram śnieg, który przylepił się do tablicy rejestracyjnej.

Numer jest mój.

Kolor auta jest prawidłowy.

Oczyszczam tylną szybę.

Fioletowa nalepka drużyny Lakemont Lions wygląda w stu procentach jak należy — zwłaszcza że jest w połowie oderwana. Już w chwili, gdy ją naklejałem, pożałowałem tego i spróbowałem ją oderwać. Nie wyszło mi do końca — udało się z górną połową łba, rycząca paszcza pozostała.

Ale to było trzy lata temu.

Potrzebuję czegoś świeższego, bardziej definitywnego.

Kilka tygodni przed moim porwaniem niedaleko kampusu przypadkiem wjechałem tyłem w parkometr. Szkoda była niewielka — pękła obudowa prawego tylnego światła i wgniotłem lekko zderzak.

Ścieram śnieg z czerwonego plastiku tylnego światła i zderzaka.

Dotykam pęknięcia.

Dotykam wgniecenia.

Żaden SUV w niezliczonych wersjach Chicago, które odwiedziłem,

nie miał takich śladów.

Wstaję i patrzę przez ulicę w kierunku ławki, na której kiedyś spędziłem cały dzień, obserwując, jak toczy się inna wersja mojego życia. Jest w tej chwili pusta, zbiera się na niej śnieg.

Cholera!

Dwa metry za ławką ktoś stoi i obserwuje mnie przez śnieżny mrok. Ruszam szybko przed siebie — prawdopodobnie to, co robiłem, wyglądało, jakbym chciał ukraść tablicę rejestracyjną.

Muszę być ostrożniejszy.

*

Niebieski neon w witrynie Village Tap miga w zadymce niczym światło latarni morskiej, informującej, że zbliżam się do domu.

W tym świecie nie ma hotelu Royale, melduję się więc w smętnym Days Inn naprzeciwko „mojego” baru.

Dwie doby to wszystko, na co mnie stać. Moje zasoby topnieją do 120 dolarów z drobnymi.

„Centrum biznesowe” to maleńki pokój na parterze, w głębi korytarza, z komputerem na granicy przeżytku, faksem i drukarką.

W Internecie weryfikuję trzy informacje.

Jason Dessen jest profesorem na wydziale fizyki Lakemont College.

Ryan Holder właśnie zdobył nagrodę imienia Pavii za badania w dziedzinie neurobiologii.

Daniela Vargas-Dessen nie jest znaną chicagowską artystką, nie zajmuje się także grafiką komputerową. Na jej uroczym amatorskiej stronie internetowej prezentowanych jest kilka jej najlepszych prac, reklamuje się tam jako nauczycielka rysunku.

W trakcie wędrówki schodami do pokoju na drugim piętrze wreszcie pozwalam sobie uwierzyć

To jest mój świat.

*

Siedzę w hotelowym pokoju, przy oknie, i wpatruję się w migający neon Village Tap.

Nie jestem agresywną osobą.

Nigdy nikogo nie uderzyłem.

Nawet nie próbowałem zrobić komukolwiek krzywdy.

Jeśli jednak chcę odzyskać rodzinę, nie uniknę tego.

Muszę zrobić coś strasznego.

To samo, co Jason 2 zrobił mnie — choć bez chroniącej sumienie opcji wsadzania go z powrotem do kabiny. Choć została mi jedna ampułka, nie powtórzę jego błędu.

Powinien był mnie zabić, gdy miał ku temu okazję.

Umysł fizyka próbuje przejąć kontrolę nad sytuacją.

W końcu jestem naukowcem. Człowiekiem myślącym procesowo.

Muszę podejść do sprawy jak do eksperymentu laboratoryjnego.

Istnieje wynik, jaki ma zostać osiągnięty.

Jakie etapy postępowania mnie do niego doprowadzą?

Pierwsze zadanie: należy dokładnie określić wynik.

Zabić Jasona Dessena, który mieszka w moim domu, i umieścić ciało w miejscu, w którym nigdy nie zostanie odnalezione.

Jakich narzędzi potrzebuję do osiągnięcia tego?

Samochodu.

Broni.

Czegoś do unieruchomienia go.

Łopaty.

Miejsca, w którym można bezpiecznie porzucić ciało.

Nienawidzę takiego myślenia.

Zabrał mi żonę, syna i życie, ale myśl o prowadzonych z zimną krwią przygotowaniach i o przemocy jest wstrętna.

Godzinę drogi na południe od Chicago jest rezerwat leśny.

Kankakee River State Park. Byłem tam kilka razy z Danielą i Charliem, zwykle jesienią, gdy liście się przebarwiają i mieliśmy ochotę na dzicz, samotność oraz dzień poza miastem.

Mógłbym w nocy zmusić Jasona 2 do przyścia tam, albo — tak, jak zrobił ze mną — kazać się tam zawieźć.

Sprowadzić go na dół którąś ze ścieżek na północ od rzeki.

Przyjechałbym dzień albo dwa wcześniej i wykopał grób w

cichym, odludnym miejscu. Sprawdziłbym przedtem, jak głęboko trzeba kopać, aby zwierzęta nie wyczuły padliny. Dałbym mu do zrozumienia, że ma sobie wykopać grób, dzięki czemu myślałby, że ma więcej czasu na wymyślenie sposobu ucieczki albo przekonanie mnie, abym zrezygnował z mojego planu. Kilka metrów' od dziury w ziemi rzuciłbym łopatę na ziemię i stwierdził, że czas zacząć kopać.

Gdy się pochyli, by ją podnieść, zrobię to, czego nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Strzelę mu w tył głowy.

Potem zaciągnę go do dziury w ziemi, wrzucę do środka i zasypię ziemią.

Dobra wiadomość jest taka, że nikt go nie będzie szukał.

Wślizgnę się w jego życie tak samo, jak on wyślizgnął się w moje.

Może po latach powiem Danieli prawdę.

Może nigdy jej nie powiem.

*

Sklep sportowy jest trzy przecznice dalej i zamyka się dopiero za godzinę. Przychodziłem tu raz w roku, by kupić korki i piłki, gdy Charlie grał w gimnazjum w piłkę.

Już wtedy lada z bronią mnie fascynowała.

Otaczała ją aura mistyki.

Nigdy nie byłem w stanie sobie wyobrazić, dlaczego ktoś chciałby mieć broń.

W życiu strzelałem tylko dwa albo trzy razy, w szkole średniej w Iowa. Wałąc do zardzewiałych beczek na farmie najlepszego przyjaciela, nie doświadczałem tego samego podniecenia co inne dzieciaki. Za bardzo się bałem. Jakbym stojąc naprzeciwko celu i mierząc z ciężkiego pistoletu, nie był w stanie pozbyć się myśli, że trzymam w dłoni śmierć.

Sklep nazywa się Pole i Rękawica i o tak późnej porze jestem jednym z trzech klientów.

Idę wzdłuż stelaży pełnych wiatrówek i ściany butów do biegania, w kierunku mieszczącej się w głębi sklepu lady.

Na ścianie wiszą strzelby i karabiny, pod nimi pudełka naboju.

Pod szkłem lady migocze broń ręczna.

Czarna.

Chromowana.

Z bębenkami.

Bez bębenków.

Niektóre sztuki wyglądają, jakby powinny być noszone jedynie przez czujnych gliniarzy w filmach akcji z lat siedemdziesiątych.

Podchodzi do mnie kobieta w czarnym T-shircie i spranych dżinsach. Kędzierzawe rude włosy i obiegający jej piegowate prawe ramię, wytatuowany napis, głoszący: *...prawo osób do posiadania i noszenia broni nie może być naruszone* nadaje jej nieco podobieństwa do Annie Oakley.

— Mogę w czymś pomóc? — pyta.

— Tak, zastanawiam się nad zakupem ręcznej broni palnej, ale szczerze mówiąc, nie mam o tym zielonego pojęcia.

— Do czego miałyby być potrzebna?

— Do obrony przed napadem w domu.

Kobieta wyjmuje z kieszeni pęk kluczy i otwiera szafkę, przed którą stoję. Sięga pod szkło i wyciąga czarny pistolet.

— To jest glock dwadzieścia trzy. Kaliber czterdzieści.

Austriacki. Dobra siła nokautująca. Gdyby chciał pan coś mniejszego, w celu uzyskania pozwolenia na ukryte noszenie, mogłabym zaproponować wersję subkompaktową.

— To zatrzyma intruza?

— Zatrzyma. Przewróci go tak, że więcej nie wstanie.

Odciąga zamek, sprawdza, czy komora jest pusta, blokuje pistolet i wyjmuje magazynek.

— Ile ma pocisków?

— Trzynaście.

Podaje mi broń.

Nie bardzo wiem, co mam z nią zrobić. Wycelować? Zważyć w dłoni?

Trzymam pistolet nieporadnie i choć nie jest załadowany, czuję ten sam niepokój co kiedyś, że mam w ręku śmierć.

Na metce, zwisającej z osłony spustu, widać cenę. 599,99 S.

Nie do końca znam swoją sytuację finansową. Prawdopodobnie

mógłbym iść do banku i pobrać coś z rachunku oszczędnościowego Charliego. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, saldo wynosiło mniej więcej cztery tysiące. Charlie nigdy nie korzysta z tego rachunku. Nikt tego nie robi. Gdybym pobrał dwa tysiące, wątpię, aby ktoś to zauważył. Przynajmniej nie od razu. Oczywiście musiałbym najpierw jakoś zdobyć prawo jazdy.

— Co pan sądzi?

— Hm... wygląda na broń.

— Mogę pokazać panu kilka innych modeli. Jeżeli myślał pan raczej o rewolwerze, mam naprawdę fajnego Smith-and-Wessona trzysta pięćdziesiąt siedem.

— Nie, ten byłby dobry, muszę tylko wykrobać nieco gotówki.

Jak wygląda proces kontroli?

— Ma pan kartę FOID?

— Co to jest?

— Pozwolenie na broń, wydawane przez Policję Stanu Illinois.

Musi pan złożyć wniosek.

— Ile to trwa?

Kobieta nie odpowiada.

Patrzy ma mnie dziwnie, wyciąga rękę, wyjmuję mi glocka z dłoni i chowa go w gablocie.

— Powiedziałem coś złego?

— Nazywa się pan Jason, prawda?

— Skąd pani wie?

— Próbowałam wszystko sobie poukładać, aby stwierdzić, czy nie zwariowałam. Nie wie pan, jak mam na imię?

— Nie.

— Sądzę, że próbuje mnie pan w coś wkręcić, a nie jest to mądre...

— Nigdy z panią nie rozmawiałem. Prawdę mówiąc, nie byłem w tym sklepie ze cztery lata.

Zamyka szafkę i chowa klucze do kieszeni.

— Uważam, że powinien pan wyjść, Jasonie.

— Nie rozumiem...

— Jeżeli to nie jest jakaś gra, to ma pan uraz głowy, alzheimera,

albo po prostu pan oszalał.

— O czym pani mówi?

— Naprawdę pan nie wie?

— Nie.

Kobieta pochyła się ku mnie przez ladę.

— Dwa dni temu przyszedł pan do nas i powiedział, że chce kupić broń. Pokazałam panu tego samego glocka. Twierdził pan, że to do obrony przed napadem w domu.

Co to znaczy? Jason 2 przygotowuje się na wypadek mojego powrotu czy spodziewa się mnie?

— Sprzedała mi pani broń?

— Nie, nie miał pan karty FOID. Stwierdził pan, że musi zdobyć pieniądze. Sądzę, że nawet nie miał pan prawa jazdy.

W dół kręgosłupa biegnie mi łaskoczący prąd.

Miękną mi kolana.

— To nie wszystko — mówi sprzedawczyni. — Miałam w związku z panem złe przeczucie, zapytałam więc Gary'ego, który też obsługuje ten dział, czy pana tu kiedyś widział. Potwierdził. Trzy razy w zeszłym tygodniu. A teraz jest pan tu znowu.

Opieram się o kontuar, aby nie upaść.

— Tak więc, Jasonie, nie chcę pana więcej widzieć w tym sklepie. Nawet gdyby pan zechciał kupić suspensorium. Jeżeli zjawi się pan ponownie, wezwę policję. Rozumie pan, co mówię?

Wygląda na wystraszoną, ale jest stanowcza i nie chciałbym spotkać się z nią w ciemnej uliczce, gdzie uznałaby mnie za zagrożenie.

— Rozumiem — odpowiadam.

— Wynoś się z mojego sklepu.

*

Wychodzę na gęsto padający śnieg. Płatki dmą mi w twarz, w głowie mi się kręci.

Rozglądam się po ulicy i macham na taksówkę. Skręca ku mnie i zatrzymuje przy krawężniku. Otwieram tylne drzwi i wskakuję do środka.

— Dokąd? — pyta kierowca.

Dokąd?

Dobre pytanie.

— Do hotelu.

— Którego?

— Nie mam pojęcia. Nie dalej jak dziesięć przecznic, coś taniego. Niech pan wybierze.

Kierowca patrzy na mnie przez pleksiglasowe przepierzenie, oddzielające przednie fotele od tylnej kanapy.

— Chce pan, żebym wybrał?

- Tak.

Przez chwilę wydaje mi się, że tego nie zrobi. Może prośba jest zbyt dziwna. Może każe mi wysiadać. Zamiast tego włącza licznik i rusza spod krawężnika.

*

Wpatruję się przez okno w śnieg, padający w świetle reflektorów, tylnych świateł, ulicznych latarni, migoczących świateł.

Serce wali mi w piersi, myśli szaleją.

Muszę się uspokoić.

Podejść do tego logicznie, racjonalnie.

Taksówka zjeżdża do krawężnika przed obskurnym hotelem o nazwie End o'Days,

Taksówkarz odwraca się do mnie.

— Może być?

Płacę za kurs i idę do recepcji.

W radiu leci mecz Bullsów, gruby recepcjonista za ladą zre chińszczyznę z chyba kilkunastu białych pudełek.

Strzepuję śnieg z ramion i melduję się pod nazwiskiem ojca mojej matki: Jess McCrae.

Płacę za jedną noc.

Zostaje mi czternaście dolarów i siedemdziesiąt sześć centów.

Wjeżdżam na trzecie piętro, rygluję drzwi i zakładam łańcuch. Pokój jest pozbawiony jakiegokolwiek życia.

Łóżko z kołdrą w kwieciste wzory, na sam widok którego można dostać depresji.

Stolik z laminowanym blatem.

Komoda z płyty paździerzowej.

Przynajmniej jest ciepło.

Odsuwam nieco zasłony i wyglądam na zewnątrz.

Pada na tyle mocno, że ulice zaczynają pustoszeć, a asfalt pokrywa się śniegiem, w którym widać ślady kół każdego kolejnego przejeżdżającego samochodu.

Rozbieram się i chowam ostatnią ampułkę w Biblii Gideona, leżącej w dolnej szufladzie szafki przy łóżku.

Idę pod prysznic.

Muszę się zastanowić.

*

Zjeżdżam windą na parter i za pomocą karty magnetycznej wchodzę do „centrum biznesowego”.

Otwieram serwer darmowej poczty, z której korzystam w tym świecie, i wpisuję pierwszą lepszą nazwę użytkownika, jaka przychodzi mi do głowy.

Moje imię i nazwisko w „świńskiej łacinie”: asonjayessenday.

Nic dziwnego, że już istnieje taki użytkownik.

Hasło jest oczywiste.

To samo, które używałem niemal wszędzie przez ostatnie dwadzieścia lat — marka, model i rocznik mojego pierwszego samochodu: jeepwrangler89.

Próbuję się zalogować.

Udaje mi się.

Jestem na niedawno utworzonym koncie e-mailowym, którego skrzynka przychodząca zawiera kilka wiadomości powitalnych od operatora usługi oraz niedawny e-mail od „Jasona”, który już otwierano.

Temat wiadomości brzmi: *Witaj w domu prawdziwy Jasonie Dessen.*

Otwieram wiadomość.

Nie ma tekstu, jedynie link.

Linkowana strona ładuje się i na ekranie pojawia się informacja:

Witamy w UberChat!

Obecnie jest trzech aktywnych uczestników.

Jesteś nowym uczestnikiem?

Klikam „Tak”.

Twoją nazwą użytkownika jest: Jason9.

Przed zalogowaniem się muszę utworzyć hasło.

Otwiera się duże okno, wyświetlające całą historię rozmowy.

Wybór emotikonów.

Małe okno, w którym można pisać i wysyłać wiadomości publiczne oraz prywatne, do poszczególnych użytkowników.

Przewijam na początek rozmowy, która rozpoczęła się mniej więcej osiemnaście godzin temu. Ostatni wpis pochodzi sprzed czterdziestu minut.

JasonADMIN: Widziałem paru z was wokół domu. Wiem, że jest was kilku.

Jason ADMIN: Tak.

Jason3: Więc wszyscy wiemy, że nie ma sposobu, aby to się dobrze skończyło.

Jason4: Moglibyście się wszyscy zabić i pozwolić mi z nią być

JasonADMIN: Ja założyłem ten czatroom i mam prawa administratora. Tak dla twojej informacji, pięciu kolejnych Jasonów krąży w okolicy.

Jason3: Dlaczego nie połączyć sił i nie podbić świata? Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby tyle naszych wersji zaczęło współpracować? (Tylko trochę żartuję).

Jason6: Czy wyobrażam sobie, co by się stało? Oczywiście. Zamknęliby nas w rządowym laboratorium i badali do końca świata.

Jason4: Mogę powiedzieć to, o czym wszyscy myślą? To kurewsko pojebane.

Jason5: Ja też mam broń. Nikt z was nie walczył tak jak ja, aby wrócić do domu. Nikt z was nie widział tego, co ja.

Jason7: Nie masz pojęcia, przez co przechodzili pozostali.

Jason5: Widziałem piekło. Dosłownie. Piekło, w którym teraz jesteście.

Jason7: Ja zabiłem dwóch z nas.

Na ekranie pojawia się powiadomienie.

Masz prywatną wiadomość od Jason7.

Otwieram wiadomość. Pulsuje mi w głowie, chyba zaraz eksploduje.

Wiem, że ta sytuacja jest całkowicie chora, ale chcesz, żebyśmy zostali współnikami? Dwie głowy to nie to, co jedna. Możemy

Jason3: To się dzieje naprawdę?

Jason4: To się dzieje naprawdę?

Jason6: Nierealne.

Jason3: Ilu z was poszło do pola & rękawicy?

JasonADMIN: Trzy dni temu.

Jason4: Dwa.

Jason6: Ja kupiłem w południowym Chicago.

Jason5: Masz broń?

Jason6: Mam.

JasonADMIN: Kto myślał o Kankakee?

Jason3: Winny.

Jason4: Winny.

Jason6: Ja wczoraj tam pojechałem i wykopałem dół. Byłem gotów działać. Miałem samochód, łopatę, linę. Wszystko idealnie zaplanowałem. Dziś po południu poszedłem do domu, żeby poczekać na Jasona, który nam wszystkim to zrobił, wtedy zobaczyłem siebie za samochodem.

Jason8: Dlaczego się wycofałeś, Jason6?

Jason6: Po co to robić? Gdybym się go pozbył, pojawiłby się któryś z was i zrobił to samo ze mną.

Jason3: Wszyscy przeanalizowali scenariusze teorii gier?

Jason4: Tak.

Jason6: Tak.

Jason8: Tak.

wspólnie wymyślić sposób, jak pozbyć się reszty, a gdy dym się rozwieje, na pewno coś wymyślimy. Czas nagli. Co ty na to?

Co ja na to?

Ledwie mogę oddychać.
Wychodzę z „centrum kongresowego”.
Pot spływa mi po bokach, ale jest mi lodowato.
Korytarz jest pusty i cichy.
Idę szybkim krokiem do windy i wjeżdżam na trzecie piętro.
Wysiadam i idę szybkim krokiem po beżowym dywanie. Zamykam się w pokoju.

Kręci mi się w głowie.

Jak mogłem tego nie przewidzieć?

Tak na zdrowy rozsądek, było to nieuniknione.

Choć w korytarzu nie tworzyłem odgałęzień do alternatywnych rzeczywistości, w każdym świecie, do którego wchodziłem, musiałem przedtem istnieć. To oznacza, że w światach popiołu, lodu i zarazy odgałęzione były inne wersje mnie.

Nieskończona natura korytarza sprawiła, że nie natknąłem się na więcej wersji siebie, choć jedną z nich widziałem — Jasona z otwartymi ranami na plecach.

Bez wątpienia wielu Jasonów zginęło albo zagubiło się w różnych światach, ale niektórzy — jak ja — dokonali prawidłowego wyboru. Albo mieli szczęście. Ich ścieżki mogły się różnić od mojej, przechodzili przez inne drzwi, krążyli po innych światach, ale w końcu dotarli do Chicago, w którym się teraz znajdowałem.

Wszyscy chcemy tego samego: odzyskać swoje życie.

Boże...

Nasze życie.

Nasza rodzinę.

A jeśli większość tych pozostałych Jasonów jest taka jak ja? Jeśli są łagodnymi ludźmi, którzy chcą odzyskać to, co im zabrano? Jeżeli tak, to czy mam większe od nich prawo do Daniela i Charliego?

To nie są zwykłe szachy. To partia szachów przeciwko samemu sobie.

Wolałbym nie postrzegać sytuacji w ten sposób, ale fakty są jednoznaczne. Pozostali Jasonowie chcą tego, co jest dla mnie w tym świecie najcenniejsze: mojej rodziny. Czyni to z nich moich wrogów. Jak daleko byłbym gotów się posunąć, aby odzyskać swoje życie? Czy

gdybym uważał, że pozwoli mi to spędzić resztę życia z Danielą, umiałbym zabić inną wersję siebie? Czy oni byliby to w stanie zrobić?

Wyobrażam sobie inne wersje siebie, siedzące samotnie w hotelowych pokojach, chodzące po zaśniewanych ulicach, obserwujące mój dom i zmagające się z tymi samymi myślami.

Zadające sobie dokładnie te same pytania.

Próbujące przewidzieć następne kroki sobowtórów.

Nie może być podziału. To ściśle konkurencyjna gra, z sumą zerową, gdzie tylko jedna osoba wygrywa.

Gdyby ktokolwiek okazał się lekkomyślny, sprawy wymknęłyby się spod kontroli i Daniela albo Charlie zostałyby ranni albo zabici, nie wygrałby nikt z nas. Prawdopodobnie z tego powodu kilka godzin temu, gdy zaglądałem do mojego domu przez frontowe okno, wszystko wyglądało normalnie.

Nikt nie wie, jaki wykonać ruch, więc nikt nie rozpoczął rozgrywki przeciwko Jasonowi 2.

Klasyczna sytuacja, czysta teoria gier.

Przerażający aspekt dylematu więźnia, zawierający się w pytaniu: czy można przechrzyć samego siebie?

Nie jestem bezpieczny.

Moja rodzina nie jest bezpieczna.

Co robić?

W jakim stawia mnie to położeniu, jeżeli każdy możliwy ruch, który wymyślę, może zostać przewidziany albo wykonany, zanim sam go wykonam?

Jest mi nieswojo we własnej skórze.

Najgorszych sytuacji z lotu kabiną — spadającego na twarz wulkanicznego popiołu, groźby śmierci przez zamrożenie, widoku Danieli w świetle, w którym nigdy nie wypowiedziała mojego imienia - nie da się porównać z burzą szalejącą we mnie w tej chwili.

Nigdy nie czułem się bardziej oddalony od domu.

Dzwoni telefon, przywołując mnie do rzeczywistości.

Podchodzę do stolika, podnoszę po trzecim dzwonku.

- Halo?

Nikt się nie odzywa, słysząc jedynie cichy oddech.

Odkładam słuchawkę.

Podchodzę do okna.

Rozsuwam zasłony.

Trzy piętra niżej ulica, nieustannie zasypywana śniegiem, jest pusta.

Telefon znowu dzwoni, tym razem jednak tylko raz.

Dziwne.

Kładę się na łóżku, zastanawiam się, co to mogło być.

Może inna wersja mnie próbuje sprawdzić, czy jesieni w pokoju?

Nie... jak miałyby mnie tu znaleźć?

Cholera... to przecież jasne i... przerażające.

W okolicy Logan Square musi być przynajmniej kilku Jasonów, którzy w tej chwili robią dokładnie to samo, co on: obdzwanniają wszystkie pobliskie hotele i motele w poszukiwaniu innych fasonów. Znalezienie mnie to nie sprawa szczęścia, lecz prawdopodobieństwa. Nawet garść Jasonów, wykonując po kilkanaście telefonów każdy, może obdzwonić wszystkie hotele i motele w promieniu kilku kilometrów od mojego domu.

Czy recepcjonista ujawniłby numer mojego pokoju?

Może nierozmyślnie, ale zasłuchany w mecz Bullsów miłośnik chińszczyzny na pewno dałby się jakoś zwieść.

Jak ja bym go oszukał?

Gdyby szukał mnie ktoś inny, zameldowanie się pod przybranym nazwiskiem najprawdopodobniej pozwoliłoby mi się ukryć, ale wszystkie wersje mnie znają nazwisko ojca i mojej matki. Spaprałem to. Jeżeli użycie tego nazwiska było moim pierwszym impulsem, było też pierwszym impulsem innych Jasonów. Tak więc: znając nazwisko, pod którym się zameldowałem, jaki byłby mój następny krok?

Recepcjonista nie ujawniłby numeru mojego pokoju.

Musiałbym udać, że wiem, że jestem zameldowany w tym właśnie hotelu.

Zadzwoiłbym i poprosił o połączenie z pokojem Jessa McCrae.

Słyszając własny głos w słuchawce, miałbym požądane potwierdzenie i bym się rozłączył.

W ciągu minuty zadzwoniłbym znowu i powiedział do recepcjonisty: „Przepraszam, że znowu panu zawracam głowę, ale dzwoniłem przed chwilą i coś mnie rozłączyło. Mógłby mnie pan ponownie połączyć z... cholera, jaki to był numer pokoju?”

Przy odrobinie szczęścia, zwłaszcza gdyby recepcjonista był bujającym w obłokach kretynem, istniałaby pewna szansa, że przed ponownym połączeniem dzwoniącego z moim pokojem, mruknąłby numer.

Tak więc pierwszy telefon dla potwierdzenia, że to ja jestem w pokoju.

I drugi, przerwany przez dzwoniącego po poznaniu numeru pokoju. Wstaję z łóżka.

Myśl jest absurdalna, ale nie wolno mi jej ignorować.

Jestem właśnie w drodze do mojego pokoju, aby mnie zabić?

Nakładam płaszcz i ruszam do drzwi.

Jest mi niedobrze ze strachu, szukanie innych wyjaśnień — na przykład tego, że oszalałem — niewiele uspokaja. Może szukam wydumanych wyjaśnień czegoś całkiem powszechnego, jak dwukrotne głuche połączenie telefoniczne.

Może.

Po czatroomie, który odwiedziłem, nic mnie już jednak nie zaskoczy.

A jeżeli mam rację, ale nie posłucham przeczucia?

Wychodź!

Natychmiast.

Powoli otwieram drzwi.

Wychodzę na korytarz.

Jest pusty.

Cichy, poza basowym buczeniem świetlówek na suficie.

Schody czy winda?

W głębi korytarza rozlega się dzwonek windy.

Słysząc rozsuwające się drzwi i z kabiny wysiada mężczyzna w mokrej kurtce.

Przez chwilę stoję jak wryty.

Nie mogę oderwać oczu.

W moją stronę idę ja.

Nasze spojrzenia się spotykają.

On się nie uśmiecha.

Twarz ma pozbawioną emocji, widać na niej jedynie mrozące krew w żyłach skupienie.

Gdy unosi broń, ruszam biegiem w przeciwnym kierunku, pędzę w kierunku drzwi na końcu korytarza, modląc się, aby nie okazały się zamknięte.

Barkiem otwieram drzwi, nad którymi pali się znak WYJŚCIE. W progu klatki schodowej oglądam się przez ramię.

Mój sobowtór biegnie w moją stronę.

Zbiegając po schodach, sunę dłonią po poręczy, aby zachować równowagę, powtarzając sobie w myśli: nie upadnij, nie upadnij, nie upadnij...

Gdy docieram do podestu drugiego piętra, słyszę łomot otwieranych piętro wyżej drzwi i korytarz wypełnia echo kroków mojego prześladowcy.

Zbiegam dalej.

Docieram do pierwszego piętra.

Dalej! Jestem na parterze, gdzie jedne drzwi — z szybą pośrodku — prowadzą do holu hotelowego, a drugie — pełne — dokądś indziej.

Wybieram „dokądś indziej”, przelatuję jak bomba i...

Wypadam na lodowate, wypełnione śniegiem powietrze.

Schodzę nieporadnie kilka stopni, grzęznę w kilkucentymetrowym śniegu. Pod spodem jest lód, na którym ślizgają mi się buty.

Gdy się prostuję, z cienia zaułka, pomiędzy dwóch kontenerów, wychodzi męska postać.

W płaszczu jak mój.

Z zaśnieżonymi włosami.

To ja.

Klinga w jego dłoni rzuca błyski, odbijając światło pobliskiej latarni. Rusza na mnie, kierując ostrze w mój brzuch — ostrze noża, stanowiącego standardowe wyposażenie plecaków, przygotowanych w Velocity Laboratories.

W ostatniej chwili odsuwam się na bok, chwytam go za ramię i z

całej siły rzucam nim o prowadzące do hoteiu schodki.

Przewraca się na nie w chwili, gdy drzwi się otwierają. Zanim rzucę się do ucieczki, w pamięć zapada mi najdziwniejszy widok z możliwych: jedna wersja mnie wychodzi z klatki schodowej z bronią w ręku. druga wstaje ze schodów, gorączkowo macając w śniegu w poszukiwaniu noża.

Są współnikami?

Działają razem, aby zamordować każdego Jasona, którego uda im się znaleźć?

Biegnę między budynkami, śnieg obkleja mi twarz, płuca płoną.

Gdy skręcam na chodnik następnej ulicy, patrzę za siebie. W moim kierunku suną dwa cienie.

Biegnę dalej w śnieg.

Nikogo nigdzie nie widać.

Ulice są puste.

Kilka budynków dalej wybucha głośny hałas — cieszy się spora grupa ludzi.

Kieruję się na dźwięk. Otwieram obdrapane drzwi obscurnego baru, w którym można tylko stać. Wszyscy są wpatrzeni w szereg wiszących za kontuarem telewizorów: trwa mecz koszykówki, jest czwarta kwarta i Bulls nie mogą się dostać pod kosz przeciwnika.

Wbijam się w tłum, pozwalam się mu połknąć.

Nie ma miejsc siedzących, ledwo da się stanąć, udaje mi się jednak po jakimś czasie znaleźć kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych podłogi pod tarczą do strzałek.

Oczy wszystkich są wpatrzone w ekrany — poza moimi. Ja obserwuję drzwi.

Rozgrywający Bullsów rzuca za trzy punkty i pomieszczenie eksploduje radością, obcy podają sobie piątki i obejmują się.

Drzwi baru otwierają się.

W progu staję ja, pokryty śniegiem od stóp do głów.

Robi krok do środka.

Na chwilę tracę go z oczu, gdy tłum faluje, widzę go jednak znowu.

Czego doświadczyła ta wersja Jasona Dessena? Jakie światy

widział? Przez jakie piekło musiał się przebić, aby dostać się do tego Chicago?

Przepatruje tłum.

W oknie za nim widać padający śnieg.

Ma twarde i zimne oczy — ciekawe, czy to samo powiedziała o mnie?

Gdy jego spojrzenie dochodzi do miejsca, gdzie stoję w głębi sali, kucam pod tarczą do strzałek, chowam się w lesie nóg.

Czekam minutę.

Gdy tłum znowu wyje, powoli się prostuję.

Drzwi do baru są zamknięte.

Mój sobowtór zniknął.

*

Bulsi wygrywają.

Ludzie chcą jeszcze trochę pobyć razem, szczęśliwa i pijani.

Trwa godzinę, zanim zwalnia się miejsce przy barze, a ponieważ nie mam dokąd iść, siadam na stołku i zamawiam lekkie piwo, co obniża mój majątek do niecałych dziesięciu dolarów.

Umieram z głodu, ale nie podają tu jedzenia, więc popijając piwo, pochłaniam kilka miseczek orzeszków.

Dobrze napity gość próbuje wciągnąć mnie w rozmowę na temat posezonowych szans Bullsów, ale wpatruję się w piwo, aż rzuca mi kilka jobów i zaczyna dręczyć dwie stojące za nami kobiety.

Jest głośny, napastliwy.

Zjawia się wykidajło i wyciąga go na dwór.

Siedzę przy barze, próbuję odciąć się od hałasu i dumam nad tym samym: muszę skontaktować się z Danielą i Charliem poza naszym domem przy Eleanor Street 44. Dopóki będą w domu, będzie istniało ryzyko, że któryś z pozostałych Jasonów zrobi coś szalonego.

Jak tego jednak dokonać?

Prawdopodobnie jest z nimi teraz Jason 2.

Jest środek nocy.

Zbliżanie się do naszego domu byłoby zbyt ryzykowne.

Muszę sprawić, aby Daniela wyszła, przyszła do mnie.

Bez względu jednak na to, co wymyślę, jakiś inny Jason będzie miał, albo już miał, ten sam pomysł.

Nie mam szansy wygrać.

Gdy otwierają się drzwi baru, automatycznie ku nim spoglądam. Do środka wchodzi kolejna wersja mnie — plecak, marynarska kurtka, zimowe buty — a gdy nasze spojrzenia się spotykają, wygląda na zaskoczonego i unosi ręce w obronnym geście.

Dobrze. Może nie przyszedł po mnie.

Jeżeli wokół Logan Square krąży tylu Jasonów, jak podejrzewam, być może wszedł przypadkiem, by się ogrzać i posiedzieć. Tak jak ja.

Podchodzi do baru i siada na pustym stolku obok mnie. Gołe ręce drżą mu z zimna.

Albo ze strachu.

Barmanka podchodzi i patrzy na nas z ciekawością — jakby chciała zapytać — decyduje się jednak na zawodową obojętność.

— Co podać? — pyta Jasona obok mnie.

— To samo, co on pije — odpowiada, wskazując na mnie.

Patrzemy, jak barmanka leje piwo i podchodzi ze szklanką, po bokach której spływa piana.

Jason unosi szklankę.

Ja unoszę swoją.

Patrzemy na siebie.

Na prawej stronie twarzy ma zanikającą bliznę po ciosie nożem. Nitka na jego palcu serdecznym jest taka sama jak moja.

Pijemy.

— Kiedy się tu...?

— Kiedy się tu...?

Mimowolnie obaj się uśmiechamy.

— Dziś po południu — odpowiada. — A ty?

— Wczoraj.

— Mam wrażenie, że raczej niełatwo będzie...

— ...nie kończyć swoich zdań?

— Wiesz, nad czym się właśnie zastanawiam?

— Nie umiem czytać w twoich myślach,

Dziwne — rozmawiam ze sobą, ale głos nie brzmi tak, jak moim

zdaniem powinien.

— Zastanawiam się, jak daleko wstecz się rozgałęziliśmy.

Widziałeś świat lecącego z nieba popiołu?

— Tak, lodowy też. Ledwie uciekłem.

— Co z Amandą?

— Zgubiliśmy się w burzy śnieżnej.

Odczucie straty jest jak wybuch w moich trzewiach.

— W moim udało nam się utrzymać razem. Schowaliśmy się w domu.

— Tym zakopany w śniegu po okna na górze?

— Dokładnie.

— Też go znalazłem. Z martwą rodziną w środku.

— Gdzie więc...?

— Gdzie więc...?

— Ty mów — mówi mój towarzysz.

Gdy popija piwo, zadaję pytanie.

— Dokąd udałeś się po świecie śniegu?

— Wyszedłem z kabiny prosto do piwnicy takiego gościa.

Odbiła mu palma. Miał broń i mnie związał. Prawdopodobnie by mnie zabił, ale wstrzyknął sobie jedną ampułkę i stwierdził, że się rozejrzy po korytarzu.

— Więc wszedł do kabiny i nie wrócił.

— Dokładnie.

— A potem?

Jego oczy zasnuwają się na chwilę mgłą.

Bierze długi łyk piwa.

— Potem widziałem kilka kiepskich. Naprawdę paskudnych.

Mroczne światy, złe miejsca. A ty?

Dzielę się swoją historią i choć zrzucanie z siebie wspomnień to przyjemne uczucie, skrajnie dziwne jest robienie tego z nim.

Do miesiąca wstecz byliśmy tą samą osobą, co oznacza, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięćdziesięciu pięciu procentach mamy taką samą historię życia.

Mówiliśmy takie same rzeczy. Dokonywaliśmy takich samych wyborów. Przeżywaliśmy takie same lęki.

Kochaliśmy tak samo.

Gdy kupuje drugą kolejkę, nie mogę oderwać od niego oczu.

Siedzę obok siebie.

Mimo to jest w nim coś, co nie wydaje się całkiem realne.

Może dlatego, że obserwuję go z niemożliwego punktu obserwacyjnego: patrzę na siebie od zewnątrz.

Wygląda na silnego, ale także zmęczonego, zniszczonego i pełnego obaw.

Czuję się, jakbym rozmawiał z przyjacielem, który wszystko o mnie wie, w tym szczególnym przypadku jest jednak jeszcze dodatkowa, nieznośna warstwa znajomości. Poza ostatnim miesiącem nie ma między nami tajemnic. Zna wszystkie moje złe uczynki. Każdą myśl, jaką kiedykolwiek żywiłem. Moje słabości. Tajemne lęki.

— Nazywamy go Jason Dwa — mówię — co implikuje, że uważamy się za Jasona Jeden. Oryginał. Nie możemy być jednak obaj Jasonem Jeden. Są jeszcze inni, którzy uważają się za oryginał.

— Nikt z nas nim nie jest.

— Masz rację. Jesteśmy elementami kompozytu.

— Fasetami. Niektórzy są bardzo zbliżeni do oryginału, jak zakładam, że jesteśmy ty i ja, niektórzy są od niego bardzo oddaleni.

— Każę to zastanowić się nad sobą samym w całkiem nowym świetle, prawda? — mówię.

— Ciekawe, kto jest Jasonem idealnym? Czy on w ogóle istnieje?

— Więc chyba wszystko, co możemy zrobić, to być najlepszą wersją siebie.

— Złote słowa.

Barmanka ogłasza ostatnią kolejkę.

— Niewielu ludzi może o sobie powiedzieć, że tego dokonało — stwierdzam.

— Czego? Napić się piwa z sobą samym?

- Tak.

Dopija piwo.

Ja dopijam swoje.

— Wyjdę pierwszy — mówi, zsuwając się ze stołka.

— Dokąd się wybierasz?
Waha się chwilę.

— Na północ.

— Nie będę cię śledził. Stoi?

— Stoi.

— Obaj nie możemy ich mieć — mówię.

— To bardzo dobre pytanie, kto na nich zasługuje, i być może wręcz bez odpowiedzi, jeśli jednak chodzi o nas dwóch, to nie pozwolę, abyś powstrzymał mnie przed byciem z Danielą i Charliem. Nie spodoba mi się to, ale gdyby przyszło co do czego, zabiję cię.

— Dzięki za piwo, Jasonie.

Patrzę, jak odchodzi.

Czekam pięć minut.

Jestem ostatnią osobą, która wychodzi z baru.

Ciągle pada.

Na ulicach leży piętnaście centymetrów świeżego puchu.

Poświęcam chwilę na rozejrzenie się po okolicy.

Niepewnym krokiem oddalają się ci, którzy wyszli z baru tuż przede mną, nie widać nikogo podejrzanego.

Nie mam pojęcia, dokąd iść.

Nie mam gdzie pójść.

Mam w kieszeni dwie ważne karty magnetyczne do hotelowych pokoi, ich użycie byłoby jednak zbyt ryzykowne. Inni Jasonowie mogli bez trudu zdobyć kopie. Ktoś mógłby czekać na mój powrót zarówno w jednym, jak i w drugim pokoju.

Cholera — w drugim hotelu jest ostatnia ampułka.

Stracona.

Ruszam chodnikiem przed siebie.

Jest druga w nocy i poruszam się na oparach.

Ilu innych Jasonów wędruje w tej chwili po okolicznych ulicach, walcząc z tymi samymi lękami i szukając odpowiedzi na te same pytania?

Ilu zginęło?

Ilu poluje?

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że nawet w połowie nocy nie jestem na Logan Square bezpieczny. Przy każdym mijanym zaułku, każdym zacienionym portalu drzwi, wpatruję się, czy nic się nie rusza, ktoś mnie śledzi.

Po niecałym kilometrze jestem w parku Humboldta.

Prę przez śnieg.

Na milczącą łąkę.

Przekroczyłem już granicę zmęczenia.

Bolą mnie nogi.

Z głodu burczy mi w brzuchu.

Nie jestem w stanie iść dalej.

W oddali majaczy wielkie iglaste drzewo z opadającymi pod ciężarem śniegu gałęziami.

Najniższe są ponad metr nad ziemią, ale jest pod nimi spokojniej niż w zadymce.

Przy samym pniu są tylko ślady śniegu, więc kilkoma ruchami da się oczyścić ziemię do końca, i siadam na gołej ziemi od zawietrznej, opierając się plecami o pień.

Jest bardzo cicho.

Z oddali dolatują odgłosy krążących po mieście pługów śnieżnych.

Odbicia neonów o wiszące nisko chmury sprawiają, że niebo nabrało różowej barwy.

Otulam się ciasno kurtką i zaciskam dłonie w pięści, aby stracić jak najmniej ciepła.

Otwiera się przede mną widok na rozległą łąkę, poprzątykaną rzadkimi drzewami.

Śnieg, padający w świetle latarni odległej o kilkaset metrów ścieżki spacerowej, tworzy wokół ich głowic koła jaskrawych płatków.

Nic się tu nie rusza.

Jest zimno, ale nie aż tak, jak by było przy bezchmurnym niebie.

Chyba nie zamarznę.

Nie sądzę jednak, bym zasnęła.

Gdy zamykam oczy, przychodzi mi do głowy pomysł.

Przypadkowość.

Jak pobić przeciwnika, który jest w stanie przewidzieć wszystkie

ruchy, jakie się zamierza?

Należy zrobić coś całkowicie przypadkowego.

Nieplanowanego.

Należy wykonać ruch, którego nie brało się pod uwagę, któremu nie poświęcało się uwagi.

Może się okazać, że to strzał we własną stopę i gra zostanie przegrana, ale...

...może będzie to coś, czego druga strona nie przewidziała, i da niespodziewaną przewagę strategiczną?

Jak zaadaptować ten schemat do mojej sytuacji?

Jak mogę zrobić coś całkowicie przypadkowego, co nie będzie oczekiwane?

*

Jednak jakoś zasnąłem.

Budzę się, dygocząc z zimna w szaro-białym świetle.

Przestał padać śnieg i wiatr ustał, a przez drzewa bez liści widać fragmenty panoramy wieżowców centrum. Najwyższe budynki dotykają zasnowiącej miasto pokrywy chmur.

Łąka jest biała i cicha.

Świta.

Latarnie gasną.

Siadam, nieprawdopodobnie sztywny.

Na kurtce mam warstewkę śniegu.

Z ust wydychuję kłęby pary.

Ze wszystkich wersji Chicago, które widziałem, żadna nie może się mierzyć ze spokojem poranka w moim Chicago.

W którym puste ulice wyciszają wszystko.

W którym niebo jest białe, ziemia jest biała, a budynki i drzewa odcinają się ostro od ich tła.

Myślę o siedmiu milionach ludzi, leżących pod kołdrami we własnych łóżkach albo stojących przy oknie i sprawdzających spomiędzy rozsuniętych zasłon, jakie skutki pozostawiła po sobie burza śnieżna.

Jest w tej myśli coś bezpiecznego i uspokajającego.

Wstaję.

Obudziłem się z pewnym szalonym pomysłem.

Zainspirowało mnie coś, co wydarzyło się wczoraj w barze, tuż przed przyjściem drugiego Jasona. Sam nigdy bym na to nie wpadł, więc niemal temu ufam.

Wracam przez park i ruszam w kierunku Logan Square.

Do domu.

*

W pierwszym sklepie całodobowym, na jaki się natykam, kupuję cygaro i małą jednorazową zapalniczkę.

Zostaje mi osiem dolarów dwadzieścia jeden centów.

*

Kurtkę mam wilgotną od śniegu.

Wieszam ją na wieszaku przy wejściu i ruszam wzdłuż kontuaru.

Miejsce ma wspaniale autentyczną atmosferę, jakby istniało od zawsze. Moim zdaniem wrażenie, że jest się w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, nie bierze się jednak ani z czerwonych winylowych obić ławek we wnękach i stołków przy barze, ani ze zdjęć w ramkach, ukazujących regularnych gości, umieszczanych przez dziesięciolecia na ścianach. Przyczyną jest to, że nic się tu nigdy nie zmienia. Zawsze pachnie tu tłuszczem z bekonu, parzoną kawą i niezniszczalnymi pozostałościami po czasach, gdy w drodze do stolika przechodziło się przez chmury tytoniowego dymu.

Poza nielicznymi gośćmi przy barze dostrzegam w jednej z wnęk dwóch gliniarzy, w innej trzy pielęgniarzki prosto ze zmiany i starszego pana w czarnym garniturze, wpatrującego się w kawę czymś w rodzaju znudzonego skupienia.

Siedzę przy barze tak, aby być jak najbliżej gorącego powietrza, promieniującego z otwartego grilla.

Podchodzi do mnie wiekowa kelnerka.

Na pewno wyglądam na bezdomnego i mocno wycieńczonego, ale kelnerka nie reaguje, nie osądza, jedynie przyjmuje zamówienie z mocno użytą uprzejmością rodem ze Środkowego Zachodu.

Dobrze jest być w pomieszczeniu.

Okna pokrywają się parą.

Zimno opuszcza moje kości.

Ta całonocna knajpa znajduje się jedynie osiem przecznic od
mojego domu, a nigdy tu nie jadłem.

Gdy zjawia się kawa, oplatom brudnymi palcami ceramiczny kubek
i chłonę ciepło.

Muszę policzyć z góry.

Stać mnie jedynie na kubek kawy, dwa jajka i tost.

Próbuję jeść powoli, aby trwało to jak najdłużej, ale jestem głodny
jak wilk.

Kelnerce robi się mnie szkoda i przynosi mi za darmo dodatkowy
tost.

Jest uprzejma.

Mam przez to jeszcze większe wyrzuty sumienia za to, co zaraz się
wydarzy.

Sprawdzam godzinę na nędznym telefonie na kartę, który kupiłem,
aby zadzwonić do Daniela w innym Chicago. W tym świecie z
pewnością nie zadziała — nie sądzę, aby dało się przetransferować
minuty przez wieloświat.

Jest 8.15 rano.

Jason 2 prawdopodobnie wyszedł dwadzieścia minut temu do
pracy, aby zdążyć dojechać na wykład o 9.30.

Albo nie wyszedł. Może jest chory, albo został dziś w domu z
jakiegoś powodu, którego nie przewidziałem. Byłaby to katastrofa,
jednak pójście na Logan Square, aby to sprawdzić, jest zbyt ryzykowne.

Wyjmuję z kieszeni całe pozostałe mi pieniądze — 8 dolarów 21
centów — i kładę je na kontuarze.

Ledwie wystarczy na śniadanie i kiepski napiwek.

Biorę ostatni łyk kawy.

Sięgam do kieszeni koszuli i wyjmuję cygaro wraz z zapalniczką.

Rozglądam się.

Knajpa jest nabita ludźmi.

Gliniarze, którzy jedli, gdy przyszedłem, zniknęli, ale w narożnym
boksie przy końcu kontuaru siedzi inny.

Gdy rozrywam celofan, drżą mi dłonie.

Zgodnie z nazwą, koniec cygara ma lekko słodkawy smak.
Dopiero przy trzeciej próbie udaje mi się zapalić zapalniczkę.
Zapalam cygaro, wciągam dym i wydmuchuję go w kierunku
pleców kucharza, który obraca na ruszcie grube naleśniki.

Przez dziesięć sekund nikt niczego nie zauważa.

Potem odwraca się do mnie siedząca obok starsza kobieta w kurtce
z kocięgo futra.

— Nie może pan tu tego robić — mówi.

— Ale po posiłku nie ma nic lepszego od dobrego cygara —
odpowiadam z emfazą, o jaką nigdy bym. się nie podejrzewał.

Kobieta przygląda mi się przez płaskie szkła okularów, jakbym
postradał zmysły.

Podchodzi kelnerka. W rękę ma dzbanek parującej kawy i wygląda
na mocno niezadowoloną.

— Wie pan przecież, że tu nie wolno palić — mówi, kręcąc
głową.

— Ale to cygaro jest przepyszne.

— Chce pan, żebym wezwała kierownika?

Wciągam kolejną porcję dymu.

Wydmuchuję go.

Kucharz — szeroki w barach, mocno umięśniony gość z
wytatuowanymi ramionami — odwraca się i wbija we mnie wzrok.

— Doskonały pomysł — mówię do kelnerki. — Powinna pani
iść do kierownika, bo ja go nie zgaszę.

Gdy kelnerka odchodzi, siedząca obok mnie staruszka, której
zepsułem posiłek, zaczyna mrużyć pod nosem.

— Cóż za niegrzeczny młody człowiek...

Rzuca widelec, schodzi ze stołka i rusza do drzwi.

Kilku innych gości wokół mnie też zaczęło zauważać, co się dzieje.

Palę jednak dalej, aż z głębi restauracji zjawia się facet jak
sztacheta, za którym idzie kelnerka. Ma na sobie czarne džinsy i białą
koszulę z plamami potu po bokach i jednobarwny krawat o
rozwiązującym się węźle.

Sądząc po wyglądzie, musiał pracować całą noc.

Staje krok ode mnie.

- Jestem Nick, kierownik zmiany. Nie wolno tu palić. Przeszkadza pan gościom.

Odwracam się nieco na stołku i patrzę mu w oczy. Jest zmęczony i oburzony, a ja czuję się jak palant, że mu to robię, ale nie wolno mi przestać.

Rozglądam się. Wszystkie oczy są skierowane na mnie, na ruszcie przypala się naleśnik.

— Przeszkadza państwu moje luksusowe cygaro?

Rozlegają się zgodne potakiwania.

Ktoś rzuca „kutasem”.

W głębi sali widać jakiś ruch.

Nareszcie.

Policjant wysuwa się z boksu i gdy idzie w moim kierunku, słychać trzaski w jego radiu.

Jest młody.

Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że brakuje mu ze dwa, trzy lata do trzydziestki.

Jest niski i krępy.

Ma w oczach twardość i inteligencję żołnierza piechoty morskiej.

Kierownik cofa się z ulgą o krok.

— Mamy w mieście rozporządzenie o czystym powietrzu w zamkniętych pomieszczeniach, które właśnie pan łamie — mówi do mnie policjant.

Zaciągam się znowu cygarem.

— Proszę pana, byłem prawie całą noc na nogach — dodaje gliniarz. — Tak samo jak wielu pozostałych gości. Dlaczego chce pan popsuć wszystkim śniadanie?

— A dlaczego chce mi pan popsuć palenie?

Przez twarz policjanta przemyka drgnienie złości.

Rozszerzają mu się źrenice.

— Proszę natychmiast zgasić cygaro. To ostatnie ostrzeżenie.

— Albo co?

Policjant wzdycha.

— Nie takiej reakcji się spodziewałem. Proszę wstać.

— Dlaczego?

— Ponieważ idzie pan do aresztu. Jeżeli to cygaro nie zgaśnie w ciągu pięciu sekund, założę, że opiera się pan aresztowaniu, co oznacza, że będę mniej grzeczny.

Wrzucam cygaro do filiżanki z kawą i gdy schodzę ze stołka, policjant szybkim ruchem zdejmuję kajdanki z pasa i zapina mi je na nadgarstkach.

— Ma pan przy sobie jakąś broń albo igły? Cokolwiek, co mogłoby mnie zranić albo o czym powinienem wiedzieć?

- Nie.

— Jest pan w tej chwili pod wpływem narkotyków albo leków?

- Nie.

Obmacuje mnie od góry do dołu, po czym bierze za ramię.

Gdy idziemy do wyjścia, pozostali goście klaszczą.

Jego radiowóz stoi tuż przed wejściem.

Otwiera tylne drzwi i każe mi uważać na głowę.

Nie ma możliwości zanurkowania z gracją na tylną kanapę radiowozu, mając skute z tyłu ręce. Policjant siada za kierownicą.

Zapina pas, uruchamia silnik i wyjeżdża na zaśnieżoną ulicę.

Tylna kanapa sprawia wrażenie, że specjalnie skonstruowano ją tak, aby była niewygodna. Brakuje miejsca na nogi, kolana mam wbite w klatkę, a siedzisko zrobiono z twardego kompozytowego tworzywa, twardego jak beton.

Patrząc przez chroniące okno pręty, obserwuję mijane znajome budynki sąsiedztwa i zastanawiam się, czy to ma szansę zadziałać.

*

Wjeżdżamy do garażu 14 komisariatu.

Funkcjonariusz Hammond wyciąga mnie z radiowozu i prowadzi przez stalowe drzwi do sali, gdzie spisuje się dane.

Jest tu szereg stołów przedzielonych pleksiglasowymi przesłonami — z jednej strony każdego stołu stoi krzesło dla więźnia, z drugiej jest miejsce pracy policjanta.

Śmierdzi rzygami i desperacją, co ledwo maskuje lizol.

O tej porze jest poza mną tylko jedna osoba — kobieta, przykuta w

głębi sali do jakiegoś mebla. Kiwa się maniakalnie w przód i w tył, drapie, szczypie się po twarzy.

Hammond ponownie mnie przeszukuje, po czym każe mi siadać.

Rozpina mi kajdanki na lewym nadgarstku, przypina je do stalowego uchwyty na stole.

— Muszę zobaczyć pańskie prawo jazdy — mówi.

— Zgubiłem je.

Robi notatkę w dokumentach, po czym przechodzi na drugą stronę stołu, do komputera i loguje się.

Spisuje moje nazwisko.

Numer ubezpieczenia.

Adres.

Pracodawcę.

— O co właściwie jestem oskarżony? — pytam.

— Nieodpowiednie zachowanie i zakłócanie spokoju.

Zaczyna wypełniać raport z aresztowania.

Po kilku minutach przestaje pisać i patrzy na mnie przez podrapane pleksi.

— Nie sprawia pan na mnie wrażenia wariata ani dupka. Nie jest pan notowany. Nigdy przedtem nie sprawiał pan kłopotów. Co więc się stało? Jakby... próbował pan zostać zaaresztowany. Chce mi pan coś powiedzieć?

— Nie. Przykro mi, że zepsułem panu śniadanie.

— Będą kolejne — mówi, wzruszając ramionami.

Pobiera mi odciski palców.

Fotografuje.

Zabierają mi buty i dają w zamian kapcie i koc.

— Kiedy będę mógł zadzwonić? — pytam, gdy Hammond kończy wpisywać mnie w system.

— Może pan to zrobić teraz — odpowiada, unosząc słuchawkę.
— Do kogo chciałby pan zadzwonić?

— Do żony.

Podaję mu numer i patrzę, jak go wybiera.

Gdy po tamtej stronie zaczyna dzwonić, Hammond podaje mi słuchawkę nad przepierzeniem.

Wali mi serce.

Podnieś, skarbie. Rusz się!

Poczta głosowa.

Słyszę mój głos, ale nie ja nagrywałem wiadomość. Zrobił to Jason 2 w ramach znakowania terytorium?

— Nie podnosi — mówię. — Mógłby się pan rozłączyć?

Policjant przerywa połączenie sekundę przez piśnięciem.

— Daniela prawdopodobnie nie odbiera, bo nie zna numeru.

Mógłby pan spróbować jeszcze raz?

Hammond wybiera numer ponownie.

Telefon dzwoni.

Czy jeśli Daniela nie odbierze, powinienem zostawić wiadomość?

Nie.

A jeśli Jason 2 usłyszał, że telefon dzwoni? Jeżeli Daniela i tym razem nie odbierze, będę musiał wymyślić jakiś sposób, żeby...

— Halo?

— Danielo...

— Jason?

Na dźwięk jej głosu do oczu napływają mi łzy.

— Tak, to ja.

— Skąd dzwonicz? Identyfikacja rozmówcy mówi, że z komisariatu policji. Uznałam, że to jakaś akcja dobroczynna związku policjantów, więc nie...

— Posłuchaj mnie przez minutę.

— Wszystko w porządku?

— W drodze do pracy coś mi się przytrafiło. Wyjaśnię ci wszystko, gdy...

— Nic ci nie jest?

— Nie, ale jestem w areszcie.

Przez chwilę po tamtej stronie panuje taka cisza, że słyszę program stacji NPR, który Daniela ogląda.

— Zostałeś aresztowany? — pyta w końcu.

-Tak.

— Za co?

— Chcę, żebyś przyjechała i wpłaciła za mnie kaucję.

— Boże! Co zrobiłeś?
— Danielo, nie mam czasu teraz wszystkiego wyjaśniać. To jedyna rozmowa, do której mam prawo.
— Mam dzwonić do adwokata?
— Nie, przyjedź tu najszybciej jak się da. Jestem w Czternastym Komisariacie przy... — patrzę na Hammonda.
— North California Avenue.
— North California. I przynieś książeczkę czekową. Charlie już wyszedł do szkoły?
- Tak.
— Chcę, żebyś go zabrała po drodze i przyjechała razem z nim. To bardzo...
— Mowy nie ma.
— Danielo...
— Nie będę sprowadzała syna, żeby wyciągał ojca z więzienia. Co się, do cholery, stało?
Funkcjonariusz Hammond stuka kostkami dłoni w pleksyglas i przeciąga dłonią po gardle.
— Muszę kończyć — mówię. — Przyjedź najszybciej, jak się da.
— Dobrze.
— Skarbie?
— Co?
— Tak bardzo cię kocham.
Daniela rozłącza się.

*

Moja cela to cienki jak papier materac na betonowej podstawie. Toaleta.

Zlew.

Obserwująca mnie znad drzwi kamera.

Leżę w łóżku pod więziennym kocem i wpatruję się w kawałek sufitu, na który prawdopodobnie patrzyli niezliczeni pogrążeni w desperacji i beznadziei ludzie, którzy dokonali złych wyborów.

Po głowie chodzą mi wszelkie możliwe scenariusze, co może pójść nie tak, rzeczy, które mogą bez trudu powstrzymać Daniellę przed

przyjazdem.

Może zadzwonić do Jasona 2 na komórkę.

On może zadzwonić do niej między wykładami, aby życzyć jej miłego dnia.

Któryś z innych Jasonów może zdecydować się na swój ruch.

Jeżeli cokolwiek z tego nastąpi, plan wybuchnie i spali mnie do cna. Boli mnie brzuch.

Serce mi bije.

Próbuję się uspokoić, ale nie jestem w stanie opanować strachu.

Ciekawe, czy któryś z moich sobowtórów przewidział ten ruch. Próbuję się uspokoić, że to niemożliwe. Gdybym wczoraj wieczór nie spotkał w barze nachalnego pijaczyny, zagadującego po chamsku kobiety, aż musiano go wyrzucić, nigdy nie wpadłbym na pomysł, aby w celu doprowadzenia do spotkania z Danielą i Charliem w bezpiecznym otoczeniu dać się aresztować.

Do podjęcia decyzji skłoniło mnie wyjątkowe doświadczenie, którego nikt poza mną nie miał.

Mogę się jednak mylić.

Mogę się mylić co do wszystkiego.

Wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem między toaletą a łóżkiem, ale mierząca dwa na trzy metry cela sprawia, że im dłużej krążę, tym bardziej ściany wydają się zamykać, aż w końcu klatkę piersiową ściska mi klaustrofobia.

Ledwie łapię powietrze.

Podchodzę do maleńkiego okienka w drzwiach, umieszczonego na wysokości oczu.

Wyglądam na sterylny biały korytarz.

Od ścian, zbudowanych z cementowych bloczków, odbija się głos kobiety, płaczącej w którejś z sąsiednich cel.

Dźwięk brzmi, jakby już dawno przekroczyła granicę nadziei.

Ciekawe, czy to ta sama kobieta, którą widziałem w chwili przybycia.

Przechodzi wartownik, prowadząc za ramię, tuż nad łokciem, kolejnego aresztanta.

Wracam na łóżko, zwijam się pod kocem, twarzą do ściany, i próbuję nie myśleć, ale to niemożliwe.

Mam wrażenie, jakby minęło kilka godzin.

Dlaczego to tyle trwa?

Wyjaśnienie może być tylko jedno.

Coś się stało.

Daniela nie przyjedzie.

Drzwi do celi otwierają się z mechanicznym szarpnięciem, od którego serce skacze mi do gardła.

Siadam.

W progu stoi wartownik o twarzy dziecka.

— Panie Dessen, może pan iść do domu. Żona właśnie wpłaciła za pana kaucję.

*

Prowadzi mnie do pomieszczenia rejestracji danych, gdzie podpisuję jakieś dokumenty, na których czytanie szkoda mi czasu.

Oddają mi buty i prowadzą kilkoma korytarzami.

Gdy przechodzę przez drzwi na końcu ostatniego korytarza, oddech zatrzymuje mi się w gardle i oczy zasnuwają łzami.

Wyobrażałem sobie nasze spotkanie w różnych miejscach, ale hol 14 komisariatu do nich nie należał.

Daniela wstaje z krzesła.

Nie Daniela, która mnie nie zna, jest żoną kogoś innego albo innej wersji mnie.

Moja Daniela.

Jedyna, tylko ta.

Ma na sobie sukienkę, w której czasami maluje — spłowiałą niebieską, zapinaną na guziki, pochłapaną olejnymi i akrylowymi farbami. Na mój widok krzywi się zdziwiona i skonsternowana.

Podchodzę do niej i obejmuję, ona wypowiada moje imię tak, jakby coś w układance nie pasowało, ale nie puszczam jej, bo po prostu nie mogę. Tyle światów, które przebyłem, wszystko, co zrobiłem, wytrzymałem, wycierpiałem, aby powrócić w ramiona tej kobiety...

Nie do wiary, jakie to uczucie.

Oddychać tym samym powietrzem.
Czuć jej zapach.
Czuć prąd powstający od dotyku naszej skóry.
Ujmuję jej twarz w dłonie.
Całuję ją w usta.
Jakie ma szalenie miękkie wargi...
Odsuwa się ode mnie.
Odpycha mnie, opierając dłonie o moją pierś. Głęboko marszczy czoło.

— Powiedziano mi, że zostałeś aresztowany za palenie cygara w restauracji i nie chciałeś... — Gubi wątek. Przygląda mi się, jakby z moją twarzą było coś nie w porządku, przeciąga palcem po moim dwutygodniowym zarostcie. — Rano nie miałaś brody, Jasonie. I jesteś taki chudy. — Dotyka mojej poszarpanej, brudnej koszuli. — To nie jest ubranie, w którym wychodziłeś rano z domu.

Aż przykro patrzeć, jak próbuje pojąć sytuację i jej nie wychodzi.

— Przywiozłaś Charliego?

— Nie. Mówiłam ci przecież, że nie zamierzam. Tracę zmysły czy...?

— Nie tracisz zmysłów.

Biorę ją delikatnie za ramię i prowadzę w kierunku stojących w poczekalni krzeseł.

— Usiądźmy na chwilę.

— Nie chcę siadać. Chcę, żebyś... — odpowiada Daniela.

— Proszę.

Siadamy.

— Ufasz mi? — pytam.

— Nie wiem. To mnie... przeraża.

— Wyjaśnię ci wszystko, ale najpierw musisz zamówić taksówkę.

— Zaparkowałam dwie przecznice...

— Nie pójdziemy do twojego samochodu.

— Dlaczego?

— Bo na ulicy nie będziemy bezpieczni.

— O czym ty mówisz?

— Danielo, możesz mi w tym zakresie zaufać?

Przez chwilę mam wrażenie, że odmówi, ale wyjmuje telefon, otwiera aplikację i zamawia taksówkę.

— Załatwione — mówi i patrzy na mnie. — Będzie za trzy minuty.

Rozglądam się.

Policjant, który przyprowadził mnie z sali rejestracji danych, zniknął i, pomijając kobietę w okienku, jesteśmy w poczekalni sami. Ponieważ policjantka siedzi za grubą warstwą szkła, można zakładać, że nas nie słyszy.

Patrzę na Danielę.

— To, co mam do powiedzenia, zabrzmia szalenie. Wyda ci się, że straciłem rozum, ale tak nie jest. Pamiętasz wieczór, gdy Ryan świętował w Village Tap? Zdobył nagrody?

— Oczywiście. To było ponad miesiąc temu.

— Gdy wyszedłem tamtego wieczora z domu, widzieliśmy się po raz ostatni — aż do dziś, pięć minut temu, gdy wyszedłem przez te drzwi.

— Jasonie, widujemy się codziennie.

— Ten człowiek to nie ja.

Twarz jej tężeje.

— O czym ty mówisz?

— To inna wersja mnie.

Patrzy mi prosto w oczy, lekko mrugając.

— To jakaś sztuczka? Gra? Ponieważ jeśli...

— To nie sztuczka ani gra.

Wyjmuję jej z dłoni telefon i sprawdzam godzinę.

— Jest dwunasta osiemnaście. W tej właśnie chwili jestem w pracy.

Wystukuję mój bezpośredni numer w college'u i podaję Danieli telefon.

Po dwóch dzwonek słyszę własny głos.

— Cześć, piękna. Właśnie o tobie myślałem.

Daniela powoli otwiera usta.

Wygląda, jakby było jej niedobrze.

Włączam tryb głośnomówiący i poruszając bezgłośnie ustami, mówię: „Powiedz coś”.

— Cześć — mówi Daniela. — Jak twój dzień na razie?

— Super. Skończyłem poranny wykład i spotykam się z kilkoma studentami w czasie przerwy obiadowej. Wszystko gra?

— Eee... tak. Chciałam tylko usłyszeć twój głos.

Biorę od niej telefon i wyciszam go.

— Nie mogę przestać o tobie myśleć — mówi Jason 2.

— Powiedz mu, że zastanawiasz się nad wakacjami, a ponieważ w zeszłym roku mieliśmy na Boże Narodzenie tak wspaniały pobyt na Keys, chętnie pojechałabyś tam jeszcze raz — mówię.

— Ale w zeszłe Boże Narodzenie nie byliśmy na Keys.

— Wiem, ale on tego nie wie. Chcę ci udowodnić, że nie jest człowiekiem, za którego się podaje.

— Danielo? — pyta mój sobowtór. — Coś nas rozłączyło?

Daniela włącza telefon.

— Nie, jestem. Tak naprawdę to dzwonię, ponieważ...

— Nie chodzi tylko o posłuchanie mego dźwięcznego głosu?

— Myślałam o naszej zeszłorocznej wyprawie na Keys, w Boże Narodzenie, i jak świetnie się bawiliśmy. Wiem, że nie za bardzo mamy pieniądze, ale co powiesz na to, by znowu tam pojechać?

Jason nie waha się nawet przez sekundę.

— Oczywiście, kochanie. Cokolwiek zechcesz.

Daniela patrzy mi prosto w oczy.

— Sądzisz, że może nam się udać dostać ten sam domek? —

pyta,

— Ten biało-różowy na samej plaży? Był cudowny

Głos łamie jej się przy ostatnim słowie i obawiam się, że zaraz może stracić opanowanie, jednak zbiera się w sobie.

— Załatwimy to — odpowiada Jason 2.

Telefon zaczyna drżeć Danieli w dłoni.

Mam ochotę rozerwać Jasona 2 powoli na strzępy.

— Skarbie — mówi Jason 2 — ktoś czeka na mnie w holu, więc lepiej do niego pójść.

— Oczywiście.

— To widzimy się wieczorem.

Nie zobaczysz jej.

— Do wieczora, Jasonie.

Daniela rozłącza się.

Ujmuję ją za dłoń i lekko ściskam.

— Popatrz na mnie.

Daniela wygląda na zagubioną, otumanioną.

— Wiem, że kręci ci się teraz w głowie — mówię.

— Jak możesz być równocześnie w Lakemont i siedzieć tu ze mną? Jej telefon piszczy, informując o nadejściu esemesa.

Przyjechała taksówka.

— Wszystko ci wyjaśnię, ale teraz musimy jechać i zabrać naszego syna ze szkoły.

— Charlie jest w niebezpieczeństwie?

— Wszyscy jesteście.

Fakt ten zdaje się przywracać ją do rzeczywistości.

Wstaję i podaję Danieli dłoń.

Idziemy przez hol w kierunku wyjścia.

Przy krawężniku stoi zaparkowana czarna escalada, sześć metrów od nas.

Wychodzę i ciągnę Danielę za sobą w kierunku SUV-a.

Nie ma śladu po nocnej burzy śnieżnej — przynajmniej na niebie. Gwałtowny północny wiatr przegnał chmury i pozostawił za sobą skrzący się jak brylant, zimowy dzień.

Otwieram tylne drzwi i wsiadamy. Daniela podaje kierowcy w czarnym garniturze adres szkoły Charliego.

— Proszę jak najszybciej.

Szyby są mocno przyciemniane i gdy ruszamy, odwracam się do Danieli.

— Wyślij Charliemu esemesa, żeby był przygotowany na nasz przyjazd.

Daniela zaczyna pisać, ale dłonie za bardzo jej drżą, aby coś to dało.

— Daj, ja to zrobię.

Biorę od niej telefon, włączam aplikację i znajduję ich ostatnią

korespondencję.

Piszę:

Tata i ja jedziemy właśnie zabrać cię ze szkoły. Nie mamy czasu zrobić tego oficjalnie, idź więc do toalety i wyjdź przez bramę. Będziemy w czarnej escaladzie. Widzimy się za 10.

*

Kierowca wyjeżdża z parkingu przed komisariatem na uprzątniętą ze śniegu ulicę. Chodnik schnie w jaskrawym zimowym słońcu.

Dwie przecznice dalej mijamy niebieską hondę Daniela.

Dwa samochody od niej, za kierownicą białej furgonetki, siedzi ktoś, kto wygląda identycznie jak ja.

Patrzę do tyłu.

Jedzie za nami samochód, ale za daleko, aby dało się dostrzec, kto prowadzi.

— Co się dzieje? — pyta Daniela.

— Sprawdzam, czy nikt za nami nie jedzie.

— A kto miałby to robić?

Telefon Daniela wibruje, gdy nadchodzi nowa wiadomość, co uwalnia mnie od odpowiedzi na jej pytanie.

Charlie z tej strony.

Wszystko gra?

Odpowiadam:

Jest OK. wyjaśnimy, jak się zobaczymy.

Obejmuję Danielę i przyciągam ją blisko siebie.

— Czuję się, jakbym utknęła w nocnym koszmarze i nie mogła się obudzić. Co się dzieje?

— Pojedziemy w bezpieczne miejsce — szepczę. — Porozmawiamy sam na sam. Wtedy wam o wszystkim opowiem.

*

Szkoła Charliego to rozległy kompleks ceglanych budynków, który wygląda jak skrzyżowanie psychiatryka ze steampunkowym zamkiem.

Charlie siedzi na frontowych schodkach i patrzy w ekran telefonu. Kierowca wjeżdża na pas do odbioru dzieci.

Proszę Daniełę, aby zaczekała, wysiadam i ruszam w kierunku syna. Wstaje, zdziwiony moją obecnością.

Moim wyglądem.

Niemal na niego wpadam, obejmuję z całej siły.

— Boże, ale za tobą tęskniłem — mówię, nim zdążę się ugryźć w język.

— Co tu robisz? — pyta Charlie. — Co z samochodem?

— Chodź, musimy jechać.

— Dokąd?

Łapię go za rękę i ciągnę w kierunku otwartych drzwi pasażerskich escalady.

Wchodzi pierwszy, potem ja. Zamykam drzwi.

Kierowca odwraca się i pyta z ciężkim rosyjskim akcentem:

— Dokąd teraz?

W drodze z komisariatu zastanawiałem się nad tym — musi to być duże miejsce, pełne ludzi, gdzie — nawet jeżeli wysledzi nas któryś z pozostałych Jasonów — będziemy mogli łatwo zniknąć w tłumie. Teraz nie jestem tego już tak bardzo pewien. Zastanawiam się nad trzema miejscami: Ogrodem Botanicznym w Parku Lincolna, platformą obserwacyjną Willis Tower i cmentarzem Rosehill. Rosehill wydaje mi się najbezpieczniejszy, najmniej oczekiwany. Podobnie ciągnie mnie do Willis i parku Lincolna, działam więc wbrew instynktowi i powracam do pierwotnego wyboru.

— Water Tower Place.

Wjeżdżamy w milczeniu do centrum.

Gdy zbliżają się wieżowce, telefon Danieli wibruje.

Patrzy na ekran i pokazuje mi telefon, abym też mógł przeczytać.

To numer na 773, którego nie znam.

Danielo, piszę z nie swojego numeru, wyjaśnię wszystko, gdy się zobaczymy. Jesteś w niebezpieczeństwie. Ty i Charlie. Gdzie jesteś? Zadzwoń jak najszybciej. Bardzo cię Kocham.

Daniela wygląda na śmiertelnie przerażoną.

Powietrze w samochodzie iskrzy elektrycznością.

Kierowca skręca w Michigan Avenue, zakorkowaną szczytem obiadowym.

W oddali majaczy pożółkła wapienna fasada najniższego budynku kompleksu, wyglądająca jak domek dla lalek przy wieżowcach tworzących Wspaniała Milę.

Escalada podejźdza do głównego wejścia, proszę jednak kierowcę o wysadzenie w parkingu podziemnym.

Z Chestnut Street zjeźdźdza w ciemne podziemia.

Na czwartym poziomie podziemnym proszę o zatrzymanie przy windach.

Jak na razie nie zauważyłem, by śledził nas jakiś samochód.

Gdy SUV odjeźdźdza, od betonowych ścian i kolumn garażu wybrzmiewa trzask naszych drzwi.

Water Tower Place to pionowy pasaż handlowy, z ośmioma kondygnacjami butików i luksusowych sklepów, otaczających atrium z chromu i szkła.

Wjeźdźdza na półpiętro, gdzie są wszystkie restauracje, i wysiadamy z windy.

Śnieg nakłonił ludzi do wejścia do środka.

Przynajmniej w tej chwili czuję się całkowicie anonimowo.

W cichym kącie, poza strumieniem ludzi, znajdujemy pustą ławkę.

Siedząc między Danielą a Charliem, myślę o wszystkich Jasonach w Chicago, którzy w tej chwili zrobiliby wszystko, zabiliby, aby siedzieć na moim miejscu.

Biorę wddech.

Od czego zacząć?

Patrzę Danieli w oczy i wsuwam jej kosmyk włosów za ucho.

Patrzę Charliemu w oczy.

Mówię, jak bardzo ich kocham.

Że przeszedłem piekło, aby móc między nimi siedzieć.

Zaczynam od porwania chłodnej październikowej nocy, gdy pod bronią zostałem zmuszony do jazdy do porzuconej elektrowni w południowym Chicago.

Opowiadam o strachu, że zostanę zamordowany, i obudzeniu się w hangarze tajemniczego laboratorium naukowego, gdzie ludzie, których na oczy nie widziałem, zdawali się nie tylko mnie znać, ale czekali na mój powrót.

Słuchają z uwagą opowieści o mojej ucieczce pierwszej nocy z Velocity Laboratories, powrocie do domu przy Eleanor Street, który nie był moim domem, a w którym mieszkałem samotnie, jako ktoś, kto postanowił poświęcić życie nauce.

W świecie, w którym nigdy nie wzięliśmy ślubu i nie urodził się Charlie.

Opowiadam o spotkaniu z sobowtórem Danieli na wernisażu.

O pojmaniu mnie i uwięzieniu w laboratorium.

O ucieczce z Amandą do kabiny.

Opisuję wieloświat.

Każde drzwi, przez które przeszedłem.

Każdy zniszczony świat.

Każde Chicago, które nie było do końca jak naJeży, ale zbliżało mnie krok po kroku do domu.

Pewne rzeczy opuszczam.

Te, do mówienia o których nie jestem jeszcze gotów.

O dwóch dobach spędzonych z Danielą po wernisażu.

O dwóch razach, gdy widziałem, jak umiera.

Powiem o tym w odpowiednim czasie.

Próbuję sobie wyobrazić, jak muszą się oboje czuć, słuchając coś takiego.

— Wierzysz mi? — pytam, gdy po twarzy Danieli zaczynają płynąć łzy.

— Oczywiście, że ci wierzę.

— Charlie?

Mój syn kiwa głową, ale wzrok ma nieobecny Wpatruje się w przechodzących ludzi, ale myślami jest całkiem gdzie indziej i nie wiem, ile z tego, co powiedziałem, do niego dotarło.

Jak można w ogóle zacząć coś podobnego przetwarzać w umyśle?

— Chcę być pewna, że dobrze rozumiem to, co mi mówisz — zaczyna po chwili Daniela. — Tego wieczoru, gdy wyszedłeś na imprezę Ryana Holdera, inny Jason ukradł ci tożsamość, tak? Zabrał cię do kabiny i wyrzucił cię w moim świecie, żebyś mógł żyć w tym? Ze mną?

— To właśnie mówię.

— Co oznacza, że człowiek, z którym żyję, to ktoś całkowicie

obcy?

— Nie do końca. Uważam, że do piętnastu lat wstecz byliśmy jedną i tą samą osobą.

— Co się stało piętnaście lat temu?

— Powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży z Charliem. Wieloświat istnieje, ponieważ każda decyzja, jaką podejmujemy, tworzy rozgałęzienie drogi, prowadzące do świata równoległego. Dzień, w którym mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży, nie przebiegł wyłącznie tak, jak my to pamiętamy. Miał wiele permutacji. W jednym ze światów — tym, w którym jesteśmy teraz — postanowiliśmy zostać razem. Wzięliśmy ślub, mamy Charliego, stworzyliśmy dom. W innym uznałem, że zostanie ojcem przed trzydziestką to nie droga dla mnie. Bałem się stracić pracę i nie zrealizować moich ambicji. Istnieje więc wersja naszego życia, w której nie utrzymaliśmy dziecka. Charliego. Ty poświęciłaś się sztuce, ja nauce. Rozeszliśmy się. Ten człowiek, ta wersja mnie, z którą mieszkaliście przez ostatni miesiąc — to on zbudował kabinę.

— Która jest większą wersją tego, nad czym pracowałeś, gdy się poznaliśmy — kostką?

— Dokładnie. I gdzieś na tej drodze dostrzegł, co stracił przez decyzję, aby tym, co go określa, była praca. Spojrzał z żalem wstecz na decyzję, jakiej dokonał piętnaście lat temu. Kabina nie przenosi jednak w czasie — ona jedynie łączy wszystkie możliwe światy, istniejące w danym momencie, w teraźniejszości. Szukał więc, aż znalazł mój świat.

I przehandlował moje życie za swoje.

Mina Daniela to uosobienie wstrząsu i niesmaku.

Wstaje z ławki i biegnie do łazienki.

Charlie wstaje, aby pobiec za nią, powstrzymuję go jednak.

— Daj jej chwilę.

— Wiedziałem, że coś jest nie tak — mówi.

— Co masz na myśli?

— Miałeś... znaczy się, on miał inną, ja wiem... energię. Więcej rozmawialiśmy, zwłaszcza przy kolacji. Był... bo ja wiem?

— Jaki?

— Inny.

Chętnie zadałbym Charliemu mnóstwo pytań, które wybuchają mi w głowie.

Był zabawniejszy?

Był lepszym ojcem?

Lepszym mężem?

Życie z oszustem było ciekawsze?

Obawiam się jednak, że nie zniósłbym odpowiedzi na te pytania.

Wraca Daniela.

Błada.

— Wszystko w porządku? — pytam, gdy siada.

— Mam do ciebie pytanie.

— Jakie?

— Dziś rano, gdy dałeś się aresztować — było to po to, żebyśmy się spotkali?

- Tak.

— Dlaczego? Dlaczego nie przy szedłeś po tym jak... Boże, nawet nie wiem, jak go nazywać.

— Jason Dwa.

— Po tym jak Jason Dwa wyszedł?

— Tu sprawy robią się nieźle pokręcone.

— A jeszcze nie są? — pyta Charlie.

— Nie jestem jedynym... — Samo wypowiedzianie takich słów jest chore.

Muszę im jednak powiedzieć.

— Co? — pyta Daniela.

— Nie jestem jedyną wersją mnie, której udało się przybyć do tego świata.

— Co to znaczy?

— Są tu inne wersje Jasona.

— Jakie „inne wersje”?

— Wersje mnie, które w tamtym laboratorium uciekły do kabiny, ale wędrowały przez wieloświat innymi ścieżkami.

— Ile? — pyta Charlie.

— Nie wiem. Prawdopodobnie sporo.

Opowiadam o sytuacji w sklepie sportowym i o czatroomie. O Jasonie, który wyszedł mnie w moim pokoju, i tym, który próbował zaatakować mnie nożem.

Dezorientacja mojej rodziny przechodzi w czysty strach.

— Dlatego dałem się aresztować — wyjaśniam. — Z tego, co wiem, wielu Jasonów, próbując wymyślić sposób postępowania, obserwowało cię, śledziło, rejestrowało każdy twój krok. Musiałem sprawić, abyśmy się spotkali w bezpiecznym miejscu. Dlatego musiałś zamówić taksówkę. Wiem, że przynajmniej jedna wersja mnie przyszła za tobą pod komisariat — widziałem go, gdy mijaliśmy twój samochód. Dlatego chciałem, żebyś przywiozła ze sobą Charliego. Ale nieważne. Jesteśmy razem, bezpieczni i oboje znacie prawdę.

Daniela potrzebuje dłuższej chwili, by odzyskać głos.

— Ci inni... Jasonowie... jacy oni są? — pyta cicho.

— Dlaczego pytasz?

— Wszyscy mają tę samą przeszłość co ty? Są zasadniczo tobą?

— Tak. Do chwili, gdy wszedłem do wieloświata. Wtedy poszliśmy odmiennymi ścieżkami i zaczęliśmy doświadczać co innego.

— Ale niektórzy są jak ty? Wersje mojego męża, który walczył jak cholera, żeby powrócić do tego świata. Który niczego nie chce bardziej niż znowu ze mną być. Z Charliem.

— Mhm.

Mruży oczy.

Co to może dla niej znaczyć?

Widać, jak próbuje pojąć to, co niemożliwe.

— Dani, popatrz na mnie.

Patrzę w jej migoczące oczy.

— Kocham cię — mówię.

— Ja też cię kocham, ale inni też mnie kochają, prawda? Tak samo mocno jak ty.

Słowa te wrywają mi dziurę w sercu.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

Przepatruję ludzi w okolicy, sprawdzam, czy nie zostaliśmy wysledzeni.

Odkąd tu siedzimy, zrobiło się znacznie tłoczniej.

Jakaś kobieta pcha spacerówkę.

Młodzi zakochani snują się po centrum, trzymają się za ręce i zajadają lody, zatraceni w rozkoszy.

Stary mężczyzna drepcze, szurając nogami za żoną, z miną, która mówi: „Zabierz mnie do domu”.

Nie jesteśmy tutaj bezpieczni.

Nie jesteśmy bezpieczni nigdzie w tym mieście.

— Jesteś po mojej stronie? — pytam.

Daniela chwilę się waha, patrzy na Charliego.

Potem na mnie.

— Tak. Ja jestem.

— To dobrze.

— Więc co dalej?

Wyjeżdżamy jedynie z tym, co mamy na sobie, i kopertą bankową z gotówką z opróżnionych rachunków bieżących i kont oszczędnościowych. Daniela wynajmuje samochód na swoją kartę kredytową, ale od tej chwili za wszystko będziemy płacić gotówką.

Późnym popołudniem jedziemy przez Wisconsin.

Sfalowane pastwiska.

Niewielkie wzgórza.

Czerwone stodoły.

Silosy, tworzące na niebie wiejską panoramę.

Dym, unoszący się nad farmerskimi domami.

Wszystko migocze pod świeżą kołdrą śniegu, a niebo ma jaskrawoblękitny, zimowy kolor.

Spowalnia nas to, ale trzymam się z dala od autostrad.

Korzystam z wiejskich dróg.

Skręcam przypadkowo, bez planowania, nie myśląc o miejscu docelowym.

Gdy zatrzymujemy się zatankować, Daniela pokazuje mi ekran telefonu — ciąg nieodebranych połączeń i esemesów z chicagowskich numerów zaczynających się od 773,847 i 312.

Otwieram skrzynkę odbiorczą.

Dani — tu Jason, przś natychmiast oddzwoń pod ten numer.

Danielo, tu Jason. Po pierwsze kocham cię. Tak wiele muszę ci powiedzieć. Oddzwoń jak najszybciej.

Danielo, usłyszysz o grupie innych Jasonów, o ile już nie usłyszałaś. Musi ci się kręcić w głowie. Jestem twój. Ty jesteś moja. Kocham cię na zawsze. Oddzwoń natychmiast.

Danielo, Jason z którym jesteś to oszust. Zadzwoń.

Danielo nie jesteście z Charliem bezpieczni. Jason z którym jesteś nie jest tym za kogo się podaje. Zadzwoń do mnie od razu.

Żaden z nich nie kocha Cię tak jak ja. Zadzwoń. Proszę. Błagam. Kocham.

Zabiję ich wszystkich dla Ciebie i naprawię to. Daj znak. Zrobię dla Ciebie wszystko.

Przerywam czytanie, zaznaczam wszystkie wiadomości i kasuję je. Jedna wiadomość jest jednak szczególna.

Nie pochodzi z nieznanego numeru.

Jest od „Jason”.

To mój numer komórki. Cały czas miał mój telefon. Od wieczora, gdy porwał mnie z ulicy.

Nie ma cię w domu, nie odbierasz komórki. Musisz wiedzieć. Mogę jedynie powiedzieć to, że cię kocham. Dlatego. Mój czas z Tobą był najlepszym okresem w moim życiu. Zadzwoń. Wysłuchaj mnie.

Wyłączam telefon i każę to samo zrobić Charliemu.

— Musimy mieć je wyłączone, inaczej każdy z nich będzie w stanie nas wyśledzić.

Gdy popołudnie przechodzi w wieczór i słońce zniża się do horyzontu, wjeżdżamy w ogromne lasy Northwoods.

Droga jest pusta.

Jesteśmy sami.

Wiele razy byliśmy na wakacjach w Wisconsin, ale nigdy nie dotarliśmy tak daleko. No i nigdy zimą. Kilometrami nie widać śladu cywilizacji, a każde mijane miasto wygląda na mniejsze od poprzedniego — mijamy skrzyżowania na środku pól.

Od jakiegoś czasu w naszym jeepie cherokee panuje ponura cisza i nie mam pojęcia, jak ją przełamać.

Choć w zasadzie to nie mam odwagi.

Przez całe życie człowiek słyszy, że jest wyjątkowy. Że jest niepowtarzalną jednostką. Że nikt na całej planecie nie jest taki iak on.

To hymn ludzkości.

Dla mnie przestało to już być prawdą.

Jak Daniela może kochać mnie bardziej niż innych Jasonów?

Patrzę na nią i zastanawiam się, co sobie właśnie o mnie myśli, co do mnie czuje.

Cholera — problem w tym, co ja o sobie myślę.

Siedzi w milczeniu i obserwuje mijany przez nas las.
Wyciągam rękę i ujmuję jej dłoń.
Odwraca na chwilę głowę ku mnie, po czyni wraca do gapienia się przez okno.

*

O zmroku wjeżdżamy do miasteczka o nazwie Ice River, które wygląda jak koniec świata. Bardzo dobrze.

Kupujemy trochę fast foodu i zatrzymujemy się przy sklepie wielobranżowym po więcej jedzenia i najpotrzebniejsze rzeczy.

Chicago ciągnie się bez końca.

Nawet na przedmieściach nie ma przestrzeni.

Ice River szybko się kończy.

W jednej chwili jesteśmy w mieście, na wysokości porzuconego pasażu handlowego z zabitymi deskami witrynami, a w następnej budynku i światła znikają w bocznym lusterku i znowu suniemy przez las i ciemność, wycinając sobie reflektorami stożek jasności w wąskim korytarzu między szeregami wysokich sosen, stojących po obu stronach przy samej drodze.

Asfalt ucieka do tyłu.

Nie mijamy żadnego samochodu.

Skręcam po raz trzeci, dwa kilometry na północ od miasteczka, w jednokierunkową wąską drogę, wijącą się przez świerki i brzozy do końca małego półwyspu.

Po kilkuset metrach reflektory oświetlają front drewnianej chaty, która wygląda dokładnie jak to, czego szukam.

Jak większość rezydencji nad jeziorem w tej części stanu, jest ciemna i wygląda na niezamieszkaną.

Ma pozamykane okiennice.

Wjeżdżam na kolisty podjazd i gaszę silnik.

Jest bardzo ciemno i cicho.

Patrzę na Danielę.

— Wiem, że pomysł ci się nie podoba, ale włamanie się jest mniej ryzykowne od zostawiania papierowego śladu przez wynajem — mówię.

Całą drogę z Chicago — sześć godzin — ledwie się odezwała.
Jakby była w szoku.

— Rozumiem — odpowiada. — W obecnej sytuacji włamanie i wtargnięcie to i tak nasz najmniejszy problem, prawda?

Otwieram drzwi i wysiadam w świeży śnieg.

Mróz jest ostry.

Powietrze nawet nie drgnie.

Jedno z okien łazienki nie jest zaryglowane, nie muszę więc nawet tłuc szyby.

*

Zanosimy torby z jedzeniem na zadaszoną werandę.

W środku jest lodowato.

Zapalam światło.

W środku pokoju są schody, prowadzące w mrok piętra.

— Miejsce super — stwierdza Charlie.

Nie jest to w zasadzie nic wielkiego, raczej siedlisko stęchlizny i zaniedbania.

Domek na wakacje poza sezonem.

Zanosimy torby do kuchni, kładziemy na blacie i obchodzimy chatę.

Wyposażenie wnętrza lawiruje między przytulnym i przestarzałym.

Wyposażenie kuchni jest stare i emaliowane na biało.

Linoleum na podłodze kuchni jest spękane, a drewniane podłogi podrapane i skrzypią.

W salonie nad kominkiem z cegły wisi bass wielkogębowy, a ściany są obwieszane oprawionymi w ramki przynętami na ryby — musi być ich ze sto.

Na parterze jest główna sypialnia i dwie mniejsze na piętrze, z czego jedna jest pełna dwupiętrowych łóżek.

Jemy z otłuszczonych torebek fast food z Dairy Queen.

Lampa na suficie rzuca ostry, nagi blask na kuchenny stół, reszta domu pozostaje w ciemności.

Centralne ogrzewanie stara się ogrzać wnętrze do niegroźnej dla życia temperatury.

Charlie wygląda na zmarzniętego.

Daniela jest cicha, tkwi w jakimś innym świecie.

Jakby zamarła w trakcie lotu w zwolnionym tempie do jakiegoś ciemnego miejsca.

Ledwie dotyka jedzenia.

Po kolacji przynosimy z Charliem z zewnątrz naręcza drewna i używając torebek po fast foodzie i starych gazet, rozpalam w kominku.

Drewno jest suche i szare, sezonowane kilka lat i szybko się zapala.

Wkrótce ściany salonu się jarzą.

Po suficie skaczą cienie.

Rozkładamy dla Charliego kanapę i przyciągamy ją blisko kominka.

Daniela idzie przygotować nasz pokój.

Siadam obok Charliego na skraju materaca i chłonę ciepło kominka.

— Gdybyś się obudził w nocy, dorzuć kilka polan — mówię. — Może uda nam się utrzymać ogień do rana i rozgrzać wnętrze.

Ściąga buty i wyciąga ręce z rękawów bluzy z kapturem. Gdy wpełza pod kołdrę, uświadamiam sobie, że ma już piętnaście lat.

21 października miał urodziny.

— Hej! — mówię. — Wszystkiego najlepszego!

— O czym mówisz?

— Umknęły mi twoje urodziny.

— Ach, to.

— Jak było?

— Fajnie. Chyba.

— Co robiliście?

— Poszliśmy do kina i na kolację. Potem siedziałem z Joelem i Angelą.

— Co to za Angela?

— Koleżanka.

— Dziewczyna? — pytam, a Charlie pąsowieje. — Bardzo chciałbym wiedzieć... zdałeś egzamin z jazdy?

Charlie lekko się uśmiecha.

— Jestem dumnym właścicielem zezwolenia na naukę.

— To super. Czyli wziął cię.

Charlie kiwa głową.

Niech to cholera. To boli.

Naciągam Charliemu kołdrę na ramiona i całuję go w czoło. Od lat nie przykrywałem go w łóżku i chcę nacieszyć się chwilą, spowolnieją. Niestety jak wszystko, co dobre, mija błyskawicznie.

Charlie patrzy na mnie oczami, w których odbijają się migoczące płomienie.

— Wszystko w porządku, tato?

— Nie. W zasadzie to nie. Ale jestem teraz z wami. Tylko to się liczy. Tę inną wersję mnie... lubiłeś go?

— Nie jest moim ojcem.

— Wiem, ale czy go... ?

— Nie jest moim ojcem.

Wstaję, dorzucam do kominka i wracam przez kuchnię na drugi koniec chaty. Drewniana podłoga skrzypi mi pod nogami.

W pokoju jest za zimno, by w nim spać, ale Daniela pozdejmowała wszystko z łóżek na górze i przeczesła szafy w poszukiwaniu dodatkowych koców.

Ściany są wykończone drewnianą boazerią.

W rogu żarzy się grzejnik, wypełniając powietrze zapachem spalonego kurzu.

Z łazienki dolatuje cichy dźwięk.

Płacz.

Pukam do drzwi.

— Danielo?

Słyszę, jak wstrzymuje oddech.

— Co jest?

— Mogę wejść?

Przez chwilę nie odpowiada.

Potem zamek się odblokowuje.

Daniela siedzi na podłodze, oparta plecami o staromodną wannę z nogami stylizowanymi na zwierzęce łapy z pazurami, kolana przyciągnęła do piersi, oczy ma czerwone i opuchnięte.

Nigdy nie widziałem jej w takim stanie — roztrzęsioną,

rozsypującą się na moich oczach.

— Nie mogę. Po prostu... nie mogę.

— Czego nie możesz?

— Stoisz przede mną i tak bardzo cię kocham, ale nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich innych wersjach ciebie i...

— Nie ma ich tutaj.

— Ale chcą tu być.

— Ale ich nie ma.

— Nie wiem, co o tym myśleć. Potem zastanawiam się...

Traci resztkę opanowania.

Jakbym patrzył na pękający lód.

— Nad czym się zastanawiasz? — pytam.

— Czy ty to ty?

— O czym mówisz?

— Skąd mam wiedzieć, że jesteś moim Jasonem? Powiedziałeś, że wyszedłeś na początku października i nie widzieliśmy się do dziś rana na komisariacie. Skąd mam jednak wiedzieć, że jesteś mężczyzną, którego kocham?

Osuwam się na podłogę.

— Popatrz mi w oczy, Danielo.

Robi to.

Przez łzy.

— Nie widzisz, że to ja? Nie jesteś pewna?

— Nie mogę przestać myśleć o minionym miesiącu z nim — odpowiada. — Robi mi się od tego niedobrze.

— Jaki był?

— Jasonie, nie rób mi tego. Nie rób tego sobie.

— Każdego dnia, gdy byłem w korytarzu, w kabinie, próbując wrócić do domu, myślałem o was. Próbowałem tego nie robić, ale postaw się na moim miejscu.

Daniela rozsuwa kolana i gdy wpełzam między nie, przyciąga mnie blisko do siebie i przeciąga mi palcami przez włosy.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — pyta.

Nie chcę.

Muszę wiedzieć.

— Zawsze bym się zastanawiał.

Dotykamy się głowami.

Czuję, jak jej pierś unosi się i opada.

— Szczerze mówiąc, z początku niesamowicie — zaczyna. —

Dzień, gdy poszedłeś na imprezę Ryana, pamiętam tak dobrze z powodu tego, jak się zachowywałeś — on się zachowywał — po powrocie do domu. Z początku sądziłam, że jesteś pijany, ale nie byłeś. Było, jakbyś patrzył na mnie na nowo. Do dziś pamiętam, choć tyle lat minęło, jak kochaliśmy się pierwszy raz w moim łóżku. Leżałam w łóżku, naga, i czekałam na ciebie. A ty stałeś przez minutę w nogach łóżka i wpatrywałeś się we mnie. Jakbyś po raz pierwszy naprawdę mnie zobaczył. Może nawet jakby był to pierwszy raz, gdy kiedykolwiek ktokolwiek mnie dostrzegł. Było to takie podniecające... Ten drugi Jason tak właśnie na mnie patrzył i była między nami nowa energia. Trochę jak to bywa, gdy wracasz do domu po weekendzie spędzonym na konferencji, ale znacznie bardziej intensywnie.

— Czyli było ci z nim tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy byliśmy ze sobą?

Daniela nie odpowiada od razu.

Jedynie cicho oddycha.

— Tak mi przykro — mówi w końcu.

— To nie twoja wina.

- Po dwóch tygodniach dotarło do mnie, że to nie sprawa jednego dnia ani weekendu. Uświadomiłam sobie, że coś się w tobie zmieniło.

— Co było inaczej?

— Milion drobiazgów. Sposób, w jaki się ubierałaś. Jak szykowałaś się rano. O czym rozmawialiśmy przy kolacji.

— Sposób, w jaki cię pieprzył?

— Jasonie.

— Nie kłam. Tego nie zniosę.

— Tak. Było inaczej.

— Lepiej.

— Jak za pierwszym razem. Robiłaś rzeczy, których nigdy nie robisz. Albo od dawna nie robiłaś. Jakbym nie była kimś, kogo pożądasz, ale kogo potrzebujesz. Jakbym była twoim tlenem.

— Chcesz tego drugiego Jasona?

— Nie. Chcę mężczyzny, z którym żyłam. Z którym stworzyłam Charliego. Ale muszę wiedzieć, że ty nim jesteś.

Siadam prosto i przyglądam jej się w tej ciasnej, lekko śmierdzącej pleśnią, pozbawionej okien łazience, znajdującej się w chacie na końcu świata.

Daniela też mi się przygląda.

Jest bardzo zmęczona.

Wstaję i podaję jej rękę, aby pomóc wstać.

Idziemy do sypialni.

Daniela wchodzi do łóżka, zapalam światło i wsuwam się do niej pod lodowatą kołdrę.

Rama skrzypi i najmniejszy ruch sprawia, że wezglowie uderza w ścianę, co potrząsa obrazkami w ramkach.

Daniela ma na sobie bieliznę i biały T-shirt i pachnie, jakby cały dzień spędziła w samochodzie i nie wzięła potem prysznic — zanikający zapach dezodorantu, zmieszany z piżmem.

Kocham ten zapach.

— Jak to naprawimy, Jasonie? — szepcze mi do ucha.

— Pracuję nad tym.

— Co to znaczy?

— To, żebyś zapytała ponownie rano.

Jej oddech na mojej twarzy jest słodki i ciepły.

Esencja wszystkiego, co kojarzy mi się z domem.

Zasypia w kilka chwil, zaczyna głęboko i równo oddychać.

Wydaje mi się, że też zaraz zasnę, ale gdy zamykam oczy, myśli zaczynają gnać. Widzę wysiadające z windy inne wersje mnie. Siedzące w zaparkowanych samochodach. Siedzące na ławce naprzeciwko naszego domu.

Widzę się wszędzie.

Pokój jest ciemny z wyjątkiem jaśniejszej plamy w kącie, gdzie stoi grzejnik.

Chata śpi w milczeniu.

Ja nie mogę.

Muszę to naprawić.

Wyślizguję się cicho spod kołdry. Staję w progu, patrzę na Danielę, bezpieczną pod górą kołder i koców.

Idę po skrzypiącej drewnianej podłodze korytarza. Im bliżej salonu, tym robi się cieplej.

Ogień już niemal się dopalił.

Dorzucam kilka polan.

Przez długi czas gapię się w płomienie, obserwuję, jak drewno powoli rozpada się na rozżarzone węgielki, i słucham pochrapującego za moimi plecami syna.

Pomysł przyszedł mi do głowy w samochodzie i cały czas nad nim dumam.

Z początku wydawał się szalony.

Ale im bardziej sprawdzam inne możliwości, tym bardziej wygląda na jedyną opcję.

W salonie, obok telewizora, stoi dziesięcioletni Mac i prehistoryczna drukarka. Włączam komputer. Jeżeli do wejścia do Internetu potrzebne jest hasło, będzie to musiało poczekać do jutra, by załatwić sprawę z kafejki internetowej albo kawiarni w mieście.

Mam szczęście. Jest opcja logowania się dla gości.

Otwieram przeglądarkę i wchodzę na konto mejlowe asonjayessenday.

Link w dalszym ciągu działa.

Witamy w UberChat!

Obecnie jest siedemdziesięciu dwóch aktywnych uczestników.

Jesteś nowym uczestnikiem?

Klikam „Nie” i loguję się nazwą użytkownika i hasłem.

Witaj z powrotem Jason9!

Logujemy cię do UberChat!

Rozmowa jest teraz znacznie dłuższa, a uczestników tyłu, że czuję na ciele zimny pot.

Przeoglądam całą historię, do ostatniej wiadomości, która ma minutę.

Jason42: Dom jest pusty przynajmniej od wczesnego popołudnia.

Jason28: Więc który z was to zrobił?

Jason4: Śledziłem Daniellę od Eleanor St. 44 do komisariatu na North California.

Jason14: Co tam robiła?

Jason25: Co tam robiła?

Jason10: Co tam robiła?

Jason4: Nie mam pojęcia.

Jason66: Czy to znaczy że wie? Ciągłe jeszcze jest na komisariacie?

Jason4: Pojęcia nie mam. Coś się dzieje.

Jason49: Minionej nocy o mało nie zginąłem z rąk jednego z nas. Zdobył klucz do mojego pokoju hotelowego i w połowie nocy zjawił się z nożem.

Zaczynam pisać.

Jason9: DANIELA I CHARLIE SĄ ZE MNĄ.

Jason92: Są bezpieczni?

Jason42: Są bezpieczni?

Jason14: Jak?

Jason28: Udowodnij.

Jason4: Bezpieczni?

Jason25: Jak?

Jason 10: Ty kutasie.

Jason9: Nieważne jak, ale tak, są bezpieczni. Bardzo się także boją. Długo się nad tym zastanawiałem. Zakładam, że wszyscy chcemy tego samego: że Danieli i Charliemu nie może się stać krzywda?

Jason92: Tak.

Jason49: Tak.

Jason66: Tak.

Jason10: Tak.

Jason25: Tak.

Jason4: Tak.

Jason28: Tak.

Jason 14: Tak.

Jason 103: Tak.

Jason5: Tak.

Jason 16: Tak.

Jason82: Tak.

Jason9: Wolalbym umrzeć, niż widzieć, że dzieje się im krzywda. Proponuję więc, co następuje: za dwa dni, o północy, spotykamy się w elektrowni i prowadzimy pokojową loterię. Zwycięzca będzie żył w tym świecie z Danielą i Charliem. Potem niszczymy kabinę, żeby inne Jasony nie trafili do tego świata.

Jason8: Nie.

Jason 100: Mowy nie ma.

Jason21: Jak miałyby to działać?

Jason38: Nigdy.

Jason28: Udowodnij, że ich masz albo spierdalaj.

Jason8: Po co ryzykować? Dlaczego nie walczyć? Niech wygra najsilniejszy.

Jason 109: A co z przegranymi? Samobójstwo?

JasonADMIN: Dla dobra tej rozmowy chwilowo zablokowałem wszystkie konta poza moim i Jason9. Pozostali mogą śledzić czat.

Jason9, kontynuuj.

Jason9: Mam świadomość, że może to na wiele sposobów nie wypalić. Postanowić nie przyjsć. Nigdy nic nie wiadomo. Dowolna liczba Jasonów może postanowić w tym nie uczestniczyć, odczekać, aż dym się rozwieje i zrobić któremuś z nas to, co zrobił Jason2. Poza tym, że wiem, iż dotrzymam słowa i choć to może naiwne z mojej strony, sądzę, że oznacza to, iż wszyscy z nas go dotrzymają. Zrobicie to dla Danieli i Charliego. Alternatywą jest, że ich zabieram i znikamy na zawsze. Zdobędziemy nowe tożsamości. Całe życie będziemy uciekać. Zawsze rozglądać się przez ramię. Choć bardzo chcę z nimi być, nie chcę takiego życia dla mojej żony i syna. I nie mam prawa zatrzymać ich dla siebie. Jestem o tym tak bardzo przekonany, że jestem gotów poddać się tej loterii, w której — sądząc po liczbie nas — mam małą szansę wygrać. Muszę najpierw porozmawiać z Danielą, ale rozpuście tę wieść. Wrócę do czatroomu jutro wieczorem z bliższymi szczegółami — wraz z dowodami, jason28.

JasonADMIN: Chyba już ktoś pytał, ale co się stanie z przegranymi?

Jason9: Jeszcze nie wiem. Liczy się tylko to, aby nasza żona i syn przeżyli resztę życia w spokoju i bezpieczeństwie. Kto uważa inaczej, nie zasługuje na nich.

*

Budzi mnie przesączające się przez zasłony światło.
Daniela jest w moich ramionach.
Bardzo bardzo bardzo długo leżę bez ruchu.
Trzymając ją.
Tę niezwykłą kobietę.
Potem rozplątuję się i biorę z podłogi ubrania.
Ubieram się przy resztkach ognia — w zasadzie warstwie węgla —
i dorzucam ostatnie dwa polana.

Zaspaliśmy.

Zegarek na kuchence pokazuje 9:30 i przez okno nad zlewem widać słońce, padające skośnie przez sosny i brzozy, tworząc na dnie lasu plamy światła.

Wychodzę na poranny chłód i schodzę z werandy.

Z tyłu chaty teren schodzi łagodnie do jeziora.

Idę do końca pokrytego śniegiem pomostu.

Dwa metry od brzegu zaczyna się tworzyć lód, jest jednak zbyt wcześnie — nawet przy takiej śnieżnej burzy jak wczoraj — aby całe jezioro zamarzło.

Ściągam śnieg z ławki, siadam i patrzę, jak słońce wychodzi zza drzew.

Zimno ożywia jak łyk espresso.

Nad wodą unosi się mgła.

Za moimi plecami rozlega się skrzypienie trących o śnieg kroków.

Odwracam się — Daniela schodzi moimi śladami na pomost.

Niesie dwa parujące kubki kawy, włosy ma w precudownym nieładzie i owinęła ramiona kilkoma kocami.

Patrząc, jak idzie, uświadamiam sobie, że to prawdopodobnie ostatni poranek, jaki z nią spędzę. Jutro z samego rana wracam do

Chicago. Sam.

Podaje mi oba kubki, bierze jeden z koców i owija mnie nim. Siada na ławce, popijamy kawę i patrzymy na jezioro.

— Zawsze uważałem, że skończymy w takim miejscu jak to.

— Nie wiedziałam, że chciałbyś się przeprowadzić do

Wisconsin.

— Gdy będziemy starsi. Znaleźć chatę do remontu.

— Umiesz remontować? — Śmieje się. — Żartuję. Wiem, co masz na myśli.

— Może spędzać tu lato z wnukami. Mogłabyś malować na brzegu.

— A co ty byś robił?

— Bo ja wiem? Może wreszcie zdążyłbym czytać wszystkie wydania „New Yorkera”. Po prostu byłbym z tobą.

Daniela wyciąga rękę i dotyka nitki wokół mojego palca.

— Co to?

— Jason Dwa zabrał mi obrączkę i na samym początku był taki moment, że zaczynałem się gubić, co jest prawdziwe, a co nie. Zapominałem, kim jestem. Jakbym nigdy nie był twoim mężem. Zawiązałem więc sobie tę nitkę na palcu dla przypomnienia, że ty — ta wersja ciebie — istnieje.

Daniela całuje mnie.

Pocałunek jest długi.

— Muszę ci coś powiedzieć — mówię w końcu.

-Co?

— W pierwszym Chicago, w którym się obudziłem — tym, w którym spotkałem cię na wernisazu instalacji o wieloświecie...

— Co? — pyta z uśmiechem. — Przeleciałeś mnie?

— Tak.

Śmiech zamiera Danieli na ustach.

Patrzy na mnie przez chwilę.

— Dlaczego? — pyta głosem niemal całkowicie pozbawionym emocji.

— Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się ze mną dzieje.

Wszyscy traktowali mnie jak wariata. Sam zaczynałem tak sądzić. Potem

odszukałem ciebie — jedyny znany element w postawionym na głowie świecie. Tak bardzo chciałem, aby była tobą, ale nie była. Nie mogła tobą być. Tak jak drugi Jason nie jest mną.

— Więc skakałeś sobie między światami, pieprząc na lewo i prawo?

— To był jedyny raz, a kiedy się wydarzył, nie wiedziałem, gdzie jestem. Sądziłem, że tracę zmysły albo coś w tym stylu.

— Jaka była? Jaka byłem?

— Może nie powinniśmy...

— Ja ci powiedziałam.

— Racja. Było tak, jak opisałaś drugiego Jasona, gdy przyszedł pierwszego wieczora zamiast mnie. Było to jak bycie z tobą, zanim sobie uświadomiłem, że cię kocham. Jak doświadczenie tej niesamowitej relacji ponownie po raz pierwszy. O czym w tej chwili myślisz?

— Zastanawiam się, jak bardzo powinnam być na ciebie wściekła.

— Dlaczego w ogóle miałabyś być wściekła?

— Tak chcesz argumentować? Jeśli to inna wersja mnie, to nie zdrada?

— Przynajmniej jest oryginalny.

Doprowadza to Daniellę do śmiechu.

To, że doprowadza to ją do śmiechu, mówi wszystko o tym, dlaczego ją kocham.

— Jaka była?

— Była tobą beze mnie. Bez Charliego. Tak jakby spotykała się z Ryanem Holderem.

— Zamknij się. I byłem sławną artystką?

— O tak.

— Podobała ci się moja instalacja?

— Była błyskotliwa. Ty byłaś błyskotliwa. Opowiedzieć ci?

— Z przyjemnością posłucham.

Opowiadam o pleksiglasowym labiryncie i co czułem, chodząc po nim. O zaskakujących obrazach. Niezwykłym projekcie całości.

W oczach Daniela pojawia się blask.

Równocześnie robi się smutna.

— Sądziś, że byłam szczęśliwa?

— W jakim sensie?

— Rezygnując z wszystkiego, aby taką się stać.

— Nie wiem. Byłem z nią tylko dwie doby. Sądzę, że tak jak ty, jak ja, jak wszyscy, różnych rzeczy żałowała. Moim zdaniem czasami budziła się w nocy i zastanawiała, czy droga, jaką wybrała, była prawidłowa. Obawiała się, że nie. Zastanawiała, jak mogło wyglądać życie ze mną.

— Czasami też się nad tym zastanawiam.

— Widziałem sporo wersji ciebie. Ze mną. Beze mnie. Jako artystkę. Nauczycielkę. Grafika komputerowego. Koniec końców to jednak wszystko tylko życie. Widzimy je w skali makro, jako jedną wielką opowieść, ale tkwiąc w strumieniu, wszystko sprowadza się do życia dzień za dniem, prawda? To nie podstawowa rzecz, z którą się trzeba pogodzić?

Na środku jeziora wyskakuje ryba i gdy wpada z powrotem do przypominającej szkło wody, na powierzchni tworzą się idealnie koliste zmarszczki.

— W nocy prosiłaś mnie, abym to naprawił — mówię.

— I wymyśliłaś coś bystrego?

W pierwszym odruchu chcę ochronić ją przed wiedzą o tym, co rozważam, ale nasze małżeństwo nie jest zbudowane na tajemnicach. Rozmawiamy o wszystkim. To najtrudniejsze, ale jest osadzone w naszej tożsamości jako pary.

Mówię więc o propozycji, jaką wysunąłem w nocy w czatroomie, obserwując przy tym, jak przez jej twarz przemykają złość, przerażenie, szok i strach.

— Chcesz mnie wystawić jako fant na loterii? — mówi w końcu.

— Jak pieprzony kosz owoców?

— Danielo...

— Nie potrzebuję twoich bohaterskich czynów.

— Niezależnie od tego, co się stanie, dostaniesz mnie z powrotem.

— Inną wersję ciebie. To chcesz powiedzieć, tak? A jeśli będzie

to kutas, który zniszczył nam życie? Co, jeśli okaże się nie tak dobry jak ty?

Odwracam głowę w kierunku jeziora i mrugam, by pozbyć się łez.

— Dlaczego chcesz się poświęcić, aby ktoś inny mógł być ze mną?

— Wszyscy będziemy musieli się poświęcić, Danielo. To jedyne rozwiązanie dla waszego dobra. Proszę, pozwól mi uczynić wasze życie w Chicago bezpiecznym.

*

Gdy wracamy, Charlie smaży na kuchni naleśniki.

— Pachnie super — mówię.

— Zrobisz to z owocami? — odpowiada pytaniem.

— Jasne.

Potrzebuję chwili na znalezienie deski i noża.

Stoję obok syna, obieram jabłka i kroję je, po czym wrzucam kawałki do garnuszka, w którym grzeje się syrop klonowy.

Słońce za oknami wspina się na niebo i las wypełnia się światłem.

Jemy i spokojnie rozmawiamy. Niektóre momenty są całkiem zwyczajne, momenty, w których nie myślę o tym, że to prawdopodobnie jest ostatnie nasze wspólne śniadanie.

*

Wczesnym popołudniem idziemy na piechotę do miasteczka, środkiem wyblakłej wiejskiej drogi, suchej w nasłonecznionych miejscach, a pełnej śniegu w zacienionych.

W sklepie z rzeczami używanymi kupujemy ubrania i idziemy na poranek do małego kina, które wyświetla film, który miał premierę pół roku temu.

To głupia komedia romantyczna.

Dokładnie coś takiego jest nam potrzebne.

Po filmie zostajemy, aż skończą się napisy i zapali się światło. Gdy wychodzimy z kina, niebo już ciemnieje.

Na skraju miasteczka eksperymentujemy z jedyną otwartą restauracją — nazywa się Ice River Roadhouse.

Siadamy przy barze.

Daniela zamawia kieliszek pinot noir, ja biorę piwo dla siebie i colę dla Charliego.

Lokal jest pełen ludzi — w końcu w Ice River w stanie Wisconsin to jedyna wieczorna rozrywka w środku tygodnia.

Zamawiamy jedzenie.

Piję drugie piwo, potem trzecie.

Długo nic trwa, a jesteśmy z Danielą podchmieleni. Hałas w knajpie narasta.

Daniela kładzie mi dłoń na udzie.

Oczy ma szkliste od wina i chłonę jej obecność. Próbuję nie myśleć o tym, że każdy drobiazg wydarza się ostatni raz, ale świadomość tego ciąży.

Knajpa ciągle się zapełnia.

Jest wspaniale hałaśliwie.

Na małej scenie w głębi zaczyna się rozkładać kapela.

Jestem zalany.

Nie na agresywnie ani na ckliwie.

Po prostu idealnie nawalony.

Jeśli zacznę myśleć o czymkolwiek innym niż tu i teraz, rozpadnę się, myślę więc tylko o bieżącej chwili.

Zespół okazuje się kwartetem country i nie mija długo, jak tańczymy powoli w gęstym tłumie na małym parkiecie.

Przyciska całe ciało do mnie, moja dłoń leży na zagłębieniu na dole jej pleców, a dźwięk gitary hawajskiej i sposób, w jaki Daniela na mnie patrzy, sprawiają, że niczego bardziej nie chcę, niż zabrać ją do naszego skrzypiącego łóżka z poluzowanym wezglowiem i pozrzucić ze ścian wszystkie obrazki.

*

— Od miesiąca tak nie było, co? — mówi Charlie do Daniela.
Daniela patrzy na mnie.

— Nie było.

Zataczamy się drogą w ciemności, ani przed nami, ani za nami nie ma świateł jadących samochodów.

Las jest kompletnie cichy.
Nawet wiatr nie oddycha.
Jest jak na obrazie.

*

Zamykam drzwi do naszego pokoju.
Ściągamy materac z łóżka.
Kładziemy go na podłodze, gasimy światło i rozbieramy się.
W pokoju jest chłodno, nawet przy pracującym grzejniku.
Nadzy i drżący wchodzimy pod kołdry.
Jej skóra jest gładka i chłodna, usta miękkie i ciepłe.
Całuję ją.
Szepcze, że tak bardzo potrzebuje mnie w środku, aż ją boli.
Bycie z Danielą nie jest „jak bycie w domu”.
To definiuje dom.

Pierwszy raz kochaliśmy się piętnaście lat temu. Nieraz myślałem o tym, że znalazłem w jej osobie coś, o czym nie miałem pojęcia, że szukam.

Dziś wieczór okazuje się to jeszcze bardziej prawdziwe, gdy deski pod nami cicho poskrzypują, księżyc wkrada się do środka przez szparę w zasłonach, na tyle jasny, aby oświetlać twarz Danieli, gdy otwiera usta, głowa odchyła jej się do tyłu i dyszy, gwałtownie, moje imię.

*

Leżymy spoceni, serca gnają nam w otaczającej ciszy.

Daniela przeciąga mi palcami przez włosy i wpatruje się we mnie w ciemności tak, jak uwielbiam.

— Co jest? — pytam.

— Charlie miał rację.

— W czym?

— Co powiedział w drodze do domu. Od pojawienia się Jasona Dwa tak nie było. Jesteś nie do zastąpienia. Nawet przez siebie samego. Ciągle myślę o tym, jak się poznaliśmy. W tamtym momencie każde z nas mogło natknąć się na kogoś innego, pojawiłeś się jednak ty i uratowałeś mnie od tamtego dupka. Wiem, że częścią naszej historii jest

elektryczność, jaka nas połączyła, ale reszta też jest zdumiewająca. Że pojawiłeś się w moim życiu w tym dokładnie momencie, w którym to się stało. Ty, a nie ktoś inny. Czy to w pewien sposób nie bardziej niesamowite niż sam nasz związek? To, że się znaleźliśmy?

— To rzeczywiście godne uwagi.

— Tak samo było wczoraj. Ze wszystkich wersji Jasona akurat ty wywalisz wariacki numer w knajpie, co zaprowadziło cię do aresztu, dzięki czemu mogliśmy się bezpiecznie spotkać.

— Chcesz powiedzieć, że złączył nas los?

Daniela uśmiecha się.

— Chyba chcę powiedzieć, że po raz drugi się znaleźliśmy.

*

Znowu się kochamy, po czym zasypiamy.

Po kilku godzinach, jeszcze w środku nocy, Daniela mnie budzi.

— Nie chcę, abyś wyjeżdżał — szepcze mi do ucha.

Odwracam się na bok i patrzę na nią.

Ma szeroko otwarte oczy.

Boli mnie głowa.

Mam sucho w ustach.

Tkwię w dezorientującym stanie między upiciem a kacem, gdy przyjemność powoli przechodzi w ból.

— A jeśli będziemy cały czas jechać? — pyta Daniela.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Co powiemy Charliemu? Ma przyjaciół. Może nawet dziewczynę. Każemy mu o wszystkim zapomnieć? Wreszcie podoba mu się w szkole.

— Wiem — odpowiada Daniela — i zrobię to bardzo niechętnie, ale tak, to właśnie mu powiemy.

— Nasze miejsce zamieszkania, nasi przyjaciele, praca — właśnie to nas określa.

— Nie tylko to. Dopóki jestem z tobą, wiem dokładnie, kim jestem.

— Danielo, niczego bardziej nie chcę, niż być z tobą, ale jeśli nie

zrobię jutro tego, co zamierzam, nigdy nie będziecie bezpieczni. I niezależnie, co się stanie, ciągle będziesz mnie miała.

— Nie chcę innej wersji ciebie. Chcę ciebie.

*

Budzę się w ciemności, czując dudniący w głowie puls i suchość w ustach.

Wkładam dzinsy i koszulę i chwiejnym krokiem idę korytarzem.

Ponieważ nie rozpalaliśmy kominka, jedynym źródłem światła na całym parterze jest mała nocna lampka, włożona w gniazdko nad kuchennym kontuarem.

Biorę z szafki szklankę i napełniam ją wodą.

Piję do dna.

Znowu napełniam.

Centralne ogrzewanie wyłącza się.

Stoję przy zlewie i popijam zimną wodę ze studni.

Panuje taka cisza, że słysząc trzaski, gdy w zakamarkach chaty kurczą się i rozszerzają włókna drewna w podłodze.

Patrzę przez okno nad zlewem w las.

Uwielbiam to, że Daniela mnie chce, nie mam jednak pojęcia, dokąd moglibyśmy udać się dalej. Nie wiem, jak zapewnić im bezpieczeństwo.

Kręci mi się w głowie.

Kawałek za jeepem moją uwagę przyciąga jakiś ruch.

Po śniegu sunie cień.

Czuję przyływ adrenaliny.

Odstawiam szklankę, idę do frontowych drzwi i wkładam buty. Na werandzie zapinam koszulę i wychodzę na śnieg między schodkami a samochodem.

Mijam jeepa.

Jest.

Widzę to, co przyciągnęło moją uwagę.

Gdy podchodzę, jeszcze się rusza.

Jest większe, niż początkowo sądziłem.

Wielkości człowieka.

Nie.

Jezu!

To człowiek.

Droga, którą pełznął, jest doskonale widoczna po smugach krwi, które w ciemności sprawiają wrażenie czarnych.

Jęczy, pełznąć w kierunku werandy.

Dochodzę do niego i klękam obok.

To ja — w takiej samej marynarskiej kurtce, z plecakiem z Velocity Laboratories i nitką wokół palca.

Trzyma się dłonią za brzuch pokryty parującą krwią i gdy podnosi ku mnie wzrok, widzę najbardziej zrozpaczone oczy, jakie widziałem w życiu.

— Kto ci to zrobił? — pytam.

— Jeden z nas.

— Jak mnie znalazłeś?

Kasze, wypluwając mgiełkę krwi.

— Pomóż mi...

— Ilu z nas tu jest?

— Chyba umieram.

Rozglądam się wokół. Wystarczy sekunda, aby dostrzec krwawe ślady stóp, odchodzące od leżącego przede mną Jasona w kierunku jeepa i biegnące dalej, za róg chaty.

Umierający Jason wypowiada moje imię.

Nasze imię.

Błaga mnie o pomoc.

Chciałbym mu pomóc, ale wszystko przesłania jedna myśl: znaleźli nas.

W jakiś sposób nas wytropili.

— Nie pozwól mu jej skrzywdzić — mówi umierający Jason.

Patrzę na samochód.

Z początku tego nie zauważyłem, ale teraz widzę, że wszystkie opony są poprzecinane.

Skądś dolatuje odgłos kroków.

Przepatruję las w poszukiwaniu ruchu, ale światło gwiazd wnika tylko w brzeg lasu.

— Nie jestem na to gotów... — jęczy umierający.

Patrzę mu w oczy, powstrzymując panikę.

— Jeżeli to koniec, bądź odważny — mówię.

Ciszę rozrywa wystrzał.

Doleciał zza chaty, od strony jeziora.

Ruszam biegiem przez śnieg, mijam jeepa, gnam ku werandzie, próbując pojąć, co się dzieje.

Słyszę, jak Daniela woła moje imię.

Wchodzę na schodki.

Wpadam do środka.

Daniela idzie korytarzem, owinięta kocem i oświetlana z tyłu światłem z sypialni.

Z kuchni wychodzi mój syn.

Zamykam za sobą drzwi w chwili, gdy oboje docierają do przedsiionka.

— To był wystrzał? — pyta Daniela.

— Tak.

— Co się dzieje?

— Znaleźli nas.

- Kto?

- Ja.

— Jak to możliwe?

— Musimy natychmiast opuścić to miejsce. Idźcie oboje do pokojów, ubierzcie się i zabierzcie swoje rzeczy. Sprawdzę, czy tylne drzwi są zamknięte, i dołączę do was.

Ruszają oboje korytarzem.

Przednie drzwi są zabezpieczone.

Jedyną drogą prowadzącą teraz do środka są podwójne drzwi balkonowe między zabudowaną tylną werandą a salonem.

Idę przez kuchnię.

Daniela i Charlie będą chcieli usłyszeć ode mnie, co robić.

A ja nie mam żadnego pomysłu.

Samochód odpadł.

Będziemy musieli iść na piechotę.

W salonie próbuję uporządkować myśli.

Co musimy zabrać ze sobą?

Telefony.

Pieniądze.

Gdzie są nasze pieniądze?

W kopercie w dolnej szufladzie komody w sypialni.

Czego jeszcze potrzebujemy?

O czym nie wolno zapomnieć?

Ile wersji mnie tu dotarło?

Zginę dzisiejszej nocy?

Ze swojej ręki?

Macam przed sobą w ciemności, mijam rozłożoną kanapę, dochodzę do drzwi. Gdy wyciągam rękę, by sprawdzić klamki, uświadamiam sobie, że nie powinno być tak zimno.

Chyba że niedawno otwierano drzwi.

Kilka sekund temu.

Są zablokowane, a nie pamiętam, bym to robił.

Przez szybki widzę coś na patio, ciemność nie pozwala jednak dostrzec szczegółów. Chyba się rusza.

Muszę wrócić do rodziny.

Gdy się odwracam, zza kanapy podnosi się cień.

Moje serce się zatrzymuje.

Zapala się lampa.

Widzę siebie, stojącego trzy metry ode mnie. Jedną rękę ma na włączniku lampy, w drugiej trzyma wycelowaną we mnie broń.

Jest ubrany jedynie w bokserki.

Dłonie ma całe we krwi.

Obchodzi kanapę, cały czas celując mi w głowę.

— Rozbieraj się — mówi.

Rozpoznaję go po szramie od cięcia nożem na twarzy.

Patrzę za siebie w kierunku drzwi.

Światło lampy oświetla na tyle daleko patio, że widzę kupkę ubrania — timberlandy i marynarską kurtkę — i kolejnego Jasona z głową w kałuży krwi i poderżniętym gardłem.

— Nie będę powtarzał — mówi.

Zaczynam rozpinać koszulę.

— Znamy się — mówię.

— Najwyraźniej.

— Ta szrama na twojej twarzy... dwa wieczory temu piliśmy piwo. Patrzę, jak przetrawia informację, nie wytrąciła go jednak z równowagi tak, jak oczekiwałem.

— Nie zmienia to tego, co się musi stać — odpowiada. — To koniec, bracie. Doskonale wiesz, że zrobiłbyś identycznie.

— Nie zrobiłbym. Z początku sądziłem, że tak, ale nie zrobiłbym. Wyjmuję ręce z rękawów, rzucając mu koszulę.

Wiem, co planuje: włoży moje ciuchy i będzie udawał, że jest mną. Będzie musiał przejechać nożem po bliźnie, aby wyglądała na świeżą ranę.

— Miałem plan, jak ją ochronić.

— Tak, czytałem. Ja nie zamierzam się poświęcać, aby ktoś inny mógł być z moją żoną i synem. Dżinsy też.

Rozpinam je i dochodzę do wniosku, że dokonałem błędnego osądu. Nie jesteśmy wszyscy tacy sami.

— Ilu z nas dziś zamordowałeś?

— Czterech. Jeśli będzie trzeba, zabiję tysiąc.

Ściągam dżinsy.

— W kabinie coś musiało się z tobą stać — mówię. — W światach, o których wspominałeś. Co sprawiło, że stałeś się tym, kim jesteś teraz?

— Może niewystarczająco mocno chcesz ich odzyskać. W takim razie nie zasługujesz na nich...

Rzucając mu dżinsy w twarz i atakuję.

Obejmuję go ramionami za uda, unoszę z całej siły i wbiegam z nim na ścianę, wypychając mu całe powietrze z płuc.

Pistolet leci na podłogę.

Kopię go w stronę kuchni i gdy Jason się zgina, wbijam mu kolano w twarz.

Słyszę trzask pękającej kości.

Łapię go za włosy i cofam kolano, by huknąć ponownie, ale podcina mi drugą nogę.

Uderzam całym ciężarem o podłogę, trafiając potylicą tak

nieszczęśliwie, że wybuchają mi gwiazdy przed oczami. Jason już siedzi na mnie, krew kapie mu z rozbitej twarzy, i dusi mnie jedną ręką.

Gdy trafia mnie pięścią w twarz, czuję w eksplozji bólu, jak pęka mi kość pod lewym okiem.

Ponownie mnie uderza.

Mrugam, by przejrzeć przez łzy i krew, i gdy jestem w stanie cokolwiek dojrzeć, widzę, że w rękę, którą mnie uderzał, trzyma nóż.

Rozlega się wystrzał.

Dzwoni mi w uszach.

Widzę pośrodku jego mostka małą czarną dziurę, z której zaczyna spływać krew. Nóż wypada mu z dłoni i spada na podłogę tuż obok mnie, on zaś wsadza palec w otwór, ale tej krwi nie da się zahamować.

Wciąga z charkotem powietrze i podnosi wzrok na tego, kto go postrzelił.

Też wykręcam szyję — kolejny Jason celuje do Jasona na mnie z pistoletu. Jest gładko ogolony i ma na sobie czarną skórzaną kurtkę, którą Daniela podarowała mi dziesięć lat temu z okazji naszej rocznicy ślubu. Na jego lewej dłoni błyszczy obrączka.

Moja obrączka.

Jason 2 ponownie pociąga za spust i pocisk roztrzaskuje skroń umierającego.

Trup przewraca się na bok.

Odwracam się i powoli siadam.

Pluję krwią.

Twarc mi płonie.

Jason 2 celuje we mnie.

Zaraz pociągnie za spust.

Widzę nadchodzącą śmierć i tracę zdolność mówienia. Widzę jedynie obrazy: siebie jako dziecko na farmie dziadków w zachodniej części stanu Iowa. Jest ciepły wiosenny dzień. Majestatyczne niebo. Drybluję piłkę po podwórzu do brata, który pilnuje „bramki” — miejsca między dwoma klonami.

Skąd akurat to wspomnienie w ostatniej chwili życia? Byłem wtedy najszcześniejszy? Byłem najbardziej sobą?

— Przestań!

W przejściu do kuchni stoi Daniela, ubrana do wyjścia.

Patrzy na Jasona 2.

Na mnie.

Na Jasona z rozłupaną czaszką.

Na Jasona na werandzie, z poderżniętym gardłem.

Jakimś sposobem, bez drżenia w głosie udaje jej się zadać pytanie.

— Gdzie mój mąż?

Jason 2 wygląda na zaskoczonego.

Ścieram krew z oczu.

— Tutaj — mówię.

— Co dziś robiliśmy? — pyta Daniela.

— Tańczyliśmy przy kiepskiej muzyce country, wróciliśmy do domu i się kochaliśmy. — Patrzę na mężczyznę, który ukradł mi życie.
— To ty mnie porwałś?

On patrzy na Danielę.

— Wie o wszystkim — wyjaśniam- — Nie ma sensu kłamać.

— Jak możesz mi to robić? — pyta go Daniela. — Mojej rodzinie?

Charlie pojawia się obok matki i próbuje pojąć rozgrywający się horror.

Jason 2 patrzy na Danielę.

Na Charliego.

Stoi mniej więcej dwa metry ode mnie, ale ja siedzę na podłodze.

Muszę sprawić, aby zaczął mówić.

— Jak nas znalazłeś? — pytam.

— Komórka Charliego ma aplikację „znajdź mój telefon”.

— Włączyłem go tylko na jedną wiadomość — mówi Charlie.

— Nie chciałem, żeby Angela myślała, że ją olałem.

Patrzę na Jasona 2.

— A pozostali? — pytam.

— Nie wiem. Pewnie przyjechali za mną.

- Ilu?

— Nie mam pojęcia. — Odwraca się do Daniela — Miałem w życiu wszystko, czego pragnąłem, oprócz ciebie. Prześladowałaś mnie. To, kim mogliśmy się stać. Dlatego...

— W takim razie trzeba było zostać ze mną piętnaście lat temu, gdy miałeś okazję.

— Wtedy nie zbudowałbym kabiny.

— I to by było straszne? Rozejrzyj się. Czy twoje życie przyniosło coś więcej niż ból?

— Każda chwila, każdy oddech, kryje w sobie szansę, ale życie jest niedoskonałe. Dokonujemy złych wyborów; więc kończy się to życiem w stałym ubolewaniu. Może być coś gorszego? Skonstruowałem urządzenie, które jest w stanie zlikwidować ubolewanie. Pozwala znaleźć światy, w których dokonano się prawidłowego wyboru.

— Życie tak nie działa — odpowiada Daniela. — Człowiek żyje ze swoimi wyborami i się uczy. Nie oszukasz tego systemu.

Powoli przenoszę ciężar na stopy.

Jason 2 przyłapuje mnie jednak.

— Nawet się nie waż!

— Zabijesz mnie na ich oczach? — pytam. — Naprawdę?

— Miałeś tak wielkie marzenia — mówi. — Mogłeś zostać w moim świecie, w życiu, które stworzyłem, i je zrealizować.

— I to usprawiedliwia to, co zrobiłeś?

— Wiem, jak pracuje twój umysł. Znam horror, z jakim masz do czynienia dzień w dzień, idąc do pociągu, by wyklądać, myśląc: to ma być naprawdę wszystko? Może jesteś wystarczająco odważny, aby przyznać się przed sobą do prawdy. Może nie jesteś.

— Nie wolno ci mnie...

— Wolno mi ciebie osądzać, bo jestem tobą. Odgałęziliśmy się piętnaście lat temu w inne światy, ale jesteśmy tak samo skonstruowani. Nie urodziłeś się, aby uczyć podstaw fizyki. Patrząc, jak ludzie tacy jak Ryan Holder zdobywają laury, które powinny być twoje. Nie istnieje nic, czego nie byłbyś w stanie osiągnąć. Wiem o tym, ponieważ tego dokonałem. Zobacz, co stworzyłem. Budziłem się co rano w twoim domu i mogłem patrzeć na siebie w lustrze bez wyrzutów, ponieważ osiągnąłem w życiu wszystko, co chciałem. Możesz powiedzieć to samo o sobie? Czego ty dokonałeś?

— Stworzyłem z nimi rodzinę.

— A ja dałem ci — nam obu — to, czego chce każdy. Szansę na

dwa życia. Nasze najlepsze dwa żywoty.

— Nie chcę dwóch żywotów. Chcę ich.

Patrzę na Danielę. Na mojego syna.

— A ja chcę jego — mówi Daniela do Jasona 2. — Proszę.

Pozwól nam żyć po swojemu. Nie musisz tego robić.

Jego twarz twardnieje.

Oczy się zwężają.

Rusza w moim kierunku.

— Nie! — krzyczy Charlie.

Lufa pistoletu jest już tylko centymetry od mojej twarzy.

— Zabijesz mnie i co dalej? — pytam mojego sobowtóra. — Co ci to da? Nie sprawi, że ona zechce być z tobą.

Jego dłoń drży.

Charlie rusza w jego kierunku.

— Nie dotykaj go — mówi.

— Zostań, gdzie jesteś, Charlie — mówię, patrząc wzdłuż lufy.

— Przegrałeś, Jasonie.

Charlie ciągle się do niego zbliża. Daniela próbuje go powstrzymać, ale wyrywa ramię.

Gdy Charlie jest tuż-tuż, Jason 2 na chwilę odwraca ode mnie wzrok.

Wytrącam mu broń z ręki, sięgam na podłogę po nóż i wbijam mu go w brzuch. Ostrze wchodzi bez najmniejszego oporu.

Wyszarpuję nóż, a gdy Jason 2 opada na mnie i łapie mnie za ramiona, ponownie go wbijam.

Jeszcze raz i jeszcze raz.

Przez koszulę przesącza mu się mnóstwo krwi, która zalewa mi dłonie. Powietrze wypełnia zapach przypominający zapach rdzy.

Obejmuje mnie, ciągle jeszcze z nożem w brzuchu.

Przychodzi mi do głowy obraz jego z Danielą, więc przekręcam i wyrywam nóż, i odpycham Jasona 2 od siebie.

Zatacza się.

Krzywi.

Trzyma się za brzuch.

Spomiędzy palców wypływa mu krew.

Uginają się pod nim nogi.

Siada na podłodze, jęczy, kładzie się na bok i opiera głowę o podłogę.

Patrzę na Danielę i Charliego. Podchodzę do Jasona 2 i przeszukuję mu kieszenie. Staram się nie słyszeć jego jęków i po chwili znajduję kluczyki do samochodu.

— Gdzie nasz SUV? — pytam.

Gdy odpowiada, muszę się przysunąć do jego ust, by cokolwiek dosłyszeć.

— Kilkaset... metrów za... nawrotem. Na poboczu.

Podchodzę do ubrania, które kilka minut temu zdjąłem i szybko się ubieram.

Gdy kończę zapinać koszulę i pochylam się, aby zawiązać buty, rzucam okiem na Jasona 2 wykrwawiającego się na podłodze.

Podnoszę broń i wycieram rękojeść o spodnie.

Musimy stąd zniknąć.

Kto wie, ilu jest w drodze tutaj.

Mój sobowtór wypowiada moje imię.

Odwracam się do niego — w zakrwawionych pałcach trzyma moją obrączkę.

Podchodzę, biorę obrączkę i zakładam ją sobie na palec. Jason 2 łapie mnie za ramię i ściąga w dół.

Próbuje mi coś powiedzieć.

— Nie słyszę cię — stwierdzam.

— Zajrzyj... do... schowka.

Podchodzi Charlie, obejmuje mnie rozpaczliwie. Próbuje powstrzymać łzy, ale ramiona mu drgają i płacze. Gdy chlipie jak dziecko, uświadamiam sobie, jak przerażające było to, co właśnie musiał oglądać, i też zaczynam płakać.

Trzymam jego twarz w dłoniach.

— Uratowałeś mi życie — mówię. — Gdybyś nie próbował go powstrzymać, nie miałbym szans.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Ale i tak zaraz rozwalę twój telefon na kawałki.

Teraz idziemy. Przez tylne drzwi.

Ruszamy przez salon, omijając kałuże krwi.

Otwieram podwójne drzwi i gdy Daniela z Charliem wychodzą na werandę, spoglądam po raz ostatni na człowieka, który spowodował całe to zło.

Ma jeszcze otwarte oczy, mruga powoli, patrzy, jak odchodzimy.

Wychodzę na werandę i zamykam za sobą drzwi.

Aby wyjść na zewnątrz, muszę przejść przez krew kolejnego Jasona.

Nie mam pojęcia, jaki kierunek będzie najbezpieczniejszy.

Ruszamy w stronę brzegu, po czym skręcamy i idziemy między drzewami na północ.

Jezioro jest gładkie i czarne jak obsydian.

Rozglądam się, sprawdzając, czy nie czają się gdzieś kolejni Jasonowie — w każdej chwili któryś może wyjść zza drzewa i odebrać mi życie.

Po stu metrach odbijamy od brzegu i ruszamy mniej więcej w kierunku drogi.

Przy chacie rozlegają się cztery wystrzały.

Zaczynamy biec. Przemymy przez śnieg, zdyszani jak psy gończe.

Adrenalina znieczula mi rany na twarzy, nie sądzę jednak, aby potrafiło to długo.

Wychodzimy z lasu na drogę.

Stoję na podwójnej żółtej linii i przez chwilę las milczy.

— Dokąd teraz? — pyta Daniela.

— Na północ.

Biegniemy truchtem środkiem drogi.

— Widzę go — mówi po chwili Charlie.

Na wprost, na prawym poboczu, majączy tył naszego SUV-a, schowanego do połowy w drzewach.

Wsiadamy i gdy wkładam kluczyk w stacyjkę, dostrzegam w bocznym lusterku ruch. Drogą pędzi ku nam cień.

Uruchamiam silnik, zwalням ręczny i wrzucam bieg.

Skręcam ostro kierownicą i wduszam gaz do dechy.

— Połóżcie się na podłodze.

— Dlaczego? — pyta Daniela.

— Zrób to!

Wystrzeliwujemy w ciemność.

Zapalam reflektory.

Snopy światła trafiają prosto w Jasona, stojącego na środku drogi i celującego w samochód z pistoletu.

Z lufy strzela płomień.

Pocisk przebija przednią szybę i wbija się w mój zagłówek, dwa centymetry od mojego ucha.

Kolejny płomień z lufy, kolejny wystrzał.

Daniela krzyczy.

Jak bardzo musi być zepsuta ta wersja mnie, aby ryzykować postrzelenie Daniela i Charliego?

Jason próbuje zejść z drogi pół sekundy za późno.

Prawa strona zderzaka trafia go w okolicę talii, kontakt ma piorunujące skutki.

Obraca nim wokół osi i wykręca mu ciało, przez co wali głową w przednią szybę z taką siłą, aż szkło pęka.

— Wszyscy cali? — pytam.

— Ja tak — odpowiada Charlie.

Daniela siada na fotelu.

— Danielo?

— Ja też — mówi i zaczyna wytrzępywać z włosów okruchy szkła.

*

Pędzimy ciemną autostradą.

Nikt nic nie mówi.

Jest trzecia nad ranem i jesteśmy jedynym poruszającym się tu samochodem.

Nocne powietrze wpada do środka przez dziury po pociskach. Hałas wichru, wpadającego przez wybite boczne okno od strony Daniela, jest ogłuszający.

— W dalszym ciągu masz telefon? — pytam ją.

— Aha.

— Daj mi go. Ty też, Charlie.

Podają mi telefony, opuszczam boczną szybę na kilka centymetrów i wyrzucam oba aparaty na zewnątrz.

— Zjawią się kolejni, prawda? — mówi Daniela. — To się nigdy nie skończy.

Ma rację. Nie można ufać innym Jasonom. Byłem w błędzie co do loterii.

— Sądziłem, że to się da naprawić — odpowiadam.

— Więc co zrobimy?

Czuję ogromne zmęczenie.

Z każdą chwilą coraz bardziej boli mnie twarz.

— Otwórz schowek — mówię do Daniela.

— Czego mam szukać?

— Nie wiem.

Wyjmuje instrukcję obsługi SUV-a.

Nasze dokumenty rejestracyjne i ubezpieczeniowe.

Ciśnieniomierz do kół.

Latarkę.

Małą skórzaną saszetkę, którą doskonale znam.

PIĘTNAŚCIE

Siedzimy w postrzelanym

SUV-ie na pustym parkingu.

Prowadziłem całą noc.

Obserwuję w lusterku swoją twarz. Lewe oko mam fioletowe, mocno zapuchnięte, a skóra nad lewą kością policzkową poczerniała od zbierającej się pod spodem krwi.

Dotyk boli jak cholera.

Patrzę do tyłu na Charliego, potem w bok, na Danielę.

Wyciąga rękę i przeciąga paznokciami po moim karku.

— Jaki mamy inny wybór?

— Charlie? To też twoja decyzja.

— Nie chcę tego wszystkiego zostawiać.

— Wiem.

— Ale podejrzewam, że musimy.

Po głowie krążą mi najdziwniejsze myśli.

Jesteśmy pod ścianą. Wszystko, co zbudowaliśmy — nasz dom, nasze prace, przyjaciele, życie towarzyskie — zostało rozbite w pył. Nie pozostało nam nic poza nami samymi, a jednak jestem w tej chwili bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek w życiu.

*

Poranne słońce wpada przez szpary w dachu, kładąc plamy światła w ciemnym, zrujnowanym holu.

Supermiejsce — stwierdza Charlie.

- Wiesz, dokąd się udamy? — pyta Daniela.

— Niestety musimy iść w ciemno.

Prowadzę naszą trójkę opuszczonymi korytarzami, choć ledwo trzymam się na nogach. Funkcjonuję na kawie i strachu. Pistolet, który

zabrałem z chaty, tkwi za paskiem na moich plecach, skórzaną saszetkę od Jasona 2 ściskam pod pachą. Uświadamiam sobie, że gdy jechaliśmy o świcie do South Side, ani razu nie spojrzałem ku panoramie wieżowców centrum, mijanego od zachodu.

Ostatni rzut oka byłby miły.

Czuję uszczypnięcie żalu, ale odsuwam go od siebie.

Na myśl przychodzą mi wszystkie noce, gdy leżałem w łóżku, zastanawiając się, jak by to było, gdyby wszystko potoczyło się inaczej — gdybym nie poszedł odgałęzieniem, które zamiast luminarza w mojej specjalności uczyniło ze mnie ojca i przeciętnego wykładowcę fizyki. Cóż, takie myśli biorą się chyba z typowo ludzkiego pożądanego tego, czego się nie ma. Wiele, z tego, co widziałem, mogło być „moje”, gdybym podjął szereg innych decyzji.

Nie podjąłem ich jednak.

Bo ja to nie tylko ja.

Moje dawne podejście do sprawy tożsamości legło w gruzach i wiem teraz, że jestem jedynie fasetą istoty o nieskończonej ilości faset, zwanej Jasonem Dessenem, który dokonał wszelkich możliwych wyborów i żył w każdym wyobrażalnym życiu.

Zrozumiałem, że jesteśmy czymś więcej niż sumą naszych wyborów i że w matematyce naszej tożsamości rolę grają wszystkie ścieżki, jakimi mogliśmy podążać.

Żaden z innych Jasonów jednak się nie liczy.

Nic chcę ich życia.

Chcę swojego.

Ponieważ bez względu na to, jak wszystko jest popaprane, nie ma miejsca, w którym chciałbym być, gdyby nie było w nim tej Daniela i tego Charliego. Gdyby różnili się choć najdrobniejszym szczegółem od tych, którzy są ze mną, nie byłiby osobami, które kocham.

Gdy schodzimy powoli schodami do agregatorowni, nasze kroki odbijają się głośnie echem w gigantycznej, pustej przestrzeni.

— Ktoś jest na dole — mówi Daniela na przedostatnim podejściu. Staję.

Wbijam wzrok w ciemność w dole i nagle mam suche usta.

Z podłogi wstaje mężczyzna.

Potem drugi.

I jeszcze jeden.

W całej mrocznej przestrzeni między ostatnim generatorem a kabiną wstają z podłogi kolejne wersje mnie.

Niech to cholera.

Przyszli na loterię.

Dziesiątki.

Wszyscy nas obserwują.

Patrzę za siebie, w górę schodów, a krew zaczyna tak walić mi w uszach, że nie słyszę nic poza wodospadem gnanego paniką białego szumu.

— Nie będziemy uciekać — mówi Daniela. Wyciąga mi zza paska pistolet i bierze mnie pod ramię. — Charlie, złap ojca za ramię i nieważne, co się będzie działo, nie puszczaj.

— Jesteś pewna? — pytam.

— Na milion procent.

Ściśnięci blisko siebie, schodzimy powoli ostatnie kilka stopni na spękany beton.

Moje sobowtóry stoją między nami a kabiną.

W powietrzu nie ma tlenu.

Jest jedynie dźwięk naszych kroków i szum wiatru, wpadającego przez pozbawione szyb, wysokie okna.

Z ust Daniela wydobywa się drżący strumień powietrza.

Dłoń Charliego w mojej poci się.

— Nie zatrzymujcie się — mówię.

Jeden z Jasonów występuje naprzód.

— Nie to proponowałeś — mówi.

— Sytuacja się zmieniła — odpowiadam. — Zeszłej nocy próbowała mnie zabić grupka nas i...

— Jeden z nich strzelał do naszego samochodu z Charliem w środku — przerywa mi Daniela. — Koniec. Sprawa skończona.

Popycha mnie do przodu.

Zbliżamy się do Jasonów.

Nie zejda nam z drogi.

— Jesteście tutaj — mówi któryś. — Przeprowadźmy loterię.

Daniela jeszcze mocniej ściska mnie za ramię.

— Charlie i ja wejdziemy do kabiny z tym człowiekiem — mówi, choć głos jej drży. — Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób... staramy się znaleźć najlepsze wyjście.

Jest to nieuniknione — nawiązuję kontakt wzrokowy z najbliższym Jasonem o oczach przepelnionych zawiścią i zazdrością. Jest ubrany w poszarpane ubranie i śmierdzi bezdomnością oraz rozpaczą.

— Dlaczego ty miałbyś ją dostać? — warczy.

— Nie chodzi o to, co on chce — odpowiada Jason obok niego. — Chodzi o to, czego ona chce. Czego chce nasz syn. Teraz tylko to się liczy. Pozwólcie im przejść. Odsuńcie się wszyscy.

Tłum zaczyna się rozdzielać.

Idziemy powoli przez korytarz Jasonów.

Niektórzy płaczą.

Leją gorące, desperackie łzy.

Tak jak i ja.

Jak Daniela.

I Charlie.

Inni stoją niewzruszenie, w napięciu.

Wreszcie ostatni schodzi nam z drogi.

Kabina majaczy w ciemności.

Jej drzwi są szeroko otwarte.

Charlie wchodzi pierwszy, Daniela za nim.

Czekam z walącym sercem, czy nic się nie wydarzy.

W tym momencie nic by mnie nie zaskoczyło.

Przechodzę przez próg, kładę dłoń na drzwiach i ostatni raz patrzę na mój świat.

Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Światło z wysokich okien spływa na stare generatory, a pięćdziesiąt wersji mnie wpatruje się w kabinę w odrętwiałej, upiornej, wycieńczającej ciszy.

*

Uruchamia się blokada.

Trzaska zasuw.

Zapalam latarkę, by popatrzeć na moją rodzinę.
Przez chwilę Daniela sprawia wrażenie, jakby miała zemdleć, ale
trzyma fason.

Wyjmuję strzykawkę, igły, ampułki.

Przygotowuję wszystko.

Jak w dawnych czasach.

Pomagam Charliemu podwinąć rękaw.

— Pierwszy raz daje kopa — mówię. — Gotowy?

Kiwa głową.

Przytrzymując mu ramię, wkłuwam się w żyłę i pociągam za
tłoczek, by sprawdzić po pojawiającej się krwi, czy trafiłem.

Gdy podaję pełną dawkę narkotyku Ryana, oczy obracają się
Charliemu do tyłu i ciężko opada plecami o ścianę.

Zaciskam opaskę uciskową na swoim ramieniu.

— Jak długo to działa? — pyta Daniela.

— Około godziny.

Charlie siada.

— Wszystko gra? — pytam.

— To było dziwne.

Robię sobie zastrzyk. Minęło już kilka dni od ostatniego razu, gdy
to robiłem, i środek uderza mocniej niż zazwyczaj.

Gdy przychodzę do siebie, unoszę ostatnią strzykawkę.

— Twoja kolej, moja ukochana.

— Nienawidzę igieł.

— Nie bój się. Idzie mi dość sprawnie.

Wkrótce wszyscy jesteśmy pod wpływem środka.

Daniela bierze ode mnie latarkę i odsuwa się od drzwi.

Obserwuję jej reakcję, gdy świeci w głąb korytarza. Reakcję
mojego syna. Oboje wyglądają na przestraszonych. Przytłoczonych
potęgą sytuacji. Przypominam sobie moją pierwszą reakcję na widok
korytarza — moje ówczesne przerażenie i zdumienie.

Poczucie unoszenia się w niebycie.

I równocześnie pomiędzy wszystkim, co istnieje.

— Jaki jest długi? — pyta Charlie.

— Nigdy się nie kończy.

*

Idziemy korytarzem.

Trudno mi uwierzyć, że jestem tu ponownie.

Nie umiem dokładnie określić, co czuję, na pewno nie jest to jednak nagi strach, jak poprzednio.

— A więc każde z tych drzwi... — mówi Charlie.

— ...otwierają się na inny świat.

— Rany!

Patrzę na Danielę.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Jestem przy tobie.

Idziemy już przez dłuższy czas i powinniśmy zacząć się spieszyć.

— Narkotyk wkrótce przestanie działać — mówię. — Chyba powinniśmy się zdecydować.

Zatrzymujemy się przed jednymi z drzwi — takimi samymi jak wszystkie inne.

— Tak sobie myślałam... każdy z pozostałych Jasonów wrócił do swojego świata. Czyli mogą też trafić w miejsce, które wybierzemy... W teorii każdy przecież myśli tak samo jak ty.

— Ale ja nie otworzę drzwi. Ty też nie.

Odwracam się do Charliego.

— Ja? — pyta zdziwiony. — A jeśli coś spapram? Zabiorę nas do jakiegoś okropnego miejsca?

— Ufam ci.

— Ja też — dodaje Daniela.

— Choć to ty otworzysz drzwi, ścieżkę do nowego świata tworzymy razem. We troje. — Charlie z napięciem wpatruje się w drzwi. — Posłuchaj, próbowałam ci wyjaśnić, jak działa kabina, ale postaraj się na chwilę o tym zapomnieć. Nie różni się ona aż tak bardzo od życia. Jeśli stworzysz coś ze strachem, głównym elementem będzie strach.

— Ale nawet nie wiem, od czego zacząć.

— Tak, to czarne płótno.

Obejmuję syna.

Mówię mu, że go kocham.

Jak bardzo jestem z niego dumny.

Siadamy z Danielą na podłodze, oparci plecami o ścianę, podczas gdy Charlie wpatruje się w drzwi. Opiera głowę na moim barku i trzyma moją dłoń.

Gdy jechaliśmy tu w nocy, wydawało mi się, że będę przerażony perspektywą wejścia w nowy, nieznany świat, ale teraz nie ma we mnie cienia obawy.

Przepęlnia mnie dziecięca ciekawość, co dalej nastąpi.

Dopóki jest ze mną rodzina, jestem gotów na wszystko.

Charlie podchodzi do drzwi i chwyta za klamkę.

Zanim je otworzy, bierze głęboki wdech i patrzy na nas. Jeszcze nigdy nie widziałem w nim tyle siły i odwagi.

Jest mężczyzną.

Kiwam mu głową.

Naciska klamkę i rozlega się trzask zwalnianego rygla.

Do korytarza wpada klinga światła, tak jaskrawego, że muszę osłonić oczy. Gdy się adaptują, dostrzegam sylwetkę Charliego na tle otwartych drzwi.

Wstaję, podnoszę Danielę i idziemy do naszego syna, czując, jak zimna i sterylna próżnia korytarza wypełnia się ciepłem i światłem.

Wpadający przez drzwi wiatr niesie ze sobą zapach wilgotnej ziemi i nieznanych kwiatów.

Świata tuż po burzy.

Kładę Charliemu dłoń na barku.

— Gotowy? — pyta mnie nasz syn.

— Jesteśmy krok za tobą.

PODZIĘKOWANIA

Mroczna materia to najtrudniejsze dzieło w mojej karierze i nie doprowadziłbym go do końcowego wersu bez pomocy i wsparcia miriady szczodrych, utalentowanych i wspaniałych ludzi, który podczas pisania rozjaśniali moje niebo. Mój agent i przyjaciel David Hale Smith tym razem dokonał kilku naprawdę magicznych rzeczy, a cały zespół Inkwell Management stał za mną murem na każdym etapie drogi. Dziękuję Richardowi Pinebwi za mądre rady, gdy najbardziej ich potrzebowałem, Alexis Hurtlej za jej błyskotliwość i determinację, aby sprzedać moje dzieło na poziomie międzynarodowym, oraz Nathanielowi Jacksowi, wyjątkowemu specjaliście od papierologii związanej z umowami.

Moja menedżerka do spraw związanych z filmem i telewizją, Angela Chang Kapłan, oraz mój adwokat, specjalista w zakresie zagadnień przemysłu rozrywkowego, Joel VanderKloot, są pod każdym względem wyjątkowi. Mam szczęście, że mam ich w drużynie.

Zespół Crown tworzą jedni z najinteligentniejszych ludzi, z jakimi kiedykolwiek pracowałem. Ich pasja i oddanie tej książce były zdumiewające. Dziękuję wam, Molly Stern, Julianie Pavio, Mayo Mavjee, Dayidzie Drake'u, Dyano Messina, Danielle Crabtree, Sarah Bedingfield, Chrisie Brandtce, oraz wszystkim w Penguin Random House za wsparcie dla tej książki.

Ponowne podziękowania mojemu genialnemu redaktorowi, Julianowi Pavii, który zmuszał mnie do pracy, jak jeszcze nigdy w życiu nie byłem do niczego zmuszany i na każdej stronie poprawiał tę książkę.

Nie mógłbym wymarzyć sobie dziwniejszej grupy próbującej sprawić, aby rzeczywistością stał się film *Dark Matter*. Wielkie dzięki dla Matta Tolmacha, Brada Zimmermana, Davida Manpearla i Anne Giannetti z SONY. Także dla Michaela De Luki oraz Rachel O'Connor, którzy wcześniej stali się wspaniałymi adwokatami książki.

Jaque Ben-Zekry redagowała wszystkie moje powieści z trylogii *Wayward Pines* i choć nie była to jej książka, zajęła się nią z taką samą starannością i uwagą jak własną. Bez jej mądrości *Mroczna materia* byłaby jedynie cieniem tego, czym jest.

Pierwsi moi czytelnicy musieli odcierpieć liczne szkice i w trakcie pisania dawali mi nieocenione informacje zwrotne. Szczególne podziękowania chciałbym wyrazić mojemu koledze pisarzowi i przyjacielowi, Chadowi Hodgeo'wi; mojemu bratu z tej samej matki, Jordanowi Crouchowi; moim braciom z innych matek, Joemu Konrathowi oraz Berryemu Eislerowi; kochanej Ann Voss Peterson; oraz mojemu duchowemu druhowi w dziedzinie dalekosiężnych pomysłów, Marcusowi Sakeyowi, który podczas mojej wizyty w Chicago dwa lata temu pomógł mi dostrzec w morzu luźnych pomysłów potencjał tej książki i zachęcił mnie do jej pisania wbrew moim ogromnym obawom. A właściwie to z powodu moich ogromnych obaw. Także czuły okrzyk do baru w gwiazdnej restauracji Longman & Eagle przy Logan Squ-are w Chicago, gdzie kształt i tożsamość *Mrocznej materii* dosłownie pojawiła się z mgły.

Profesor fizyki i astronomii Clifford Johnson, Ph.D., pomógł mi nie wychodzić na kompletnego idiotę podczas dyskusji nad koncepcjami mechaniki kwantowej. Jeżeli napisałem cokolwiek nieprawdziwego, to wyłącznie moja wina.

Najserdeczniejsze podziękowania pozostawiam na koniec dla mojej rodziny: Rebeki, Aidana, Annslee oraz Adeline. Za wszystko. Kocham Was.

